

MIESIĘCZNIK

11 (26) LISTOPAD 1984 CENA 50 ZŁ

# Fantaslyka

P ISSN 0209-1630

Fantastyka sąsiadów  
Księżniczka Marsa cz.II



# FANTASTYKA NASZYCH SĄSIADÓW

O fantazji naukowej pisze się coraz więcej. Recenzujemy powieści Clarke'a, Asimova, Silverberga, ale także często pomijamy osiągnięcia naszych najbliższych sąsiadów. Wykazując ogólną orientację w historii anglosaskiej science fiction (w czym niemała zasługa naszych krytyków: Zgorzelskiego, Lema, Palczewskiego, Bugajskiego i Englendera) stajemy bezradni wobec przemian fantastyki rosyjskiej, węgierskiej i czeskosłowackiej. Znamy twórczość Philipa Dicka, ale z jakąż trudnością przychodzi nam rozprawić o pisarstwie Iwana Jefremowa, Josefa Nesvadby, Carlosa Rascha. Czy trzeba się temu dziwić? Nie doczekaliśmy się przecież najprostszego opracowania, a co dopiero monografii SF krajów z nami sąsiadujących a kilka artykułów A. Goreniewej, W. Sadkowskiego, J. Garzdeckiego, T. Goska i Holianka oczywiście nie może zatać wszystkich.

Jakie jest zatem oblicze science fiction naszych sąsiadów? Stosunkowo najdłuższą linią rozwoju może poszczycić się literatura rosyjska nie ustępująca miejsca prozie zachodnioeuropejskiej. W początkach XIX stulecia ukazują się „naukowe” utopie T. Bułharyna: „Prawdopodobny niebyłoby ilustrowanie po swietu w dwadzieścia lat” (1824) i „Puteszestwie k srodoctu Ziemi” (1828). W roku 1840, a więc na 22 lata przed science-fictionalnymi romansami Verne’a, wychodzi Pietrburgskie pismo W.F. Odojewskiego opublikowane w formie kroniki epistolarniej, której akcja rozgrywa się w przyszłości. W porównaniu z nieco późniejszymi książkami Kurta Lasswitz, utwory Bułharyna i Odojewskiego odznaczają się niebagatelnymi wartościami literackimi i – co ciekawsze – wywierają znaczący wpływ na powstanie „Historii przyszłości” – Adama Mickiewicza. W powieści rosyjskiego socjalisty W. Czernyszewskiego „Co robić” (1863) refleksje naukowo-techniczne zostają powiązane z prognozą społeczną i świadomościową K. Ciołkowskiego ilustruje swoje teorie kosmonautyczne popularną wersją SF („Na łunie”, 1893, „Gniesz o Ziemię i niebie”, 1895, „Wnie Ziemi”, 1903–1920). A. Kuprin tworzy wiele utopii i opowiadań („Złotokopie” 1912, „Tosi”, 1907, „Korolewski park”, 1911).

Jednym z ciekawszych autorów epoki modernizmu jest wybitny poeta i prozaik, tłumacz literatury francuskiej – Walery Briusow (1873 – 1924). W zbiorze opowiadań „Ziemia nas” (1907) daje się poznać jako zwolennik grotesku, metafory, hiperbolizacji. Przeczucia nadchodzących zmagań rewolucyjnych wyraża prozą A. Bogdanowa-Mailonowskiego „Krasnaja Zwiazda” (1908, „Inżynier Menni” 1913). W.A. Obruczew, autor „Ziemi Sannikowa” (1926), już w roku 1915 tworzy głosną utopię społeczną – „Plutonia”, opublikowaną w roku 1924. Również najstarsze powieści lat dwudziestych: „Aelita” (1922), „Giperboloid inżyniera Garna” (1925) – Aleksieja Tofatowa podejmują wątek zmian o charakterze społeczno-ekonomicznym.

Lata dwudzieste przynoszą nowe nazwiska twórców „romansu naukowego”: W. Kataljewa (O strów Enendorf” 1924) i W. Szkolowskiego „I pri” 1926). Antyutopie „My” (1920), przekładana na język niemiecki, angielski, czeski i francuski, pisze Jewgienij Zamiatin (1884 – 1937) prekursor tematów pojawiających się w twórczości Huxleya i Orwelli. Później nadchodzą czasy triumfu A. Białejewa „Przikułuczenia semuela Pingla” 1945, „Gotowa profesora Doelja” (1925), „Cziefowiek-amfibja” 1928). W latach czterdziestych debiutuje Iwan Jefremow (1907 – 1937) twórca niezwykle popularnych książek: „Tumanność Andromedy” (1957), „Serdce Zmie” 1959), „Czas Byka” (1968).

Wysoka pozycja współczesnej fantastyki radzieckiej, na którą składają się osiągnięcia kilkudziesięciu autorów jest echem sporów, dyskusji, jakie zaczęło prowadzić w latach czterdziestych. A zatem sugestii, co do bardziej rygorystycznego limitowania wyobraźni (tzw. „teoria granicy” W. Niemcowa, W. Ochotnikowa i A. Kazancewa), bądź przeciwnie – bardziej śmiałej, socjologicznej prognozy literackiej (prisarstwo I. Warszawskie-

go, D. Bilenkina, G. Guriewicz, S. Gansowskiego i in.). Zjawiskiem samym w sobie niesprowadzającym do żadnego z kierunków czy tendencji, stała się twórczość braci Strugackich, autorów książek przekładanych na wiele języków świata („Piknik na skraju drogi” 1974; „Trudno być bogiem” 1974, „Zuk w mrowisku” 1982, daty tłumaczeń polskich); Utwory Iwana Możejki (Kira Kulczowa); uczonego kandydata nauk historycznych („Ludzie jak ludzie” 1976, „Rycerze na rozdrożach” 1979, „Heterogenetyka” 1983) znane są również w RFN, Francji i Stanach Zjednoczonych. Coraz więcej słyszy się także o twórczości najmłodszego pokolenia fantastyków A. Balabuchy, A. Puchowa, W. Szczerbakowa i W. Grigoriewa.

Mimo licznych dyskusji podważających zasadność naukowego badania gatunku, rośnie stan świadomości krytycznej – coraz większa liczba profesjonalistów zajmuje się wspomnianą dziedziną literatury. Przypomnijmy nazwisko Julii Kagarlickiego, autora eseju „Co to jest fantastyka naukowa?” (1977 – przekład polski) oraz monografię „Herbert Wells” (1963, tłum. ang. 1966), która jako pierwsza publikacja radziecka, uzyskała nagrodę „Pilgrim” ustanowioną przez międzynarodowy związek profesjonalistów „SF Research Association”. Dużą popularnością cieszy się książka Anatolija Britikowa – „Sowiecka nauka i fantastyka” (1970) będąca zarysem rosyjskiej fantazy naukowej (zob. „Fantastyka” nr 10/83). Tym dwóm krytykom idą w sukurs następnicy: J. Parnow, E. Brandys, G. Ailow zob. „Fantastyka” nr 5/83), T. Czernyszewa (zob. „Fantastyka” nr 8/84), P. Nudelman, W. Omietrowski, B. Ljapunow, G. Guriewicz i in. O międzynarodowej randze krytyki radzieckiej może świadczyć fakt, że czołowi jej przedstawiciele zajmują kierownicze stanowiska w światowym ruchu SF. I tak na przykład dr Jeremij Parnow (ur. 1935) – przewodniczący sekcji pisarzy SF – jest delegatem narodowym ZSRR do Europejskiego Komitetu SF, członkiem prezydium Światowej Organizacji Profesjonalistów (WSF).

Pod względem tradycji literackich fantastyce rosyjskiej niewiele ustępuje proza węgierska. Za prekursora „romansu naukowego” uważa się tu powszechnie Mórę Jókai piszącego w drugiej połowie XIX stulecia (jego „Oceanie. Historie świata zaginionego” przetłóżył na język polski Antoni Lange). Nieco później debiutują M. Ballo, J. Heitai i J. Naszady. Przed rokiem 1939 dotychczas do nich D. Orban, G. Szanto, K. Jugos. Współczesna fantastyka tworzą: Gyula Fekete, Zoltan Csarnal, Gyorgi Kullin, Peter Lengeli („Ogg masodik polygoja”, 1969 – przekład polski: „Druga planeta słońca Ogg”, 1982), Peter Zsoldos („The Task” – przekł. polski: „Zadanie”, 1982). Prawdziwym odkryciem ostatnich miesięcy jest proza Iwana Nemerego. Pod kierunkiem zasłużonego wydawcy i krytyka – Peters Kuczki działa sekcja SF w Związku Literatów upowszechniająca rodzimą tradycję gatunkową. Być może, w porównaniu z rosyjską i węgierską, historia czeskiej fantastyki naukowej nie imponuje różnorodnością tematów, ale z pewnością należy do najbardziej znanych w Europie. Jej prekursorem był przecież nie kto inny, jak sam Karel Čapek (1840–1938), który zyskał światową sławę dzięki sztuce „RUR” (1921). Neologizm „robot” zrobił ogromną karierę zaakceptowany nie tylko przez lingwistów, ale i przedstawicieli świata nauki. Do najbardziej znanych utworów Čapka należą powieści lat dwudziestych: „Fabryka absolutu” (1922), „Kakati” (1924) oraz „Inwazyja jaszczurów” (1936) ukazujące przesłanki kryzysu ekonomicznego, degradacji jednostki, zubożenia życia duchowego, groźby faszyzmu, terroru i totalitaryzmu.

Współcześni twórcy czeskiej fantastyki naukowej niemal jednoznacznie wskazują na K. Čapka jako na swego mistrza i nauczyciela. Proza J. Nesvadby, K. Weissla, L. Běhouňka, L. Součka, Z. Volného przejmując wiele z publicystycznego, emocjonalnego stylu wielkiego prozaika Josefa Nesvadby zawdzięcza swoją popularność zbiorom opowiadań publikowanych w latach 1956–1976

„Tarzanowa smar”, 1958, „Einsteinowy mózek”, 1960, „Vynalez proti sebe”, 1964, „Wyprawy o-pacnym smerem”, 1976). Jego utwory weszły w skład wielu antologii obcojęzycznych, m.in. „The Years Best SF”, „World’s Best SF” – amerykańskich edycji lat siedemdziesiątych.

Niemiecka science fiction ma swoich antenatów w osobach Kurta Lasswitz (1848–1910) i Hansa Dominika (1872–1945). Do najsłynniejszych utopii Lasswitz należy powieść „Auf zwei Planeten” (1897) wydana w łącznym nakładzie 70 tysięcy egzemplarzy, a jego opowiadanie „Universalbibliothek” (1902) wywarło istotny wpływ na genezę „Bibliotek von Babel” Jorge Luis Borge. Hans Dominik – inżynier, konstruktor, dziennikarz i krytyk był najpopularniejszym prozaikiem SF okresu międzywojennego (jego powieść „Die macht der Drei”, 1922 osiągnęła ogromny, jak na owe czasy, nakład 170 tysięcy egzemplarzy). Po wojennej literatury SF w NRD, uwikłana w kanony obowiązującej poetyki normalizacyjnej, z natury rzeczy uproszczała wiele zagadnień światopoglądowych. Istotną zmianę przyniosło dopiero lata sześćdziesiąte z dojsiem do głosu takich autorów, jak Eberhard del Antonio, Günther Krupkat, Loter Weise, Carlos Rasch i Heiner Rank. Kolejna faza rozwoju niemieckiej fantastyki naukowej przypada na początek następnego dziesięciolecia. Debiutują wówczas Karlheinz Steimüller, Rolf Krohn, Frank Toppe, Erich Simon i Reinhard Heinrich. Działalność tych prozaików coraz lepiej znana jest także czytelnikom naszego kraju (zob. wydany niedawno zbiór opowiadań „Niemoc” z posłowiem Huberta Orłowskiego, 1983).

Do mniej znanych europejskich literatur SF należy proza rumuńska, niemal zupełnie nie tłumaczona na języki obce. Za prekursora uważa się tu Henrica Stahlia (autora książki „Rumun na Księżycu”, 1914 – polemizującej z „Pierwszymi ludźmi na Księżycu” – H. Wellsa). W roku 1935 ukazuje się słynne „Zatopione miasto” Felixa Aderca. Z nurtu utopii przyszłościowej pochodzi proza Ilie Jenesa, Alexandru Dumitrescu-Coltesa i Dorina Jenciu. Dziś mistrzami gatunku są Vladimir Colin, Eduard Jurat, Ion Minzatu, Voicu Bugariu, Jon Hobens i in.

W podobnie ogólnych słowach przyjdzie opisać literaturę bułgarską. Do najbardziej znanych prozaików należą Paweł Wiesznow (autor „Niebieskich motyli”), Liuben Dilow (twórca 15 powieści, m.in. znanego w Polsce „Ciężaru skafandra”, 1967), a także Atenas Nakowski, Swietosław Stawczow i Emil Manow.

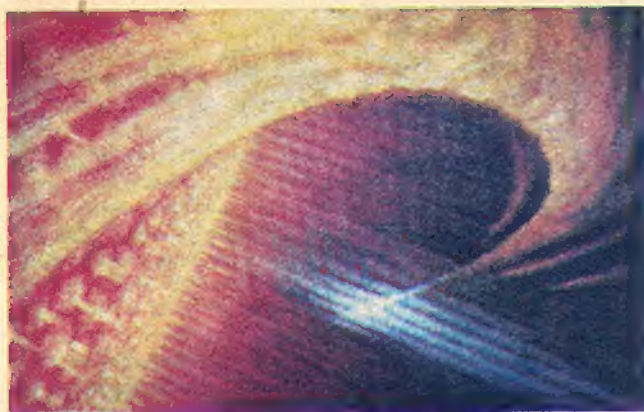
Z niezwykłym dynamizmem rozwija się gatunek SF w Jugosławii. Charakterystyczną cechą tej literatury jest jednak odczuwalna zależność od prozy anglosaskiej i na palcach można policzyć autorów próbujących podążać własną drogą twórczą. Należą do nich: Branko Pihac, Jilka Mikacić, Slobodan Curočić, Ognjen Nikolić. Opowiadania tych pisarzy znalazły się w pierwszej jugosłowiańskiej antologii fantastyczno-naukowej „YU-Sinus” opublikowanej pod koniec roku 1978.

Godna uwagi jest również doskonała organizacja ruchu sympatyków SF zjednoczonych wokół tzw. „SF-ery”, największego klubu SF powstałego w Zagrzebiu w roku 1976. Nie jest kwestią przypadku, że właśnie Jugosławia pretenduje do roli światowego centrum SF. W roku 1983 odbył się tu „World SF General Meeting” i „Eurocon VIII” określany jako tydzień triumfu... polskiej literatury SF (miesięcznik „Fantastyka” został uznany za najlepsze profesjonalne czasopismo SF w Europie).

Nawet pobieżny przegląd piśmiennictwa SF naszych sąsiadów dowodzi, że jest to proza zakorzeniona głęboko w historii poszczególnych narodów, czerpiąca wzory i podniety z tych samych źródeł co literatura nurtu głównego (K. Čapek, T. Bułharyn, M. Jókai i in.), a zatem niezbyt ostro wyodrębniona w zamkniętą, popularno-rozrywkową getta kulturową. Może to świadczyć o swoich wartościach tej beletrystyki, jak również o istotnych przyczynach jej popularności w Europie

A.N.





W tym numerze postanowiliśmy przedstawić Czytelnikom utwory autorów z krajów sąsiednich: ZSRR, Czechosłowacji, NRD, a także z niedalekich Węgier i Jugosławii. Krótki rodzaj przewodnika po literaturze SF tych krajów umieściliśmy na stronie obok, z myślą o tych Czytelnikach, którzy chcieliby uzupełnić lekturę pewną ilością wiadomości o pisarstwie typu SF i fantasy w tych krajach. A posiada ono pewne ciekawe cechy charakterystyczne, zaś w przypadku – zwłaszcza ZSRR, Węgier i Czechosłowacji – również bogatą, sięgającą daleko w przeszłość tradycję. Natomiast jeśli chodzi o dzień dzisiejszy tej literatury, to prócz zamieszczonych opowiadań pragnęlibyśmy zarekomendować dwie interesujące pozycje: szkic jugosłowiańskiego krytyka o źródłach inspiracji do pisarstwa SF w jego kraju i impresje znanego polskiego tłumacza na temat tłumaczonych przezeń utworów pisarzy radzieckich.

## Opowiadania i nowele

Dymitr Bilenkin  
Wybacz odchodzącym

Zdeněk Volný  
Żona z kwestionariusza

Péter S. Szabó  
Skurcz czasu

Günter Kunert  
Sen

Erik Simon  
Naturalnie nie istnieją  
żadni Marsjanie...

Filip David  
Baśń o księżycowej karecie

Kir Bułyczow  
Cztery opowiadania  
z Wielkiego Guslaru

4

– Co ty bredzisz? – warknął Strogin. – Ewidentne nieposuszeństwo, bunt, a ty...  
– Cicho, cicho... – Koenig wziął go za rękę. – Chcieliśmy ich porzucić, więc... Gdyby nas ktoś tak zostawił!... Popatrz!

8

Szanowna Komisjo!  
Proszę o zreprodukowanie mojej małżonki dr Mirosławy Czerwenkowej, z domu Król, która zginęła podczas awarii turystycznego rotobusu w dniu 28 czerwca ubiegłego roku.

10

I nagle zrozumiał. Brama... Ta aluminiowa płytka była bramą, przez którą zaczął przepływać czas... czas świata. I już od trzech tygodni przecieka, coraz więcej czasu.

12

Trzymałem mój nos oblemą rękami i uciekałem w ciemność, aby nikt nie mógł mnie poznać. Rozpuściłem się w niej, stając się sam ciemnością, czego jednak nie widziałem, ale za to odczuwałem.

12

Statkiem tym miał być świecący punkt, który widziano 14 sierpnia nad północnym Atlantykiem. Uzasadniano to jednym jedynym faktem, że statku tego nie można było później odnaleźć.

14

Ponownie znalazł się na dworze. Jak uknąć przed prześladowcami? Biegł przez puste pole, na którym rzadkie krzaki przypominały skulonych ludzi. Zobaczyć czarną karetę, to jakby umrzeć...

16

Nie bacząc na stosunkowo niską cenę konserwatywni mieszkańcy miasta Wielki Guslar niechętnie kupowali efektowne puszeczki z barwnym portretem jesiotra i napisem CZARNY KAWIOR. Sokole oko klienta dostrzegało bowiem również wykonany małutkimi literkami dopisek: *syntetyczny*.

## Powieść

Edgar Rice Burroughs  
Księżniczka Marsa (2)

23

Dokończenie przygód kapitana Cartera na Marsie. Miłość mnoży niebezpieczeństwa, którym musi stawić czoło przybyś z Ziemi.

## Z polskiej fantastyki

Krzysztof Kochański  
Zabójca czarownic

43

Gdy Anders ocknął się, po Abejderze Blendzie zostało już tylko ciało. Jego dusza zdążyła do krainy śmierci. Anders zrozumiał, jak bliski stał się mu ten nieznaną prawie człowiek. Łączył ich wspólny los; obaj przez całe swoje życie związani byli z czarownicami.

Andrzej Zimniak  
Najdłuższa podróż poślubna

51

Opadliśmy na powierzchnię globu jako dwa wielogłowe, wieloogoniaste i pokryte sterczącą łuską smoki. Lecz Hymcia nadal była piękna, przynajmniej w moich stu czterdziestu smoczych oczkach...

## Krytyka

Recenzje

54

Krzysztof Sokołowski o „Foundation Edge” Asimova, Leszek Bugajski o „Głowie profesora Dowella” Bielajewa i Joanna Salomończyk o nowym polskim filmie SF „Synteza”.

Dwugłos o fantastyce

58

Impresje Tadeusza Goska – tłumacza – o radzieckiej literaturze SF i szkic Zelmira Koščewicia o pisarstwie typu SF w Jugosławii.

## Nauka i SF

Zmienione głowy

62

Eksperyment z transplantacją głów budzi wiele wątpliwości.

Stacja orbitalna z... Polski

64

Na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej został opracowany projekt kosmicznej stacji orbitalnej.



Jak każda dziedzina, która stara się być awangardowa, science fiction i jej najnowsze odmiany usiłują jak gdyby odciąć się od tradycji, a w każdym razie jej nie dostrzegać. Autorzy współcześni, wymyślając coraz to nowe światy w swoich fantastycznych utworach, często jednak powtarzają pomysły już dawno wykorzystane w książkach ich poprzedników. Niektórzy rozwijają te pomysły z pełną świadomością, inni sądzą – zapominając o tym co dawniej sami czytali, z czego się uczyli SF – że to ich i tylko ich geniusz sprowadził na Ziemię stwory z innych planet, spowodował starcia między człowiekiem a jego twórcami – robotami, lub dostrzegł możliwości wojen między różnymi światami.

A tymczasem – czy tego autorzy chcą czy nie chcą – tradycja wyciska swoje niezatarłe piętno na tym co produkują, zaś wartość literatury czy filmu SF pochyla się dziś mierzyć już na szczęście nie tylko samą nowością pomysłu, niezwykłością sytuacji, jaką wykombinował dla swych bohaterów twórca, lecz przede wszystkim – nazwijmy to – jakością wypowiedzi tego twórcy, sposobem, w jaki książka została napisana, treściami jakie pragnie przekazać, a także psychologicznym prawdopodobieństwem tego, co się przedstawia i wejściem we wnętrza bohaterów. Jak w każdej prawdziwej literaturze. A więc nie liczy się jedynie konkretny, choćby najlepszy pomysł, lecz liczą się metody i skutki rozwinięcia go, przymiernenia do współczesności.

Oczywiście tradycja nie chciana lub zapomniana, tradycja literatury dominującej w danym kraju, odgrywa rolę zarówno w samym pisarstwie SF, jak i w jego odbiorze. Reminiscencje lektury na przykład naszego Jerzego Żuławskiego w utworach Lema i młodzieńczego Żwikiewicza sprawiają, że odbiera się utwory te jako swojskie. Rodzime. Podobnie dzieje się zresztą nie tylko u nas, ale i w innych krajach, a dyskusje o narodowych tradycjach w literaturze fantastycznej odbywają się podczas każdego niemal krajowego czy międzynarodowego spotkania twórców i miłośników SF. Na Wschodzie i na Zachodzie ostro krytykuje się te typy fantastyki, w których autorzy chcą uciec od narodowych tradycji, naśladując (wzajemnie) cudze metody pisania, podszywając się pod obce tradycje i doświadczenia.

Ten snobistyczny nurt ślepego naśladownictwa panuje zresztą nie od dziś w wielu dziedzinach sztuki nie tylko pisarskiej, lecz także w muzyce czy w plastyce.

W naszym comiesięcznym orbitowaniu fantastycznym przekazujemy niemal w każ-



dym numerze współczesne utwory bratnich krajów. Postanowiliśmy już dawno grupować je od czasu do czasu tak, aby „Fantastyka” w jednym swoim wydaniu dawała przegląd tego, co w literaturze naszych sąsiadów się dzieje. Tylko bowiem zestawienie w jednym miejscu i o jednym czasie opowiadań z różnych stron, autorów różnej narodowości, może stać się zachętą do porównań, do poszukiwania podobieństw i odrębności, do zastanawiania się nad wpływami narodowych tradycji literackich na współczesną SF.

Oczywiście skromny dobór materiałów nie pozwala absolutnie rościć sobie pretensji do wyciągnięcia z tego, co się przeczyta jakichś zasadniczych uogólnień. Jednakże już choćby proste zapoznanie się z nowelką Zdenka Volnego z Czechosłowacji zaświadcza o tym, że jej twórca nawiązuje do utworów klasyki czeskosłowackiej, w której dominującą postacią twórczą był Karel Čapek. Lektura opowiadania węgierskiego znowuż przywodzi na myśl wielkiego Jókaia – klasyka SF na Węgrzech, a utwór Bułyczowa, najbardziej narodowego z radzieckich pisarzy SF, budzi reminiscencje prozy takich twórców jak Aleksy Tolstoj i Iwan Jelfremow, od których wywodzi się cały nurt nowoczesnej radzieckiej literatury fantastycznej. Podobnie ma się sprawa z opowiadaniem z pozostałych bratnich krajów. Brakuje w tym zestawie w naszym numerze reprezentantów i bułgarskiej SF, i rumuńskiej, a to dlatego, że już wkrótce planujemy wydrukowanie powieści zatytułowanej „Babel” znanego współczesnego pisarza rumuńskiego Vladimira Colina, a osobno będziemy drukować opowiadania Zinbena Diłowa znanego pisarza i wydawcy Bułgarii. Rzecz jasna, że bardzo ciekawi jesteśmy Waszych opinii o tym naszym lis-

topadowym numerze – antologii. Pragnęlibyśmy wiedzieć, jak osądzacie zamieszczone utwory, jakie dostrzegacie wspólne ich cechy, jakie odrębności między tym co pisze się u nas w fantastyce i w innych krajach. Będzie to sondaż Waszych gustów, a także i Waszego znanstwa literatury SF. Podczas zeszłorocznego pobytu w naszym kraju kilku pisarzy ze Związku Radzieckiego, w czasie spotkania z nimi, zorganizowanego dla fanów w Nowej Hucie, w Krakowie, okazało się na przykład, że wiedza na temat tego co pisze się w bratnich krajach była na bardzo, bardzo wysokim poziomie. I na taki poziom liczymy również w Waszych, Czytelnicy, listach do redakcji. Pragnęlibym także prosić, abyście podyskutowali z nami na temat ważności tradycji narodowych także i w literaturze SF. Temat ten już raz podjąłem w jednym z naszych wspólnych orbitowań. Widocznie niedostatecznie przeze mnie wyeksponowany, pozostał bez większego echa w Waszej korespondencji.

Zwróciliśmy jednak już dawno w redakcji uwagę na szeroki oddźwięk tego wszystkiego, co piszę w kolejnych orbitowaniach i tego co zamieszcza się w rubryce, zwanej „Ładowaniem”, na kierunki dyskusji z Czytelnikami. Wy zaś – Czytelnicy – staliście na pewno świadomi reakcji na Wasze poruszone w dyskusji dezyderaty i propozycje. Wyraziły się one ponownym wprowadzeniem komiksów. I proszę się nie denerwować przerwą jaką w drukowaniu komiksów nastąpi po zakończeniu ostatniego odcinka serialu Krzepakowskiego i Kasprzaka. Mogę z góry obiecać, że wkrótce powróci na łamy Funky Koval, aby wraz z Wami przeżywać swe nowe przygody.

Częściej będziemy dawać zapowiedzi wydawnicze. A zamiast niezbyt sprawiedliwej listy bętsellerów, która mimo woli preferowała książki o największych nakładach, położyliśmy nacisk na nagradzanie co roku utworów, które jury oraz Czytelnicy uznają za najlepsze. Mamy również zamiar – i to jest odpowiedź na liczne zapytania – wznowić „nieustający konkurs” na opowiadania.

Czekamy więc na Waszą dyskusję, Wasze opinie. Do następnych orbitowań.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

**Adam Hollanek**

**Fantastyka**

Literacki

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2  
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

**Redakcja:** Adam Hollanek (red. nac.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędziński, Andrzej Krzepakowski (kier. działu publicystyki kulturalnej), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Małski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Anna Szubka, Dariusz J. Toruń.

**Opracowanie graficzne:** Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.

**Wydawca:** Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.

**Terminy przyjmowania prenumeraty:** do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

**Skład:** Zakłady Wkleśłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P. Z. Graf. RSW Łódź.

Zam. 2970/84 r.T-70. Nakład 200.000 egz. NR 1/84 KLU 3-839

PL ISSN 0209-1631

# ŁADOWANIE XXI

Co mnie najbardziej cieszy w mojej pracy to te nasze wspólne comiesięczne ładowania. Zawsze mamy licznych, bardzo licznych pasażerów. Zawsze nam towarzyszą. Czy to w deszczowy lipiec, czy w kanikuły sierpniowe. Gdy pięknie i gdy brzydko. I ta różnorodność ich zawodów, zainteresowań i postaw. A także wieku. Ta nieustanna ołtarzność na problemy, które poruszamy, które poddajemy pod dyskusję – robotników i intelektualistów, nastolatków i ich dziadków. Każde „Ładowanie” jest dla mnie nową przygodą. A przekonałem się, że nie tylko dla mnie, lecz i dla większości nas, redagujących to pismo. Proszę mi wybaczyć, że nie mogłem uniknąć wypowiedzenia tych kwestii, tego zwierzenia, tak to było dla mnie ważne.

## Dzień dobry. Może najpierw się przedstawię...

...mam 28 lat, pracuję w PRG Rybnik jako górnik. Literatura SF zajmuje mnie od 5 lat. Mam taką propozycję. Czy zamiast wykazu książek, które mają poszczególni miłośnicy SF do wymiany, nie można byłoby podać kilku dodatkowych adresów? Wydaje mi się, że wykaz ten niepotrzebnie zajmuje tyle miejsca, bowiem w korespondencji i tak następują duże zmiany, a poza tym można się porozumieć co do tego o jakie książki chodzi. Posiadam duży wybór książek do wymiany i chętnie wymienię je na inne. Z tego powodu byłoby mi też miło, gdyby mój adres znalazł się na łamach „Fantastyki”. Łączę pozdrowienia.

**Wiesław Piotryja**  
ul. Turystyczna 27/35, 44-335 JASTRZĘBIE

Nazywam się Andrzej Karlik, od pewnego czasu interesuje mnie SF nie dla swojej rozrykowości, ale dla swej głębi, ze względu na tę siłę, która kształtuje wyobraźnię, wręcz zmuszając do działania, do tworzenia idealniejszego świata.

**A. Karlik**  
uczeń II klasy Technikum Elektronicznego w Przemyślu

Nie jestem ani fanem, ani żadnym działaczem klubu itd. Nic z tych rzeczy. Jestem tylko młodym robotnikiem (fizycznym), ale mam dla Was kilka uwag. Po pierwsze, czy nie można by zwiększyć liczby stron. Tłumaczenie się kryzysem, brakiem papieru, jest idiotyzmem, bo jeśli wydaje się, że rocznik setki bzdurnych książek i książeczek (wystarczy przejść się po kilku księgarniach i kioskach Ruchu), których nikt nie czyta, to chyba lepszym interesem jest przeznaczenie marnowanych materiałów na zwiększenie objętości „Fantastyki”, przecież błyskawicznie „rozdrapywanej”. Wystarczy nacisnąć kogo trzeba u góry i wytłumaczyć mu korzyści. Można by w ten sposób zadowolić zwolenników komiksu, poezji, krytyki i „pożółkłych kartek”. Ja osobiście nie lubię wyżej wymienionych pozycji, ale pismo jest przecież dla wielu ludzi o różnych gustach... Wg mnie b. dobre są opracowania z serii „Nauka i SF” i prawie wszystkie opowiadania. Choć najbardziej lubię takie jak „Atak”, „Aleja Potępienia”, „Wynajęty człowiek”, „Formy Chaosu”. Dobre też były „Niebezpieczne sprzężenia”, utrzymane w ciekawym, staropolskim stylu. Drukujecie też nieraz bzdury, to za to moglibyście się zająć zagadkami ziemi (Atlantyda, Trójkąt Bermudzki, Meteory Tunguski itd.). Proponuję utworzenie czegoś w rodzaju Antykwanatu SF. Oczywiście sprawa nie jest prosta i wymaga doszłutowania. Kolejno wg zgłoszeń czytelników posyłałbyście im żądane publikacje. Macie zdolnych ludzi. Można to przemyśleć i ewentualnie, z odpowiednimi zmianami, wprowadzić. Ciągłe mało książek fantastycznych.

**Jen Nowak** ze Szczecina

Na początku chciałbym się przedstawić (choć nie w pełni). Mam lat 46. Jestem lekarzem, profesorem jednej z uczelni medycznych w Polsce. Pracuję bardzo ciężko. Dużo przebywam z młodzieżą akademicką. Czuję się duchem bardzo młody. W mojej codziennej służbie dla chorych i w pracy naukowo-dydaktycznej (wymagającej przeciętnie 14-16 godzin na dobę) jedynym odenwaniem się od codzienności jest fantastyka naukowa. Tyle na mój temat. Proszę mi wierzyć, że jest to pierwszy list do redakcji w moim życiu. Jesteście doskonałym zespołem redakcyjnym. No to co, że jedne opowiadania są gorsze, a inne lepsze. Przecież to normalne i tak powinno być. Ja też uważam, że niektóre z nich są doskonałe, lecz to jest subiektywne odczucie. Proszę o przykład: „Aleja Potępienia”. To opowiadanie zrobiło na mnie największe wrażenie. Przeczytałem około 15 razy (sic). A innym mogło się nie podobać.

## Już wyobrażam sobie jakie gro- my...

...sypią się na was za komiks „Człowiek bez twarzy”. Za ohydę, za brzydotę, za brak gustu itp. A przecież to jest wspaniałe. Tylko ludzie pozbawieni poczucia humoru i wyobraźni będą wybrzydzac. Więc niech nie kupują „Fantastyki” i zostawiają w kioskach. Dla tych, którzy chcą ją czytać. Nie zrażajcie się. To są dalekości i nie ma co dyskutować z takimi. (...) Przepraszam za papier i formę, ale znajduję się w połowych warunkach, na wakacjach. A Funky musi wrócić.

Wasz zagorzały wielbiciel **Medyk**

„Człowiek bez twarzy”. Świat tego komiksu jest niejako bajkowy, a kształty stałków kosmicznych takie, że niejedyn współczesny kosmonauta by się uśmieł. Oczywiście sam takiego komiksu nigdy bym na pewno nie narysował. Krytykując go mam na uwadze popularność mego ulubionego pisma. Być może do tego komiksu zraziły mnie moje własne upodobania i przyzwyczajenia i polubienie bohatera poprzedniego komiksu. Na prawdę jednak uważam, że i komiksy powinny iść zgodnie z rozwojem techniki.

**Mariusz Kulaga** z Rzeszowa

Kochani. Mieszkam w małym mieście. Fantastyką, a dokładniej filmem fantastycznym interesuje

się od lat. Dlaczego w „Fantastyce” nie było jeszcze wydrukowanej powieści „Gwiezdne wojny”. Nie wyobrażacie sobie jaką radość sprawiłobyście fanom. Zamiast drukować idiotyczne powieści, drukujcie „Gwiezdne wojny”, „Imperium kontratakuję”, „Powrót Jedi”, „E.T.”, „Obcego”. Zdajecie sobie chyba sprawę jakie to bestsellery. Błagam jak tylko mogę: zrobicie tę przyjemność i mnie, i innym. Wasze pismo stałoby się jeszcze bardziej popularne niż jest, błagam was. W Wąbrzeźnie nie ma co liczyć na dostawy podobnych książek.

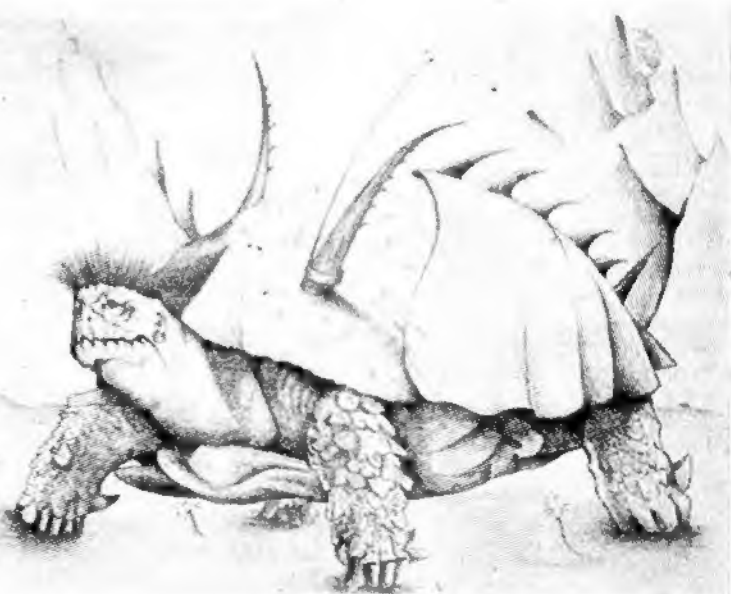
**Anna Jankowska** z Wąbrzeźna

Mam 21 lat. Nazywam się Renata Borys. A w ogóle nie składam się chyba z krwi i kości, lecz tylko z ogromnej wyobraźni. Pragnę pochwalić się, skacząc do góry z radości, że jestem szczęśliwą posiadaczką WSZYSTKICH numerów „Fantastyki”. Ku swojej ogromnej ucieśce pracuję w księgarni. Chyba wie Pan, co to znaczy dla miłośnika książek. Kiedyś, ponad rok temu pisałam do Pana list, ale nie wysłałam go. Teraz mam go przed sobą napisałam wówczas: „Jestem z czarno-białą grafiką i najwyżej za dobrym malarstwem”. Teraz z radością obserwuję, że poziom malarstwa w „Fantastyce” podniósł się, oby tak dalej. Dlaczego od kilku miesięcy nie ma list bestsellerów? Jestem za kwartalną tego rodzaju listą. Już w pierwszym numerze pisał Pan, że Wasz konkurs literacki jest nieustający, i co – zamknięty. Sądzę, że przydałaby się konkursowi mała reforma. Podzielić go na dwie części: dla zawodowców i amatorów, albo wyłączyć zawodowców. Oni mają przecież pole do popisu w różnych redakcjach. Tak pisałam poprzednio i postulaty moje są nadal aktualne.

**Renata Borys** z Białegostoku

Ze stosu listów wybrałem dzisiaj takie, w których nasi Czytelnicy starali się przedstawić siebie, a także prezentować swoje poglądy. Przedstawiać się. Nie wszyscy to lubią, a przecież miło mi, a także wszystkim chyba czytającym tę rubrykę, wiedzieć nie tylko co chcą ci inni, ale kim i jacy są.

**Redaktor**





# Wybacz odchodzącym

Dymitr Bilenkin

Wiele jest na świecie dziur tak doszczętnie zabitych deskami, że w porównaniu z nimi Naira może wydać się prawdziwym rajem. Za owalnym iluminatorem żółta piana mgły, niemal dotykany mrok, pulsujący pod ciosami zawieruchy. Jej napór jest tak wielki, że nawet powietrze w pomieszczeniu zdaje się drgać i wirować, chociaż to absolutnie niemożliwe, gdyż baza jest równie hermetyczna jak puszka sardynek. I prawie tak samo ciasna. Z ustawionej pod ścianą aparatury Koeniga wydobywa się wycie i gwizd, trzaski i poszczekiwanie, kaszel, mamrotanie i szczebiot, jakby w elektromagnetycznych polach planety odbywał się nieustający konkurs drożdów-przedrzeźniaczy.

- Małe, gustowne piekielko - mruknął Koenig, zrzucając z głowy słuchawki. Mówił to już dziesiątki razy. - Wiesz, kim my jesteśmy? Turystami udającymi poszukiwaczy prawdy. To było już coś nowego, oderwałem więc wzrok od szachownicy, na której Małec szykował się do zadania mi mata.

- Skaczemy z planety na planetę, jak woda z kamyka na kamyk - ciągnął Koenig, gapiąc się w iluminator. Na pulpicie sterowniczym zamario odbicie jego okrągłej, ozdobionej jasnymi wąsikami twarzy. - I z takim samym skutkiem.

- Wobec tego po co tu siedzisz?

- Chciałem zobaczyć kawałek świata.

- No i jak?

- Obejrzałem go sobie, przenosząc się z futerału do futerału. Futerałami są statek, skafander, baza, lazik... Jesteśmy ludźmi w futerałach, bez których można się obyć jedynie na Ziemi.

- Która zresztą również jest futerałem, tyle że nieco większym. Nie uważasz?

Koenig popatrzył na mnie.

- Masz rację! - wykrzyknął. - Byłeś na Tahiti?

- Nie.

- Ja też. Słuchaj, dlaczego jesteśmy tutaj, a nie na Tahiti? Tam jest przecież morze, piękne dziewczyny, słońce, kwiaty, piaszki śpiwają...

- A u nas świergola atmosferzaki i śpiewają kamienie. Poza tym nam, bohaterskim pionierom, zazdroszą miliony dzieciaków, którym po powrocie opowiemy niesłychanie romantyczną bajeczkę o Nairze.

- Ja tam będę mówił prawdę! - warknął Koenig. - Opowiem o trzech panach w puszcze do konserw, nie licząc robota. O liofilizowanych koncentratkach na śniadanie, obiad i kolację... O waszych obmierzłych gębach, spacerkach w orzeźwiających strugach piasku i robocie, robocie, robocie...!

- Idzie Warlen - dodał, wsłuchując się w rytmiczne popiskiwanie sygnału. - Zbliża się Warlen Strogina i jego kamienie. Wejdzcie, powie dwa słowa i zagrzebie się w swoich mineralach. Nawet nie pomyśli, że ja mógłbym mieć ochotę na małego roberka...

Koenig oczywiście nie siadzie po obiedzie do kart, tylko do swoich wykresów i obliczeń. Karciarzy na takie zakazane placówki nikt by przecież nie wysłał.

- Uważaj! - ostrzegam go na wszelki wypadek. - Słucha cię młode pokolenie. Co będzie, jeśli dowie się ono, że bohaterski pionier Walter Koenig marzy o brydzyku z dziadkiem? Bierz przykład ze mnie i w nielicznych wolnych chwilach graj z Małcem w szachy. To piękna, szlachetna gra, która nie przynosi ujmy nawet meż-nemu badaczowi odległych światów... Małutki, czemu się tak grzebieziesz?

- Nie chciałem przeszkadzać w rozmowie.

- To nie jest rozmowa, tylko zwykła paplanina.

- Wobec tego szach.

Małec wysunął spod siebie łapę i przesunął figurę. Ten półmetryowy robot przypominał złocistego żółwia, ślicznego, ale na pierwszy rzut oka nieruchawego zwierzęcia. W rzeczywistości Małec jest zupełnie inny niż się wydaje, ale żeby się o tym przekonać, trzeba najpierw z nim, jak to się dawniej mawiało, zjeść beczkę soli. Większość ludzi tego nie potafr, gdyż nasze biologiczne „ja” instynktownie opiera się zbliżeniu z istotą, której przodkiem była

maszyna parowa. A gdzie nie ma sympatii, tam również nie ma i zrozumienia. Podobno wszystkie roboty z tej samej serii są identyczne. Jest to taki idiotyzm, że nawet człowiekowi nie chce się go obalać. Znamy się z Małcem tak dobrze i od tak dawna, że wyczuwam jego nastrój nawet wtedy, kiedy się nie odzywa, chociaż niektórym może się to wydawać czarną magią. Bo niby jaki wyraz mogą mieć receptory optroniczne albo anteny-wibrisy? Ale oczy człowieka też przecież są układem optycznym, a jednak przegląda się w nich dusza.

Ruch robota zmusił mnie do zastanowienia. Na szczęście roboty są pozbawione fantazji, co pozwoliło mi uciec przed matem. Miałem już zrobić zaskakujący ruch, gdy popiskiwanie zmieniło się w ciągły ton i nad wejściem zapaliła się czerwona lampka. W słuzie zabulgotało powietrze i po minucie drzwi się otworzyły. Rozpinając w biegu skafander, do wnętrza wkroczył energicznie Strogina. Od razu zapachniało kurzem, którego żadne urządzenia odsysające nie są w stanie zebrać z fald skafandra. Nikt się tym zresztą nie przejmował, bo tutaj kurz był sterylny. Cała planeta była sterylna. Sterylina, monotonna i ponura tak dalece, że gdyby ktoś nas zapytał, po co na niej właściwie siedzimy i jaką korzyść Naira może przynieść człowiekowi, nie od razu potrafilibyśmy znaleźć odpowiedź. Ale to niczego nie dowodzi: jakiś starożytny medrzec, bodaj czy nie Sokrates, odradzał współobywatelom zajmowania się takimi pozbawionymi sensu zabawami jak obserwacja ciał niebieskich, która może jedynie przeszkadzać w o wiele ważniejszym dziele samopoznania.

Worek ze swymi łupami Warlen jak zwykle rzucił do kąta, Koenig jak zwykle oderwał się od analizy skomplikowanych przytornów swojego nieziemskiego chóru i oburzył się na zaśmiecanie wnętrza jakimś gruzem, na co Strogina jak zwykle odpowiedział wzruszeniem ramion, bo niby gdzie ten swój worek miał podziać. Koenig jeszcze trochę poburczał i cała sprawa na tym się skończyła. Tak w ogóle, to nieźle się ze sobą dogadywaliśmy i to nie tylko dlatego, że wszyscy trzej mieliśmy zgodne charaktery.

- Przygotujcie obiad - powiedziałem wstając. - Mały, zapamiętaj partię, później ją dokończymy.

„Przygotowanie obiadu”, jak to gromko nazwałem, zajęło mi nie więcej niż dwie minuty, bo przecież podgrzanie gotowych koncentratów i włożenie ich na talerze nie może zająć więcej czasu... Siedliśmy do stołu i kiedy byliśmy już po tak zwanym pierwszym daniu, Koenig swoim zwyczajem zapytał Strogina, czy nie znalazł przypadkiem śladu bosej sześciopalczastej stopy tubylca. Warlen spokojnie zignorował głupie pytanie, a wówczas ja zapytałem, czy burza nie przeszkodziła mu w pracy.

- Burza jak burza... - Strogina lekko się ożywił, jak zwykle gdy była mowa o pracy. - Widziałem gorsze. Udało mi się znaleźć niezwykłą konkreję. Konglomerat kasyteryu z chromitem, wyobrażacie sobie? Zdumiewająca planeta.

- Konkrecje, konglomeraty... - mruknął Koenig. - Dawniej ludzie szukali zwyczajnych, powszednich rzeczy. Diamentów, złota, srebra i innej platyny. A teraz co? Warlenowi diamentu nawet nie będzie chciało się kopnąć.

- Pewnie go nawet podniosę - odparł poważnie Strogina. - W takich kryształach mogą być interesujące intruzje gazowe, a poza tym zbieram materiał porównawczy.

- A co ja mówiłem? Najmniejszego śladu romantyki, szara proza życia.

- A twoje atmosferzaki są takie znów romantyczne?

- Jak by ci to powiedzieć... One w każdym razie są bliższe poezji. Jak wam się podoba taka na przykład strofa: „Trzeba uderzyć w czynów stał, ze snu obudził się narwał”?

- Zaczęłaś pisać wiersze? - Warlen zakrztusił się koncentratem.

- Nieważny jest autor, ważne jest dzieło! Rym wprawdzie niezbyt wyszukany, ale treść!...

- Treść istotnie niezła - zgodziłem się. - A skąd to?

- Stamtąd. - Koenig machnął ręką w kierunku iluminatora. - Zapisane pod dyktando.

- Czyżby?  
- To jest właśnie pytanie! Ten wierszyk nie jest mój i w ogóle niczyj, chyba że przyjmujemy, iż to warlenowskie kamyki pobudzają się w ten sposób nawzajem do czynu. To atmosferzaki tak gadają! - Koenig z zadowoleniem popatrzył na nasze z lekką oghupiałe miny.  
- Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedział wreszcie Warlen Strogin.  
- Ja też - odrzekł Koenig. - Po prostu zreferowałem 'vam goły fakt. Czemu patrzycie na mnie jak robot na „Madonne” Rafaela? Czasami aparatura odbiera uporządkowane grupy sygnałów, wyglądające wręcz na depesze radiowe. W każdym takim wypadku po prostu dla spokoju sumienia próbuje je rozszyfrować i dziś wyszło mi właśnie to.  
- Bujasz - powiedział Warlen.  
- Mam ci pokazać zapis transmisji? - obruszył się Koenig.  
- On wcale nie kłamie - powiedziałem. - Na skrzydłach ziemskich motyli można znaleźć wszystkie litery alfabetu i wszystkie cyfry od zera do dziewiątki. Tu widocznie mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem.  
- A, w tym sensie! - powiedział z ulgą w głosie Warlen. - No, takie rzeczy znam. Granit napisowy, rzeźby erozyjne, pejzaże na szlifach kamieni dekoracyjnych... Wobec tego i atmosferzaki mogą gadać wierszami. - I wziął się za deser.

Po obiedzie włożyłem brudne naczynia do destruktora, który usunął z nich resztki pokarmu i wyszedłem na zewnątrz. Malec pobiegł za mną. Ku mojemu zdumieniu burza ucichła. Wystygłe na łód czarne niebo pełne było jaskrawych gwiazd i przypominało ich układem ziemski nieboskłon. Nic dziwnego, byliśmy przecież niedaleko swego kosmicznego domu, wciąż dreptaliśmy po tym samym splachetku Wszechświata. Z wysiłkiem opuściłem wzrok i popatrzyłem na horyzont, zamknięty łańcuchem przysgnębiających wzgórz. Dokoła było pusto i cicho, zimno planety zdawało się wdzierać pod skafander. Malec pieszczotliwie otarł mi się o nogę, w odpowiedzi poklepałem go po grzbiecie. Nikt robota nie uczył wyrażania w ten sposób sympatii. Sam na to wpadł.

Ruszyliśmy razem w stronę placu budowy, gdzie polyskiwały światełka ciężkich robotów. Wznoszona przez nie konstrukcja miała wygląd starożytnych fortyfikacji, gdyż wiele przyrządów, które zamierzaliśmy tam zainstalować, współpracowało z czujnikami umieszczonymi w okienkach i strzelnicokształtnych szczeplinach grubych murów. Roboty budowlane były zwaśnięte i pozornie nieruchawe jak bawoły, ale robiły wszystko bardzo szybko i sprawnie. Inaczej zresztą być nie mogło, gdyż zamilowanie do pracy stanowiło podstawę ich programu, jeśli można się tak wyrazić. Sprawiała im przyjemność, a nierobstwo przysgnębiało. Cecha niezwykle dla nas korzystna i niesłychanie skuteczna w działaniu... Kanciaste sylwetki robotów były otoczone błękitną aureolą, taką samą, jaką opromieniała mnie i Malca - skutek nieprawdopodobnego wręcz zageszczenia ładunków elektrostatycznych. Ocierając się o siebie w ruchu powłoki mojego skafandra strzelały miniaturowymi błyskawicami - jedyny piękny widok na tej ponurej i smutnej, odstarczającej brzydkiej planecie.

Robot-koordynator złożył mi meldunek, którego nieuważnie wysłuchałem. Kontrola była tu czystą formalnością pod warunkiem, że zadanie zostało właściwie postawione.

- My też powinniśmy wziąć się do roboty - powiedziałem. - Co ty na to?

Retoryczne pytanie! Malec efektowną świecą wystrzelił w powietrze, zatoczył ciasny łuk i wyładował przy moich nogach. Wiedział, że lubię takie popisy. Roboty budowlane są całkowicie wyprane z fantazji, ale Malec nie, chociaż ma ten sam program bazowy. Pamiętam o tym i staram się zawsze dać mu jakieś zaję-

cie, chociażby to była jedynie gra w szachy. Człowiek zawsze sam może się czymś zająć, może przecież myśleć, spekulować, marzyć, fantazjować, rozwiązywać dowolne problemy, zadawać samemu sobie najroźniejsze pytania... Malec też to potrafi, ale w znacznie węższym zakresie, a nuda jest równie dokuczliwa dla człowieka, jak i dla robota.

Zawróciliśmy do bazy. W pewnej chwili Malec zatoczył wokół mnie ognistą petle i wprawił swoje antenki w silną wibrację.

- No? - zapytałem.

- Mam pytanie. Czy futorialowość jest zjawiskiem czysto fizycznym?

- Co? Aha, mówisz o tej naszej paplaninie?

- Tak.

- Jak by ci to wytłumaczyć...

Malec rzadko zadaje pytania, a jeśli już, to na poziomie pięcioletniego dziecka. Może zresztą dlatego trudno jest na nie odpowiedzieć. Machinalnie dotknąłem kasku: chciałem podrapać się w głowę. Futorialowość! Niezły termin... Każdy z nas zamknięty jest we własnej indywidualności, bo bez tego niemożliwe jest żadne „ja”, chociaż ta niematerialna skorupa mocno czasami nas uwięrza. Każdy zamknięty jest w swej socjokulturze, ale akurat ta skorupa chyba powoli się rozpada. Każdy jest więźniem własnej planety. Już nie. Był. Ładny gips...

- Nie. Futorialowość to...

Malec słuchał jak zaczarowany. Wielkie nieba, czy ja przypadkiem nie rozmawiam z samym sobą? Przecież robot to nasz twór, to nasze odpaczekowane „ja”, żyjące własnym, często niezrozumiałym już dla nas życiem.

I tu przypomniałem sobie, że z Malcem trzeba się będzie rozstać. Zrobiło mi się przykro. Nie wiadomo po co obejrzałem się za siebie, popatrzyłem na plac budowy, gdzie roboty kończyły już zewnętrzzną kopulę, odlewając z piasku i kamieni niezniszczalny monolit osłony aparatury rejestrującej, którą mieliśmy tu zostawić, podobnie jak zrobiliśmy w czterech innych punktach planety. Ten schron jest ostatni i najobszerniejszy, bo musi pomieścić również roboty, które tu zakonserwujemy na wszelki wypadek. Może kiedyś komuś na coś się przydadzą... Zniszczyć szkoda, a wieść z powrotem nie ma sensu, bo po siedmiu latach każde urządzenie cybernetyczne jest już moralnie przestarzałe. Malec też się moralnie zestarzał i też musi tu zostać. Wie o tym, bo byłoby nieuczciwością z mojej strony, gdybym to przed nim ukrywał. Wie i cierpi, czuje to, chociaż tak zwani rozsądni ludzie utrzymują, że roboty są niezdolne do cierpienia. Moje postępowanie zakrawa na zdradę, ale co ja mogę zrobić? Gdyby Malec rzeczywiście był malutki, przeszwarcowałbym go na pokład statku w kieszeni, nie licząc się z tym, że mógłbym zostać surowo ukarany „za wykorzystywanie służbowego sprzętu do celów prywatnych”. Ale Malec waży około tony i w dodatku, prawdę mówiąc, nie ma na Ziemi nic do roboty. Wszyscy muszą się kiedyś rozstać, a my jeszcze nie zakończyliśmy pracy. Trzeba dokończyć budowę, porobić ostatnie badania i zwinąć oboz. Potrwa to co najmniej miesiąc. Mnóstwo czasu, cała wieczność!

- Ruszaj do roboty - powiedziałem odwracając głowę. Malec podskoczył i niczym błękitny meteor pomknął w ciemność. Poszedłem do domu.

W domu wszystko toczyło się normalnie: Koenig siedział przy konsolce ze słuchawkami na uszach, w przeciwnym kącie Strogin gapił się w mikroskop. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrzał. Zrzuciłem skafander i też usiadłem przy swoim stole.

Widzialność była znakomita, bez żadnych zakłóceń, ale wszystko migotało, zlewało się w rozmyte smugi. Malec pedził tam, gdzie niespieszny nairski wiecór jeszcze nie nastąpił. Dla Malca pora doby nie miała znaczenia i światło dzienne potrzebne było tylko mnie. Burze też nie stanowiły dla niego większej przeszkody. Po prostu niektóre z nich, jak ta dzisiejsza, paraliżowały łączność, przez co niepotrzebnie traciliśmy czas. Malec doskonale o tym wiedział i teraz starał się nadrobić stratę, powstała nie ze swojej winy. Z Ziemi otrzymaliśmy wiadomość, że nowy model robota zwiadowczego wyposażony jest w aparaturę łączności neutrino-wej, której niestraszne jest najgorsze piekło. Być może, ale ja jednak woląłem ułomnego pod tym względem Malca.

Wreszcie pojaśniało i Malec zwolnił tempo. Wizerunek na ekranie był nieostry i pozbawiony kontrastu niczym stare, źle wywołane zdjęcie. Metne żółtawe niebo, szarawe obłoki gór, płaskie czasze kraterów meteorytowych, zwały piasku i stopy kamieni, nad którymi przepływał Malec, wszystko było jakby rozmyte, niewyraźne, monotonne, szarożółte, ciemnoszare, brudnobraunatne, zakurzone i takie podobne do wszystkiego, co dotychczas nieraz widzieliśmy tutaj, że aż się chciało ziewać z nudów. Nic więc dziwnego, że moje oczy patrzyły na planetarny pejzaż z nie-

## Dymitr BILENKIN

urodził się w Moskwie w roku 1933. W latach pięćdziesiątych studiował geologię na Uniwersytecie im. Lomonosowa - później pracował na Syberii i w Środkowej Azji jako geochemik. Przez wiele lat był publicystą, redaktorem w czasopiśmie popularno-naukowym. Opublikował kilkanaście zbiorów opowiadań i nowel, m.in. „Marsjański Priboj” („Przybój marsjański”, 1967), „Noc Kontrabandy” („Przemyciona noc”, 1971). Wiele opowiadań Bilenkina przetłumaczono na języki obce. W Polsce ukazały się m.in. w antologii „Kroki w nieznaną” (tom 1, 2, 4, 6) i w „Literaturze Radzieckiej” (1984/2).

A. N.



pozabawioną uwagi obojętnością. Moje oczy, których przedłużeniem był Malec widziały zatem wszystko, niczego nie rejestrując, bo rejestracja zajmowała się maszyna.

Postanowiłem zerknąć na świat oczyma Malca. Ekran eksplodował barwami. Trudno było rozpoznać skały, diuny i kratery w abstrakcyjnym malowidle powstałym z mieszaniny tego, co Malec widział w ultrafiolecie, podczerwieni, w promieniach rentgenowskich i tak dalej, i tak dalej. Dziesięć wizerunków na raz, obrazów tak do siebie niepodobnych, jakby należały do różnych światów. Oszałamiająca feeria kształtów, kolorów i drgań ukrytych pod szeroburą maską...

Niestety, żaden operator dłużej niż przez chwilę nie zdołał wytrzymać naporu obcych sobie wrażeń, dlatego ich analizy musi dokonać komputer bazy. W ten sposób Malec pospółu z komputerem dostarczał nam gotowe wyniki. Wystarczyło powiedzieć co nas interesuje i co jest dla nas ważne. Właśnie, co?

Gdy tylko wzrok mi się zmęczył, odłączyłem receptory Malca i znów przed oczami zaczęły przepływać metnoszarze pejzaże, takie znajome i niestety nieatrakcyjne. Przez chwilę odpoczywałem, a potem znów podłączyłem się do Malca, na co zareagował pełnym zadowolenia popiskiwaniem. W ten sposób pracowaliśmy około trzech godzin.

- Chyba pora już spać - powiedział Koenig przeciągając się i zrzucając słuchawki.

- Zaraz, tylko dokończę jeszcze jeden szlif - mruknął Strogin, który jak zawsze nie mógł rozstać się ze swoim mikroskopem. Koenig wojowniczo nastroszył swoje blond wąsiki, ale nic nie powiedział. Ja przerwałem łączność z Malcem, który teraz samotnie będzie kończył zdjęcia kolejnego kwadratu Nairy, żeby potem dowolny badacz po wykonaniu powtórnych zdjęć mógł natychmiast ustalić, co się na jej powierzchni zmieniło pod nieobecność ludzi.

A zresztą żadne powtórne zdjęcia nie będą potrzebne, bo co pół roku będzie je wykonywał sam Malec. Zostawiamy na tej planecie sprzęt już moralnie przestarzały, ale jednak zdolny do długiej pracy. Malec będzie zatem pracował. Wciąż od nowa będzie oblatywał pustynną Nairę, będzie w samotności krążył nad jej skalami i dolinami - rok po roku, aż się zepsuje.

Kiedy Warlen wreszcie skończył prace, zasiedliśmy do kolacji i poszliśmy spać.

Jako ostatni gaszę nocną lampkę. Miarowo oddycha Warlen. Nie widział od dwóch lat żony, ale śpi spokojnie. W ciemności, myśląc o jakichś swoich sprawach, z boku na bok przewraca się Koenig. Niechący dotykał ręką ściany i wyczuwał wibracje. Na zewnątrz znów szaleje wiatr. Jak tam musi być zimno, obco i pusto. Na całe miliardy kilometrów dokoła ani żywej duszy, tylko wiatr, kamienie i gwiazdy. Kamień, wiatr i gwiazdy na wieki wieków. Kamień, wiatr i gwiazdy...

Nie, tam jest jeszcze Malec. Jest i będzie do końca swoich dni. Statek przyleci za trzydzieści siedem ziemskich dni. Odlecimy nim i już tu nie wrócimy. Zostanie gwiazda, samotna gwiazda z wiatru, piasku i kamieni. Wszystko przemija. Ludzie. Malec. Roboty kopia, roboty budują, ludzie przychodzą i odchodzą tak samo, jak ja niebawem stąd odejdę. No cóż, „nikt mnie nie kocha, pójdę jeść robaki”, jak powiedział pewien wędkarz... Przez sen słyszę wycie wiatru. Trzydzieści siedem dni czekania, trzydzieści siedem smutnych dni...

○ zakończeniu budowy roboty zameldowały mi z samego rana, kiedy jeszcze siedzieliśmy przy śniadaniu. Później Koenig zaczął się golić, a Strogin wybrzydział na pogodę, przeklinał zawieruchę za oknami, przez którą ledwie przebił się metny świt. Psa by w taką pogodę nie wypędził, jak powiadali nasi przodkowie, ale ja wyjść musiałem, żeby odebrać obiekt, bo to należało do moich obowiązków.

Burza pedziła tumany kurzu, pedziła strugi piasku i gdyby to był uczciwy ziemski wiatr, z pewnością nie utrzymałbym się na nogach. Na szczęście był to rzadki nairski wiatr, a ja miałem na sobie ciężki skafander, więc poruszałem się bez większego trudu. Słońca nie było, nie było właściwie nawet światła ani ciemności, tylko jakiś dziwnie rozbielony mrok. Doszedłem do obiektu. Kopuła była, ale robotów wokół niej nie było. Widocznie ukryły się we wnętrzu. Ostro piasek z szelestem siekl maszynowe ściany i spływał po rynienkach fundamentu. Wdrapałem się po drabinie na szczyt kopuły, otworzyłem wąż i zeskoczyłem do środka. Wewnątrz obiektu również wszystko było w pełnym porządku z wyjątkiem jednego: robotów też tam nie było.

Kompletnie zaskoczony zacząłem szperać po pustych kątach, jakby roboty mogły ukryć się w tym wylizanym wnętrzu, potem z irytacją wywołałem je przez radio. W odpowiedzi usłyszałem jedynie przeraźliwy pisk atmosferyczaków.

Wyskoczyłem na zewnątrz i znów rzuciłem wezwanie w pustą przestrzeń. Rozwibrowany tuman ukrywał wszystko, co znajdowało się dalej niż dziesięć kroków ode mnie. Na wezwanie nikt

nie odpowiadał. Jeszcze raz rozejrzałem się dokoła i dostrzegłem na poły zaspany łanusczyk śladów. Ślady robotów. Trop prowadził na północ.

Nie minęło pięć minut, gdy gnaliśmy już co koń wyskoczył łąkiem, którego dopędzał wezwany z daleka Malec. Pojazd zarzucało na zakrętach, w strzepach brudnożółtej mgły migały szczerbate boki skal i strumienie piasku. Podskakiwałem na siedzeniu i uporczywie wywoływałem roboty z tym dziwnym uczuciem nieoczekiwanej pustki, jakie czasami ogarnia człowieka we śnie.

- Może te twoje roboty zwariowały? - zapytał Koenig.

Nie odpowiedziałem, bo wydawało mi się, że to ja postradałem rozum albo że oszalał cały ten otaczający nas mglistopaskowy chaos.

- Nie przejmuj się, daleko nie mogły odejść - uspokoił go od kierownicy Warlen. - Znajdziemy je bez trudu, przecież to nie igła.

- Jeśli się nie ukryją - mruknął Koenig, rozglądając się nerwowo na boki.

- Po co miałyby się ukrywać?

- A dlaczego uciekły?

- Właśnie, dlaczego... Dla robotów pytanie „po co?” nie istnieje.

- Mylisz się, Warlenie. - Nie poznałem własnego głosu. - Jest dokładnie na odwrót. One nie wiedzą dlaczego tu są, dlaczego powstały, dlaczego budują kopuły. Wiedzą za to, po co to wszystko się stało: żeby pracować.

- Do diabła z filozofią! - wzdrygnął się Koenig. - Obawiam się, że bez Malca nie znajdziemy własnego ucha.

Miał rację. Radar był niemal ślepy wśród szalejących dokoła wyładowań atmosferycznych. Skoncentrowałem się i wywołałem w myśli Malca. Wydało mi się, że usłyszałem dobiegającą z daleka odpowiedź: „Jesień, pedze!”

- Są! - wykrzyknął Strogin. Na znajdującym się przed nim ekranie migotały błękitnawe punkciki. Pociągnął na siebie wolant i łaźnik przeskoczył przez blok skalny.

Wiatr albo osłabł, albo po prostu w kotlinie było nieco zaciszniej, w każdym razie gołym okiem dostrzegliśmy kilka ciemnych sylwetek. Roboty na nic nie zważając szły uparcie prosto przed siebie.

Warlen zataczał nad nimi zweżającą się spiralę, ja wykrzykiwałem kolejne, coraz groźniejsze rozkazy, a ciężkie bryły półmartej metalu jak gdyby nigdy nic parły przed siebie. - Twoja kolej! - wykrzyknął Strogin.

Opuścił łaźnik nad samą ziemię, a ja zeskoczyłem i pobiegnę w kierunku robotów. Stałem przed nimi i rozkrzyżowałem ręce. Nie mogły podeptać człowieka, zrobić mu krzywdę. Przynajmniej w teorii, a wiedziałem już, że teoria przestała się sprawdzać. Wiedziałem, ale zapomniałem, a kiedy sobie przypomniałem, roboty były już tak blisko, że na ucieczkę było za późno. Jednak nic się nie stało. Nie zwalniając kroku wszystkie trzy maszyny wyminęły mnie po prostu jakbym był kamieniem albo słupem stojącym na drodze. Krzycząc coś bez związku znowu je wyprzedziłem z takim samym rezultatem. Roboty ignorowały człowieka i to było dla mnie tak poniżające, że omal nie rzuciłem się na nie z pięściami. Opanowałem się jednak, zaczekałem na łaźnik i bez słowa wgramoliłem się na siedzenie.

- Trzeba je zatrzymać! - krzyknął rozwścieczony Warlen. - Siłą!

Sam byłem gotów chwycić za broń, tyle że nie mieliśmy żadnej broni... To tylko w powieściach fantastycznych pionierzy chodzą poobwieszani różnymi blasterami. Warlen jednak znalazł rozwiązanie. Przyspieszył, zatoczył ostry łuk i już miał od czoła staranować idącego przodem robota, gdy Koenig szarpnął wolant i szczęśliwie przelecieliśmy górą. Łażnik zatrzęsł się, zachybotał i to nas otrzeźwiło. Koenig nie wypuszczał kierownicy z rąk, bo Warlen opadł bez sił na siedzenie i dygotał jak w gorączce. Kiedy zrównoważony człowiek traci opanowanie, to nieprędko powraca do równowagi...

- Przesiądź się - powiedział cicho Koenig.

Warlen posłuchał.

Kierowany przez Koeniga łaźnik zawrócił, przeciął drogę robotom, zatoczył wydłużoną elipsę i znów znalazł się przed nimi. Zbuntowane maszyny spróbowały wyminąć nas z boku, ale wówczas Koenig zmienił kierunek i zaczął krążyć wokół nich z wielką szybkością.

- Na razie tak - powiedział ochryplym głosem. - Ale co dalej?

- Spróbuje je wyłączyć - odparłem z wysiłkiem.

- A one cię nie...

- Nie wiem!

- Wobec tego wymyśl coś mądrzejszego.

Wzruszyłem ramionami. Łażnik nadal krążył wokół robotów. - Przepuście nas - rozległo się nagle w słuchawkach. - Zakłócenie programu.





A. Sokół

- Jakiego programu?! - ryknąłem. - Jak śmieliście uciec?! Co się wam stało?! Odpowiadajcie, ale już!..

Na dźwięk ich głosu tak się ucieszyłem, że zapomniałem z kim mam do czynienia. Głos robotów budowlanych, ich pozornie rozumne zachowanie to nic innego, jak wynik działania standardowych programów. Taka maszyna ma rozumu nie więcej niż ubiegłowieczny komputer i dlatego nie jest w stanie zanalizować serii niestandardowych pytań. Odpowiedziało mi więc tylko milczenie.

- Jaki program obecnie wykonujecie? - poprawiłem się.

- Działamy.

- Cel działania?

- Bazowy. Pracować jest dobrze, nie pracować - źle.

Oniemiałem. Ładny gips! Czyżby nasz własny program, przez nas samych zaszczerpiona robotom pracowitość miałaby się teraz obrócić przeciwko nam?

- Pracować, to znaczy budować. Tak, czy nie?

- Tak.

- A wy uciekacie. Logika?

- Uciekamy, żeby pracować. Realizacja programu, logika zachowania.

Tak, logika elementarna została zachowana, ale co stało się z motywacją? Czyżbym zapomniał skasować program i roboty spieszą na dawne miejsce pracy, żeby...

- Miejsce budowy?

- Zostanie wskazane.

- Przez kogo?

- Przez nich.

- To znaczy przez kogo konkretnie?

- Nie wiemy. Wiemy: działać. Wiemy: budować. Wiemy: trzeba. Dobra planeta. Ludzie odchodzą, roboty zostają. Długa działalność. Zgodnie z celem.

Potrząsnąłem głową. Taką informację trzeba porządnie przetrwać! Koenig zatrzymał łazik. Roboty nie ruszyły się z miejsca. Warlen gapił się na nie wytrzeszczonymi oczami, jego świszczący oddech rozlegał się w słuchawkach.

- Budować! - zakomenderowałem. - Według dotychczasowego programu. Tutaj!

Manipulatory robotów posłusznie wgrzyły się w grunt i natychmiast zaczęły topić kamienie. Westchnąłem z ulgą.

- Zaprzestać pracy! Dlaczego poprzednio nie wykonywaliście moich rozkazów?

- Sprzeczność z programem bazowym.

- Na czym polega sprzeczność?

- Konserwacja to bezczynność, bezczynność jest zła.

- Kto wam powiedział o konserwacji?

- Oni.

- Jacy oni?

- Oni.

- Kto kazał wam uciec?

- Program bazowy.

- Skreślam. Rozkazuje: natychmiast do domu!

Roboty nawet nie drgnęły.

- Dlaczego nie wykonujecie polecenia?

- Sprzeczne z programem bazowym. Konserwacja jest zła, praca jest dobra.

Wyraźne uszkodzenie obwodów wejściowych. Przeklęta planeta. Jakżeś silniejsze wylądowanie przebiło ekran ochronny i stąd te wszystkie kłopoty. Ale w jaki sposób te głupie maszyny dowiedziały się o naszych planach, dlaczego ta informacja tak na nie podziałała? I co u diabła teraz robić?

- Budować!

Znow usłuchały. Tak zresztą powinno być, skoro wbiły sobie do żelaznych łbów jedno tylko pragnienie, jeden jedyny cel... Zresztą to myśmy sami im to wbił. Wygramoliłem się z łazika i podszedłem bliżej, zastanawiając się, jak by tu najlepiej wyłączyć robota-koordynatora. To wcale nie było łatwe, gdyż wyłącznik znajdował się głęboko pod pancierzem, żeby uchronić go przed przypadkowym uruchomieniem przez czynniki zewnętrzne. Jeśli działalność budowlana nie pochłonięta całkowicie ich uwagi, to... Uchylając się przed odłatkami lecącymi spod manipulatorów uniosłem pulsator, żeby odblokować zamek pancерnej skrytki...

- Niebezpieczne! On nie pozwoli! Nie trzeba!

Coś zważyło się na ziemię między mną a robotem. Malec! Rozczapierzywszy tarcze grawitacyjne, niczym kwoka osłonił mnie swoim ciałem.

- Wy tłumacz, wszystko wytłumacz, tylko wysłuchajcie mnie spokojnie!

Odkoczyłem jak oparzony, pulsator wypadł mi z rąk. Z tyłu nadbiegł Warlen i Koenig.

- Czego mamy wysłuchać?...



- Oni są. Inne roboty. Te idą do nich. Nie przeszkadzajcie, wszystko będzie dobrze!

Kiedy w głowie wybucha bomba, najlepiej zamknąć oczy i spokojnie policzyć w duchu do dziesięciu. Tak właśnie zrobiłem. „Trzeba uderzyć w czynów stał...”. To takie było źródło uporządkowanych sygnałów!

- Mów - powiedziałem. - Mów, Malutki.

Zaczął mówić głosem głęboko poruszonego człowieka i dopiero po paru sekundach znów stał się znanym mi, beznamietnym robotem-zwiadowcą.

- Tu, na tej planecie, mieszkają inne roboty, same, bez ludzi! Nie wiedzą, skąd się wzięły, zachowały tylko niejasną pamięć o tych, którzy mają tu powrócić. Żyją oczekiwaniem i dlatego tylko przedłużają swój ród. Chciały, żebyśmy się do nich przyłączyli, kiedy nas opuścicie. Gotowi są nas nauczyć, jak przedłużać swe trwanie w potomkach, żeby miał was tu kto powitać, kiedy wrócicie. Tak będzie dobrze dla wszystkich. Dla nas, bo będziemy nieustannie działać. Dla was, bo zastaniemy nas zawsze, w większej liczbie i w stałej gotowości do pracy. Dla nich, bo razem będziemy silniejsi. Mieliśmy się do nich dołączyć dopiero wtedy, kiedy nas opuścicie, ale roboty budowlane przestraszyły się konserwacji i zaraz potem, kiedy stały się niepotrzebne, wyruszyły w drogę. To moja wina, bo źle im wszystko wytłumaczyłem. Wybaczcie.

Znów wolno zamknąłem oczy. Co dzieje się z porzuconymi psami i kotami? Zwierzaki giną albo przyłączają się do dzikich... Ci nieznani Kosmici też nie bardzo wiedzieli, co dzieje się z porzuconymi robotami, ale tak samo jak my musieli liczyć się z prawami postępu technicznego. Zostawili swoje roboty tak samo, jak my to zamierzaliśmy uczynić, tyle że ich twory miały chyba zdolność do samoreprodukcji.

A może cała rzecz wyglądała inaczej. Może ten nieznany rozum doskonale wiedział, co dzieje się z porzuconymi robotami i umyślnie wykorzystał te wiedzę w jakichś swoich celach? Albo może gospodarze zamierzali wrócić, ale nie zdołali lub na czas nie zdążyli? W każdym razie w ten sposób rodzą się niehumanoidalne cywilizacje.

Popatrzyłem na Malca.

- I ty ani razu nie pokazałeś mi tych robotów!

- Nie. Rejestrowałem je, ale nie wiedziałem, że te roboty ludzi interesują. Nie było żadnego pytania na ich temat.

Ślusznie. Gdzie nie ma pytania, tam nie może być odpowiedzi. Rzecz jasna, nie mogło nam przyjść do głowy, że tutaj może istnieć jakaś cywilizacja, a Małec przypomina posłusznego psa, który na rozkaz człowieka wykopie każdą kość spod ziemi, ale obojętnie przejdzie obok największego nawet brylantu. Zresztą człowiek dla odmiany nie interesuje się kośćmi z psich zapasów. Czy jednak Małec był ze mną do końca szczery? Niestety, to już pytanie z całkiem innej parafii: czy człowiek może stworzyć coś, czego nie zdoła pojąć?

Długo patrzyliśmy na siebie i nagle wydało mi się, że Małec byłby gotów rozplakać się, gdyby tylko mógł.

- Malutki - zapytałem cicho - byłoby ci tu bardzo źle bez nas?

- Bardzo.

- Chciałeś więc uniknąć samotności... Nie odpowiadaj! Na twoim miejscu postąpiłbym pewnie tak samo.

- Co ty bredzisz? - warknął Stogin. - Ewidentne niepostuszeństwo, bunt, a ty...

- Cicho, cicho... - Koenig wziął go za rękę. - Chcieliśmy ich porzucić, więc... Gdyby nas ktoś tak zostawił!... Popatrz!

Mimo woli i ja uniósłem głowę. Nad nami, nad robotami rozpostierało się niewyobrażalnie obce niebo, wszystko dokoła zaścierało gesty, brudny cafun. Coś ty narobił, Malutki, coś ty narobił! Teraz upłyną całe lata zanim stąd odejdziemy, zanim dowiemy się wszystkiego o tamtych innych robotach. To będą zachwycające lata wspaniałych odkryć, przysługujące lata mroku, piasku i wiatru. Nikt ich nam nie oszczędzi, ale też nikomu nie pozwolimy, żeby nam odebrał. I wkrótce przybędzie tu wielu, bardzo wielu ludzi.

- Malutki - powiedziałem. - Teraz tu zostaniemy. Razem z tobą. Roboty mają błyskawiczny refleks. Małec wyprysnął w powietrze i zatoczył kilka karkołomnych pętli. Opadł i znów zaczął szaleć w powietrzu. W przyłbice mojego kasku stukały grube ziarenka piasku. Odwróciłem się i poszedłem do azika.

Przełożył: Anita Tyszkowska

CSRS

# Żona z kwestio nariusza

Zdeněk Volný

Komisja do Spraw Reprodukcyj Populacji  
FV - Stół Miasta Pragi  
Narodni tržida 36  
111 99 Praha 1

21 września 2279

Podanie

Szanowna Komisjo!

Proszę o zreprodukowanie mojej małżonki, dr. Miłosławy Czerwenkowej, z domu Król, która zginęła podczas awarii turystycznego robotu w dniu 28 czerwca ubiegłego roku. Swoją prośbę motywuję tym, że w wyżej wymienionym przypadku chodziło o awarię zupełnie nie planowaną, a jej fatalne skutki nie były przewidziane przez Centralny Mózg. Wszyscy podróżni łącznie z niżej podpisanym byli zreprodukowani według dostępnych mocy produkcyjnych zaraz w następnych tygodniach, co sprawdziłem przy pertraktacjach z pracownikiem Ubezpieczalni Państwowej, Dr. praw Józefem Skoumalem, który również wypłacił mi odszkodowanie, odpowiadające wysokości mojej polisy ubezpieczeniowej. Moja małżonka wszakże odszkodowania nie otrzymała, ponieważ dotąd nie mogła podpisać protokołu o okolicznościach wydarzenia podlegającego ubezpieczeniu.

Ze wszystkich powyższych względów proszę o powrót do stanu sprzed 28 czerwca ubiegłego roku. Wierzę w pozytywne załatwienie sprawy.

Zalącam pozdrowienia  
Franciszek Czerwenka  
Melonowa 12 287  
149 00 Praha 4

Franciszek Czerwenka  
Melonowa 12 287  
Praha 4

12 grudnia 2279  
l.d. 113.667

Szanowny Panie!

Z żalem informujemy, że Komisja do Spraw Reprodukcyj Populacji przy FV - Stół Miasta Pragi ustosunkowała się negatywnie wobec Waszej prośby z dnia 21 września br., ponieważ nie była ona opatrzona odpowiednim znacznikiem skarbowym. Przeciwnie tej decyzji może się Pan odwołać w terminie do 14 dni, po tym okresie nabiera ona mocy prawnej.

Jednocześnie zwracamy pana uwagę na fakt, że nieustannie mnożą się nieuzasadnione żądania o odmładzanie partnerów, których to żądań ze względów roboczych i moralnych nie można zrealizować. Cena jednego procesu odmładzającego jest zazwyczaj ustalana przez Komisję w wysokości 140.000 koron czeskich.

Zalącam pozdrowienia

Rudolf Inteligentny  
Generacja Minimikro

UWAGA! W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika. Stary papier oddawajcie do Składowicy Makulatury.

Komisja do Spraw Reprodukcyj Populacji  
Narodni tržida 36  
111 99 Praha 1

Szanowna Komisjo!

Odwoluję się przeciw decyzji z dnia 12 grudnia br., doręczonej mi pod l.d. 113.667. Ze względów, które przytoczyłem w swym podaniu z dnia 21 września br., ponownie proszę o zreprodukowanie mojej małżonki Dr. Med. Miłosławy Czerwenkowej z domu Król, która spłonęła podczas awarii lotniczej. Zalącam odpowiedni znaczek opłaty skarbowej.

Łączę pozdrowienia

Franciszek Czerwenka  
Melonowa

Franciszek Czerwenka  
Melonowa

Szanowny Panie!

Pańska prośba z dnia 12 grudnia br. była przez Komisję do Spraw Reprodukcyj Populacji rozpatrzona z wynikiem negatywnym. A to dlatego, że sprzeciwia się ona, jak to Panu jako



obywatelowi winno być wiadome, kodeksowi moralnemu współczesnego człowieka – ponieważ zamiast prawidłowego i uprawnionego terminu „dezintegracja struktur” używa Pan gorszących wulgaryzmów jak „zginać” i „spłonać”. Przeciwno tej decyzji może się Pan odwołać w terminie do 14 dni, po tym okresie nabierze ona mocy prawnej.

Łączę pozdrowienia

Rudolf Inteligentny  
Generacja Minimikro

**UWAGA!** W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika.

Stary papier oddawajcie do Składnicy Makulatury.

### Komisja do Spraw Reprodukcyj Populacji Narodni 36

Szanowna Komisjo!

Odwoluję się przeciw decyzji doreczonej mi pod l.d. 113.667. Dezintegracja struktur mojej małżonki nastąpiła nieplanowo i nieumyślnie, więc stanowczo żądam jej zreprodukowania.

Łączę pozdrowienia

Franciszek Czerwenka  
Melonowa

### Franciszek Czerwenka Melonowa

Szanowny Panie!

Wasze podanie było rozpatrzone przez Komisję do Spraw Reprodukcyj Populacji przy FV – Stoł. Miasta Pragi z wynikiem pozytywnym. Gratulujemy Panu!

Ale przy wnikliwej kontroli stwierdzono, że Pan sam został zreprodukowany bezprawnie w świetle zarządzenia VNO-334 091/2254, które określa, że osoby urodzone przed 1 stycznia 2200 roku nie mają prawa do zreprodukowania, z wyjątkiem przypadków szczególnych, o których musi orzekać Sąd Okręgowy.

Jeśli się Pan nie zwróci do swojego Sądu Okręgowego, proszę być przygotowanym na przyście Komisji Dezintegracyjnej, która z powodu nawału pracy dotrze do pana dopiero w dniu 11 maja br. w godzinach między 8.00 a 12.00. Powyższe pismo zgodnie z Kodeksem Pracy może Panu służyć jako uświadomienie nieobecności służbowej.

Łączę pozdrowienia

Rudolf Inteligentny  
Generacja Minimikro

**UWAGA!** W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika. Stary papier oddawajcie do Składnicy Makulatury.

### Komisja do Spraw Reprodukcyj Populacji Narodni 36

Szanowna Komisjo!

W załączeniu przesyłam kopie swojego pisma, z którym zwracam się do Sądu Okręgowego w sprawie mojej dezintegracji

Łączę pozdrowienia

Franciszek Czerwenka  
Melonowa

Załącznik. 1

### Franciszek Czerwenka Melonowa

L.d. 113.667

Szanowny Panie!

Przyjmujemy do wiadomości Pańskie pismo z dnia 3 maja br. Przyście Komisji Dezintegracyjnej zostaje odłożone aż do wydania decyzji przez Sąd Okręgowy.

W załączeniu przesyłamy Panu kwestionariusz, który należy starannie wypełnić we wszystkich czterech egzemplarzach i odesłać z powrotem najpóźniej do końca br. Jeśli Pan tego nie uczyni, udaremnimy to pomysłną reprodukcję Pańskiej małżonki.

Łączę pozdrowienia

Rudolf Inteligentny  
Generacja Minimikro

Liczba załączników: 4

**UWAGA!** W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika. Stary papier oddawajcie do Składnicy Makulatury.

### Zdeněk VOLNÝ

urodził się w Pradze w roku 1946 Ukończył studia przyrodnicze i dziennikarstwo na Uniwersytecie Karla w Pradze Jest redaktorem czasopisma „Světová literatura” Jako autor SF debiutował nowelą „Den neposkvrněného srdce” (Čs. spisovatel, Praga 1990) Przetłumaczył twórcy R. Bradbury’ego A. Čárka’a

### Komisja do Spraw Reprodukcyj Populacji Narodni trzida 36

Szanowna Komisjo!

Po długim namyśle doszedłem do wniosku, że sformułowania niektórych rubryk kwestionariusza nie dają mi możliwości prawidłowego wypełnienia tegoż. Dotyczy to na przykład rubryki 12 „Zaznajamianie”, która uwzględnia tylko okoliczności:

a) zgodnie z planem Programu Kompleksowego Rozwoju Sił Roboczych do r. 2500,

b) według instrukcji wyboru

alfa) Centrum Komputerowe 2075

beta) Centrum Komputerowe 2085

kodowanie odpowiedzi nie (0) – tak (1).

W związku z powyższym chciałbym nadmienić, że jeszcze na początku stulecia ludzie zaznajamiali się mniej lub więcej przypadkowo – mimo że to dziś brzmi niewiarygodnie – aczkolwiek powodowało to szereg problemów socjalnych.

Na przykład znaczna część kobiet z wyższym wykształceniem przy spontanicznym wyborze nie znajdowała odpowiedniego partnera i nie wychodziła za mąż, co przynosiło społeczeństwu znaczne, zwłaszcza genetyczne straty.

Ale wracając do rzeczy: swoją żonę poznałem właśnie w ten archaiczny sposób. Jako początkująca lekarka pracowała w I Klinice Chirurgicznej w Ostrawie, gdzie zostałem przewieziony na skutek wypadku podczas meczu piłkarskiego Górnik-Sparta. Było to około pięciu lat przed tym, zanim tak zwana Pierwsza Liga Piłki Nożnej została rozwiązana wskutek braku zainteresowania kibiców. Ale to już bolało mnie znacznie mniej, niż wtedy kostka u nogi.

Rozumiecie przecież, że z gwoździem w nodze człowiek już nigdy nie będzie nadzwyczajnym napastnikiem, chociaż mi później przyszła małżonka ten gwoździe wyjęła.

Ponieważ rubryk jest w kwestionariuszu kilka, a dla mnie, który przeżyłem 50 lat w szczęśliwym małżeństwie – jest to problem zasadniczy, załączam kilka uwag do zakreślonych rubryk (12, 13, 15, 18, 19, 22-25).

Łączę pozdrowienia

Franciszek Czerwenka  
Melonowa

### Franciszek Czerwenka Meonowa

L.d. 113.667

Szanowny Panie!

Komisji nie interesują detale Pańskiego prywatnego życia. Abyśmy wiernie i doskonale zreprodukowali Pańską żonę, potrzebujemy relewantnych informacji. Zwracamy kwestionariusz, aby pan go wypełnił w punktach samowolnie opuszczonych.

Łączę pozdrowienia

Rudolf Inteligentny  
Generacja Minimikro

Liczba załączników: 4.

**UWAGA!** W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika. Stary papier oddawajcie do Składnicy Makulatury.

### Komisja do Spraw Reprodukcyj Populacji Narodni 36

Jestecie bandą ignorantów i oszustów i sam się sobie dziwię, że pozwoliłem się wodzić za nos tak długo – prawie cztery lata. Nie usprawiedliwia mnie nawet starcza demencja. Żądamy poprawy – natychmiastowej, jeśli nie chcecie wyjść na czoło plebiscytu: Bubel roku 2283.

Franciszek Czerwenka

### Komisja do Spraw Reprodukcyj Populacji Narodni trz. 36

111 99 Praha 1

FV – Stoł. Miasta Pragi

Szanowna Komisjo!

Zwracam Wam pismo adresowane do mego małżonka Franciszka Czerwenki, u którego, niestety, dnia 11 listopada br. nastąpiła naturalna dezintegracja struktur.

Czuje się jak nowo narodzona. Chętnie bym Was poprosił o łaskawą informację, gdzie bym mogła zdobyć kwestionariusz zaznajamiania się. Czy Wasza Komisja go przysyła? Interesowała bym mnie znajomość według wybranej instrukcji beta (Centrum Komputerowe 2085).

Łączę serdeczne pozdrowienia

dr Miłoslawa Czerwenkova-Król  
Melonowa 12 287  
149 00 Praha 4

Przełożyła Hanna Kostyrko





Korga

## WĘGRY Skurcz Czasu

Péter Szentmihályi Szabó

T rzeciego października 1981 roku dr George Hyde, asystent Katedry Fizyki na Uniwersytecie w Norwich, krepy, rzeczby można – otyły, brodaty młody człowiek w okularach wezwał taksówkę i zapakował do wyświechtanej walizki akcesoria, niezbędne do eksperymentu, który miał przeprowadzić przed naukowcami z Royal Society.

W taksówce raz jeszcze przejrzał swoje notatki, robione na niedużych fiszkach i przetasował je jak karty. Nazwisko George'a Hyde'a nie było znane nawet w największym kręgu specjalistów i właśnie dlatego naukowcy z Royal Society ze zdziwieniem i podejrzliwością czytali zaproszenie:

DR GEORGE HYDE

*zaprasza Pana na odczyt o strukturze czasoprzestrzeni i o pewnych niestabilnych formacjach czasowych. Po odczycie nastąpi publiczna demonstracja eksperymentu fizycznego.*

Hyde był przygotowany na najgorsze, ale pustka, jaką zastał w sali wykładowej Royal Society, przeszła jego najczarniejsze przewidywania. Większość publiczności tworzyło kilku jego przyjaciół i znajomych, którzy sami byli początkującymi naukowcami. Było też paru znudzonych dziennikarzy, reprezentujących przyrodniczo-naukowe działy gazet. Z racji swej funkcji musieli podać informację o każdym otwartym odczycie w Royal Society. Hyde rozejrzał się, przetarł okulary i zaczął mówić pełnym przejęcia głosem. W trakcie wywodu bawił się fiszkami, gniótł je i tasował, w końcu upuścił cały ich plik na podłogę. Dziennikarze dyskretnie się uśmiechali.

– Panie i panowie! Jest nas na tej sali tak niewiele, że nieskromnością byłoby z mojej strony nadużywanie... prawda... Waszego czasu. Dlatego też pragnę jedynie przedstawić w skrócie istotę moich badań. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że w ostatnich dziesięcioleciach zwolennicy teorii „rozszerzającego się wszechświata” silnie podważali swymi argumentami teorię wszechświata „w stanie spoczynku”. Tu są moje obliczenia... – Hyde nerwowo grzebał w różnobarwnych świstkach, które znowu się rozsypały. – Zresztą teraz nie jest to istotne. Na podstawie obliczeń stwierdziłem, że jeśli struktura wszechświata ma charakter homogeniczny, to wskutek jednorodności czasoprzestrzeni rozszerzania się kosmosu idzie w parze z kurczeniem się czasu. Długo zmagalem się z tą teorią, długo sam ją uważałem za fantasmagorie, aż w 1976 roku zacząłem rozmyślać nad stwierdzeniem amerykańskiego fizyka Roberta Ehrlicha, według którego czas nie jest ciągły. Ehrlich sądzi, że powinien istnieć „kronon”, najkrótszy odcinek czasu występujący w przyrodzie, który byłby najmniejszą jednostką czasu i wynosiłby bilionową część dwóch bilionowych sekundy. Gdybyśmy chcieli to wyrazić za pomocą cyfr, to

między przecinkiem a dwójką musielibyśmy napisać dwadzieścia trzy zera... Z teorii Ehrlicha wynika – choć on sam odnosił ją jedynie do cząstek elementarnych – że czas nie jest ciągły, lecz ma charakter kwantowy. A więc czas jest, że tak powiem, „ziarnisty”. Z tego, na mocy praw fizyki, wynika też, że kwanty czasu mogą być przyspieszane lub spowalniane, może też wystąpić brak ciągłości, a więc „czas może staniać”. Możliwe, że na przestrzeni dziejów ludzkości były takie „martwe czasy”. Oznacza to również, iż kwantowy czas nie gwarantuje nieodwracalności procesów przyczynowych: następstwo przyczyny i skutku może zostać odwrócone. W warunkach laboratoryjnych udało mi się stworzyć cząstki o długości krononu. Cząstkami tymi długo bombardowałem fragment przestrzeni, a mianowicie płytkę aluminium. W ten sposób za pomocą wyimaginowanego ciała, którego jedną płaszczyznę stanowiła ta płytka aluminiowa, mogę dowolnie demonstrować odwracalność czasu, tj. odwracalność procesów przyczynowych.

Sluchacze z uwagą obserwowali Hyde'a, który z walizki wyjął błyszczącą płytkę metalu i położył ją na stole. Następnie wyciągnął kilka szklanek i jajek. Publiczność zaczęła chichotać i nawet obłany potem Hyde także się uśmiechnął.

– Wiem, że zabawne jest pokazywanie takiego eksperymentu w Royal Society, ale moim celem jest przekonanie sceptyków o słuszności prezentowanej teorii przez użycie materiałów organicznych i nieorganicznych. W tej aluminiowej brytfannie rozbijam teraz szklankę. Widać? W porządku. Teraz stawiam brytfannę na aluminiowej płytce. Jak widać, szklanka w tym momencie pojawia się przed nami w swej pierwotnej postaci. Teraz ten sam eksperyment wykonuję z użyciem jajka. Proszę!

Zebrani wstali wyciągając szyję i w tej pozycji wpatrywali się w rozbite jajko, które ponad aluminiową płytką z powrotem zrastało się w całość, a po zabraniu stamtąd – ponownie się rozpadało. Hyde poprosił kilku widzów, by sami wykonali parę eksperymentów z jajkami i szklankami. Najwyraźniej widowni bardzo spodobał się pokaz, bo rozległy się brawa i wszyscy się ożywili. Ze śmiechem na ustach, kręcąc głowami widzowie oświadczyli, że dawno już nie widzieli tak zręcznego iluzjonisty.

Po odczycie padły jedynie dwa pytania, oba zadał pewien starszy człowiek. Dopiero później Hyde dowiedział się, że był to profesor Finlay, jeden z największych autorytetów amerykańskiej fizyki molekularnej.

– Jak duży wycinek przestrzeni może pan bombardować „krononami” i czy uważa pan za możliwe odwrócenie procesu przyczynowego również w żywych strukturach?

– Najwyżej wycinek o powierzchni stopy kwadratowej, ale sądzę, że z takich płytek można by złożyć znacznie większą płaszczyznę. Jajko jest żywą strukturą, a właściwie prawie żywą, właśnie dlatego je wybrałem. Oczywiście gdybyśmy umieścili na takiej płycie martwe zwierzę, to nie „odzyskaloby” życia w dosłownym tego rozumieniu, można mówić jedynie o potencjalnym odwróceniu.

– W jakiej fazie tego „kruszącego się czasu” znajduje się, pana zdaniem, obecnie nasz wszechświat?

Hyde podrapał się w głowę.

– To jest raczej pytanie natury filozoficznej... Naturalnie musi nastąpić punkt, w którym rozpadnie się dotychczasowa równowaga procesów przyczynowych, by odpowiedzieć słowami Hamleta: „Czas wypadnie z zawiasów”... Życie ludzi i sama historia zacznie się coraz szybciej obracać wstecz... Lecz możliwe to będzie dopiero po długim okresie statycznego czasu, który faktycznie stanie w miejscu... właśnie w tym przejściowym stanie równowagi...

Nie było więcej pytań, kilka osób podeszło do George'a Hyde'a, żeby mu pogratulować, lecz większość rozeszła się krącąc głowami i śmiejąc się. Obecny na sali sekretarz Royal Society nie poprosił młodego fizyka o przygotowanie na piśmie tekstu odczytu, by można było go opublikować w roczniku.

George Hyde wrócił do Norwich w złym humorze. Barbara czekała na niego z oświecącą kolacją, lecz z miny meża wynioskowała, że na razie nie ma powodów do fetowania.

Następnego dnia „Observer”, jako jedyne z porannych pism, poświęcił wykładowi dr. George'a Hyde'a kilka linijek w rubryce naukowej: „Młody wykładowca Uniwersytetu w Norwich, dr George Hyde wygłosił przed niewielką grupą słuchaczy odczyt. Ciekawą teorię czasu próbował zobrazować kilkoma niezbyt przekonującymi, lecz zabawnymi sztuczkami, w których główną rolę grały jajka i szklanki. Zdaniem dr. Hyde'a w czasoprzestrzennej strukturze wszechświata rozszerzanie się przestrzeni może iść w parze z kurczeniem się czasu i odwróceniem procesów przyczynowych. Jak się wydaje, dr Hyde wpadł w dawną pułapkę: co było najpierw – kura czy jajko? Jednakże jest prawdopodobne, że nie on da ostateczną odpowiedź”.

George Hyde rzucił gazetę i poczerwieniał ze złości. W katedrze będą z niego kpić, a studenci będą chichotać za jego plecami – Nie złość się, kochanie! – powiedziała Barbara, która czytała już gazetę. – Geniusze rzadko bywają zrozumiani w swojej epoce. George Hyde zaklął i trzasnął drzwiami. Wiedział, że Barbara chciała jak najlepiej, ale jej naiwność działała mu czasem na nerwy.

W laboratorium czekał, aż koledzy skończą składanie gratulacji i należnych hołdów, po czym zagłębił się w obliczeniach. Dysponował pewnymi danymi o stopniu ekspansji wszechświata, głównie w oparciu o efekt Hubble'a, lecz w kwestii wieku wszechświata mógł się oprzeć tylko na ocenach szacunkowych. Tak więc jego przewidywania dotyczące zalamania się równowagi w czasoprzestrzeni mogły mieć jedynie charakter nieprecyzyjnych prorocztw, których błąd szedł w miliony lat. Zniechęcony odstawił maszynę liczącą. Jego spojrzenie padło na aluminiową płytkę, którą przed chwilą położył na stole. Była na niej zdechła mucha. Zdziwiło go to, bo przypominał sobie pytanie dotyczące żywych organizmów. Przeszedł do katedry psychologii, gdzie pewien psycholog o wypłoszonym spojrzeniu już od lat badał zachowanie się szczurów i białych myszy w labiryncie. W ciągu tych długich lat coraz bardziej upodabniał się do obiektów swoich eksperymentów. W pokoju psychologa panował okropny smród. Hyde poprosił kolegę, by dał mu mysz, którą zaniosł do swego laboratorium z grymasem wstępu na twarzy. Niestety spotkał kilku swoich studentów, dla których widok Hyde'a trzymającego za ogon mysz musiał być szczerze zabawny. Hyde położył mysz na aluminiowej płytce. Zwierzę zneruchomiało, zaczęło falować, jakby w ciągu ułamka sekundy miało zamiar zmienić swój kształt i wielkość, po czym zeszytniało i zdechło.

– To zrozumiałe – pomyślał Hyde. – Funkcje życiowe są tak kompleksowym zjawiskiem, że rozkład procesów przyczynowych musi zakłócić działanie każdej komórki i narządu. Tylko tak można to wytłumaczyć... Jednak kurczenie się czasu całego Uniwersum z pewnością będzie następować pomalutku, bardzo pomalutku... Powolne odwołanie zależności między przyczyną a skutkiem niekoniecznie musi zaszkodzić żywym organizmom...

George Hyde poglądził rozwieszoną brodę. Aluminiowa płytka bombardowana cząstkami o długości jednego krononu stała się w pewnym sensie przewodnikiem kronów: czas dosłownie przez nią przepływał. Ale skąd? I przede wszystkim: dokąd?

Hyde położył na płytce swój zegarek. Urządzenie natychmiast się zatrzymało, a po kilku sekundach wskazówki zaczęły się cofać. Lecz wkrótce i to zjawisko ustąpiło i zegarek dosłownie rozsypał się na atomy. Został po nim szklany i metalowy pył.

Hyde wykonał wiele podobnych doświadczeń z różnego rodzaju drobnymi przedmiotami i stwierdził, że w zachowaniu się przedmiotów wstawionych w nurt czasu występują niezwykle duże różnice. W zjawisku tym nie mógł wykryć żadnej sensownej i powszechnie obowiązującej reguły. Najprawdopodobniej przepływanie kwantów czasu następowało w różnym tempie.

Było to niezmiernie interesujące i Hyde czuł, że na wyciągnięcie ręki jest nie tylko nagroda Nobla, lecz wręcz szansa, by przyszłe pokolenia wymieniały jego nazwisko obok nazwisk Newtona i Einsteina, a może nawet i przed nimi...

Problem polegał na tym, że jeden z największych fizyków wszystkich czasów musiał już iść do domu, bo obiecał Barbarze, że tego dnia on zrobi zakupy. Wpadł do Hamburger Heavens i w momencie, gdy pałaszował amerykańskiego hamburgera, naszło go nieodparto uczucie, że ten dzień jest dłuższy od poprzedniego. Jednocześnie zauważył, że jego prawa ręka zasiniała i spuchła. Nie czuł nawet bólu, lecz widok ten tak go zaniepokoił, że w drodze do domu odwiedził lekarza i pokazał mu rękę. Zakłopotany doktor chrząkał, obmacywał rękę Hyde'a, zadawał mu najprzeróżniejsze pytania, dał mu zastrzyk i wreszcie wezwał innego lekarza, który także obejrzał rękę naukowca i także go wypytawał. Zrobili mu zdjęcie rentgenowskie, po czym obaj lekarze zaczęli się szeptem naradzać.

– Niech pan posłucha, Mr Hyde – odezwał się w końcu jeden z zakłopotanych lekarzy. – Naszym zdaniem musi pan natychmiast pójść do szpitala. Wystąpiły u pana nieprawidłowości krążenia, których przyczyny ani natury na razie nie znamy.

– Nie boli mnie i nie mam czasu na takie rzeczy – mamrotał niezadowolony Hyde. Drugi lekarz patrzył na niego z wyrazem niepokoju w oczach.

– A jednak musi pan znaleźć trochę czasu, Sir. Jeśli się nie pospieszymy, może zająć konieczność amputacji tej ręki.

George Hyde przez trzy tygodnie leżał w szpitalu i lekarze zrobili wszystko, by uratować jego prawą rękę. Udało się to jedynie częściowo: Hyde nie odzyskał w niej władzy.

Te trzy tygodnie były dla George'a Hyde'a jednym koszmarem sennym: bez przerwy myślał o kurczeniu się czasu.

– Całe szczęście, że wyleczyli twoją rękę, kochanie – powiedziała ciepło Barbara, gdy wrócił do domu. Nie przyjęła do wiadomości, że ręka męża wisi bezwładnie. – Nie możesz spóźnić się na jutrzejszy odczyt w Royal Society. Na pewno będzie udany. Przygotuj odświeżną kolację, kochanie.

George Hyde zdumiony wpatrywał się w żonę.

– Znowu? Przecież ja już wygłosiłem ten odczyt, ponad trzy tygodnie temu!

– Ależ skąd, kochanie!

– Posłuchaj, Barbaro, nie jestem głupi! Wygłosiłem ten przekłety odczyt w Royal Society 3 października. Sama czytałaś ten cholerny artykuł w „Observerze”.

– George, ja naprawdę nie wiem... Przecież dzisiaj jest 2 października! Dokąd idziesz? George! Zaczekaj!

Hyde pobiegł na uniwersytet. Jego przyjaciel psycholog poklepał go po plecach.

– No co, jeszcze nie jesteś w Londynie? Będziesz wielkim człowiekiem, stary! O czym będzie ten wykład? Zazdroszczę ci! W tak młodym wieku! A te cholerne myszy nie chcą się rozwijać! George Hyde wpadł do laboratorium i podbiegł do stołu. Przekopał wszystko, ale nigdzie nie znalazł aluminiowej płytki. Co gorsza, nie znalazł też swych notatek.

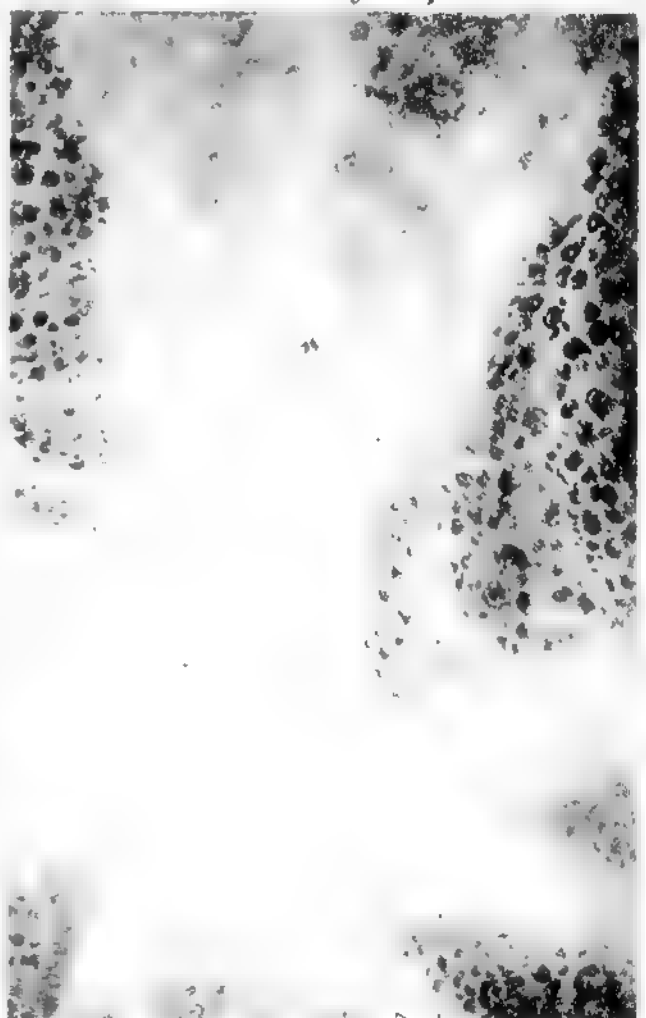
Zakrywszy twarz dłońmi zaczął rozmyślać i koledzy na próżno pytali go, co się stało.

Hyde niewątpliwie dobrze pamiętał to wszystko, co się wydarzyło. I nagle zrozumiał. Brama... Ta aluminiowa płytka była bramą, przez którą zaczął przepływać czas... czas światła. I już od trzech tygodni przecieka coraz więcej czasu i powoli, bardzo powoli, lecz w coraz większym tempie czas się kurczy, odwracając wszystko w drugą stronę. A la aluminiowa płytka jest tutaj, gdzieś tu jest, lecz teraz już na zawsze w innym czasie, czy jeśli ktoś woli w innej przestrzeni...

Przypadek George'a Hyde'a wzbudził zainteresowanie wielu psychiatrów, ale czasu nie sprzyjały systematycznym badaniom naukowym.

Kiedy dr George Hyde spokojnie umarł w jednym z londyńskich szpitali psychiatrycznych, wybuch drugiej wojny światowej wisiał już na włosku. Na szczęście nie było mu dane tego dożyć.

Przełożył Wojciech Maziarski





# Sen

Günter Kunert

De Quincey opisuje w swoich pamiętnikach, jak pewien Malajczyk o straszliwym wyglądzie, który później pojawiał się stale w koszmarnych snach tego sławnego narkomana, w roku 1816 zapukał do drzwi kuchennych jego położonego w górach domu. Wyprosił on tego niezwykłego gościa, którego angielski był tak słaby, że właściwie nie było wiadomo, co chciał sprzedać. Z dokładnego opisu znajdującego się w pamiętnikach de Quinceya i gestykulacji obcego wynika jasno, że chciał on literatowi, o którego nałogu zapewne słyszał, sprzedać jakiś narkotyk, którego de Quincey w stanie oszaleńczenia najwyraźniej nie rozpoznał. Podczas czytania pamiętników de Quinceya stwierdziłem, że opis Malajczyka pasuje bardzo dokładnie do wyglądu aptekarza, który miał swój zakład na rogu mojej ulicy. Od czasu do czasu zaopatrywałem się u niego w lekarstwa, a szczególnie w środki nasenne. Bardzo często znajdowaliśmy się w aptece tylko we dwóch, gdyż miejscowa ludność cieszyła się najwyraźniej doskonałym zdrowiem. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, przeważnie jednak tematem naszych rozmów były fenomeny związane z bezsennością – na przykład o zimowym śnie pewnych zwierząt, przy czym żalowałem, iż ludzom nie dane są takie możliwości. Byłoby na pewno przyjemnie przespac dłuższe okresy niesprzyjającego czasu, aby obudzić się nie postarzony i niewyobrażalnie wolny w szczęśliwej przyszłości. Wiele z tych ludzkich marzeń można znaleźć w bajkach, na przykład o królewnie Śnieżce. To byłoby coś – nawet za cenę paru koszmarnych snów – po prostu noc przespac czas aż do lepszej przyszłości.

- Jeżeli tylko o to chodzi, taki środek istnieje już od dawna, stwierdził mi pan aptekarz i wyjął z szafki z truciznami małe pudełeczko, a z niego z kolei parę białych pigulek. Każda pigułka, w zależności od siły organizmu, działała przez okres do dziesięciu lat. Odbywało się to przy maksymalnej redukcji wszelkich funkcji organizmu: puls spadał do dwóch uderzeń na minutę, oddech prawie zamierał, temperatura ciała dopasowywała się do temperatury otoczenia, jeden obfity posiłek, spożyty przed zapadnięciem w sen, wystarczył na pokrycie całego zapotrzebowania kalorycznego organizmu. Jeden obiad na pięćdziesiąt lat!

Pamiętając o de Quincey, który po zażyciu 800 kropli laudanum zaprzepaszczył swoją wielką szansę, chciałem być mądrzejszy i zakupiłem dwie tabletki. Dwadzieścia lat, jak sądziłem, powinno wystarczyć, aby doczekać wesołej, wolnej od problemów przyszłości, kiedy wszyscy ludzie będą sobie braćmi; albo lepiej nie: braćmi to oni już dawno byli, jeżeli weźmiemy pod uwagę archetypy Abła i Kaina. Raczej należałoby powiedzieć – człowiek człowiekowi przyjacielom, o tak, to byłoby wspaniale.

Rosół z makaronem, rumiszki i frytki, do tego dwa kufle piwa, więcej nie będę potrzebował przez następne dwadzieścia lat. Po jedzeniu połknąłem obydwie tabletki i położyłem się do łóżka. W chwili później moje myśli i wyobrażenia zaczęły wymykać się spod mojej kontroli. Drzwi otworzyły się i do sypialni wszedł Malajczyk. Gestykulując, dawał mi do zrozumienia, że chce zakupić mój nos, który nagle osiągnął długość jednego metra. Trzymałem mój nos obiema rękami i uciekłem w ciemność, aby nikt nie mógł mnie znaleźć. Rozpuściłem się w niej, stając się sam ciemnością, czego jednak nie widziałem, ale za to odczuwałem. W tej czerni rozlegał się co dwie minuty ogłuszający dźwięk gongu, który był tak jednostajny, że w końcu znużony zasnąłem.

Wkrótce potem obudziłem się i byłem przekonany, że spałem zaledwie około pięciu minut. Naturalnie, pomyślałem, te tabletki były jednym wielkim oszustwem. Stwierdziłem, że dałem się po prostu wodzić za nos, który okazał się być, jak to własno-

ściwie sprawdziłem, całkiem normalnych rozmiarów. Aptekarz po prostu zakpił sobie ze mnie. Podniosłem się i poczułem, że jestem głodny. Zdziwiło mnie to, jako że tuż przedtem – jak pamiętam – zjadłem obfity posiłek.

Zdecydowany, aby nie wspominać aptekarzowi o swoim eksperymencie i udać, że od początku wiedziałem o tym dowcipie, zszedłem schodami na dół i wyszedłem na ulicę. Udałem się w kierunku narożnika, na którym znajdowała się apteka. Jednakże kiedy chciałem do niej wejść, okazało się, że zamiast apteki jest tu kiosk z papierosami, których sprzedawczyni nic nie słyszała o aptece; pracowała w kiosku dopiero od dwóch lat!

To było już zdecydowanie za dużo! To niemożliwe, aby aptekarz postanowił uprawdopodobnić swój żart tak dalece, że podczas mojej krótkiej nieobecności przebudował aptekę na kiosk z gazetami. Gapiłem się na przechodniów, ale nie zauważyłem u nich specjalnych zmian. W drodze do ulicy Głównej zakupiłem, jak każdego popołudnia w kiosku „Gazetę Wieczorną”; z tą różnicą, że zamiast mojej starej sprzedawczyni, gazetę otrzymałem z rąk młodej dziewczyny. I wtedy przeczytałem datę: 20 maja 1890 roku.

Tabletki rzeczywiście działały! Byłem w przyszłości. Z zacięciem zacząłem czytać pierwszą stronę; dalej trwała ta sama wojna, co przedtem, przepraszam, w przeszłości. Jakiś szczerp został zniszczony za pomocą kwasu siarkowego – no, no. Powódź zagroziła Florencji. Lawiny w Alpach. Finał turnieju tenisowego Zdjęcia. Obrazy. Na wszystkich stronach znalazłem ich znowu, ani starszych, ani mądrzejszych niż przed dwudziestu laty. Ludzik, którzy również otrzymali od jakiegoś aptekarza tabletki na przespanie nieprzyjemnych czasów. Zacząłem potrząsać głową nad moją poprzednią naiwnością, w której wmówiłem sobie, że po wytarczająco długim śnie nastąpi inne przebudzenie, niż w wiele poranków przed dwudziestu laty.

Przełożył Wawrzyniec Sawicki

# Naturalnie nie istnieją żadni Marsjanie...

Erik Simon

(ze wspomnień absolutnie  
solidnego naukowca, wraz z  
wycinkiem z gazety i paroma  
przypisami)

Norton (III). Podczas trwania II Międzynarodowego Sympozjum Astronomicznego, które jest poświęcone problemom badania systemu słonecznego, astronom i astrobiolog dr S.F. Areson wygłosił wczoraj wykład o problemach możliwości życia na planetach naszego systemu słonecznego. Wykład tego znanego naukowca był jednym z kulminacyjnych punktów trwającego od początku bieżącego tygodnia sympozjum, o przebiegu którego donosiliśmy już w naszym środowym wydaniu. W rozwinięciu swojej, przedstawianej w licznych publikacjach teorii dr Areson przekonywająco ukazał niemożliwość istnienia wysoko rozwiniętego ekstraterrestrialnego życia w obrębie naszego systemu słonecznego. W ten sposób można uznać ponownie propagowaną w ostatnich czasach „Hipotezę ekstraterrestrialistów” (patrz nasz artykuł pt. „Czy

## Günter KUNERT

poeta NRD należący do twórców starszej generacji. Jest autorem przypowieści fantastycznych dość luźno związanych z literaturą science fiction. Zamieszczał swoje teksty w popularnej serii kieszonkowej „phantastica” wydawnictwa dtv w Monachium: „Von einem anderen Stern” („Z innej gwiazdy” – opowiadania SF z NRD), „Im Jenseits” („W zaświatach” – opowieści fantastyczne z NRD).

A.N.

znowu latające spodki?" w numerze 4/11 z roku ubiegłego) za całkowicie pokonaną. Ponadto podczas dyskusji odbytej po zakończeniu wykładu dr. Aresona nie przedstawiono żadnych naukowo uzasadnionych poglądów z nim polemizujących. Szczegółowe informacje na ten temat będziecie mogli państwo przeczytać w naszym następnym wydaniu.

(Illinois Review, 29.1.1985, s. 2)

Pomimo że od tego wydarzenia minęło już dużo czasu, przypominam sobie dokładnie każdy jego szczegół. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż odczyt ten był wynikiem i ukoronowaniem sze-

lec także wszędzie na całym świecie nastąpił gwałtowny wzrost zainteresowania problemami życia w Kosmosie.

Solidni, trzeźwo myślący naukowcy musieli zadać sobie wiele trudu, aby przekonać fantastów spośród naukowców i laików o tym, że są to jedynie urojenia. Przeprowadzili oni dowody przeciwko każdemu z punktów „hipotezy”:

- po pierwsze, „rakietą lądującą” była zwykłym meteorytem,
- po drugie, zeznania ludzi, którzy jakoby widzieli ten obiekt, nie były w żadnym wypadku dokładne i podbudowane dowodami, a więc mogły to być złudzenia optyczne, a poza tym na terenie Nevady nie znaleziono żadnych pozostałości czy też resztek tego obiektu,
- po trzecie, „sygnały” pochodziły najwyraźniej z innego obiektu, np. samolotu, i zostały zniekształcone poprzez zakłócenia,

lecz także wszędzie na całym świecie nastąpił gwałtowny wzrost zainteresowania problemami życia w Kosmosie.



roko zakrojonych przygotowań i specjalnych studiów. Jego niepowodzenie mogłoby zniweczyć prace całych dziesiątków lat. Niebezpieczeństwo to było tym większe, że na krótko przed symposium sprawy „pozaziemskie” znowu pojawiły się jako temat rozmów i artykułów w prasie oraz wśród naukowców. A wszystko to stało się dlatego, że znalazła się grupa naukowców, którzy – w sposób absolutnie nienaukowy – z przypadkowych zdarzeń i paru niewyjaśnionych przypadków wyciągnęli absurdalny wniosek, że jest to wynikiem prawdopodobnej wizyty statku kosmicznego (!), kierowanego przez istoty pozaziemskie (!). Statkiem tym miał być świecący punkt, który widziano 14 sierpnia nad północnym Atlantykiem. Uzasadniano to jednym jedynym faktem, że statek tego nie można było później odnaleźć – „statek kosmiczny” bowiem ponownie miał opuścić okolice Ziemi (!). Fale radiowe, które zostały odebrane przez parę stacji, były objaśniane jako „sygnały tego statku”, a „obiekt latający”, który – jak się twierdzi – był widziany przez paru w pełni niekompetentnych ludzi, był naturalnie „rakietą lądującą”. Istniało nawet paru fachowców, którzy te wymysły chorych mózgów uważali za rzecz całkiem możliwą. A gazety! „ZNOWU UFO NAD STANAMI ZJEDNOCZONYMI”, „CZY GROZI NAM INWAZJA Z JUPITERA?”, „WIADOMOŚĆ Z MGŁAWICY ANDROMEDY”, „MARSJANIE ZWIĄSTUJĄ ZBLIŻANIE SIĘ SĄDU OSTATECZNEGO”, „HANDEL Z MARSEM – KONIEC INFLACJI I STAGNACJI?” – aby zacytować tylko kilka tytułów z gazet amerykańskich. Ale nie tylko w USA,

po czwarte, „statek kosmiczny” był najprawdopodobniej jedynym z licznym satelitów Ziemi,

po piąte, zderzenie tych wszystkich zdarzeń należy przypisać jedynie przypadkowi.

Jednak nawet po przeprowadzeniu tego dowodu, temat „Marsjan” został nadal przedmiotem wielu rozmów i w interesie nauki było zakończenie tej całej gadaniny o ekstraterrestach. Ten właśnie szlachetny cel postawiłem przed sobą, kiedy zacząłem przygotowywać mój wykład o możliwościach życia na innych planetach. Mogę bez przesady powiedzieć, że wypełniłem to zadanie bez zarzutu – a w każdym wypadku nie udało się moim przeciwnikom, mimo usilnych starań w tym kierunku, odeprzeć moich argumentów.

Na wstępie powiedziałem parę słów o nieprawdopodobieństwie życia we Wszechświecie, nie wykluczając jednakże całkowicie możliwości istnienia życia, a być może nawet istot myślących, w nieosiągalnych dla nas systemach słonecznych. Natomiast w naszym systemie słonecznym życie myśłące istnieje tylko na Ziemi i nigdzie więcej. Należy absolutnie wykluczyć wyżej rozwinięte życie na innych planetach.

Udało mi się to udowodnić za pomocą specjalnego, do tego celu opracowanego fizyczno-chemiczno-astrobiologicznego rachunku prawdopodobieństwa, który sam uzasadniłem teoretycznie i zademonstrowałem na wybranym przykładzie.

Z całkowicie niezrozumiałych dla mnie względów szczególnie zainteresowanie ludzi skierowane było od stuleci w kierunku Marsa; od czasu, kiedy Schiaperellemu wydawało się, że zobaczył „kanały marsjańskie”, Marsjanie wedrują w ludzkiej fantazji i nie da się ich po prostu z niej usunąć. Ale również i poważni naukowcy byli zdania, że życie (choćby nawet nie myślące) mogło powstać najwcześniej właśnie na Marsie. Aż nie udowodniłem im ich pomyłki. Za pomocą mojej metody dowiodłem, że prawdopodobieństwo życia na Marsie jest znikome, praktycznie zbliżone prawie do zera. Mars jest niezamieszkałym, nieprzyjaznym dla życia światem. Jego powierzchnia jest smutnym krajobrazem kraterów, zbliżonym w wyglądzie bardzo do Księżyca, temperatury są zdecydowanie niższe niż na Ziemi, atmosfera ma o wiele za niskie ciśnienie i prawie nie zawiera tlenu, również prawie całkowicie brakuje wody. Jak mogłoby w takich warun-

## Erik SIMON

Urodził się w Dreźnie w roku 1950. Jest fizykiem, tłumaczem, krytykiem autorem SF. Ukończył studia na Uniwersytecie w Dreźnie. Od roku 1974 jest lektorem w wydawnictwie „Das Neue Berlin” i redaktorem pierwszego w NRD, almanachu fantastyki „Lichtjahr” („Rok świetlny”). I – Berlin 1980, II – Berlin 1981; współautor E. Radin. Jako autor SF debiutował w antologiach „Der Mann vom Anil” (1975) i „Begegnung im Licht” (1976). Opublikował ponad 30 krótkich tekstów prozatorskich zebranych w zbiorach „Die ersten Zeitreisen” (współautor F. Heinrich, 1977; wyd. polskie: „Pierwsze podróże w czasie”, KAW 1981) oraz „Fremde Sterne” (1979).



kach istnieć życie? Widac z tego jak na dloni, że życie na Marsie jest wykluczone. A gdyby nawet istniały tam jakiekolwiek stworzenia żywe, to mogłyby to być jedynie formy skrajnie prymitywne – bakterie albo coś w tym rodzaju. Nawet ten fakt można by uznać za cud – o wyższych formach życia nie może więc być żadnej mowy. A o tym, że nie istnieją Marsjanie, wie każdy, kto ma chociaż trochę mogącego myśleć rozumu.<sup>1</sup>

W taki właśnie sposób przeprowadziłem dowód moich twierdzeń i bez wątpienia udało mi się przekonać świat fachowców za pomocą moich niezaprzeczalnych faktów i przekonujących wniosków. Jestem pewien, że miało to wcale nie najmniejszy wpływ na decyzję dotyczącą wystrzelenia z Ziemi w kierunku Marsa załogowego statku kosmicznego – jak wiadomo projekt ten został odłożony i ze środków na niego przeznaczonych zbudowano międzynarodowe obserwatorium zajmujące się Księżycem.<sup>2</sup> Niestety nie mogłem dalej kontynuować rozpoczętej pracy. Wykład ten wyczerpał mnie tak bardzo, że stan mojego zdrowia wkrótce potem bardzo się pogorszył, tak że nie byłem w stanie występować publicznie. Po prostu nie mogłem wytrzymać związanych z tym trudów – oczywiście czysto fizycznych, ma się rozumieć.<sup>3</sup>

Pomimo specjalnego treningu – na dłuższą metę nie da się wytrzymać straszliwego upału i tak wysokiego ciśnienia, nie mówiąc już o preparatach, które musiałem codziennie zażywać, aby móc w najmniejszym choć stopniu znieść tyle tlenu w powietrzu. A dopiero ta brzydka i strasznie niewygodna sztuczna skóra, którą musiałem stale nosić i która na dodatek zmniejszała siłę mego wzroku, ponieważ zakrywała moje trzecie oko na czole – wszystko to zmusiło mnie do przerwania mojej pracy. Wystano mojego następcę, który kontynuuje moje dzieło i czyni wszystko, aby opóźnić wysłanie statku kosmicznego na Marsa. Gdyż bez wątpienia czas jeszcze nie dojrzał do podjęcia kontaktu pomiędzy ludźmi a nami, Marsjanami.

#### Przypisy:

<sup>1</sup> Potem, kiedy wszystko przedstawiłem i tak elegancko dowiodłem, nawet najwięksi fanteści musieli przyznać, że na Marsie nie ma nic, ale to naprawdę nie interesującego i że chyba nie istnieje inna planeta, która byłaby tak nudna jak Mars. Tak więc nie mogą istnieć ci fikcyjni Marsjanie chociażby dlatego, że już dawno umarliby z nudów na tak monotonnej planecie!

<sup>2</sup> Aby fotografować kraterzy, mierzyć temperaturę i analizować glebę w zupełności wystarczą sondy automatyczne, a poza tym i tak nie ma nic więcej interesującego na Marsie.

<sup>3</sup> Jeśli chodzi o wysiłek psychiczny, nie kosztowało mnie to zbyt wiele – mogłbym bez trudu przeprowadzić również dowód, że według ludzkich teorii, nie może istnieć życie na planecie Ziemia. Oczywiście nie zrobiłem tego, bo i po co?

<sup>4</sup> Jego rakieta wylądowała jak zwykle na pustyni Nevada; po przeprowadzonym przeze mnie dowodzie, w Nowym Jorku lub gdziekolwiek indziej mogłaby wylądować cała flota statków kosmicznych – i tak uważano by ją za fatamorgane.

Przełożył Wawrzyniec Sawicki

## Jugosławia

# Baśń o księżycowej karecie

Filip David

Czy kiedykolwiek widzieliście księżycową karete? Podczas pogodnych nocy wydaje się czasami, że długi cień pokrywa księżyc; podczas nocy burzliwych światło błyskawicy oświetla galop czarnych, rozszałatych koni. Skąd przybywają? Dokąd zdążają? Nie wiadomo. Jeżeli ktoś je zauważy, oznacza to nie-

szczęście; dlatego najlepiej jest się gdzieś szybko schować; nie należy wyzywać losu. Nawet jedno jedyne spojrzenie na płomienistą karete wywołuje niepokój i lęk.

Zdarzyło się, iż Cohen zabłądził. Wracał z miasta. Noc była ciemna. Nie spostrzegł, kiedy zboczył ze ścieżki; od czasu do czasu spoglądał do góry, wydawało mu się, że zza wysokich, ostro zakończonych wierzchołków sosen wyziera niespokojne, olowiane niebo. Stracił już nadzieję, że trafi do domu przed świtem; mrok zmylił go do reszty, przestał rozróżniać, w jakim idzie kierunku.

Im dalej szedł, tym las robił się gęstszy. Z ledwością przedzierał się przez kolczaste zarosła. Wiatr wiał coraz mocniej, rzucając mu w twarz kupy zeschniętych liści splątane, pokrzywione, polamane gałęzie. Błysnęło, rozległ się trzask i gdzieś w pobliżu odpadł wierzchołek potężnego drzewa. Spadły pierwsze krople deszczu. Chociaż chronił go gestę gałęzie, wkrótce był cały mokry i włosy lepiły mu się do czoła.

Ale burza nie trwała długo. Przez gestę, szybko mknące chmury przebił się księżyc. Ustał daleki huk wiatru i kiedy zielony blask załatał las, zapanował w nim całkowity spokój.

Cohen, zbity z tropu tą nagłą zmianą, przyspieszył. W martwej ciszy rozlegały się tylko jego kroki i jego oddech. Nagle światłość księżyca zbladła i przez chwilę Cohen znalazł się w zupełnych ciemnościach. Wówczas ponad głową ujrzał czarny powóz, pędzący po niebie, jak widmo.

Ze strachu zastąpił rekami oczy. Kiedy spojrzał ponownie, las znów rozjaśniało mleczne światło. Nigdzie żadnego znaku, że przed chwilą nad wysokimi drzewami unosił się przeklęty zaprzęg.

Przyspieszył kroku. Wkrótce wyszedł na polanę otoczoną zewsząd gęstym lasem. Tu, dziesięć kroków przed sobą ujrzał karete. Otwarte drzwi ukazywały ciemne wnętrza: siedzenia miały kolor krwi. Cohen, przerażony, stanął w miejscu; na przednim siedzeniu, przeznaczonym dla powoźcy, powstrzymując rozszałate kare konie siedział woźnica bez głowy. Cohen słyszał wcześniej o upiorniej karecie, wiedział, co to znaczy widzieć ją i stać obok niej. Przejęła go groza, gdy poczuł, że woźnica na niego patrzy, chociaż tam, gdzie powinien mieć oczy była zwyczajna pustka. Odwrócił się i rzucił na powrót do lasu. Biegł długo, potykając się, nie odważając spojrzeć za siebie; a gdy to uczynił, nie spostrzegł niczego prócz drzew oblaných światłem księżyca.

Wymęczony do ostateczności, zobaczył w oddali świecący punkt. Las się przerzedzał i wkrótce Cohen wyszedł na jakąś ścieżkę. Znalazł się przed samotnym domem, w którym jedno okno było oświetlone. To właśnie owo światło ukazało mu się z daleka. Załomotał do wielkiej, okutej bramy. Czekał aż się ktoś odezwie, rozglądał się na wszystkie strony, drżąc ze strachu, czy nie ukaże się znów przeklęta kareta i powoźcy nią upiór. Dopiero, kiedy zaczął walić ponownie, posłyszał kroki z drugiej strony bramy, szczerk łańcucha i pojawiła się biała, niemal żółta twarz. Cohen w kilku uprzejmych słowach poprosił o schronienie, wyjaśnił, w jaki sposób zabłądził. Człowiek pokłonił głową, zamknął drzwi i zostawił go na chwilę. Słychać było jego oddalające się kroki, lecz wkrótce wrócił i wprowadził Cohena do środka – właściciel domu zdecydował się przyjąć późnego gościa.

Mineli ciemną sien i kamiennymi schodami dotarli do pokoju, z którego dochodziło światło. W staroświeckim fotelu siedziała niezwykle piękna kobieta. Kiedy Cohen wszedł, skłoniła głowę, a następnie dała służącemu niezauważalny znak, by się oddalił.

Stokrotnie panią przepraszam – odezwał się speszony młodzieniec. Opowiedział, w jaki sposób zabłądził, słowem nie wspominając o karecie i niewiarygodnym przeżyciu. Stał naprzeciw otwartego okna i widział w dali ciemny las i świecący nad nim księżyc – gdzieś tam znajdowało się miejsce, w którym zastąpiła mu drogę kareta, gdzieś tam, w górze, bezgłowy woźnica być może wciąż jeszcze czeka, aż on wsiaśnie. W pewnej chwili, gdy jego spojrzenie błądziło w oddali, zdało mu się, że jakimś trafem siedzi w karecie, a ta rusza w okrytą tajemnicą drogę. Wzdrygnął się. Podszedł do okna, z tej wysokości widział okutą bramę, a z prawej i lewej, nieomal pod samym domem rozciągał się głęboki, przypływający o zawrót głowy kanyon rzeki. Niebo było czyste, nigdzie nawet cienia, ani śladu bezdzwiecznego zaprzęgu.

Cohen zwrócił się do czarującej gospodyni ze słowami wdzięczności:

– Gdybym nie dostrzegł światła, padającego z okna pani domu, błądziłbym po lesie chyba całą noc. A w ciemnościach łatwo narazić się na coś niedobrego.

Spojrzała dziwnym wzrokiem, ale nic nie odpowiedziała. Cohen pragnął wypoczynku, nie chciał jednak swoimi życzeniami niepokoić młodej kobiety.

– Pani jest sama w domu? – spytał.

– Tak, nie ma nikogo prócz służącego – odparła udając, że nie

zauważyła zdziwionego spojrzenia Cohena. – Nikt tu nie przychodzi, nie utrzymuje szerokich stosunków towarzyskich, jest mi jednak przyjemnie, gdy mogę u siebie przyjąć gości. Mówiła tak, jakby Cohen zapowiedział swoją wizytę wcześniej. W całym jej zachowaniu, w całym tym wydarzeniu było coś zagadkowego. A spojrzenie, które od czasu do czasu rzucał przez okno w stronę srebrnego lasu, nie pozwalało młodzieńcowi czuć się do końca bezpiecznie.

Wzwała służącego. Wszedł i stanął nieruchomo koło drzwi. \*

– Proszę podać kolację! – poleciła, a gdy milczący sługa opuścił pokój, zwróciła się do młodzieńca.

– Proszę zrobić mi przyjemność i zjeść ze mną kolację.

Cohen nie mógł odmówić. Służący wrócił z pełnymi tacami. Jedli i pili. Czas mijał. Od mocnego alkoholu Cohen poczuł zawrót głowy. Im bardziej był pijany, tym bardziej mu się wydawało, że kobieta stara się uwieść go na wszelkie sposoby. Tak, była sama, daleko od jakiegokolwiek zamieszkałej osady ludzkiej, z pewnością długo nie widziała mężczyzny, nie licząc tego zniedołężniałego służącego. Cohen był zbyt słaby, by się opierać. Jej spryt i uroda były bronią, której uległ. Stosowała niezliczoną ilość kobiecych tricków, aby w ciągu tej krótkiej nocy rozpalic i zagarnąć jego serce. Zapomniał o przekletej karecie, o wszelkich złych duchach, opuścił go mroczne myśli, jawiła się tylko jedna postać, postać tej cudownej gospodyni, która zarzuciła mu ręce na szyję.

Po kolacji przeszli do małej sali. Kiedy służący zapalił wielkie świeczniki, zwisające ze ścian jak kiście winogron, całe pomieszczenie utonęło w świetle. Podłogi pokrywały drobne, czerwone płytki, błyszczące jak drogie kamienie. Podczas, gdy służący nastawiał adapter, chwyciła Cohena pod rękę i pociągnęła za sobą. Zabrzmiła muzyka, ciężka, straszna melodia, jakiej nigdy do tej pory nie słyszał. Cohenowi zamykały się oczy, próbował wyciągnąć rękę spod ręki kobiety, ale nie pozwoliła mu.

– Proszę zrobić to dla mnie – szepnęła. – Proszę zatańczyć ze mną!

Jej ręce jak żmije owinięły mu się wokół szyi. Pozwolił jej się prowadzić. A gdy światła same z siebie pogasty, położyła się obok niego, całowała go między oczyma. Leżeli obok siebie w głuchej ciszy, w ciemnym pokoju z zamkniętymi oknami i zaciągniętymi zasłonami.

– Zostań tu na zawsze! – szepnęła. Spojrzał na nią zamglonym wzrokiem.

– Przysięgnij, że będziesz mnie zawsze kochał, że pozostaniesz mi wierny na wieki.

I kiedy w upojeniu podawała mu usta, młodzieniec poczuł, jak ogarnia go szalona namiętność.

Ale gdy jej oczy zbliżyły się do jego oczu, upojenie znikło. Pod gestymi, czarnymi rzęsami nie dojrzał niczego, prócz głębokiej pustki, a po chwili ukazał się w nich rąbek nieba, po którym sunęła miniaturowa karetka. Krzyknął przerażony. Kobieta nawet nie drgnęła, zasnęła na zawsze w jego objęciach. Gdyby w chwilę wcześniej dotknął jej ust, byłby martwy jak ona; całując go, tchnęłaby w niego oddech śmierci. Krzyknął na służącego. Nikt się nie odezwał. Przeszedł przez wszystkie pokoje, trzymając w ręku wielki świecznik, wszędzie znajdował jednakową pustkę, tylko w pokoju na górze leżało martwe ciało kobiety. Służący znikł, nie było żywego ducha. Musiał uciekać jak najdalej z tego domu.

Rozsunął trochę zasłony w pokoju, w którym jeszcze przed chwilą był w upojeniu. Chociaż zbliżał się świt, na dworze panowały ciemności. Ale w jednym miejscu, stąd nie można było ocenić

odległości, zamigotał płomyk i ukazała się mała sylwetka konia i karety. Urojenie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Ponownie znalazł się na dworze. Jak umknąć przed prześladowcami? Biegł przez puste pole, na którym rzadkie krzaki przypominały skulonych ludzi. Zobaczyć czarną karetę to jakby umrzeć. Nocne pohukiwanie jakiegoś osamotnionego ptaka dotarło do niego niczym głuchy krzyk z zamkniętej beczki. W tej samej chwili przez chmury przebił się księżyc – prosto na młodzieńca pędziły konie, wielkie jak góra. Zdażył tylko rzucić się na bok i ogromny zaprzęg przemknął obok niego. Gdy się obejrzał, nie było po nim śladu.

Leżał w mokrej trawie. Niebawem na horyzoncie ukazało się blade światło. Wstawał dzień i Cohen coraz wyraźniej rozpoznawał otoczenie. Widział przerzedzone pnienie drzew, zginające gałęzie ku ciemnej pustce. Kiedy się już całkiem rozjaśniło, zauważył, iż leży na samym brzegu przepaści. Nigdzie w pobliżu nie było domu, w którym spędził burzliwą noc. W dole, daleko w dole, w niezmiernie głębokiej, w porannej mgłę rozciągały się osady, pola, odległe drogi. Niewiele brakowało, by runął w straszliwą otchłań...



Nie minęło wiele czasu, a wspomnienia o przejeżdżających przewidzeniach zaczęły błędzić. Co prawda Cohen początkowo opowiadał o swoich przygodach, ale nawet najokropniejsze zdarzenie nie bywa straszne, gdy się o nim opowiada. Ludzie krecili głowami, jedni wierzyli, drudzy nie. Potem sceny niemiłej nocy poszły w zapomnienie, pozostało tylko niejasne przeczucie, że wkrótce coś się zdarzy.

Ale nic się nie zdarzyło. Nic takiego, o czym można by powiedzieć, że zły los ciąży nad Cohenem. Bywały troski i kłopoty, codzienne problemy i zmartwienia, ale kto ich nie ma? I tak życie Cohena toczyło się utartym torem. Tylko w nocy, gdy światło księżyca rozjaśniało pokój i łóżko, na którym Cohen spał, przechodziły go dreszcze, ale działało się to niczym we śnie – jakby dotykała go zimna, ciężka ręka, jakby mu przypomniano, że istnieje ktoś, kto nad nim czuwa.

Jego dni wypełniały różne zmartwienia i z czasem zaczął uznawać swoją przygodę za ponury sen. Ponieważ widmo powożące go karawanem bezgłowego woźnicy nie pojawiło się już przed nim, przekonał sam siebie, iż zły sen już się nie powtórzy i że jest całkowicie bezpieczny. Tylko raz czy dwa ponowiły się jakieś niejasne i mgliste sceny, jakieś niewyraźne zwiastuny faktu, że to wszystko nie jest takie proste. Między oczyma, tam gdzie łączą się brwi, pozostawał czerwony punkcik – tego miejsca dotknęły rozpalone usta dziwnej kobiety. Wszelkie próby usunięcia drobnego znamienia nie dawały rezultatu, a on przekonywał samego siebie, że to tylko nic nie znaczące draśnięcie. Kiedyś, stojąc przed lustrem, odkrył w swoich oczach bezdenną głębię, bezdźwięczne, srebrzyste pole, otchłań, na brzegu której wisi, jedną nogę mając w dole. Wówczas cofał się, lekając się samego siebie, jakby w nim samym kryło się ostrzeżenie, że ten, kto raz stał przed karetą, musi do niej wejść. Ale mimo tych wszystkich zdarzeń nie można powiedzieć, by do jego świadomości kiedykolwiek

### Filip DAVID

jest jednym z najwybitniejszych (obok Mirka Kovača, Vuka Vuča, Svetozara Vukobratovića i Marka Medića) przedstawicieli serbskiej fantastyki poetyckiej. W roku 1964 wydał zbiór opowiadań „Bunar u tamnoj šumi” (Studnia w mrocznym lesie), a w roku 1989 „Zapisi o svetnom i nestvornom” (Notatki o rzeczywistym i nierealnym). Opowiadanie „Baša o ksešyčowej kareci” pochodzi z antologii „Nova srpska pripovetka” (Belgrad 1972) pod redakcją Ljubisy Jeramice.



powróciło to okropne uczucie poniżenia i bezsilności, jakie ogarnia sciganego.

Im więcej czasu upływało, tym bardziej był skłonny kpić ze swoich przygód. Jeżeli w towarzystwie ktoś zaczął opowiadać o dziwnym zjawisku, pojawiającym się na jasnym niebie podczas księżycowych nocy, pierwszy machał ręką, chociaż w głębi duszy coś go ostrzegało, by nie robił żartów z tego, co w swoim czasie tak go przerażało.

Księżycowa karetka? To tylko przewidzenie zmęczonego podróżnego! Fatamorgana! Spójrzcie, widziałem tę karetę, stałem przed nią tak, jak stoje przed wami, moi państwo - i co? Czy żyje?

Śmiał się. Tym, którzy go słuchali zdawało się, że słyszą w tym śmiechu historyczne napięcie; w takich chwilach jego spojrzenie powoli mętniało, a w zrenicach, w kąciakach oczu, pojawiały się jasne punkty, dziwne, czerwone plamyczki.

Któregoś ciepłego wieczoru, gdy w pokoju panował jeszcze skwar dnia, wyszedł do ogrodu. Stał pod drzewem, spoglądając przez galezie na gwiazdzone niebo. Nie było jakiegokolwiek powodu do obaw, lecz nagle pożałował, że opuścił dom. Ogarnął go niewyjaśniony niepokój.

Białe światło księżyca, niczym pajęczyna, pokrywało drzewa i ogród. Wszędzie panowała tak wielka cisza, że bał się własnego oddechu. Nagle w górze, pod księżycem, rozciągnął się cień, który szybko pokrył część nieba. Wystraszony zamknął oczy, gdy je zaś otworzył, kilka kroków przed nim stała czarna karetka, a na przednim siedzeniu zasiadał straszliwy woznica. Karetka zatrzymała się tak blisko Cohena, że mógł ręką dotknąć wielkich kół. Drzwi karety otworzyły się.

W pierwszej chwili ujrzał jedynie czerwony plusz, migocący w żółtych promieniach. W środku już ktoś siedział. Ten ktoś uparcie się w niego wpatrywał. Młodzieńcowi zmroziło krew w żyłach. Czekał, aż zjawą zniknie, okazując się snem i złudą. Wówczas postać w karecie poruszyła się i jasny promień oświetlił jej twarz - była to kobieta, w której domu gościł. Wyciągnęła ku niemu ręce i poprosiła, by wszedł.

I wbrew jego woli nogi same ruszyły do przodu, dotknął białych i zimnych kobiecych dłoni, ona zaś pociągnęła go ku sobie. Trzymała go w objęciach, jej usta wpiły się w jego twarz, jak dwie pijawki - całowała go po oczach, w to miejsce, gdzie zrastają się brwi.

Przez wąskie okienko karety młodzieniec ostatni raz spojrzał na rodzinną wieś, rozpostartą na górskich zboczach, na swój mały dom. Pedzili coraz szybciej, ku coraz większym wysokościom. Świat stawał się mały, drobny, mógł go zamknąć w dłoni. A gdy karetka w końcu się zatrzymała, kiedy drzwi powoli się otworzyły, okazało się, że stoją przed domem, z którego pewnej nocy, dawno temu, uciekł. Przed okutą bramą czekał chudy, błądy, upiorny sługa - a w górze, na piętrze było oświetlone jedno okno - to samo, które podczas tamtej przeklętej nocy zauważył z oddali i pośpieszył ku niemu...

Odtąd nikt nie widział Cohena. Zniknął bez śladu. Tylko jakiś niedzisz, któremu nikt nie wierzył, opowiadał jak nocą, wracając do domu, zauważył, że ktoś idzie przez puste pole. Wydawało mu się, że to Cohen, ale nie widział jego twarzy. Zawołał go po imieniu, ale tamten się nie zatrzymał.

Mówię wam, szedł prosto, prosto, a spoglądał do góry, na księżyc. Na pewno nim nie wiedział, co się z nim dzieje - opowiadał niedzisz. - Przyspieszyłem, by go dogonić, bo szedł prosto ku przepaści, tej, co to jest na drugim końcu wsi. Nie mogłem go dogonić, ale gdy byłem już całkiem blisko, zrobił krok w przepaść, tę okropną, bezdenną głębie. Gdy pochyliłem się nad ciemnym otworem, nie widziałem niczego, prócz srebrnej rzeczki, która tam płynie.

Niektórzy, zhałamuceni tym opowiadaniem, ruszyli do doliny. Szukali wszędzie, ale nie znaleźli niczego. Wrócili wściekli, że stracili cały dzień, a tu czeka na nich nieukończona robota. Zwymslali biedaka, że kłamie, a i on sam, lepiej sprawę przemyślawszy, przekonał sam siebie, że to wszystko tylko mu się zdawało, tak jak mu się przewidywało tego samego wieczora inne dziwne wydarzenie, o którym nie chciał, a może i nie śmiał opowiadać: widział czarną karetę i czarnego woznicę jadących po niebie. Wierzył w to, że karetka zawsze wraca do tego, kto ją choćby przez chwilę widział, myślał jednak, że jego to nie dotyczy. Był tak ubogi, tak nieszczęśliwy, że żył w przekonaniu, że znajduje się poza wszystkim. A jednak w kilka dni później znaleziono go martwego. Poniżej czoła, między oczyma, miał czerwony ślad, jakby od ukąszenia żmii. I była to jedyna rana na całym ciele.

Przełożyła Jadwiga Moron

ZSRR

## ZWIĘZŁY OPIS NIEZBYT PRAWDOPODOBNYCH WYDARZEŃ, JAKIE MIAŁY MIEJSCE UBIEGŁEGO ROKU W MIEŚCIE WIELKI GUSLAR

# Uparty Marsjasz

Kir Buńczow

Któregoś dnia Lew Chrystoforowicz Minc zszedł na parter do Saszy Grubina pożyczyć trochę soli. Obaj - wybitny uczony, wypoczywający w Guslarze po stresach doznanych w metropolii i utalentowany wynalazca-samouk Grubin - byli kawalerami o nieuregulowanym życiu osobistym. Fakt ten, a zwłaszcza oddanie Nauce (pisanej wielką literą), jak również nieodparte pragnienie przeniknięcia tajemnic Natury zbliżyło do siebie tych tak niepodobnych do siebie ludzi. Serdeczne rozmowy, które toczyli w rzadkich chwilach wolnych od innych zajęć, wyróżniały się niezwykłą wręcz szczerością i całkowitą bezinteresownością. Grubin szukał soli, a tymczasem Minc przysiadł na rozchwieranym krześle i wysłuchał się w monotony jęk skomplikowanej konstrukcji, której koła, kółka i kółeczka, pomagające sobie nawzajem, wolno kreśliły się w kącie pokoju.

- Nie zaszkodziłoby przesmarować - powiedział Minc. - Coś skrzypi to twoje perpetuum mobile.

- Jego skrzypienie mnie uspokaja. Proszę, tu jest sól - powiedział Grubin, podając mu papierową tutkę.

- Chcę zrobić pilaw - oznajmił Minc. - Chociaż to może dziwnie zabrzmieć, jestem najlepszym we Wszechświecie specjalistą od pilawu. Zawołam cię tak gdzieś koło szóstej.

- Dziękuję, chętnie wpadnę - powiedział Grubin. - A propos, ostrzegał mnie pan, że wieczny silnik nie ma przed sobą żadnych perspektyw i że działać nie będzie. A przecież pracuje drugi tydzień. I to nawet bez smar.

- Drogi kolego, to jeszcze o niczym nie świadczy! - powiedział Minc, gładząc się po lśniącej tyścinie. - Posłałam informacje, że w Argentynie, w laboratorium Aya de Torro silnik kreci się już od osiemnastu lat. Z tego wynika jedynie, że jest to silnik długowieczny, ale nie wieczny. Za sto lat może przecież stanąć.

- Sto lat wystarczy - powiedział Grubin, pochylając krnąbrnie swoją kudłatą głowę. - Mnie tam na sławie nie zależy. Grunt to zasada.

- Sławy nie pozwolą ci nawet polizać - zauważył Minc. - I będą mieli rację! Naukę tworzy się na Olimpie. Robią ją ludzie naznaczeni stygmatem Wieczności, a utalentowany dyktant może jedynie zakłócić zwyczajny krok postępu. Nauka zatem słusznie odrzuca perpetuum mobile powstałe w kawalerce bez wygod. Wieczny silnik winien powstawać w odpowiednim laboratorium odpowiedniego Instytutu Problemów i Perspektyw Ruchu Przedłużonego.

- Dlaczego przedłużonego? Przecież to wieczny silnik!

- Wszystkum wiadomo, że perpetuum mobile nie ma i być nie może. Wynika z tego dowodnie, że jeśli nauka kiedykolwiek zajmie się na serio budową wiecznych silników, będzie musiała najpierw znaleźć dla tego urządzenia jakąś przyzwoitą nazwę, nie skompromitowaną w ciągu ostatnich stuleci przez samouków i szarlatanów.



- To znaczy, że nie ma dla mnie żadnej nadziei?  
 - Tak, mój drogi. Nie masz nawet dyplomu wyższej uczelni, znalazłeś się więc w sytuacji upartego Marsjasza.  
 - A co to za jeden?  
 - Satyr. Prowincjonalny satyr z Frygii, który miał pecha połączyć się na fujarkę podrzuconą przez Atenę. A wiesz dlaczego?  
 - Niby skąd mam wiedzieć? Ze starożytnych Greków znam tylko Herkulesa i Prometeusza.  
 - No więc Marsjasz pięknie grał na fujarce i wpadł na głupi pomysł, żeby stanąć w zawody z Apollinem. To zupełnie tak, jak byś ty przyniósł swoją maszynkę na Radę Naukową Instytutu Problemów i Perspektyw Ruchu Przedłużonego.  
 - Marsjasz przegrał?  
 - Jury jednogłośnie przyznało pierwszą nagrodę członkowi rzeczywistemu Olimp, bogu Apollinowi.  
 - To nie takie straszne - zauważył Grubin. - Najważniejsze to brać udział. Zwycięstwo nie jest takie istotne.  
 - Jak dla kogo - westchnął profesor Minc, patrząc na skrzypiącą maszynę Grubina. - Z Marsjasza żywcem zdarł skórę.  
 - Za co? - Grubin aż zachwiał się z wrażenia. - Przecież i tak wygrał Apollo!  
 - Obawiam się, że to zwycięstwo było trochę wątpliwe... Zresztą bogowie nie kochają walczyć ze śmiertelnym na równych prawach. Dziś Marsjasz się poważy, jutro Iwanow, pojutrze Grubin... No dobra, idę, dzięki za sol.  
 Profesor wstał z krzesła i skierował się ku drzwiom.  
 - Pan też miał jakieś nieprzyjemności? - zapytał Grubin.  
 - Ja nie wynajdowałem perpetuum mobile - odparł Lew Chrystoforowicz nie odwracając głowy.  
 - Lwie Chrystoforowicz! - wykrzyknął Grubin. - Nie ma pan racji! Marsjasze też mają prawo do miejsca na Ziemi. Czynniki społeczny nie pozwoli zdzierać z nich skóry! My też możemy uprawiać nasze skromne ogródki!  
 Lew Chrystoforowicz odwrócił się, uśmiechnął, ale nic nie powiedział.  
 - Ostatecznie nie wypadliśmy sroce spod ogona! - dodał Grubin. W Wielkim Guslarze też tętni myśl twórcza. Wprowadźcie tu zdobyć uznanie niż w centrali, ale nas to tylko mobilizuje do czynu... Aha, nad czym pan obecnie pracuje, profesorze?  
 - Hoduje narybek - odparł Minc.

# Czarny kawior

Kir Butyczow

Nie bacząc na stosunkowo niską cenę konserwatywni mieszkańcy miasta Wielki Guslar niechętnie kupowali efektowne puszerki z barwnym portretem jesiota i napisem „Czarny kawior”. Sokole oko klienta dostrzegało bowiem również wykonany malutkim literkami dopisek „syntetyczny”.

Profesor Lew Chrystoforowicz Minc kiedyś tam czytał o uwieńczonej sukcesem badaniach nad syntetycznym kawioriem i wiedział, że w smaku nie ustępuje on prawdziwemu, a jeśli chodzi o wartości odżywcze - nawet go przewyższa. Przy tym kawior syntetyczny miał być absolutnie nieszkodliwy dla zdrowia. Wcześniej jednak nie udało się profesorowi syntetycznego kawioru spróbować. Dlatego właśnie Lew Chrystoforowicz był jednym z trzech mieszkańców Guslaru, którzy nabyli nowy produkt w drodze kupna.

Wieczorem, przy herbarcie, profesor Minc otworzył puszkę, posmarował kawioriem kanapkę. Ostrożnie odgryzł kawałek, zżuł i doszedł do wniosku, że kawior rzeczywiście ma walory smakowe, jest odżywczy i absolutnie nieszkodliwy. Ale czegoś mu brakuje... Odłożył więc nadgryzioną kanapkę i oddał się rozważaniom nad problemem ulepszenia syntetycznego kawioru. Połemu doszedł do wniosku, że nie będzie się tym zajmował - kawior wynaleźli ludzie na pewno nie głupszy od niego, którzy swe eksperymenty doprowadzili do rozsądnych granic.

- Nie - powiedział głośno. - Konkurować ze sobą nie będziemy. Ale...

Tu wstał od stołu, wziął pincetką ziarenko kawioru, położył na szkiełku przedmiotowym i usiadł przy mikroskopie. Oglądając i preparując ziarenko prowadził dalej głośne rozważania sam ze sobą - było to przyzwyczajenie, będące skutkiem życia w samotności.

Rutyniarze - mamrotal. - Klapki na oczach. Kawior wynaleźli. Jutro wynajdziemy kurze jajko. Co za dziwna maniera kopiować naturę i zatrzymywać się w pol drogi.

Następnego dnia profesor Minc kupił w sklepie zoologicznym nieduże akwarium, nalał do niego wody z dodatkiem różnych środków, postawił elektryczne słoneczko, nad akwarium powiesił lampę rónonową i promiennik ultrafioletu, podłączył czujniki i termometry i zajął się innymi problemami. Po dwóch tygodniach śniła mysli profesora wydała pierwsze owoce.

Ziarenka kawioru - co prawda nie wszystkie - powiększył się zauważalnie i wewnątrz, przez syntetyczną błonkę, z której zmył się nieszkodliwy czarny barwnik, można było zobaczyć zwiniete w kłębuszek embriony.

Po upływie następnego tygodnia, kiedy - rozerwawszy błonki - malutkie, centymetrowe strzałki narybku zakiebiły się w akwarium, uradowany, acz powściągliwy w ocenach profesor udał się nad mały, pod jesień prawie wyschnięty, stawek za cerkwią Paraskewy Piatnicy i wlał do niego zawartość akwarium.

Był jasny, nieco wietrzny dzień wiosenny. Młodziutkie listki dopiero co pojawiły się na brzozech, żabia ikra gronami kolebała się przy brzegu. Minc wyjął ikre ze stawu, a potem, tuląc akwarium do piersi, wyszedł na szosę i zatrzymał wywrotkę.

- Niech mi pan odleje trochę benzyny! - poprosił profesor uśmiechem. - Niedużo, ze dwa litry.

- Czego?!

Zdziwiony kierowca patrzył z góry na tego starszego mężczyznę w zamszowej marynarce, opinającej krągły brzuszec. Mężczyzna podsuwał mu pod nos akwarium i żądał benzyny.

- Mam ogród - powiedział łysy. - Robactwo oblaźło. Truje. Dajcie benzynki.

Otrzymał benzynę (za takie pieniądze, jakby to nie była benzyna, a perfumy „Krasnaja Moskwa”) - profesor wlał do stawku. Zdawał sobie sprawę, że postępuje jak wandal, ale waga eksperymentu była tak wielka, że dobro stawku musiało zostać odsunięte na plan dalszy.

Profesor podkramiał syntetycznie jesiotrzała nie tylko benzyną. Kiedyś Udałow, z dziada pradziada mieszkawiec Wielkiego Guslaru, społkał Minca na peryferiach miasta, gdzie tkalnica szubcznego jedwabiu wpuszczająca do rzeki Gus kolorowe strużki mętnej cieczy. Na oczach Udałowa profesor zaczerpnął ze strużki pełne wiadro i potaszczył je do miasta.

- Co pan robi, Lwie Chrystoforowiczu? - zdziwił się Udałow. - Przecież to ścieki!

- No i świetnie! - odpowiedział wcale nie speszony profesor. - Im gorzej, tym lepiej!

Produkty, które gwiazdnymi nocami profesor Minc wlewał do stawku za cerkwią, był nader różnorodny - a przede wszystkim - podejrzane z wyglądu i obdarzone obrzydliwym zapachem. Ludzie, którzy z przyzwyczajenia chodzili do pracy drogą koło stawku, nie mogli się nadziwić, co dzieje się z malutkim zbiornikiem wodnym i zaczęli obchodzić stawek z daleka. Żaby także z niego uciekły.

Pewnego upalnego czerwcowego dnia, kiedy dalekie powiewy naciągającej burzy poruszały ciężkie od zapachu bzów powietrze, profesor przyprowadził nad stawek swojego przyjaciela, Saszę Grubina. Profesor nioś podrywke i wiadro. Grubin - drugie wiadro.

Na Grubinie stawek zrobił żalosne wrażenie. Trawa na jego brzegach uschła, woda była bura i mętna, bez śladów jakiegokolwiek życia.

- Co się dzieje w przyrodzie - powiedział Sasza, stawiając wiadro na trawie. - Kłeska ekologiczna. Przemysłu w okolicy niby nie ma, a stawek jednak umiera. I pachnie jakos nieprzyjemnie...

- Gdyby pan tu był wczoraj wieczorem... - uśmiechnął się profesor. - Wylałem litr kwasu azotowego, wiadro mazutu i wysypałem woreczek sproszkowanego azbestu.

- Po co? - zdziwił się Grubin. - Przecież sam pan niedawno rwał włosy z głowy nad sytuacją w przyrodzie!

- Rwałem włosy z głowy - to nie to określenie - odpowiedział Minc. - Dla mnie to po prostu tragedia...

- Teraz to już nic nie rozumiem.

Zaraz pan zrozumie - uspokoił go Minc i wyjął z kieszeni paczuszkę, która rozsiewała wyjątkowo paskudny odor. - Zdobylem to z najwyższym trudem - poinformował Grubina - nie chciałem dać...

- A co to znowu?!

- Ach, drobiazg - powiedział profesor i zawartość paczuszki wrzucił do stawku.

I w tym momencie woda w nim zakipiała, jakby wetknął weń rozpłomowany kłosa. Wskazywana potworność rybiska, która nie mogła się w stawku utrzymać, wylała się niemożliwie, rozpaczliwie. Grubin odskoczył.



- Wiadro! - krzyknął Minc, podnosząc z ziemi podrywke. - Niech pan mocno trzyma! Zaczął wylapywać ryby i wrzucać je do wiader. Po trzech minutach były pełne. Klebiły się w nich młode, wylupiaściookie jesiotry.

- Parę sztuk zostawimy tu - zdecydował Minc po zakończeniu operacji. - Dla kontroli i oczyszczenia stawku.

Po drodze do rzeki Guś Lew Chrystoforowicz tłumaczył Grubinowi istotę śmiałego eksperymentu:

- Żulem ten syntetyczny kawior i dumałem: jak stereotypowo myślą nasi Apollinowie. Kawior jest drogi i smaczny. No to wynaleźli tańszy i gorszy. W rezultacie żaden postęp! Bo postęp jest możliwy przy odwadze myślenia, śmiałości zderzania paradoksów. To właśnie moja cecha - cecha prowincjonalnego Marsja-sza. Jeżeli jest syntetyczny kawior, to co z syntetycznymi jesiotrami?

- Nonsens - powiedział Grubin.

- Zgadza się. Nonsens. Pod warunkiem, że nie popatrzyś do wiader, które niesiemy... W porządku, myślałem więc dalej. Być może ja, przy moim wyjątkowym talencie, potrafię wyhodować z syntetycznego kawioru syntetyczne ryby. Ale po co? I tu mnie olśniło! Dla Sprawy!

- Dla jakiej Sprawy? Wodę zatruwać?

- Myślisz niby poprawnie, ale bez połotu - odpowiedział profesor. - Nie truć, ale ratować! Jeżeli wyhoduje syntetyczną rybę, to ona będzie odżywiać się syntetycznym żarciem. Czyli tym, co prawdziwym rybom w stawach i rzekach do niczego się nie przydaje. Głównym surowcem do produkcji syntetycznego kawioru są pochodne ropy naftowej. A czego jak czego, ale tego świństwa jest w naszych zbiornikach wodnych więcej niż trzeba. To wszystko znaczy, drogi kolego, że jeżeli powstanie syntetyczny jesiotr, to będzie się on żywił ropą naftową i innymi paskudztwami, które trafiają do rzek. To genialne odkrycie otworzyło nowe horyzonty... Pozostało tylko znaleźć potwierdzenie



mojej hipotezy w praktyce, ale dochowałem się krępkich rybek, nie tylko z wielkim upodobaniem cpiących mazut i kwasy, lecz także przyzwyczajonych do najobrzydliwszych produktów chemii organicznej i nieorganicznej, jakie trafiają się w zbiornikach wodnych. Rzeczywiście, na pewien czas zatrąłem stawek przy cerkwi. Ale za miesiąc woda będzie w nim czysta jak iza i taka woda będzie też w naszej rzece.

Przyszli na miejsce. Niedaleko od fabryki mebli i tkalni sztucznego jedwabiu, które wzbogacały wodę rzeki smugami ścieków, łączącymi się wdzięcznie z tęczowymi plamami z pobliskiej bazy samochodowej, Grubin - do głębi wstrząśnięty geniuszem profesora - zdjął buty, wlał do wody i wychłusnął wiadro z jesiotrętami.

- Hej! - krzyknęli z mostu siedzący tam smarkacze. - Wędkarze na odwrót! Kto tak robi!

Grubin odebrał od Minca drugie wiadro z podrastającymi rybami potworami i też wychłusnął je do wody. Widac było, jak wyglodniałe ryby rzuciły się na plamy mazutu i strugi ścieków.

W drodze powrotnej Grubin zapytał:

- A jeść się te jesiotry da?

- Niech reka boska broni! - wykrzyknął profesor. - Ale po oczyszczeniu naszych rzek będzie w nich taka obfitość prawdziwych jesiotrów, że kawioru najemy się do upojenia!

- Trzeba by podzielić się doświadczeniami, zawiadomić Moskwę...

- Nie uwierzą - uciął profesor. - Mnie bardzo rzadko wierzą. Niech się najpierw nasze jesiotry wykażą.

Grubin, człowiek o wiele od profesora praktyczniejszy, udał się następnego dnia do redakcji gazety „Sztandar Guslaru”, aby pogadać ze swoim przyjacielem, Miszą Standałem. Ten obejrzał oczyszczony dokładnie w ciągu doby stawek przy cerkwi Paraskewy Piatnicy, popatrzył, jak młode jesiotry z zapalem żrą olej napędowy, którym karmi je Grubin, wpadł w zachwyt i wymusił na redaktorze naczelnym zgodę na opublikowanie - póki sprawa się całkowicie nie wyjaśni - następującej treści ostrzeżenia:

„Uwaga wędkarze!

W ramach eksperymentu wpuszczono do rzeki Guś specjalne urządzenia oczyszczające wodę z ropy i innych zanieczyszczeń. Dla celów praktycznych urządzeniom tym nadano kształt ryb jesiotrowatych, które w rzeczywistości nie występują w naszych zbiornikach wodnych. Jeżeli urządzenie tego typu znajdzie się w sieci lub zostanie złapane na wędke, prosimy o niezwłoczne wrzucenie go z powrotem do wody. Spożywanie takiej ryby grozi ciężkim zatruciem! Urządzenia oczyszczające charakteryzują się wyraźnym zapachem kwasu i nafty”. Kiedy profesor przeczytał notatkę, zauważył tylko:

- Nałwiny! Gdzie mój jesiotr da się złapać na wędke! Dla niego robak to trucizna.

Mieszkańcy Guslaru szybko przywykli do widoku wyrosłych przez lato potężnych rybiszczy, żerujących przy bazie samochodowej czy fabryce. Jesiotrom, które zostały w stawku, także przyszło zmienić miejsce pobytu - przeniesiono je do rzeki, ponieważ karmienie ich stało się zbyt kłopotliwe. A i stawek dawno zrobił się za ciasny.

Pod jesień przyjechała z obwodu komisja, sprawdzająca efektywność oczyszczenia zbiorników wodnych przy użyciu jesiotrów. Komisja była nastawiona sceptycznie. Minc, który tego właśnie się spodziewał, ukreślił z wierzby fujarkę i, nie bacząc na zdumione uśmiešky kolegów, udał się nad rzekę, wygrywając prościutką melodyjkę. Jedynie Grubin domyslił się, że profesor robi za nieszczęsnego Marsjasza.

Rzeka Guś płynęła wśród zieleni, wzbudzając zachwyt kryształową czystością swej toni. Czysta była nie tylko dzięki jesiotrom. Od miesiąca wstrząśnięci bajecznymi rezultatami eksperymentu ge-

neralowie guslarskiego przemysłu przestali wlewać do rzek brudną wodę i inne świństwa.

Dyrektor bazy samochodowej - dawniej zacięty wróg czystości, a teraz honorowy przewodniczący Towarzystwa Ochrony Przyrody - oczekiwał komisji nad rzeką. Na oczach wszystkich napelniał wodą szklankę i podniósł ją ku słońcu.

- O pięć procent czystiejsza niż w Bajkale - oznajmił dyrektor bazy.

- Można sprawdzić laboratoryjnie - dodał po chwili.

- W porządku - odparł przewodniczący komisji. - Doskonale. A gdzie są te rzekome jesiotry?

Na twarzą dyrektora odbiło się zmieszanie, ale był on człowiekiem prawdomównym, więc szczerze odpowiedział:

- Jesiotry się was nie doczekały. Odplynęły.

Profesor Minc smutnie zaświstał na fujarkę.

- To znaczy wcześniej były, a teraz się zmyły? - powiedział przewodniczący komisji.

- Przedwczoraj widziałem ostatniego - odpowiedział dyrektor. - Normalna sprawa.

- Nienormalna.

- Tu już nie było nic do żarcia! To co miały robić?! Szybciutko wpuścił się prawdziwe.

- Taak... - uśmiechnął się przewodniczący komisji. - Były i nie ma...

- Teraz to ich trzeba szukać w Północnej Dżwinie - oznajmił dyrektor. - Posłałszy im nawet ostrzeżenie, żeby nie wytławiali...

- A z Marsjasza zdarli skórę - niezrozumiale dla wszystkich - poza Grubinem - odezwał się profesor Minc.

- To znaczy, że jechaliśmy, traciliśmy czas i państwowe pieniądze - w głosie przewodniczącego słychać było groźbę. - I co zobaczyliśmy?

- Rezultaty udanego eksperymentu - powiedział Minc. - Tak udanego, że jakby go wcale nie było...

- No i woda jest czysta! - wykrzyknął dyrektor bazy samochodowej

- Za to wyrażamy podziękowanie.

Zapadło niezręczne milczenie. Wszyscy zrozumieli, że czas się pożegnać... Bo i co tu da się zrobić?

I nagle z oddali dobiegł warkot motorówki. Dyrektor bazy zmarszczył czoło. W mieście Wielki Guslar ustanowiono niedawno przepis, zabraniający używania motorówek.

Pasażer łódki zobaczył ludzi na brzegu, ostro skreślił i motorówka uiknęła dziobem w mule.

- Lekarza! - zawył z łódki dżentelmen w panamie i dżinsach. - Przyjaciel mi się struł!

- Czym się struł? - zainteresował się Minc.

- Złapałismy wczoraj rybke. Rano się podpiekło...

- A duża była ta rybka? - zapytał typa Minc.

- Nie... Skąd... Nieduża.

- Jesiotr?

- A skąd pan wie? - dżentelmen w panamie nagle spłoszył się i zaczął wycofywać w stronę dzioba motorówki, wyraźnie zamierzając odbić od brzegu.

- Miała tak z półtora metra? - zapytał domyślnie dyrektor bazy. - Głuszyliście dynamitem?

- Ludzie! Nie bądźcie małostkowi! Tam człowiek kona!

- Żeby nie poczuć zapachu kwasu i nafty - głosem pełnym zadumy powiedział Minc - trzeba zażyć potężną dawkę alkoholu...

- Ależ my troszeczkę...

- Tak więc, szanowna komisjo - zaproponował dyrektor od samochodów - namawiam do podjęcia wycieczki na miejsce postoju tych kłusowników i zaznajomienia się z doczesnymi szczątkami syntetycznego jesiotra, który niestety nie zdołał daleko odpłynąć od swego rodzinnego gniazda. Po drodze zabierzemy lekarza i milicjanta...

- Tam została tylko głowa - z przerażeniem wymamrotał typ. - Mysmy ją zakopali.

- Wystarczy głowa - przerwał mu dyrektor.

Członkowie komisji wahali się.

Marsjasz spokojnie grał na fujarkę.

- Nie musimy tam jechać - powiedział Sasza Grubin. - Nie musimy.

I wskazał palcem na rozlewającą się za rufą łódki benzynową plamę.

Nagle wszyscy zobaczyli, jak ogromne rybsko z długim, odrobinnie zadartym pyskiem, pożera ową plamę, szeroko otwierając paszczę.

- No i co? - zapytał Grubin, wpadając wieczorem do profesora. - Nie zdarli skóry?

- Co się odwiecze, to nie uciecze - z filozoficznym spokojem odpowiedział Minc.

## KIRYŁ BULYCZOW

Kiryl BULYCZOW to pseudonim radzieckiego uczonego - kandydata nauk historycznych Iwana Możajko. Z zawodu jest specjalistą w dziedzinie historii Dalekiego Wschodu, autorem wielu prac z dziedziny historii Birmy, z zamówienia - pisarzem fantasty. Pierwsze utwory SF pióra Kiryla Bulyczowa ukazały się na łamach radzieckiej prasy w 1965 roku. W roku 1970 Bulyczow wydał pierwszą książkę SF „Poslednaja wojna”. Dziś jest już szeroko znanym autorem kilkunastu książek, spośród których cztery: „Ludzie jak ludzie”, „Podróże Ahoj!”, „Żuraw w garści” i „Rycerze na rozdrożu” ukazały się w przekładzie polskim. Obok braci Strugackich Bulyczow jest zaliczany dzisiaj do najbardziej znanych radzieckich twórców SF. Książki jego autorstwa zostały przetłumaczone na wiele języków i ukazały się między innymi w RFN, Francji i USA. Od lat pisarza łączy bardzo serdeczne stosunki z naszym krajem. Odwiedzał go kilkakrotnie. Był gościem honorowym organizowanych przez OKMFISF Międzynarodowych Seminariów Klubów i Miłośników SF „Orbity przyjaźni” w 1978 roku w Warszawie i w 1980 roku w Krakowie.

# Dwie metody teleportacji

Kir Bułyczow

**L**ew Chrystoforowicz Minc zawsze miał słabość do orkiestr detych. Orkiestra deta w mieście Wielki Guslar była na wysokim poziomie, o czym świadczy fakt, że nawet w Wologdzie dostała dyplom.

W soboty, kiedy orkiestra występuje w muszli koncertowej, profesor Minc rzuca pracę i idzie do parku rozkoszować się muzyką, która przypomina mu młode lata. Czasami przyłączają się do niego Sasza Grubin czy emeryt Łożkin, także będący wielbicielem solidnych tang i walców o falach Amuru. Tej soboty Mincowi i Grubinowi się nie poszczęściło. W mieście panowała niewielka epidemia grypy, przez co orkiestra na pewien czas została pozbawiona kłarnecistów i specjalistów od gry na perkusji. Trzeba było tych artystów wypożyczyć z zespołu jazzowego, który grał zwykle w restauracji „Wielki Guslar”. Wdarłszy się do orkiestry młodzieńcy ci burzyli wszelkie tradycje, spiesząc się i wybijając z rytmu tubę i litaury, co spowodowało, że w walcu „Na sopkach Mandżurii” pobrzmiwało jakieś synkopowe lekkoduchostwo. Pełni goryczy koneserzy odeszli od estrady i przysiedli na niebieskiej ławeczce nieopodal kiosku z piwem. Wysokie stoliki dla piwożłopów – jak bez cienia szacunku nazywał ich stary Łożkin – oddzielone były od ławeczki krzakami bzu.

Profesor i Grubin milczeli, pogrążeni w myślach o nauce, sensie życia i innych ważkich problemach, gdy nagle zza krzaków dobiegła ich rozmowa.

Godny basowy głos mówił:

- Pij, Tiupkin, pij, nie krepuj się. Dzisiaj jest mój wielki dzień.

- A co, Edwardzie, masz pomysł, czy coś ci wyszło?

- Mam pomysł.

Za krzakami zapadło milczenie. Widać było, że piwo.

- A jaki? – rozległo się po pół minucie. Tiupkin miał głos cichy i delikatny.

Radykalny – odpowiedział Edward. – Postanowiłem przerzucić parę rzeczy na odległość. Na przykład do Saratowa.

- Oho – cichutko szepnął Grubin.

- Zawsze pana szanowałem, Edwardzie, ale to jest chyba niemożliwe – wyszeptał Tiupkin.

- Śmiały lot myśli nie zna granic ni kordonów – odpowiedział skromnie Edward.

- I zamierza pan ten wynalazek wdrażać?

- Daj mi miesiąc – odparł Edward. – W ciągu miesiąca rozgryzę ten problem jak orzech. A na razie – szal – Sam rozumiesz, wszędzie tylu nieżyczliwych zawistników...

- Jasne, Edwardzie, jasne... – zgodził się Tiupkin.

Kuśle brzękneły o stolik, rozległy się kroki i już z pewnej odległości doszedł podstuchujących głosik Tiupkina:

- A w jaki sposób dowiem się o sukcesie pńskiego doświadczenia?

- Za miesiąc, w tym samym miejscu – odpowiedział Edward. – I o tej samej porze. Powiem wtedy – udało się czy nie.

Przez pewien czas profesor Minc i Grubin siedzieli wstrząśnięci. Pierwszy oprzytomniał Grubin.

- No nie! Obłędna liczba geniuszy, jak na takie małe miasteczko! Wbrew prawom statystyki. I do tego jeszcze go nie znam!

Ja też go nie znam – powiedział profesor. – Nigdy nie słyszałem tego głosu. Ale rzecz nie w liczbie geniuszów. Rzecz w tym, że transmutacja czegokolwiek materialnego na odległość jest niemożliwa.

- Dlaczego? – zainteresował się Grubin.

Bo gdyby było inaczej, dawno by to już ktoś wynalazł.

To był argument. Trudno było Grubinowi z nim się spierać. Przy czym na spor wcale nie miał ochoty. Głęboko szanował profesora Minca jako człowieka i jako wielki umysł.

Ale jeżeli... – podjął bez przekonania.

- Jeżeli to jest możliwe, to wynajdę to ja! Choćby dlatego, żeby dowiesć samemu sobie wyższość solidnej wiedzy nad dyletan-tyzmem Posiadam metodologię...

- Ale przypuszczamy, że ten Edward ma talent...

Możemy przypuścić – powściągliwie zgodził się profesor i pośpieszył do domu.

**L**ew Chrystoforowicz w ciągu następnych dni dosłownie przepadł. Rano gnał do sklepu po kefir, potem odwiedzał pocztę, gdzie odbierał przysyłane z Moskwy rzadkie urządzenia i czeski, i z powrotem pedził do swego gabinetu-laboratorium. Gdybyście przeszli po korytarzu, usłyszeliście, jak profesor mruczy, dyskutuje sam ze sobą i z niewidzialnymi oponentami.

Tak minęły dwadzieścia cztery dni. Wszyscy mieszkańcy domu przy ulicy Puszkina 16 znali przyczynę, dla której Minc wybrał życie pustelnika – Grubin wszystko doniósł. Czekali z niecierpliwością rezultatów zaocznych zmagani dwóch tytanów – nieznanego Edwarda i powszechnie lubianego Lwa Chrystoforowicza. Grubin z Udałowem chodzili nieraz pod kiosk z piwem, ale nikogo podobnego do Edwarda i Tiupkina nie spotkali. Doszli więc do wniosku, że Edward również porzucił świat dla swego laboratorium.

Dwudziestego piątego dnia profesor wynurzył się z gabinetu i udał na podwórko, gdzie jego sąsiedzi graли w domino, oświetleni czerwonożłotymi promieniami zachodzącego słońca. Gracze zamarli, wpatrując się w poszarzałą z wysiłku umysłowego twarz Lwa Chrystoforowicza.

- No i co? – przerwał dramatyczną ciszę Udałow.

Profesor westchnął, nie był bowiem nadmiernie skromny.

- Trzeba będzie jeszcze popracować? – zapytał Grubin.

- Trzeba będzie – odrzekł profesor. – Chodźcie do mnie.

Na środku pokoju stało dziwaczne urządzenie. Na dwóch końcach poziomego stojaka, opalanego kablami przyrządów i przewidywalnie umocowanymi płytkami drukowanymi, wspierały się niewielkie platformy.

- O to odległość – wyjaśnił profesor – na którą mogę przesłać materię. Taki jest stan na dzień dzisiejszy.

Wziął ze stołu butelkę kefiru, włączył prąd i nacisnął kilka guzików. Urządzenie glucho zabrzęczało i butelka zniknęła z platformy, pojawiając się natychmiast na drugiej.

Rozległy się huczne oklaski. Grubin i Udałow gorąco gratulowali profesorowi fundamentalnego dla nauki odkrycia.

- Dzisiaj metr – powiedział Udałow – a jutro – na Księżyc!

- Ma pan oczywiście rację – zgodził się Minc. – Ale do Saratowa jeszcze kawał. Nawet sobie przyjaciele nie wyobrażacie, ile na to potrzeba energii!

- Z tego wynika, że Edwardowi też nic nie wyjdzie – zamyślił się Grubin. – W tej sytuacji pan jest Apollinem, Lwie Chrystoforowiczu.

- A on Marsjaszem? – Lew Chrystoforowicz popatrzył na zakurzoną fajarkę, walającą się po parapecie. – Nie, nigdy nie zdarzyłbym skóry z człowieka, który życie poświęcił nauce. Nawet jeśli się myli, jeśli przerecił swe siły. Niech śmiało kroczy naprzód.

- Mogę spróbować? – spytał Udałow.

- Bardzo proszę – pozwolił profesor. – Tę dźwignię niech pan przesunie w pobliże zera, a ten klawisz naciśnie, ale nie do końca.

Udałow podszedł do urządzenia, ale nie wytrzymał, dźwignię przesunął poza punkt zerowy, a klawisz wduśił do oporu. Butelka znikła, ale nie pojawiła się na drugiej platformie. Za to z podwórka rozległ się brzęk i wściekły ryk.

Stał tam obłąkany od stop do głów kefirem emeryt Łożkin i jakby się na coś złoscił.

Trzeba go było przeprosić i w ramach rekompensaty pozwolić mu na teleportację własnego zegarka.

- Zrobimy większą dźwignię – zdecydował Udałow – i jutro dojdziemy do stu metrów.

Nie był wcale zmieszany i nie miał poczucia winy Uczestniczył. A życzliwy ludziom Sasza Grubin poleciał do sklepu po kefir, żeby profesor miał coś do picia na rano.

**N**apiercie rosło. Zbliżał się dzień, w którym pod budkę z piwem przybyć miał rywal profesora. Jak on się trzyma? Co z Saratowem? A może się nie udało? A może fiasko?

Z jednej strony wszyscy chcieli fiaska. Człowiek istota słaba i patrioci domy przy Puszkina 16 życzyli zwycięstwa swemu profesorowi. Z drugiej strony wrodzone poczucie sprawiedliwości mówiło im, że zwycięstwo powinno należeć do nieznanego samouka.

Dokładnie w miesiąc po przypadkowym podsłuchaniu rozmowy w parku Minc, Grubin i Udałow przyszedli pa tę samą niebieską ławeczkę. Był przyjemny ciepły wieczór i po piwo ustawiła się kolejka. Sąsiedzi podeszli do pierwszego stolika z brzęgu. Stał przy nim nieduży, zgarbiony facet, samotnie pijący piwo.

Tiupkin? – zapytał Udałow.

Nazywam się Tiupkin – przytaknął tamten lekliwie. – Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Edward przyjdzie?



Tiupkin zamrugał nerwowo, ale nic nie odpowiedział.  
- Spokojnie - powiedział Grubin. - Do pana nic nie mamy. Potrzebny nam Edward. A właściwie nie tyle on, co jego odkrycie.

- Ja tam nic nie wiem! - pisał Tiupkin. - To nie moja sprawa!  
- Nieprawda - powiedział Udałow. - Edward wyznaczył tu panu spotkanie na okoliczność swojego pomysłu o przesyłaniu różnych rzeczy na odległość. A dokładnie - do Saratowa. Jesteśmy ciekawi, czy mu się to udało.

Małutki Tiupkin nagle skoczył i rzucił się w krzaki przy estradzie.

Tak w ogóle to poważnym ludziom nie bardzo przystoi uganiać się po parku za jakimś Tiupkinem, ale tym razem szło o wynalazek na skalę światową. I dlatego należało się uganiać.

Dopadli Tiupkina na brzegu rzeki, gdzie usiłował schować się pod ławkę.

- I po co to - perswadował Udałow, wyciągając człowieka spod owej ławki. - Tylko się przyznaj i idź z Bogiem. Nie chcemy twojej krzywdy.

- Chocicie! - zaszczekał zębami Tiupkin. - Ale ja nic nie wiem. Ja tylko tak z nim gadalem. Prawie człowieka nie znam...

- Spokojnie - zmarszczył czoło Grubin - wszystko po kolei.

- Jak było po kolei, to zapytajcie na milicji - powiedział Tiupkin. - Dzisiaj go wzięli. Zaraz po obiedzie.

- Co?! Takiego uczonego!? - profesorem Mincem aż zatrzęsło ze słusznego gniewu. - Gdzie go trzymają? Zaraz go słamład wyciągniemy!

- Nie wyciągniecie - powiedział Tiupkin. - Złapali go na gorącym uczynku. Akurat wysyłał ze swojego magazynu takie różne rzeczy do Saratowa.

- Z magazynu...? - Udałow nachmurzył się. Zaczęło do niego docierać, że padli ofiarami tragicomicznej pomyłki.

- A niby skąd? - powiedział Tiupkin. Był magazynierem. Kradł, co mu wpadło w ręce. Paskudny typ, ale z rozmachem.

Wracając do domu sąsiedzi żywo dyskutowali niedawne wydarzenia i Grubin zauważył:

- Nie będę protestował, jeżeli z tego akurat Marsjasza zedrą skórę. Ale w sumie odegrał pozytywną rolę w rozwoju nauki.

- Słusznie - zgodził się Udałow. - Gdyby nie on, Lew Chrystoforowicz nie wzięby się za te eksperymenty.

- A to dlaczego? - obraził się nagle profesor. - Pomysł leżał na ulicy. Stamtąd go wzięłem i zmaterializowałem. Gdyby problem teleportacji nie tkwił głęboko w mojej podświadomości, od razu bym się połapał, z kim mamy do czynienia.

W tym momencie z nieba na ulicę spadł kociak, miauknął i rzucił się do ucieczki.

- Pedem do domu! - wrzasnął Udałow. - Niepełnoletni Gawryłow wdarł się do pana gabinetu! Jeżeli go nie powstrzymamy, teleportuje wszystko, co jest w pokoju!

I sąsiedzi pocwałowali do domu.

## Timeo Danaos...

Kir Bułyczow

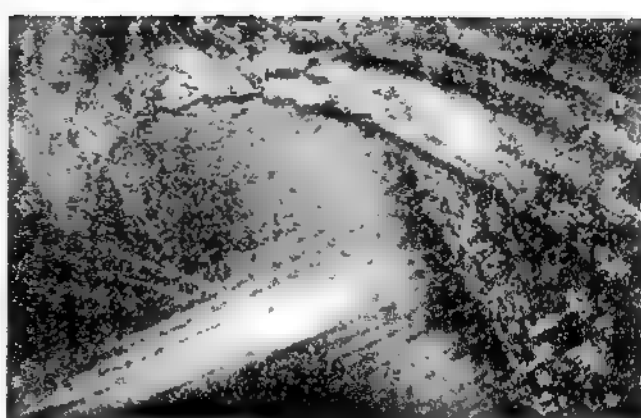
Pewnego wrześniowego piątku w okolicach godziny siedemnastej spadł deszcz. Ochłodziło się. Udałow wracał właśnie z pracy i mocno żałował, że nie wziął parasola. Przeczekiwanie deszczu nie miało sensu - najwidoczniej zaciągnęło się na długo - i lepiej było trochę zmoknąć, ale jak najszybciej dotrzeć do domu przy Puszkina 16.

Kiedy Udałow przebiegł przez plac, usłyszał nad sobą jakiś huk, podniósł głowę i w ten sposób stał się pierwszym mieszkańcem Wielkiego Guslaru, który zobaczył, jak na plac opada Konstrukcja.

Chmury przysłoniły statek kosmiczny i problem, czy zbliżył się on do Guslaru, czy tylko upuścił Konstrukcję, pozostał nierozwiązany.

Ledwie Udałow zdążył uskoczyć w stronę muzeum, gdy Konstrukcja ciężko gruchnęła na asfalt. Asfalt nie wytrzymał i promieniscie popękał.

Udałow z zapartym tchem przyglądał się Konstrukcji. Nie wyglądała sympatycznie. Z centralnego słupa służyły pod ostrymi kątami osie i sworznie, pełne koł i łałek, które, gdy tylko



A Sokolow

Konstrukcja znieruchomiła, zaczęły obracać się z rozmaitymi prędkościami. Konstrukcja cała była czarna, tylko gdzieś tam przeblyskiwał metal. Miała około pięciu metrów i cicho, ale przenikliwie brzęczała.

Udałow zapomniał o deszczu, zastanawiając się, czym z grubsza jest ta Konstrukcja i w jaki sposób może zagrozić ludności miasta Wielki Guslar. Niczego jednak nie mógł wymyślić z tej prostej przyczyny, że coś takiego widział po raz pierwszy w życiu. Wyrywały go z zadumy zdziwione głosy zgromadzonych na placu guslarzan. Błyskawicznie zbiegła się kupa narodu i przybyły na miejsce wypadku sierżant milicji Pierepielkin odgrodził środek placu sznurem na słupkach, żeby nikt nie zbliżał się do Konstrukcji przed przybyciem uczonych.

Pierwsi naukowcy ścigneli helikopterami już wieczorem, reszta, mniej operatywna, dobiła nad ranem autobusami i służbowymi samochodami. Od tego momentu plac zaroił się od specjalistów wszelkich możliwych dziedzin nauki. W dodatku trzeba było chronić Konstrukcję przed ciekawością gapiów i turystów. Jednak mimo surowych zakazów i szczelnej ochrony, trzeciego dnia na metalu Konstrukcji pojawiły się dwa napisy. Jeden z nich komentował krótko osobiste stosunki jakiegoś Pieti z jakimś Lusią, a drugi był jeszcze bardziej lakoniczny: „Byliśmy tu. Kola, Ira i Szliapikow z Syzrania”.

Ponieważ metalu Konstrukcji nie można było zarysować żadnym świdrem ani wiertłem, pozostało słodką tajemnicą Pieti i Szliapikowa z kolegami, w jaki sposób udało im się uwiecznić swe imiona na powierzchni Konstrukcji. Poszukiwania Szliapikowa trwały.

Kiedy uczeni oglądali, mierzyli i drapali Konstrukcję, w domu przy ulicy Puszkina 16 prowadzono gorące dyskusje na jej temat. Rozważano, dlaczego mianowicie i w jakim celu zrzucono Konstrukcję z Kosmosu i czy stanowi ona zagrożenie dla Ziemi - w ogóle, i dla Wielkiego Guslaru - w szczególności.

Romantycznie nastawiony do rzeczywistości Udałow przemierzał krótkimi, energicznymi krokami zagracony gabinet profesora Minca i perorował:

- Podstawowe uczucie w Kosmosie - to pragnienie współpracy, przyjaźni. Spotkałem się z kilkoma Kosmutami, mało który był do nas nastawiony negatywnie.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - zauważył znany sceptyk, emeryt Łożkin.

- W tym powinien być jakiś cel... - zamyslił się profesor Minc, przyglądając się uważnie fotografii Konstrukcji. Nie można jej było obejrzeć w naturze, ponieważ uczeni dla ochrony przed turystami przykryli Konstrukcję brezentową kopułą, służącą dawniej jako namiot przyjeżdżającym do miasta cyrkom.

- Dlaczego zrzucili na Ziemię tę paskudną dla naszego nieprzywykłego oka Konstrukcję? - ciągnął Udałow. - Mieli tylko jeden cel: wzbogacić nas.

- Wzbogacić? - spytał Grubin. - Jeżeli wzbogacić, to o co?

- O zdobycze postępu kosmicznego.

- Bzdura - powiedział profesor Minc. - Jak ja mam kogoś o cokolwiek wzbogacać, to przyczepiam do urządzenia jakąś karteczkę z wyjaśnieniem. W zrozumiałym języku. Po diabła nam wzbogacenie, jeżeli nie mamy pojęcia, o co nas wzbogacają?

- To to chodzi! - krzyknął radośnie Udałow. - Tu właśnie jest pies pogrzebany! Na pierwszy rzut oka - bzdura, a tu wszystko precyzyjnie przemyślano. Wystawcie sobie: siedzą na tej swojej planecie nasi wyżej zorganizowani bracia w rozumie i myślą: dorosła już Ziemia do poziomu cywilizacji kosmicznej? Można jej zaproponować galaktyczną współpracę? I jak znaleźć odpowiedź na takie pytania?

- Przyjechać i zapytać - powiedział Grubin.

Zapytają ciebie, a czy ty jesteś obiektywny? Sfalszujesz cały obraz.

- Przecież ja nie kłamie - zaperzył się Grubin.  
 - Wprowadzisz w błąd. Każdy z nas wprowadzi w błąd. Przy tym jesteśmy niedoinformowani. Ja na przykład nie śledzę ostatnich osiągnięć mechaniki teoretycznej. Być może Lew Chrystoforowicz... Ale i on... No, spróbuj znaleźć kogos miarodajnego.  
 - Aha - powiedział Minc. - Takiego niełatwo znaleźć.  
 - I tu przysyłała nam Konstrukcję. Takiej jeszcze nie widzieliśmy. I tę właśnie Konstrukcję powinniśmy rozszyfrować i uruchomić. To nieważne, do czego ona służy: może sadi drzewa, może kopie dotki w ziemi, wszystko jedno. Ale oni siedzą i przyglądają się nam: sprawdzimy się, czy się nie sprawdzimy? Sprawdzimy się - wszystkie drogi rozwoju naukowego i gospodarczego staną przed nami otworem. Nie sprawdzimy się - przyjdzie jeszcze ze sto lat poczekać...  
 Wszyscy się zadumali. Idea Udałowa brzmiała pociągająco. Coś w niej było... Tylko uparty Łożkin zauważył:  
 - To w końcu po co spuścili ją nam? Powinni byli dać ją do Moskwy albo Paryża. Tam są specjaliści i miasta większe.  
 - Nie masz racji, Łożkin - powiedział Udałow. - Droga losowania wybrali najwzrostniejszą miasto i najwzrostniejszych ludzi. Zresztą, co to zmienia, że to nie Moskwa. Spójrz tylko na hotel - zabity członkami Akademii, po trzy sztuki w jednym łóżku spi.  
 - Rozumiem - wyszeptał Minc. - Wszystko zrozumiałem...  
 Podniósł się, podszedł do okna, wziął z parapetu własnoręcznie wykonaną fujarkę, wetknął ją do kieszeni zamszowej marynarki, powiodł pełnym zadumy wzrokiem po obecnych i wyjaśnił:  
 - Konstrukcję spuszczone właśnie tutaj, ponieważ tamci wiedzą, że w tym miasteczku mieszkam ja. A pytania zostały zadane mnie - skromnemu Marsjaszowi. Niestety, całe zebrane stadko Apollinów jest tu bezsilne.  
 Mówiąc to profesor wyszedł z pokoju, a Udałow zapytał:  
 - A ten Marsjasz, to kto?  
 - Bog wojny - wyjaśnił Łożkin. - Tylko on siebie przecenia. Tamci to akademicy, a on kto? Prostý profesor.  
 - Marsjasz też był tylko prostym satyrem, grającym na fujarce - powiedział Grubin. - Apollo obdarł go za to ze skóry.  
 - Aż tak niedobrze! - zdenerwował się Udałow. - Ojej!

**A**kademicy Konstrukcję obmierzyli, zbadali, nawet się do niej przyzwyczaili, ale za nic nie mogli dojść do żadnych wniosków. Minc prawie ich nie zauważał, choć z niejednym razem studiował na Uniwersytecie. Myślał.

Konstrukcja spokojnie stała na placu, poskrzypując z cicha pod brezentowym namiotem, emeryt Łożkin obchodził ją z daleka, ponieważ nie miał zaufania do niosących dary Danaów, a Lew Chrystoforowicz zbudował w zaciszu gabinetu dwadzieścia modeli Konstrukcji i spędzał bezsenne noce na przyglądaniu się im i rozmyślaniu, do czego to właściwie może służyć.

I kiedy po miesiącu dowiedziawszy się o Konstrukcji wszystkiego, czego można się było dowiedzieć i nie doszedłszy do żadnych wniosków, poza stwierdzeniem, że jest to przedmiot nieznanego pochodzenia i przeznaczenia, akademicy zebrali się pod cyrkowym namiotem na ostatnią naradę, wkroczył na arenę profesor Minc z ogromną walizą w ręce. Dopóki członkowie Akademii dzielili się końcowymi spostrzeżeniami, siedział spokojnie pod ścianą i obracał w palcach fujarkę. Potem poprosił o głos.

- Szanowni koledzy! - powiedział. - Nie ujmując niczego waszej erudycji i szlachetnemu pedowi do wiedzy, chciałem zwrócić waszą uwagę na pewien błąd metodologiczny, którego ofiarą padliście kolektywnie. A priori uznaliście Konstrukcję za nieznaną, zagadkowy przedmiot, nie mający praktycznego zastosowania. Ja zaś uważam, że Konstrukcja jest wyzwaniem, rzuconym naszemu intelektowi, naszej wynalazczości i rozumowi. Skoro nie została tu zrzuciona przypadkowo, obowiązkiem naszym jest przyjąć to wyzwanie. Wście się od tego uchylili. Więc cały ciężar problemu przyszło mi wziąć na swoje barki.

Wygłoszwszy owo przemówienie profesor Minc otworzył walizę, a akademicy powściągliwie wyrazili swoje nieukontentowanie nader pewnym siebie tonem i manierami swego prowincjonalnego kolegi.

Lew Chrystoforowicz wyciągnął kilkanaście modeli Konstrukcji - tak od trzech centymetrów do pół metra - i położył je na asfalcie obok ich olbrzymiego prototypu.

- Koledzy - powiedział. - Odkryłem, że nasi kosmiczni egzaminatorzy okazali się o wiele chytrzejsi, niż na początku podejrzewałem. Konstrukcję da się praktycznie wykorzystać nie na jeden, a na co najmniej dwadzieścia sposobów.

Profesor ujął najmniejszy modelik, zgrabnie wyciągnął z kieszeni igłę z nitką, wetknął ją w model i, na oczach oszołomionych akademików, błyskawicznie zacerował tym urządzeniem dziurę w kurtynie, przy której jeszcze niedawno ustawiali się uniformiści.

- To - wyjaśnił - równa się rewolucji w przemyśle włókienniczym.

Nie mnie dziękujcie. Dziękujcie naszym kosmicznym braciom.

Mówiąc te słowa wziął do ręki drugi model.

Przedstawiam panom - oznajmił - rewelacyjne nożyce do strzyżenia owiec.

Wybrał z dostojnego grona chlube nauki obdarzoną nader bujną czupryną i przesunął model Konstrukcji nad głowę uczzonego kolegi. Kolega ujrzał się nagle ostrzyżonym na zero, od czego popadł w głęboką dystrakcję.

- Dalej - powiedział Minc, odkładając model drugi i biorąc się za trzeci - widzimy coś w rodzaju mechanicznego kreta, niezwykle przydatnego przy budowie rurociągów.

Lew Chrystoforowicz położył model na ziemi, nacisnął go, a ten z zapalą wgrzył się w asfalt, znikając wszystkim z oczu, aby po piętnastu minutach pojawić się na powierzchni w odległości jakichś stu metrów od Minca.

- A teraz... - mówił Minc, podnosząc czwarty model...

Taka nieprawdopodobna erupcja talentu wynalazczego kompletnie odjęła członkom Akademii zdolność mówienia. Krótko mówiąc - zatkło ich. Pod cyrkowym namiotem zapadła grobowa cisza. Nagle nad głowami zebranych rozległ się głuchy ryk. Minc zamarł. Członkowie Akademii zerwali się na równe nogi. Sierżant milicji, Pierepiełkin wpadł do namiotu i krzyknął:

- Stalek kosmiczny nieznanego konstrukcji!

Wszyscy wybiegli na zewnątrz, obserwując, jak podobny do jaskrawo pomalowanego dziennego baka pojazd kosmiczny ostrożnie lądował na placu.

Z tłumy wystąpił Minc. Nikt nie ośmielił się zatrzymać go w godzinie galaktycznego święta. Uśmiechając się zagadkowo, profesor kreślił w palcach fujarkę.

Luk otworzył się. Wyszedł z niego kosmita w stroju dość niedbalym, a do tego jeszcze bosy. Uprzejmie skłonił się zebranym, rozejrział się i zapytał:

- Gdzie?

- Tam! - odpowiedział Minc, wskazując cyrkowy namiot.

- Ach, tak! - powiedział przybysz i wykonał niewielki ruch palcem wskazującym. Namiot znikł i natychmiast pojawił się - schludnie złożony - w odległości mniej więcej stu metrów od Konstrukcji.

- To niepotrzebne - oznajmił gość z innej planety. - Ona nie boi się deszczu i zimna. To rzecz nie do zdarcia. Ale w każdym razie dziękuję.

Przybysz przechylił głowę i przyjrzał się Konstrukcji. Potem przeniósł wzrok na profesora Minca, który wyjął z kieszeni małą model, mający stanowić rewolucję w przemyśle włókienniczym.

- Zuch! - powiedział z uśmiechem kosmita. - Podobna... Bardzo podobna. Pan jest kopistą?

- Nie. - Minc też uśmiechnął się w odpowiedzi. - Swego rodzaju racjonalizatorem.

- No, no... - powiedział przybysz. - Myślałem, że ja stąd zabiorę.

Potem wyjaśnił:

- Popelniono pomyłkę. Poczciarze mieli ją dostarczyć na Sperlakide, a zrzucili w innym sektorze. Pomyślałem, że ja wezmę i postawię, gdzie trzeba. A tu okazało się, że wam się spodobała. Robicie kopie, trzymacie na placu pod brezentem. Bardzo dziękuję!

- Wyczuwamy sprawę - powiedział Minc.

- Czucie Sztuki to wielki dar Kosmosu - przyznał przybysz. - Oddałem tej rzeźbie dwa lata życia!

Minc po cichutku schował do kieszeni małą model Konstrukcji. Osmyszony akademik znacząco chrząknął. Kosmiczny rzeźbiarz omiotł plac wzrokiem i powiedział:

- Ale myśleć kategoriami wielkich form toście się jeszcze nie nauczyli. Zaraz to naprawimy!

Jednym ruchem palca przeniósł cerkiew Paraskewy Piatnicy na przeciwny brzeg rzeki Guś, drugim - usunął z placu zabytkowy gmach muzeum. Trzeci ruch palca unicestwił stary zajazd. Teraz już nic nie przeszkadzało mieszkańcom Wielkiego Guslaru w podziwianiu Konstrukcji z każdego punktu miasta...

A potem wziął i odleciał.

**K**onstrukcja stoi na placu po dziś dzień. Właściwie mało komu się podoba, ale oddać na złom kosmiczny dar jakoś niezrecznie.

Tylko profesor Minc swoją samodzielnie wykonaną fujarkę wrzucił do rzeki Guś.

Przełożyła Anita Tyszkowska



Nie było czasu na dalsze rozmowy, czulem, że z każdą chwilą słabnę coraz bardziej i już z trudnością panuję nad swym umysłem. Upadłem na kolana i skupiając resztkę woli wysłałem dziewięć fal myślowych w stronę tych straszliwych drzwi. Marsjanin podczołgał się ku mnie i w smiertelnej ciszy, z oczyma wlepionymi w płaszczyznę przed nami czekaliśmy na efekt moich wysiłków. Drzwi drgnęły i zaczęły się powoli cofać. Usiłowałem wstać i pójść w ślad za nimi, ale byłem zbyt słaby.

Idź za nimi – powiedziałem do mego towarzysza. – Jeśli uda ci się dotrzeć do pomp, odkrec je wszystkie. Jest to jedyna szansa na to, by jutro Barsoom jeszcze istniał.

Z miejsca, w którym leżałem, otworzyłem drugie drzwi, a potem trzęcie i patrzyłem, jak człowiek, który uosabiał nadzieję Barsoomu przeczolguje się przez nie z wysiłkiem. Potem wszystko pociemniało i straciłem przytomność.

## Pieczara w Arizonie

Gdy znow otworzyłem oczy, wokół panowała ciemność. Na ciele miałem dziwne, sztywne szaty – szaty, które kruszyły się i rozsypywały w proch przy każdym poruszeniu. Przeciagnałem dłońmi wzdłuż ciała i stwierdziłem, że jestem ubrany od stop do głów, mimo że w chwili, w której straciłem przytomność przed małymi drzwiami, byłem całkowicie nagi.

Przed sobą zauważyłem nierówny otwór, przez który przeswitywało słabe światło księżyca. Moje ręce, wędrujące po ciele, natrafiły na kieszenie i znalazły małą paczkę zapalek, owiniętą w naolwiony papier. Polarłem jedną z nich. Nikły płomień oświetlił coś, co zdawało się być dużą pieczarą. W jej głębi zauważyłem dziwną, nieruchomą postać, skuloną na małej ławce. Podeszedłem bliżej i stwierdziłem, że były to zmumifikowane zwłoki starej kobiety o długich czarnych włosach, pochylone nad pozostałościami paleniska, na którym stał miedziany kociołek z małą ilością jakiegoś zielonego proszku na dnie.

Za nią, wzdłuż całej pieczary, na podwieszonym u pulapu rzemiennym pasie wisiały ludzkie szkielety. Do rzemienia przywiązany był sznur, którego drugi koniec tkwił w dłoni martwej kobiety. Gdy go dołknąłem, szkielety poruszyły się, wydając odgłos, podobny do szelestu zwidłych liści.

Był to groteskowy, a jednocześnie pełen grozy widok. Czym prędzej uciekłem z tego makabrycznego miejsca na świeże powietrze. Widok, który ujrzałem, gdy wyszedłem na małą, skalną polkę przed wejściem do pieczary, zaskoczył mnie i skonstronował.

Przed sobą widziałem nowe niebo i nowy krajobraz. W oddali srebrzył się lancuch gór, na niebie wisiał niemal nieruchomy księżyc, oświetlając leżącą u moich stop, porośniętą kaktusami dolinę – widok zupełnie różny od tych, do których przywykłem na Marsie. Przypomniałem sobie wszystko i złapawszy się za głowę, złamany i pełen smutku, poszedłem w dotychczasową drogę, zaczynając się u wejścia do pieczary.

Nadzie mną błyszczało czerwone oko Marsa, odległe o czterdzieści osiem milionów mil, slarannie ukrywające odpowiedź na dręczące mnie pytania.

Czy Marsjanin dotarł do pomieszczenia, w którym znajdowały się pompy? Czy ożywcze powietrze zostało dostarczone na czas, by uratować mieszkańców tej odległej planety? Czy moja Dejah Thoris żyła, czy też jej piękne ciało, ogarnięte chłodem śmierci spoczywało obok małego inkubatora w ogrodzie na dziedzińcu pałacu Tardos Morsa, jeddaka Helium?

Przez dziesięć lat czekałem i modliłem się o odpowiedź na moje pytania. Przez dziesięć lat czekałem i modliłem się, by Bóg pozwolił mi wrócić do świata mojej utraconej miłości. Wolałbym leżeć martwy obok Dejah Thoris, niż żyć na Ziemi, oddalony od niej o miliony straszliwych mil.

Stara kopalnia, którą zastałem niekniętą, uczyniła mnie bardzo bogatym, lecz cóż mi po majątku!

Dzisiaj gdy siedzę tutaj, w moim małym gabinecie, którego okna spoglądają na rzekę Hudson, mijając dwadzieścia lat od chwili, w której po raz pierwszy otworzyłem oczy na Barsoomie. Przez okno przy biurku widzę go – błyszczy na niebie, wydaje mi się, że dziś wzywa mnie tak, jak jeszcze nigdy dotąd od tej strasznej nocy i że przez bezmiar przestrzeni widzę piękną, czarnowłosą kobietę, stojącą w palacowym ogrodzie, a przy niej małego chłopca. Oplata małkę ramionami, a ona wskazuje w niebo, ku planecie, nazywanej się Ziemia. U ich stop leży wielka, straszliwie brzydka bestia o złotym sercu. Wierzę, że na mnie czekają i mam dziwne wrażenie, że wkrótce będę się mógł o tym przekonać.

**KONIEC**

Moja matka była niska i drobna, zbyt drobna, by jej pozwolono wziąć na siebie obowiązki matriarchy, gdyż nasi wodzowie w pierwszym rzędzie zwracają uwagę na wzrost. Charakter również miała nie tak zimny i bezwzględny, jak większość zielonych kobiet. Nie garnęła się spekulacjom do towarzyszy, często spacerowała samotnie po opustoszałych ulicach Tharku albo szła na pobliskie wzgórza i siadywała wśród pokrywających je dzikich kwiatów. Rozmyślała wtedy i marzyła o czymś, co, jak sądzić, tylko ja jedna mogłabym dzisiaj zrozumieć. Przecież jestem jej córką.

I tam, na wzgórzach, spotkała młodego wojownika, którego obowiązkiem było pilnowanie pasarych się thauatów i zitharów, by nie odchodziły zbyt daleko. Z początku rozmawiali tylko o rzeczach, które dotyczyły całej społeczności tharkijskiej, ale stopniowo, gdy spotykali się coraz częściej i coraz mniej przypadkowo, co wkrótce stało się jasne dla obojga, ich rozmowy zaczęły się obracać wokół nich samych, ich upodobań, ambicji i nadziei. Ufała mu i powiedziała o odrazie, jaką czuje do popełnianych przez naszą rasę okrucieństw, do straszego, pozbawionego miłości życia, jakie muszą prowadzić. Spodziewała się, że on ją polepi, że będzie krzyczał. Jednak zamiast tego objął ją i pocałował. Przez sześć długich lat trzymali swoją miłość w sekrecie. Moja matka należała do swiły wielkiego Tal Hajusa, podczas gdy jej kochanek był zwykłym wojownikiem, noszącym tylko własne ozdoby. Gdyby ich odstępstwo od zwyczajów Tharków zostało odkryte, musieliby odpokutować swoją winę na arenie, przed Tal Hajusem i zgromadzonymi tłumami.

Jako, z którego się wyległam, ukryte było pod dużym, szklanym naczyniem na szczycie najwyższej i najtrudniej dostępnej z częściowo zrujnowanych wież starego Tharku. Przeleżało tam przez pięć potrzebnych do inkubacji lat, a moja matka raz do roku przychodziła sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Nie chciała przychodzić częściej, gdyż wiedząc, że popełnia przestępstwo, bała się, że każdy jej krok jest śledzony. Przez ten czas mój ojciec osiągnął wielkie poważanie jako wojownik i zdobył ozdoby kilku dowódców. Jego miłość do matki nie zmalała ani trochę, a jego jedyną ambicją było osiągnięcie takiej pozycji, która pozwoli mu zdrzec ozdoby z martwego ciała Tal Hajusa, a potem, jako władcy Tharków, ogłosić wszystkim o związku z moją matką, a także mocą swojej władzy ochronić dziecko, które w przeciwnym wypadku byłoby zabite natychmiast po wyjściu prawdy na jaw. To było szalone marzenie – w ciągu pięciu krotkich lat osiągnąć pozycję pozwalającą zabrać insygnia Tal Hajusa, ale ojciec awansował bardzo szybko i wkrótce był liczącym się członkiem rady Tharku. Pewnego jednak dnia nadzieja na szybkie dokonanie tego, o czym marzył, aby ochronić małkę i mnie, rozwinęła się. Rozkazano mu udać się z ekspedycją daleko na południe, do lodowej krainy, zaatakować żyjących tam ludzi i odebrać im futra. Tak zawsze postępowali zieloni Barsoomianie – napadali na innych i odbierali im to, co tamci zdobyli własną pracą.

Nie było go przez cztery lata, a gdy wrócił już od trzech lat było po wszystkim. W blisko rok po jego wyjeździe, a na krótko przed powrotem wyprawy, która miała przywieźć dzieci, wyglebie we wspólnym inkubatorze, jako pechło. Matka trzymała mnie w dalszym ciągu na wieży i odwiedzała nocami, otaczając miłością, z której zwykle, społeczne życie odarłoby nas obie. Miała nadzieję, że po powrocie wyprawy do inkubatora, uda jej się dotrzeć mnie do dzieci, przydzielonych na dwór Tal Hajusa i w ten sposób uniknąć losu, jaki niechytnie spotkałby nas obie po wykryciu jej sprzeniewierzenia się starożytnym tradycjom zielonych ludzi.

Nauczyła mnie bardzo szybko języka i zwyczajów mojej rasy i pewnej nocy opowiedziała mi historię, którą ci właśnie powtarzam. Nakazała mi przy tym, abym zachowała wszystko w najgłębszej tajemnicy i była bardzo ostrożna, gdy już znajdzie się wśród innych dzieci. Musiałam się strzec, mówiła, aby nikt nie odgadł, iż jestem bardziej zaawansowana w edukacji niż one, musiałam uważać, by żadnym gestem nie zdradzić w obecności innych moich uczuc do matki ani nawet, że znam swoich rodziców. Potem mnie przytuliła i wyszeptala do ucha imię mojego ojca.

Nagle w ciemność pokoju na szczycie wieży wdarło się światło i zobaczyłam Sarkoję, stojącą w wejściu z utkwionymi w mojej matce, pełnymi nienawisci i złośliwej satysfakcji oczyma. Połoki obelg, które trysnęły chwilę później z jej ust, przerażyły i zmroziły moje młode serce. Było jasne, że słyszała wszystko, o czym mówiłyśmy. Już wcześniej zaczęła podejrzewać matkę, gdyż zauważyła, że niemal każdej nocy znika ona ze swego pokoju na długie godziny. I wreszcie udało się jej nas wysledzić.

Nie wiedziała tylko, że matka zdradzała mi szepnąć imię mego ojca. Nie usłyszała tego bowiem powtarzała ciągle zadane, by matka wyjawiała imię swego partnera w przestępstwie. Ale żadne jej obelgi, ani groźby nie odniosły skutku. Aby uchronić mnie przed bezlitosnymi torturami matka skłamała, mówiąc Sarkojej, że nie wyjawiała tego nawet własnemu dziecku. W końcu Sarkoja odeszła, by donieść o swym odkryciu Tal Hajusowi. Wówczas moja matka schowała mnie wśród jedwabi i futer, w które była ubrana dla ochrony przed nocnymi chłodem, wybiegła na ulicę i pognęła na południe, ku granicy miasta. Chciała dotrzeć do człowieka, którego nie mogła już prosić o obronę, gdyż to by go zdradziło, ale przed śmiercią chciała jeszcze raz spojrzeć na jego twarz. Zbliżyłyśmy się do południowych kranców Tharku i wtedy od strony jedynego przejścia przez wzgorza, które prowadziło do bram miasta, dobiegł nas kwik thoulów, ryk zitidarów oraz powtarzający się od czasu do czasu brzek. Wszystkie te odgłosy świadczyły o zbliżaniu się jakiegoś dużego oddziału. W pierwszej chwili matka pomyślała, że to ojciec wraca z ekspedycji, ale wrodzona podejrzliwość Tharków powstrzymała ją od wybiegnięcia mu na spotkanie.

Wycofała się w cien jakiejś bramy i oczekiwała nadejścia kawałkady, która wkrótce wjechała w aleję i zlamiała szyk, rozsypując się od ściany do ściany. Gdy pierwsze wozy przejeżdżały obok nas, mniejszy księżyc wychylił się właśnie zza dachów i oblał okolice bladym światłem. Matka schowała się głębiej w cieniu swej kryjówki i zobaczyła, że nie był to oddział mojego ojca, ale karawana wioząca dzieci z inkubatora. Natychmiast podjęła decyzję i gdy jeden z wielkich wozów przejeżdżał blisko naszej kryjówki, wśliznęła się nań i ukryła w cieniu wysokiego boku, przyciskając mnie mocno do piersi.

Wiedziała już to, czego ja wówczas jeszcze nie przeczuwałam. Że już nigdy nie będzie mogła mnie przytulić, a być może, że nie będziemy już miały możliwości nawet spojrzeć na siebie. Na placu, wśród ogólnego zamieszania, dołączyła mnie do innych dzieci i już razem z nimi zostałam przeprowadzona do dużego pomieszczenia i nakarmiona przez jedną z znajdujących się tam kobiet. Następnego dnia wszystkie dzieci przydzielono do orszaków poszczególnych dowódców.

Już nigdy nie zobaczyłam matki. Została uwięziona przez Tal Hajusa. Dokładano wszelkich starań, łącznie z poddawaniem jej najokropniejszym torturom, aby wydrzeć z jej ust imię mego ojca. Milczała jednak i w końcu, podczas jakiegoś wymyslnego meczarni umarła, żegnana śmiechem Tal Hajusa i jego dowódców.

Dowiedziałam się później, że powiedziała im, iż mnie zabiła i rzuciła moje ciało białym małpom, aby mnie uchronić od takiego losu, jaki zgłotowali dla niej. Tylko Sarkoja jej nie uwierzyła i do dzisiejszego dnia czuję, że podejrzewa, jakie jest moje prawdziwe pochodzenie, ale nie osmiela się jeszcze poruszyć tej sprawy, gdyż domysla się również, kto jest moim ojcem.

Byłam obecna przy tym, jak Tal Hajus opowiadał historię matki mojemu ojcu, po jego powrocie z wyprawy. Nawet najmniejszy drgnieniem powieki ojciec nie zdradził swoich uczuć, nie śmiał się jednak, gdy Tal Hajus rozbawiony opowiadał o jej ostatnich mekach. Od tej chwili jest najokrutniejszym z okrutnych, a ja czekam na dzień, w którym zrealizuje swój cel i postawi stopę na trupie Tal Hajusa. Jestem pewna, że czeka tylko na sposobność, aby się okrutnie zemścić i że miłość, która zapłonęła w jego piersi blisko czterdziestu lat temu jest dzisiaj równie silna, jak była wtedy. Jestem tego równie pewna, jak

mi tracili przytomność, zapadając w poprzedzającą zwykle śmierć przez uduszenie nieswiadomości.

Dejah Thoris, ja i inni członkowie rodziny królewskiej zebraliśmy się w zamkniętym ogrodzie na wewnętrznym dziedzińcu pałacu. Siedzieliśmy w milczeniu, tylko od czasu do czasu rzucając ciszym głosem jakieś krótkie zdanie. Wszyscy czuliśmy unoszące się nad nami widmo okrutnej, nieuchronnej śmierci. Nawet Woola zdawał się przeczuwać nadchodzące nieszczęście, tulił się do Dejah Thoris i do mnie, wyjąc żałośnie.

Na prośbę Dejah Thoris inkubator został przyniesiony z dachu naszego pałacu i księżniczka siedziała obok niego, wpatrując się pełnym tęsknoty wzrokiem w rodzące się nowe życie, którego nigdy już nie pozna.

Gdy oddychanie zaczęło już sprawiać wyraźną trudność, Tardos Mors podniósł się i powiedział:

- Pożegnajmy się. Wielkie dni Barsoomu minęły. Słońce, wstając jutro, ujrzy martwy świat, który po wieczne czasy krążyć będzie w przestrzeni, pusty i zapomniany. To już koniec.

Ucałował należące do rodziny kobiety, a potem podchodził do mężczyzn, kładąc im na ramionach swe silne dłonie. Odwróciłem się od niego pełen smutku i mój wzrok padł na Dejah Thoris. Jej głowa bezwładnie zwisała na piersi, wydawało się, iż już umarła. Rzuciłem się ku niej z krzykiem i przytuliłem ją mocno. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

- Pocałuj mnie, Johnie Carter - wyszeptala. - Kocham cię. Jakże okrutne jest to, że musimy się rozłączyć, my, którzy dopiero zaczęliśmy życie w szczęściu i miłości.

Pocałowałem ją i wtedy ogarnęło mnie znajome uczucie - w moich żyłach zagrała wirgińska krew, wróciła odwaga i poczucie dawnej siły.

- Tak się stać nie może! - krzyknąłem. - Musi istnieć jakieś rozwiązanie i John Carter, który wywalczył sobie w obcym świecie swoją miłość, odnajdzie ją!

I wtedy z głębi mojej pamięci wypłynęło dziesięć zapomnianych dźwięków. Ich znaczenie, jak błysk rozjaśniającej ciemności błyskawicy, dotarło do mojej świadomości - klucz do trzech ogromnych drzwi fabryki powietrza!

Ciągle trzymając w objęciach moją umierającą księżniczkę odwróciłem się do Tardos Morsa i krzyknąłem:

- Jeddaku, predko! Rozkaz, aby na dach pałacu natychmiast dostawiono najszybszą latającą maszynę! Może jeszcze będę mógł uratować Barsoom.

Nie zadawał żadnych pytań i w chwili później któryś z gwardzystów pospieszył do najbliższych hangarów. Mimo iż na dachach budynków powietrze było już bardzo rozrzedzone, udało im się uruchomić najszybszą jednoosobową łódkę zwiadowczą, jaką kiedykolwiek wyprodukowano na Barsoomie. Uradowałem Dejah Thoris i przykazałem Wooli, który chciał biec za mną, aby jej pilnował, a potem równie sprawnie, jak dawniej, wskoczyłem na dach pałacu i za chwilę leciałem już ku przedmiotowi nadzielnego całego Barsoomu. Musiałem lecieć bardzo nisko, aby mieć dostateczną ilość powietrza do oddychania, ale na szczęście najkrótsza droga prowadziła nad płaskim dnem wyschniętego morza, więc mogłem szybować zaledwie kilka stop nad ziemią.

Wyciskałem z łódki wszystkie możliwości, gdyż wiedziałem, że rozgrywam wyscig ze śmiercią. Przez cały czas miałem przed oczyma twarz Dejah Thoris. Odwróciwszy się ostatni raz przed opuszczeniem ogrodu pałacowego zobaczyłem, że księżniczka zachwiała się i osunęła na ziemię tuż obok maleńkiego inkubatora. Zrozumiałem, że zapadła w omdlenie, które zakończy się śmiercią, jeżeli dostawy powietrza nie zostaną zwiększone, więc teraz wyzbyłem się wszelkiej ostrożności, wyrzuciłem za burtę wszystko poza silnikiem i kompasem, nawet moje ozdoby i insygnia i leżąc na brzuchu, wyciągnięty wzdłuż ciała, jedną ręką trzymałem ster, a drugą przesuwalem do oporu dzwignię regulującą predkosć. Głaskałem przez rozrzedzone powietrze Barsoomu niczym meteor. Na godzinę przed zapadnięciem mroku zobaczyłem wreszcie poleżne mury fabryki powietrza, zmniejszyłem predkosć i wyładowałem przed małymi drzwiami, za którymi krył się ratunek dla Barsoomu.

Starano się przebić ścianę tuż obok drzwi, ale ogromna rzesza ludzi zdołała zaledwie zadrasnąć jej twardą jak kamień powierzchnię. Większość z tych ludzi leżała teraz, pogrążona w ostatnim śnie z którego nawet napływ świeżego powietrza nie mógłby ich obudzić.

Sytuacja była znacznie gorsza niż w Helium. Już prawie nie było czym oddychać. Świadomość zachławała zaledwie kilku robotników.

- Jeżeli otworze drzwi - spytałem jednego z nich - czy jest tu ktoś, kto potrafiłby uruchomić maszynę?

Ja mogłbym to zrobić - odpowiedział - jeśli otworzysz je szybko. Zostało mi zaledwie parę chwil życia. Jednak próby są bezcelowe, obaj nadzorujący nie żyją, a prócz nich nikt na Barsoomie nie zna sekretu tych przeklętych zamków.



niewielką grupą dostojników towarzyszył im do samego Tharku, aby umocnić zadzierzgnięcie więzi przyjaźni i pokój.

Wraz z Tars Tarkasem odjechała Sola. Jeddak Tharku oficjalnie, w obecności całej rady plemienia, uznał ją za swą córkę.

Trzy tygodnie później Mors Kajak, dostojnicy oraz Tars Tarkas i Sola wrócili sperjalnie wysłanym po nich statkiem bojowym do Helium, aby wziąć udział w uroczystościach, które miały połączyć Dejah Thoris i Johna Cartera.

Przez dziewięć lat uczestniczyłem w radach i walczyłem w siłach zbrojnych Helium jako książę, należący do domu Tardos Morsa. Mieszkancy Helium zdawali się być niezmordowani w świadczeniu mi uprzejmości, nie było również dnia, w którym nie dostarczaliby nowych dowodów miłości dla mojej księżniczki, niezmównanej Dejah Thoris.

W złotym inkubatorze na dachu naszego pałacu spoczywało śnieżnobiałe jajo. Bez przerwy od niemal pięciu lat trzymało przy nim warcie dziesięciu żołnierzy w gwardii jeddaka, a Dejah Thoris i ja przychodziliśmy tam niemal każdego dnia, by trzymając się za ręce snuć plany na przyszłość i marzyć o dniach, które nastąpią, gdy pęknie skorupka.

Wciąż żywy w mojej pamięci jest obraz owej ostatniej nocy, którą spędziliśmy przy inkubatorze, siedząc blisko siebie, rozmawiając szeptem o dziwnym romansie, który związał nas ze sobą i o cudownym zdarzeniu, które miało wielokrotnie nasze szczęście i spełnić nadzieje.

W pewnej chwili zauważyliśmy jasne światła zbliżającego się statku powietrznego, ale w pierwszej chwili nie zwróciliśmy uwagi na tak codzienny, zwyczajny widok. Jednak statek zbliżał się do Helium z silną, błyskawicą, co mogło zwiastować, iż przynosi ważne wiadomości. W końcu świetlnymi sygnałami dał znać, że przynosi wieści, przeznaczone dla samego jeddaka, a potem krążył niespokojnie nad miastem, oczekując na łódź patrolową, która miała mu towarzyszyć do pałacowego lądowiska.

Dziesięć minut po wylądowaniu statku przybiegli posłańcy z poleceniem, abym natychmiast przybył do pokoju narad. Zastąpiłem w nim już niemal wszystkich członków rady. Na ustawionym na podwyższonym tronie siedział Tardos Mors, a jego twarz wyrażała najwyższy niepokój. Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, przywitał nas i powiedział:

Dzisiaj rano szereg rządów Barsoomu zostało powiadomionych, że już od dwóch dni nie nadchodzą raporty od nadzorca fabryki powietrza, bez odpowiedzi pozostają również liczne, kierowane do niego z całego Barsoomu wezwania. Ambasadorowie wielu krajów zwrócili się do nas, abymy wzięli tę sprawę w swoje ręce i jak najszybciej przetransportowali do fabryki drugiego nadzorcę, asystenta. Tysiące naszych statków poszukiwało go przez cały dzień, a kilkanaście minut temu jeden z nich wrócił, przywożąc straszliwie okaleczone ciało, które znaleziono w piwnicach pod jego domem. Nie muszę wam tłumaczyć, jakie to wszystko ma dla Barsoomu znaczenie. Przebiecie potężnych murów fabryki zajmie kilka miesięcy, ale praca już się rozpoczęła i nie byłoby powodów do obaw, gdyby pompy działały prawidłowo, tak, jak od kilkuset lat. Jednak zdarzyło się to, czego obawialiśmy się najbardziej. Czujniki na całym Barsoomie sygnalizują, że ciśnienie atmosferyczne gwałtownie maleje. Maszyny przestały pracować.

- Moi panowie - zakończył - pozostały nam najwyższe trzy dni życia.

Przez kilka minut w sali panowała absolutna cisza, potem podniósł się jakiś młodzieniec i wznosząc nad głowę obnażony miecz zwrócił się do Tardos Morsa:

Obywatele Helium zawsze szczyli się tym, iż swoim przykładem pokazują całemu Barsoomowi, jak naród czerwonych ludzi powinien żyć, teraz mamy sposobność pokazać wszystkim jak powinien umrzeć. Powróćmy do swoich codziennych obowiązków, jakbyśmy mieli przed sobą jeszcze tysiące pracowitych lat.

Sala rozbrzmiała okłaskami, a ponieważ nie mogliśmy zrobić nic innego, niż rozproszyć strach ludu własnym przykładem, wyszliśmy z sali z uśmiechem na ustach, chociaż serca zżerał nam smutek. Gdy wróciłem do mojego pałacu zorientowałem się, że wieść dotarła już do Dejah Thoris, więc powtórzyłem jej wszystko, co sam usłyszałem.

Byliśmy bardzo szczęśliwi, Johnie Carter - powiedziała - i dziękuję losowi, bez względu na to, jakim on będzie, że pozwala nam umrzeć razem.

W ciągu następnych dwóch dni zmiana gestacji powietrzem była prawie niezauważalna, ale rankiem trzeciego dnia oddychanie na dachach najwyższych budynków sprawiło już poważne trudności. Ulice i place Helium były wypelnione ludźmi. Przerwano wszelkie codzienne zajęcia. Większość mieszkańców Helium dzielnie patrzyła w twarz okrutnemu przeznaczeniu, jednak gdzieś tam można było zauważyć kobiety i mężczyzn pogrążonych w cichej, beznadziejnej rozpacz.

Okolo południa wielu słabszych fizycznie poczęło mdleć, a godzinę później ludzie Barsoomu tysiąca-

tego, że siedzimy teraz na brzegu starego jak świat, wyschniętego oceanu, w nocy, gdy wszyscy rozsądni ludzie już dawno śpią.

- Sola, czy twój ojciec jest tutaj z nami? - spytałem.

- Tak - odpowiedziała - ale nie wie, kim jestem. Nie wie również, kto wtedy donosił na matkę do Tal Hajusa. Tylko ja znam imię mego ojca i tylko Tal Hajus, ja i Sarkoja wiemy, kto sprowadził śmierć na kobietę, którą kochał.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Sola pogrążyła się we wspomnieniach ze swej strasznej przeszłości, a ja myślałem z litością o tych biednych istotach, skazanych przez bezsensowne, okrutne zwyczaje, na życie pełne brutalności i nienawiści.

- Johnie Carter - odezwała się w końcu - jeżeli kiedykolwiek prawdziwy człowiek stąpił po zimnej, umarłej powierzchni Barsoomu, to jesteś nim ty. Wiem, że mogę ci ufać i chce ci wyjawić imię mego ojca, nie stawiając żadnych warunków. Być może ta wiedza pomoże kiedyś tobie lub jemu, albo Dejah Thoris czy mnie. Jeśli uznasz, że nadeszła odpowiednia chwila i że jest to najlepsze, co możesz zrobić, powiedz je głośno i wszystkim. Ufam ci, gdyż wiem, że nie ciąży nad tobą kłątwa absolutnej i bezwzględnej prawdomówności, że potrafisz nawet skłamać, jeżeli kłamstwo może wyzwolić innych od cierpienia i smutku. Moim ojcem jest Tars Tarkas.

## Planujemy ucieczkę

W dalszej podróży do Tharku nie wydarzyło się już nic szczególnego. Jechaliśmy jeszcze dwadzieścia dni, przecinając dwa wyschnięte morza, przejeżdżając obok kilku zrujnowanych miast, zwykle mniejszych niż Korad. Drukrotne mineliśmy szynne marsjańskie drogi wodne, przez ziemskich astronautów zwane kanałami. Gdy zbliżaliśmy się do któregoś z nich, najpierw wysłano na zwiad wojownika, wyposażonego w poleźną lornetę polową, który sprawdził czy w pobliżu nie ma jakichś dużych oddziałów czerwonych Marsjan. Następnie podjeżdżaliśmy możliwie najbliżej, ale zatrzymywaliśmy się w odległości gwarantującej, że nie zostaniemy przypadkowo dostrzeżeni przez kogos, kto mógłby się tam znajdować. Czekaliśmy nocy i w ciemnościach ostrożnie zbliżaliśmy się do pasa ziemi uprawnej, odnajdowaliśmy jedną z licznych dróg, przecinających te tereny w regularnych odstępach i przeprawialiśmy się na pola, leżące na drugim brzegu kanału. Pierwsza z tych przepraw zajęła nam pięć godzin, a następna całą noc. Dzień zastał nas, kiedy właśnie opuszczaliśmy ogrodzone wysokim murem pola uprawne. Jechaliśmy w ciemności, więc niewiele mogłem dostrzec. Od czasu do czasu jednak bliższy księżyc, szybko przemierzając niebo Barsoomu, wydobywał z mroku otoczone murami pola i niskie budynki, bardzo przypominające ziemskie farmy. Rosło tam wiele drzew, starannie pielęgnowanych, przy czym niektóre miały wprost zawrotną wysokość. Zgromadzone w zagrodach zwierzęta wyczuwały naszą obecność i witały nas rykiem i pochrapywaniem.

Tylko raz zauważyłem człowieka. Musiał zasnąć na poboczu drogi i, gdy się do niego zbliżyłem, oparł się na jednym łokciu, spojrzał na mnie, potem na zbliżającą się karawanę, zerwał się na nogi i jak szalony pognał wzdłuż drogi, a później przeskoczył pobliski mur ze zrezygnacją śmiertelnie przerażonego kota. Tharkowie nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi, nie byli na wyprawie wojennej. Tylko z tego mogłem wnioskować, że go zauważyli, iż zwiększyli tempo marszu w kierunku niewielkiej, wąskiej pustyni, za którą zaczynało się już królestwo Tal Hajusa.

Przez całą podróż nie zamieniłem z Dejah Thoris ani jednego słowa, gdyż nie dała mi w żaden sposób poznać, że bede mile widziany przy jej wozie. Z drugiej strony moja głupia duma powstrzymywała mnie przed zrobieniem pierwszego kroku. Sądzę, że umiejętność mężczyzny postępowania z kobietami jest odwrotnie proporcjonalna do jego niezależności i odwagi w stosunkach z innymi mężczyznami. Zdarza się często, że zniecierpliwiony słabeusz potrafi wzbudzić zachwyt i oczarować pięć pięknie, podczas gdy człowiek silny i odważny, który bez lęku stawia czoła tysiącom niebezpieczeństw, kryje się w kącie jak przestraszone dziecko.

W równo trzydzieści dni od chwili mego przybycia na Barsoom wjechaliśmy do starożytnego miasta Thark, wybudowanego przez dawno wymarły naród, ludzi, którym ta zielona zgraja ukradła nawet nazwę. Liczba zielonych Tharkijczyków zbliża się obecnie do trzydziestu tysięcy i są oni podzieleni na dwadzieścia pięć plemion. Każde z nich posiada swego jedynego i pewną liczbę niższych rangą dowódców, ale wszystkie podlegają władzy Tal Hajusa, jeddaka Tharku. Pięć plemion ma swoją główną siedzibę w mieście Thark, a pozostałe są rozrzucone po innych, opuszczonych przez starożytnych Marsjan miastach, znajdujących się na terenach zarządzanych przez Tal Hajusa.

Na wielki, centralny plac wjechaliśmy wczesnym popołudniem. Nasz powrót nie wzbudził większego



W. M. Trybka

Łądowa armia Zodangi liczyła około miliona żołnierzy, zebranych z całej planety, zewsząd, gdzie sięgały podobne do wstęg drogi wodne, natomiast przeciwko nim stawało niecałe sto tysięcy zielonych wojowników. Posiłki z Helium nie pojawiły się, nie przysłano też żadnej wiadomości.

Dopiero w południe usłyszeliśmy gestą strzelaninę, dobiegającą z obszaru oddzielającego obóz od miasta. Znaczyło to, że wreszcie nadeszli oczekiwani z taką niecierpliwością sojusznicy. Tars Tarkas wydał rozkaz do następnej szarży i jeszcze raz potężne thoaty poniosły straszliwych jeźdźców na nieprzyjacielskie szanse. W tej samej chwili oddziały z Helium przypuściły szturm z przeciwnej strony i obóz znalazł się między młotem a kowadłem. Zodanganczycy walczyli dzielnie, ale ich opór był daremny.

Równina przed miastem przekształciła się w prawdziwą jatke, jednak stopniowo walki wygasły i wkrótce ustały zupełnie. Ogromna ilość Zodanganczyków padła lub dostała się do niewoli. Kolumny jeńców pomaszerowały w stronę Helium, a my wjechaliśmy przez główną bramę miasta tryumfalnym pochodem, witani jak bohaterowie. Wzdłuż szerokich ulic tłoczyły się kobiety i ci nieliczni mężczyźni, którym obowiązki nie pozwoliły wziąć udziału w bitwie. Jechaliśmy wśród nie milknących oklasków, obdarowywani ozdobami ze złota, srebra, platyny i drogich kamieni. Miasto szalało z radości.

Największy entuzjazm i podniecenie budzili srodzy Tharkowie. Nigdy przedtem uzbrojony zielony wojownik nie przekroczył bram Helium, a wiadomość, że teraz przychodzą oni tuż jako przyjaciele i sprzymierzeńcy napędzała czerwonych ludzi jeszcze większą radością.

Tego, iż moja niegodna służba dla Dejah Thoris stała się powszechnie wiadoma Helumitom, dowodziło głośne wykrzykiwanie mego imienia, a także niezliczone ozdoby, wieszane na mnie i moim ogromnym thoacie, gdyż nawet straszliwy wygląd Wooli nie powstrzymywał mieszkańców Helium od tłoczenia się wokół mnie.

Gdy zbliżyliśmy się do pałacu, spotkaliśmy grupę oficerów, którzy pozdrowili nas serdecznie, zwracając się z prośbą, abysmy zsiadli z thoatów i towarzyszyli im w drodze do Tardos Morsa, który pragnie przekazać nam wyrazy wdzięczności za naszą służbę.

Królewski orszak stał na szczycie wielkich schodów, wiodących ku głównemu wejściu do pałacu i gdy weszliśmy na pierwsze stopnie od orszaku odłączyła się jedna osoba i zaczęła schodzić nam naprzeciw. Był to niemal perfekcyjny okaz mężczyzny: wysoki, prosty jak strzała, wspaniale zbudowany, o ruchach i postawie człowieka, nawykłego rozkazywać innym. Na pierwszy rzut oka rozpoznałem Tardos Morsa, jeddaka Helium.

Pierwszym z naszej grupy, do którego się zwrócił, był Tars Tarkas, a słowa, jakie wypowiedział stały się podstawą nowej, trwałej przyjaźni pomiędzy ich rasami.

- Możliwość spotkania największego żyjącego wojownika Marsa - rzekł - jest dla Tardos Morsa bezcennym zaszczytem, ale daleko większe znaczenie ma fakt, iż może on położyć dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Jeddaku Helium - odpowiedział Tars Tarkas - to, że zieloni wojownicy poznali znaczenie przyjaźni jest zasługą człowieka, przybyłego z innego świata, jemu Tharkowie zawdzięczają możliwość zrozumienia twoich słów, możliwość doceniania i odwzajemniania uczucia, którym tak hojnie nas obdarzyłeś.

Tardos Mors pozdrowił teraz zielonych jeddaków oraz wszystkich jedów i do każdego z nich zwrócił się ze słowami przyjaźni i szacunku.

Potem podszedł do mnie i położył obie dłonie na moich ramionach.

- Witaj, mój synu - powiedział. - Niech dowodem mojego najwyższego uznania dla ciebie będzie fakt, iż powierzam ci najpiękniejszy klejnot Helium.

Następnie zostaliśmy przedstawieni Mors Kajakowi, jedowi mniejszego Helium i ojcu Dejah Thoris. Szedł on tuż za Tardos Morsem i zauważyłem, że okazywał jeszcze większe wzruszenie niż jego ojciec. Kilkakrotnie próbował wyrazić mi swoją wdzięczność, ale głos mu się załamywał i nie mógł powiedzieć ani słowa, chociaż jako wojownik słynął z wielkiej odwagi i okrucieństwa. Jak całe Helium uwielbiał swoją córkę i nie mógł bez głębokiego wzruszenia myśleć o tym, czego uniknęła.

## Od radości ku śmierci

Przez dziesięć dni plemię z Tharku i jego dzicy sojusznicy byli fetowani i ugaszczani, a potem, obdawani kosztownymi prezentami i odprowadzani przez dziesięć tysięcy żołnierzy z Helium pod dowództwem Mors Kajaka, ruszyli w drogę powrotną do swych domów. Jed mniejszego Helium wraz z



końca w niespełną godzinę od chwili, w której z obozu zwycięskiej armii Zodangi flota statków powietrznych wyruszyła nam na spotkanie. Ocalałe zodangskie okręty były kierowane jako zdobycz ku miastom Helium. Ich poddawaniu się towarzyszył stary, niezwykle paletyczny obyczaj, który wymagał, aby dowódca idącego do niewoli okrętu dobrowolnie z niego wyskoczył. Ci odważni ludzie, trzymając wzniesione nad głową sztandary swych rodów, jeden po drugim skakali ze swych mostków, wprost w objęcia czekającej ich kilkadziesiąt stóp niżej śmierci.

Walka wygasła całkowicie dopiero wtedy, gdy śmiertelny skok wykonał naczelny dowódca floty, dając tym samym sygnał do poddania się stawiającym jeszcze opór jednostkom i kładąc kres bezsensownemu poswieceń życia dzielnych żołnierzy.

Zasygnalizowaliśmy okrętowi flagowemu floty Helium, aby podciął bliżej, a gdy był w zasięgu głosu krzyknąłem, że na pokładzie naszego statku znajduje się Dejah Thoris i że chcemy, aby została przetransportowana na okręt flagowy i jak najszybciej zawieziona do Helium.

Gdy przekazana przeze mnie wiadomość dotarła w pełni do ich świadomości, że wszystkich pokładów podniósł się potężny krzyk radości, za którym natychmiast podążyło wywieszenie setek flag w barwach księżniczki. Wkrótce załogi pozostałych statków floty zrozumiały znaczenie przekazywanych im sygnałów i wszystkie pokłady wśród radości wrzawy zakwitły barwami Dejah Thoris.

Okręt flagowy zbliżył się do nas i natychmiast po tym, jak burty obu statków zetknęły się miękko, na nasz pokład wpadło kilkunastu oficerów floty Helium. Zrobili kilka kroków i stanęli jak wryci, patrząc osłupiałym wzrokiem na setki zielonych wojowników, którzy opuścili już swoje stanowiska bojowe i stali w luznych grupach wzdłuż całego pokładu. Wkrótce pojawił się Kantos Kan i oficerowie zgromadzili się wokół niego, zasypując go gradem pytań. Nie słuchali jednak odpowiedzi, gdyż po chwili cała ich uwaga zajęta była zbliżającą się ku nim w moim towarzystwie Dejah Thoris. Księżniczka pozdrowiła uprzejmie oficerów, wymieniając imię każdego z nich. Znała ich dobrze, gdyż wszyscy, jako cieszący się szacunkiem żołnierze, bywali na dworze jej dziadka.

- Połóżcie swoje dłonie na ramieniu Johna Cartera - powiedziała w końcu, wskazując na mnie. - Jest to człowiek, któremu Helium zawdzięcza zarówno swoją księżniczkę, jak i dzisiejsze zwycięstwo.

Zasypali mnie uprzejmościami i komplementami, a jak się wydawało największe wrażenie zrobiło na nich to, iż w uwolnieniu księżniczki i wyzwoleniu Helium udało mi się zdobyć pomoc dzikich Tharków.

- Bardziej niż mnie powinniście dziękować temu oto człowiekowi - powiedziałem, wskazując Tarsa Tarkasa. - Jest to jeden z najwybitniejszych na Barsoomie żołnierzy i mężów stanu, Tars Tarkas, jeddak Tharku.

Pozdrowili zielonego wojownika z tą samą układną grzecznością, z jaką zwracali się do mnie. Ogromny Thark odpowiedział równie gładkim i dworskim językiem, czego, muszę się przyznać, wysłuchałem z niechęcią i zdziwieniem.

Dejah Thoris przeszła na pokład okrętu flagowego i była bardzo zaskoczona, że ja z nią tam nie zostaje. Wy tłumaczyłem jej, że bitwa jest tylko częściowo wygrana, zostały jeszcze siły lądowe Zodangi i nie mogę opuścić Tarsa Tarkasa, dopóki nie zostaną one w pełni rozgromione.

Dowódca floty powietrznej Helium obiecał, że wszystko zostanie tak zorganizowane, by siły lądowe Helium uderzyły w tym samym momencie, w którym my zaatakujemy oblegających miasto Zodangów. Potem statki rozdzieliły się i Dejah Thoris triumfalnie powróciła na dwór swego dziadka, Tardosa Morsa, jeddaka Helium. Flota statków transportowych, na których znajdowały się thoaty zielonych wojowników, przeczekala bitwę w pewnym oddaleniu i teraz musieliśmy się zająć wyładowywaniem zwierząt na ziemię. Nie posiadaliśmy platform desantowych i realizacja tego zadania wydawała się być bardzo trudna, ale nie pozostawało nam nic innego. Poleciliśmy ku transportowcom i zabraliśmy się do pracy.

Byliśmy zmuszeni opuszczać zwierzęta na linach i zajęło nam to pozostałą część nocy oraz połowę następnego dnia. Dwukrotnie zostaliśmy zaatakowani przez kawalerię zodangską, ale z łatwością i bez większych strat odparliśmy te ataki, a po zapadnięciu nocy napastnicy wycofali się zupełnie.

Natychmiast, gdy ostatni thoat znalazł się na ziemi, Tars Tarkas dał rozkaz do wymarszu. Podzieleni na trzy oddziały podjeżdżaliśmy ostrożnie od północy, wschodu i południa ku wrogiemu obozowi.

W odległości około mili od głównego obozu natknęliśmy się na wysunięte posterunki, co, jak to uprzednio ustaliliśmy, było sygnałem do otwartego ataku. Z dzikim, przeraźliwym wrzaskiem mieszającym się z piskami czujących bliską bitwę thoatów runeliśmy na oboz Zodangi.

Przypuszczaliśmy, że uda się nam ich zaskoczyć, jednak okazało się, że nacieramy na dobrze przygotowane, umocnione pozycje, pełne oczekujących nas żołnierzy. Nasze ataki były odpierane raz za razem i około południa zacząłem się poważnie obawiać o wynik bitwy.

zainteresowania, nie było owacyjnie witających tłumów. Ci, którzy akurat znaleźli się w pobliżu, wymawiali w tradycyjnym powitaniu imiona znajomych mężczyzn i kobiet, ale dopiero, gdy rozeszła się wiadomość, że karawana przywiozła ze sobą dwoje jeńców ciekawość przyciągała na plac większą liczbę osób.

Przydzielono nam wkrótce kwatery i resztę dnia spędziliśmy na urządzaniu się w nowych warunkach. Budynek, w którym miałem mieszkać stał na południowym skraju placu, tuż przy wylocie szerokiej alei, którą przejechaliśmy od bram miasta. Zajmowałem ten budynek sam, cały był do mojej dyspozycji. Architektura, tak piękna w Koradzie, tutaj, o ile to w ogóle możliwe, była jeszcze wspanialsza. Dekoracje ścian w mojej kwaterze mogłyby być ozdoba pałacu największego z ziemskich cesarzy, ale dla tych dziwnych istot liczyły się tylko rozmiary budynków i pokoi - im większe, tym lepsze.

I tak Tal Hajus mieszkał w czymś, co kiedyś musiało być gmachem użyteczności publicznej, największym w mieście, ale zupełnie nie nadającym się na rezydencję. Następny z kolei pod względem rozmiarów budynek zajmował Lorquas Ptomeł, kolejny był mieszkaniem mniej ważnego jeda i tak dalej, według hierarchii ważności wszystkich pięciu jedów. Wojownicy mieszkali razem z dowódcami, do których święty należał, albo, jeżeli woleli, szukali kwatery w jednym z tysięcy nie zamieszkałych domów, stojących w części miasta przydzielonej ich plemieniu. Musieli się ściśle trzymać granic dzielnic, w której mieszkali ich plemię. Wyjątek stanowili jedowie, zajmujący budynki stojące frontem do placu.

Gdy wreszcie uporządkowałem mój budynek, a raczej gdy skończyłem doglądać porządkowania, już niemal zapadła noc. Wyszedłem na zewnątrz z zamiarem znalezienia Soli i jej podopiecznej, gdyż postanowiłem porozmawiać wreszcie z Dejah Thoris i przekonać ją, że powinniśmy zawrzeć rozejm do czasu, aż znajdzie jakiś sposób dopomożenia jej w ucieczce. Po długim, bezskutecznym poszukiwaniu, gdy górna część tarczy słonecznej znikła już za horyzontem, zobaczyłem brzydki leś Woola, wyglądający z okna na drugim piętrze budynku po przeciwnej stronie tej samej ulicy, przy której mieszkaliśmy.

Nie czekając na bardziej wyraźne zaproszenie wbiegłem po schodach na drugie piętro i wszedłem do wielkiego pomieszczenia. Woola, uradowany, że wreszcie się zjawiłem, wyskoczył w powietrze i niemal obalił mnie ciężarem swego ciała na podłogę. Rozwalił przy tym pysk od ucha do ucha, ukazując wszystkie trzy rzędy ostrych kłów, jakby z radości miał zamiar mnie połknąć.

Uspokojwszy go nieco, rozejrzałem się po pokoju, starając się w gestmiejacym mroku dojrzeć Dejah Thoris. Nikogo nie zauważyłem i zniecierpliwiony krzyknąłem jej imię. W odpowiedzi z kąta pomieszczenia dobiegł mnie jakiś pomruk, a gdy podszedłem bliżej zobaczyłem ją, owiniętą w futra i jedwabie, siedzącą na jakimś antycznym krześle. Stałem przez chwilę w milczeniu. Podniosła się w końcu i patrząc mi prosto w oczy, spytała:

- Czego sobie życzy Dotar Sojat od Dejah Thoris, swego wieźnia?

- Naprawdę nie wiem, czym cię obraziłem, Dejah Thoris - powiedziałem. - Ciebie, którą chciałem bronić i której pragnąłem służyć. Jeżeli gardzisz moją opieką, będę zmuszony się z tym pogodzić, ale powinnaś chociaż pomóc mi w urzeczywistnieniu planu twojej ucieczki, jeśli jest ona w ogóle możliwa. Tym razem nie jest to moja prośba, ale rozkaz. Gdy będziesz znowu bezpieczna na dworze twego ojca, zrobisz ze mną, co będziesz chciała, ale do tego dnia jestem twoim panem i musisz mi być posłuszną i pomagać.

Patrzyła na mnie długo i poważnie i pomyślałem, że może nie będzie już dla mnie taka surowa.

- Rozumiem doskonale twoje słowa - odpowiedziała - ale nie rozumiem ciebie, Dotar Sojacie. Jesteś przedziwną mieszańką dziecka i mężczyzny, gburą i człowieka szlachetnego. Bardzo bym chciała móc czytać w twoim sercu.

- Spójrz na swoje stopy, Dejah Thoris, znajdziesz tam moje serce. Leży przy nich tak jak leżało tej nocy w Korad i jak będzie leżeć zawsze. Bije tylko dla ciebie i jedynie śmierć może to zmienić, uczyszając je na wieczność.

Zrobiła krok w moim kierunku i wyciągnęła ręce, jakby szukając czegoś po omacku.

- Co masz na myśli, Johnie Carter? - szepnęła - Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

- Przyszłbym sobie, że ci tego nie powiem, a przynajmniej nie w czasie twojej niewoli u zielonych ludzi. W ciągu ostatnich dwudziestu dni, widząc jaki jest twój stosunek do mnie, myślałem, że nigdy nie będę mógł ci tego powiedzieć. Jestem twój, duszą i ciałem, choć ci służyć, walczyć dla ciebie i dla ciebie umrzeć. W zamian proszę cię tylko byś się powstrzymała od odpowiedzi na moje słowa aż do dnia, gdy znajdziesz się cała i bezpieczna wśród bliskich oraz byś mi przyrzekła, że - bez względu na to, jakie do mnie żywisz uczucia - nie będziesz się kierowała wdzięcznością. Ofiaruję ci moje usługi z pobudek egoistycznych, gdyż służenie ci jest dla mnie przyjemnością, największą z możliwych.

Uszanuję twoje życzenie, Johnie Carter, gdyż rozumiem dlaczego je wypowiedziałeś. Przyjmuje twoje usługi i równie chętnie podporządkuje się twym rozkazom. Odtąd twoje słowo będzie dla mnie prawem. Po raz drugi skrzywdziłam cię w myślach i po raz drugi proszę, abys mi wybaczył.

Dalszą rozmowę na tematy osobiste uniemożliwiło nadejście Soli. Była bardzo wzburzona, zniknęła gdzieś jej zwykła łagodność i opanowanie.

- Ta wstętna Sarkoja była u Tal Hajusa - krzyknęła - i z tego, co usłyszałam na placu wynika, że żadne z was nie może mieć nadziei na jego łaskę.

- Co mówią? - spytała Dejah Thoris.

- Że w czasie wielkich, dorocznych igrzysk, które rozpoczyna się, gdy do Tharku zjadą się wszystkie plemiona, zostaniecie rzucone na pozarcie dzikim kalotom.

- Solu - powiedziałem - jesteś Tharkijką, ale nienawidzisz zwyczajów swojej rasy i czujesz do nich odrazę nie mniejszą niż my. Czy chcesz uciec razem z nami? Jestem pewien, że Dejah Thoris może ci u siebie zapewnić dom i ochronę i że twoje życie wśród czerwonych ludzi nie będzie gorsze niż byłoby tutaj.

- Tak - krzyknęła Dejah Thoris - chodź z nami! W Helium będzie ci lepiej niż tutaj i przyrzekam ci nie tylko opiekę, ale również przyjaźń i miłość, za którymi tak tesknisz, a których ci odrywają okrutne zwyczaje twojej rasy. Chodź z nami, tutaj czeka cię okropna śmierć, jeśli zaczną podeńzwać, że nam pomogłaś. Wiem, że nawet perspektywa takiej śmierci nie skłoniłaby cię do ucieczki, gdybyś nie chciała, ale mi pragniemy, abys z nami poszła, chcemy zaprowadzić cię do słonecznego i szczęśliwego kraju, między ludzi, którzy wiedzą, co to miłość, sympatia, wdzięczność. Powiedz, że to zrobisz, powiedz, że pójdziesz z nami.

- Wielka droga wodna, która prowadzi do Helium - mruknęła Sola na wpoł do siebie - znajduje się tylko pięćdziesiąt mil na południe stąd. Szybki thoat mógłby pokonać tę odległość w trzy godziny. A potem jeszcze pięćset mil do Helium, większość przez słabo załudnione tereny. Będą wiedzieli, w którą stronę uciekamy i będą nas ścigać. Przez pewien czas możemy się kryć wśród drzew, ale szanse na powodzenie ucieczki są bardzo niewielkie. Zdajecie sobie sprawę z tego, że pójść za nami aż pod same wrota Helium, a jeśli nad dogonią, zabiją bez litości.

- Czy nie ma żadnej innej drogi, którą moglibyśmy dotrzeć do Helium? - spytałem. - Dejah Thoris, czy mogłabys mi naszkicować mapę terenów, przez które musimy przejechać?

- Tak - odpowiedziała, wyjęła z włosów wielki diament i na marmurowej podłodze narysowała mapę Borsoomu, pierwszą jaką dane mi było widzieć. Przecinały ją we wszystkich kierunkach długie, proste linie. Niektóre z nich biegnęły równolegle, inne prowadziły ku dużym punktom. Te linie - powiedziała - to drogi wodne, punkty to miasta. Jeden z nich, położony na północny zachód od nas wskazała jako Helium.

W końcu, dokładniej przyjrawszy się oświetlonej wpadającymi do pokoju promieniami księżyca mapie, pokazałem jedną z dróg wodnych, daleko na północ od nas, która również zdawała się prowadzić do Helium.

- Czy nie przecina ona terytorium twojego dziaćka? - spytałem.

- Tak - odpowiedziała - ale położona jest dwieście mil na północ od nas. Jest to jedna z tych dróg wodnych, przez które przejeżdżaliśmy w drodze do Tharku.

- Myślę, że to jest właśnie najlepsza droga ucieczki - powiedziałem - Będą nas ścigać, ale nigdy nie przyjdzie im do głowy, że wybrałbys tak daleki kanał.

Sola zgodziła się ze mną i postanowiliśmy opuścić Thark jeszcze tej samej nocy, natychmiast, gdy odnajdę i osiodlam moje thoaty. Sola miała jechać na jednym, a ja i Dejah Thoris na drugim.

Poleciłem kobietom, aby poszły na mało uczęszczaną ulicę na południowym skraju miasta, skąd po osiodłaniu thoatów miałem je zabrać tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Pozostawiłem im przygotowanie potrzebnej nam ilości pożywienia, jedwabi i futer i poszedłem na podwórze, po którym kreciły się niespokojnie nasze zwierzęta, jak zwykle przed zasnięciem.

Zarówno w rzucanym przez budynki cieniu, jak i na oświetlonych przez marsjańskie księżycze fragmenty podwórza poruszały się wielkie stada thoatów i ziudarów. Ostre pokrzykiwania jednych mieszały się z gardłowym charkotem drugich. Pozostawione sobie samym zachowywały się spokojnie, ale gdy mnie zweszyły, zaczęły okazywać zdenerwowanie i hałas się zwiększył. Samotne wejście nocą w stado thoatów było dość ryzykownym przedsięwzięciem - po pierwsze dlatego, że narastający harmider mógłby wzbudzić podejrzenie któregoś z wojowników, nocujących w pobliskich budynkach, a po drugie istniało niebezpieczeństwo, że jakiś thoat rzuci się na mnie z najbliszej przyczyny albo w ogóle bez powodu.

Nie miałem najmniejszej ochoty stać się ofiarą złego nastroju tych zwierząt, szczególnie w sytuacji,

- Mam jeszcze dużo do powiedzenia, zanim znów będzie zbyt późno. Zrobiłem w życiu wiele dziwnych rzeczy, wśród nich takie, na które ludzie ode mnie mądrzejsi nigdy by się nie odwazyli, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie roiło mi się, że zdobędę dla siebie Dejah Thoris, gdyż nigdy nawet nie śniłem, że gdzieś we wszechświecie istnieje taka kobieta, jak księżniczka Helium. Nie peszy mnie to, że pochodzisz z królewskiego rodu, ale wystarczy wszystko, czym poza tym jesteś, abym, prosząc cię o rękę, wątpił w swój rozsądek.

- Nie powinien w nic wątpić ten, kto z góry zna odpowiedź na swą prośbę - powiedziała. Potem wstała i położyła mi ręce na ramionach. Objąłem ją i pocałowałem.

I tak w samym środku miasta ogarniętego ogniem krwawych walk, wypełnionego śmiercią i zniszczeniem Dejah Thoris, księżniczka Helium, nieodrodna córka Marsa, boga wojny, przyrzekła swą rękę Johnowi Carterowi, gentlemanowi z Wirginii.

## Przez rzeź ku radości

Nieco później Kantos Kan i Tars Tarkas wrócili z wiadomościami, że Zodanga została pokonana, a jej wojska uległy zniszczeniu lub dostały się do niewoli. Udało się co prawda uciec kilku okrętom wojennym, ale w ręce tharkijskich wojowników wpadły tysiące statków, handlowych i bojowych.

Mniejsze plemiona rozpoczęły łupienie na własną rękę, kłóć się przy tym o zdobycz, postanowiliśmy więc zebrać tylu wojowników, ilu będzie można, obsadzić zodangami jencami jak najwięcej latających maszyn i natychmiast wyruszyć do Helium.

Pięć godzin później wystartowaliśmy z ładów na dachach budynków w sile dwustu pięćdziesięciu statków bojowych, niosących na pokładach blisko sto tysięcy zielonych wojowników. Za nami leciała flotyła transportowców, załadowana dobytkiem i zwierzętami.

Zostawiliśmy pokonane miasto w szponach czterdziestu tysięcy wojowników, należących do mniejszych plemion, którzy grabili, mordowali i toczyli między sobą zajadłe walki o tupy. W blisko stu miejscach podłożyli oni ogień i nad miastem unosiły się szupy gęstego dymu, jakby ktoś chciał położyć zasione na dziejące się tam potworności.

Wczesnym popołudniem ujrzelśmy wieżę Helium, szkarłatną i żółtą. Wkrótce z obozu oblegających miasto Zodanganczyków uniosła się w niebo wielka flota statków bojowych i poleciała nam na spotkanie. Na każdym z naszych okrętów wywiesiliśmy sztandary Helium. Zodanganczyki jednak nie potrzebowali tych znaków, aby wiedzieć, że jesteśmy nieprzyjaciółmi, gdyż nasi zieloni wojownicy otworzyli ogień, gdy tylko ich statki oderwały się od ziemi. Ze śmiertelną celnością posyłali zbliżającej się flocie salwę za salwą.

Mieszkańcy Helium rozpoznali w nas przyjaciół i z obu bliźniaczych miast wystartowały setki śpiących nam na pomoc okrętów. Rozpoczęła się prawdziwa bitwa powietrzna, pierwsza, jakiej byłem świadkiem.

Statki, na których znajdowali się zieloni wojownicy krążyły ponad scierającymi się flotami Zodangi i Helium, gdyż ich pokładowe baterie w rękach nie umiejących się nimi posługiwać zielonych ludzi były bezużyteczne. Jednakże strzelby zbierały żniwo śmierci i ich ogień wpłynął w bardzo znacznym stopniu na ostateczny wynik bitwy, a może nawet o nim zadecydował.

Z początku obie floty krążyły na tej samej wysokości, posyłając sobie wzajemnie salwy dział burtowych. W pewnej chwili jedna z tych salw trafiła największy z zodangamskich statków, wyrzucając w jego burcie ogromną dziurę. Poteźna maszyna przechyliła się na bok, wyrzucając członków załogi na zewnątrz. Drobne figurki krecąc się i koziołkując poleciały ku leżącej tysiąc stop niżej ziemi, a za nimi ze wzrastającą wciąż prędkością, opadł statek i wbił się niemal całkowicie w miękką, gliniastą grunt dawnego dna morskiego.

Z piersi Helumitów wydarł się dziki wrzask triumfu i ze zdwojoną zaciętością zaatakowali wroga flotę. Dzięki pięknie przeprowadzonemu manewrowi dwa okręty z Helium wzniosły się na większą wysokość i z umieszczonych w dnach wyrzutni zaczęły obrzucać przeciwników eksplodującymi bombami.

Wkrótce pozostałe okręty Helumitów, jeden za drugim, zajmowały pozycje ponad Zodanganczykami i w niedługim czasie znaczna liczba statków, należących do oblegającej miasto armii była bezradnymi wrakami, dryfującymi ku wysokiej, szkarłatnej wieży w centrum większego z miast Helium. Kilka innych próbowało uciekać, ale natychmiast były otaczane przez tysiące jednoosobowych łodzi, a nad każdym z nich unosił się gotowy do przerzucenia desantu krążownik floty Helium. Bitwa dobiegła



Pchnąłem Sab Thana tak, iż runął jak długi i przytrzymałem Dejah Thoris do mego boku. Zauważyłem, że z tyłu, za tronem, są niewielkie drzwi, lecz teraz stał przy nich Than Kosis z wyciągniętym mieczem. Natartem na niego i już po chwili przekonałem się, iż natknąłem się na godnego przeciwnika. Wirlcząc, krążyliśmy po podwyższeniu, na którym stał tron i w pewnym momencie kątem oka zobaczyłem Sab Thana, wbiegającego na nie na pomoc swemu ojcu. Jednak gdy podniosłem on rekę do ciosu, wyrusła przed nim Dejah Thoris, a potem mój miecz zadał cios, który uczynił go jeddakiem Zodangi. Gdy jego ojciec, torzył się martwy po podłodze, nowy jeddak wyrwał się Dejah Thoris i znowu stanęliśmy twarzą w twarz. Nie był już sam, gdyż dołączyło do niego czterech oficerów i, z plecami przyciśniętymi do złotego tronu, jeszcze raz walczyłem o Dejah Thoris. Byłem w ciężkich opałach bronią się, a jednocześnie musząc uważać, by nie zabić Sab Thana, a wraz z nim ostatniej szansy na zdobycie ukochanej kobiety. Ostrze mego miecza migotało jak błyskawica, parując wymierzane we mnie pchnięcia i uderzenia. Wytrąciłem bron z dłoni dwóch oficerów, trzeci leżał martwy, ale nadbiegali inni, by pomóc w walce nowemu władcy i pomścić starego.

Nagle do moich uszu dobiegły okrzyki: „Kobieta! Kobieta! Zabić ją! To jej intryga! Zabić ją!”

Krzyknąłem do Dejah Thoris, aby skryła się za moimi plecami, a sam zacząłem się cofać ku znajdującym się niedaleko małym drzwiczkom. Oficerowie jednak przejrżeli moje zamiary i trzech z nich przebiegło wokół tronu za moje plecy, uniemożliwiając mi w ten sposób zajęcie pozycji, w której mógłbym bronić Dejah Thoris przed nacierającym tłumem szermierzy.

Tharkowie mieli ręce pełne roboty w centrum sali i zacząłem się poważnie obawiać, że tylko cud może uratować życie Dejah Thoris i moje własne. Wtedy zobaczyłem Tars Tarkasa, pracującego ku nam poprzez mijający się wokół niego tłum pigmejów. Jedno uderzenie jego potężnego miecza kładło trupem kilku przeciwników i tak wycinał sobie drogę ku nam, aż wreszcie stanął obok mnie na podwyższeniu, siejąc wokół śmierć i zniszczenie.

Odwaga Zodanganczyków była naprawdę imponująca – nikt nie usiłował ratować się ucieczką i walka zakończyła się tylko dlatego, że jedynymi pozostałymi w sali żywymi istotami, oprócz mnie i Dejah Thoris, byli Tharkowie.

Sab Than leżał martwy obok swego ojca, a cała ogromna podłoga była zaslana ciałami zodanganczkiej szlachty i korpusu oficerskiego.

Moja pierwsza myśl po otrąśnięciu się z gorączki bitewnej dotyczyła Kantos Kana. Zostawiłem Dejah Thoris pod opieką Tars Tarkasa, wziąłem dwunastu wojowników i poszedłem do pałacowych podziemi. Strażnicy wiezienni przyłączyli się do bitwy w sali tronowej, przeszukiwaliśmy więc ukryty pod pałacem labirynt nie natykając się na żaden opór.

W każdym nowym korytarzu i pomieszczeniu krzyczałem głośno imię Kantos Kana i w końcu moje wysiłki zostały nagrodzone, gdyż usłyszałem słaba, dobiegającą z głębi pobliskiego korytarza odpowiedź. Poszedłem za głosem i wkrótce go znalazłem, przykutego do ściany w najciemniejszym kącie jednej z wieziennych cel.

Bardzo się ucieszył na mój widok, a jego radość jeszcze wzrosła, gdy mu powiedziałem o przyczynie i rezultacie walki, której dalekie odgłosy dobiegały do jego celi. Wyjaśnił mi, że został schwytany przez patrol powietrzny, zanim zdolał dotrzeć do pałacowej wieży, tak więc nawet nie widział Sab Thana.

Proby przecięcia krepujących go łańcuchów okazały się daremne, więc, stosując się do jego sugestii, wróciłem do sali tronowej, by przeszukać ciała zabitych i spróbować odnaleźć klucze do spinających łańcuchy klódek.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zwłoki strażnika wieziennego znalazły się wśród pierwszych przeszukanych przeze mnie trupów. Kantos Kan stał wkrótce obok nas w sali tronowej.

Z ulic miasta dobiegały odgłosy salw armatnich, przemieszane z gęstą strzelaniną z broni indywidualnej, wrzawą i krzykami. Tars Tarkas wybiegł, by przejąć dowództwo nad wojskami, Kantos Kan poszedł z nim jako przewodnik, zieloni wojownicy rozpoczęli penetrowanie pałacu w poszukiwaniu ukrywających się Zodanganczyków i łupów. Zostałem sam z Dejah Thoris.

Usiadła na złotym tronie, a gdy do niej podszedłem uśmiechnęła się słabo.

– Czy wszyscy mężczyźni na Ziemi są podobni do ciebie? spytała. – Jeszcze nikogo takiego na Barsoomie nie widziano. Samotny, prześladowany, na obcej ziemi potrafiłeś w kilka krótkich miesięcy dokonać tego, czego nie dokonał jeszcze nikt w ciągu całej historii Barsoomu: zjednoczyć dzikie plemiona z wyschniętych morz i zrobić z nich sprzymierzeńców czerwonych ludzi.

– Odpowiedź jest prosta – powiedziałem z uśmiechem – to nie ja tego dokonałem, to miłość – miłość do Dejah Thoris. Jej potęga gotowa jest tworzyć cuda jeszcze większe niż te, które widziałas.

Jej twarz oblała się rumieńcem.

– Teraz już możesz tak mówić, Johnie Carter, a ja mogę tego słuchać, gdyż jestem wolna.

gdy tak wiele zależało od zachowania tajemnicy i pospiechu. Wtulałem się więc w cień budynków, głów w razie potrzeby wskoczyć w jakieś okno lub drzwi. Podszedłem w ten sposób do wielkiej bramy, prowadzącej na ulicę i cicho zawołałem moje zwierzęta. Dziękowałem Opatrzności, że natchnęła mnie przeczuć i kazała zdobyć zaufanie i przywiązanie tych dzikich bestii. Teraz widziałem, jak z przeciwnego końca podwórza dwa thoaty torują sobie drogę w moim kierunku wśród poruszających się, ogromnych gorz miesa. Podeszły bardzo blisko, otarły o mnie pyski, próbując wywyszczyć kawałki pożywienia, którymi zwykle nagradzałem ich posuszeństwo. Otworzyłem brame, kazałem zwierzętom wyjść na zewnątrz, potem wśliznąłem się za nimi i ostrożnie zamknąłem wrota.

Jeszcze ich nie dosiadłem ani nie osiodlałem, lecz kryjąc się w cieniu poszedłem ostrożnie w stronę tej mało uczęszczanej ulicy, na której umówiłem się z Dejah Thoris i Soli. W kompletnej ciszy, niby bezcieleśne zjawy mijaliśmy opustoszałe ulice. Odechnąłem swobodnie dopiero, gdy zobaczyłem rozciągającą się za miastem równinę. Byłem przekonany, że Dejah Thoris i Soli nie będą miały trudności w niepostrzeżonym przybyciu na miejsce spotkania, ale bałem się o siebie, gdyż prowadziliśmy dwa ogromne thoaty, a zieloni wojownicy nigdy nie opuszczali miasta nocą – było to zupełnie niezwykle i moją widok natychmiast wzbudziłby podejrzenia.

Jednak dotarłem bezpiecznie na umówione miejsce, a ponieważ kobiety jeszcze nie przyszły, wprowadziłem zwierzęta do bramy jednego z pobliskich budynków. Nie byłem zaniepokojony nieobecnością Dejah Thoris i Soli, gdyż przypuszczałem, że któraś z pozostałych kobiet, mieszkających w tym samym budynku przysłała, by trochę pogawędzić i w ten sposób opóźniła ich przybycie na spotkanie. Jednak minęła godzina, a ich ciągle nie było. Po upływie następnych trzydziestu minut zacząłem odczuwać gwałtowny niepokój. Potem nagle cisza nocy została przerwana odgłosem zbliżającego się oddziału. Hałas był zbyt duży, aby były to przekradające się ostrożnie ku wolności uciekinierki i wkrótce zbliżył się, a wtedy zobaczyłem grupę jadących wierzchem wojowników. Skryty w ciemności bramy obserwowałem, jak przejeżdżali obok. Usłyszałem fragment ich rozmowy i serce zamartało mi w piersi.

– Prawdopodobnie umówił się z nimi tuż za granicami miasta, a więc... – nie usłyszałem nic więcej, gdyż pojechali dalej, ale to mi wystarczyło. Nasz plan został zdemaskowany. Od tej chwili aż do planowanego dla nas strasznego końca nie mieliśmy już praktycznie żadnych szans na pomyslną ucieczkę. Teraz chciałem jedynie wrócić niepostrzeżenie do budynku Dejah Thoris i dowiedzieć się, co się z nią stało. Był to jednak poważny problem, gdyż nie wiedziałem, co mam zrobić z moimi ogromnymi thoatami, teraz, gdy całe miasto było już prawdopodobnie na nogach, zelektryzowane wiadomością o ucieczce.

Nagle przypomniałem sobie, że przecież wszystkie budynki w tych starożytnych miastach były budowane tak, iż w centrum każdej czworobocznej grupy znajdował się duży dziedziniec. Poprowadziłem thoaty w głąb budynku, posuwając się w głębokich ciemnościach niczym ślepiec. Przeszliśmy przez kolejne pomieszczenia. Thoaty miały pewne trudności w przecisnięciu się przez mijane po drodze drzwi, ale ponieważ gmachy przy głównych ulicach były budowane z dużym rozmachem, dotarliśmy w końcu do wewnętrznego podwórza. Było ono porośnięte, jak się spodziewałem, dywanem złotego mchu, który mógł służyć thoatom za pożywienie do czasu, aż uda mi się je przeprowadzić z powrotem do stada. Byłem pewien, że będzie im tu równie dobrze, jak gdziekolwiek indziej i że jest prawie niemożliwe, aby zostały odnalezione. Zieloni ludzie z wielką niechęcią wchodziłi do leżących na skraju miasta budynków, gdyż były one często odwiedzane przez jedyne stworzenia, których zdawali się bać – wielkie, białe małpy.

Zdałem z thoatów uprząż i schowałem ją za drzwiami, przez które weszliśmy na dziedziniec. Puściłem zwierzęta wolno, przeszedłem przez podwórze ku tyłom budynku leżącego po przeciwnej stronie i wydostałem się na leżącą za nim ulicę. Przez chwilę stałem w drzwiach, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, a potem przebiegłem na drugą stronę, wpadłem w najbliższe drzwi i przedostałem się na dziedziniec. W ten sposób, posuwając się od podwórza do podwórza, ryzykując, że zostaną zauważone tylko wtedy, gdy przebiegałem przez ulice, bezpiecznie dotarłem na tyły budynku, w którym mieszkała Dejah Thoris.

Tużaj oczywiście natknąłem się na zwierzęta, należące do kwaterujących w tym budynku wojowników, a gdybym wszedł do wewnątrz prawdopodobnie spotkałbym ich samych. Jednak na szczęście miałem inną, bezpieczniejszą metodę dostania się na piętro, na którym spodziewałem się znaleźć Dejah Thoris. Przyjrzałem się uważnie budynkom, by mieć pewność, że wybieram właściwy, gdyż nigdy ich nie widziałem od strony podwórza i wykorzystałem swą stosunkowo wielką siłę i zwinność, by wyskoczyć w górę i chwycić parapet okna na pierwszym piętrze, przez które, jak przypuszczałem, dostanę się do pomieszczeń przylegających od tyłu do jej pokoju. Wśliznąłem się do wnętrza i ostrożnie poszedłem ku frontowi budynku. Gdy dotarłem pod drzwi pokoju Dejah Thoris, usłyszałem dobiegające z wewnątrz głosy.

Zatrzymałem się, by nabrać pewności, że jeden z nich należy do Dejah Thoris i że mogę bezpiecznie wejść do środka. Dobrze się stało, że tak zrobiłem, gdyż po chwili usłyszałem, że głosy są niskie, meskie. Również ich treść nie wróżyła nic dobrego. Właśnie mówił dowódca, najwyraźniej wydając rozkazy swoim podwładnym.

— Gdy przyjdzie do tego pomieszczenia, a na pewno tak zrobi, nie doczekawszy się jej w upróżnionym miejscu, rzucicie się na niego we czterech i rozbroicie go. Jeśli to, co o nim opowiadają jest prawdą, musicie robić to wszyscy naraz, połączonymi siłami. Potem go zanieście do piwnic pod siedzibą Jeddaka i zakujcie w kajdany, aby w każdej chwili był do dyspozycji Tal Hajusa. Nie pozwólcie mu z nikim rozmawiać. Nie wpuszczajcie też nikogo do tego pokoju zanim on się pojawi. Dziewczyna tu nie wróci, gdyż w tej chwili jest już bezpieczna w rekach Tal Hajusa i niech wszyscy jej przodkowie się nad nią zlitują, bo od Tal Hajusa nie można tego oczekiwać. Tak, wielka Sarkoja dokonała tej nocy wspaniałego czynu! Teraz odchodzę, a jeśli on się tu zjawi, a wam nie uda się go pojąć, rozkażę rzucić wasze trupy na dno issy.

## Znów w niewoli

Umilkł i odwrócił się, by wyjść z pokoju przez drzwi, za którymi stałem. Nie było sensu dłużej czekać — usłyszałem wystarczająco dużo, by mój niepokój przerodził się w przerażenie. Wycofałem się cicho tą samą drogą, którą tu dotarłem i zszedłem na dziedziniec. Ułożyłem szybko plan działania. Przeszedłem przez plac i przylegającą doń po przeciwnej stronie ulicę i wkrótce znalazłem się na dziedzińcu pałacu Tal Hajusa. Jasno oświetlone okna na parterze podpowiedziały mi od jakiego miejsca muszę rozpocząć poszukiwania. Zbliżyłem się do nich i zająłem do środka. Wkrótce doszedłem do wniosku, że nie pójdzie mi tak łatwo, jak się spodziewałem, gdyż przylegające do dziedzińca pokoje były wypełnione wojownikami i kobietami. Spojrzałem w górę i zauważyłem, że drugie piętro jest ciemne, a więc najprawdopodobniej puste. Zdecydowałem przedostać się do budynku właśnie tamtędy. W chwili późniejszej wyskoczyłem w górę, dosięgnąłem parapetu i zanurzyłem się w ciemnościach.

Tak jak przypuszczałem pokój, do którego wszedłem był nie zamieszkały. Bezszelestnie wymknąłem się na korytarz i zauważyłem, że w pomieszczeniach przede mną świeci się światło. Podeszedłem do czegoś, co wyglądało jak zwykłe drzwi, ale, uchyliwszy je ostrożnie, odkryłem, że otwierają się na ogromną salę, sięgającą od parteru, dwa piętra powyżej, aż po kopułowy dach pałacu. Podłoga tego wielkiego, okrągłego pomieszczenia była załoczona dowódcami, wojownikami i kobietami. Naprzeciw mnie, pod ścianą stało duże podwyższenie, a na nim siedział ze skrzyżowanymi nogami najohydniejszy stwór, jakiego zdarzyło mi się w życiu zobaczyć. Na jego twarzy odbijały się bezlitosny chłód i okrucieństwo, cechy, które leżą w charakterze każdego zielonego wojownika, ale podkreślone jeszcze i skążone zwierzęcą namiętnością, której od lat ulegał. W jego postawie nie było cienia dumy czy godności. Szczęść kończyn olbrzymiego, wystającego poza obręb platformy cielska upodobiło go do wielkiego, ustawionego pionowo pajaka.

Jednak naprawdę przestraszyłem się dopiero, gdy zauważyłem, że przed tym monstrum stoją Dejah Thoris i Sola. Dejah Thoris stała wyprostowana, z wysoko uniesioną głową i nawet z odległości, która mnie od nich dzieliła, mogłem odczytać na jej twarzy wyraz pogardy i odrzuty. Była prawdziwą córką tysięcy Jeddaków i mimo iż tak drobna w porównaniu z otaczającymi ją wojownikami, majestatem przewyższała ich nieskonczenie. Była wśród nich najsilniejsza duchem i jestem głęboko przekonany, że oni to czuli. Coś mówiła, ale nie mogłem usłyszeć ani jej słów, ani odpowiedzi, która dotarła do mnie jedynie jako niskie, gardłowe pomruki.

W pewnej chwili Tal Hajus dał znak, aby wszyscy wyszli z sali, zostawiając go samego z więźniami. Dowódcy, wojownicy i kobiety powoli znikali w przyległych pomieszczeniach i w końcu Dejah Thoris i Sola stały samotnie przed Jeddakiem Tharkian. Jeden tylko dowódca zwał się z wyjściem. Stał w dniu ogromnej kolumny, wpatrzony pełnymi nienawiści oczyma w Tal Hajusa, bawiąc się nerwowo rekojescią miecza. To był Tars Tarkas. Z jego twarzy mogłem czytać wypełniające go myśli i uczucia, jak z otwartej księgi. Myślał o kobiecie, która stała tutaj przed czterdziestu laty tak jak teraz Dejah Thoris. Gdybym mógł mu szepnąć choć słówko, panowanie Tal Hajusa gwałtownie zakończyłoby się w tym momencie. Jednak w końcu on również wyszedł, nie wiedząc, że zostawia na łasce potwora, którego tak nienawidził, swoją własną córkę.

Tal Hajus podniósł się, a ja, przeczuwając, co ma zamiar zrobić pobiegłem jak wariat w dół schodów,

Nasz plan został zrealizowany znakomicie i we wszystkich szczegółach. Dwaj wartownicy, na których się natknęliśmy, zostali wysłani do swoich przodków na brzegi zaginionego morza Korus, a strażę przy bramach wkrótce w milczeniu podążyły ich śladem.

## Plądrowanie Zodangi

Molch pięćdziesięciu Tharków wjechało na thoatach do środka natychmiast po otwarciu bramy, przy której czekałem. Prowadził ich sam Tars Tarkas. Podjechalismy do muru, otaczającego należące do pałacu tereny i odszukaliśmy najbliższe wejście. Przeskoczyłem mur, jednak miałem pewne kłopoty z zamkiem furty. W końcu udało mi się go sforsować i wkrótce mój oddział jechał przez ogrody Jeddaka Zodangi.

Zbliżyliśmy się do pałacu i przez okna na parterze zająłem do jasno oświetlonej sali audyencyjnej. Była załoczona należącymi do wyższych sfer mieszkańcami miasta i ich żonami, co oznaczało, iż odbywa się tam jakaś ważna uroczystość. Wokół pałacu nie zauważyliśmy żadnych straży. Jak przypuszczałem, należało to przypisać przekonaniu Zodanganczyków, iż miasto i pałac dzięki murom są całkowicie niedostępne.

Podeszedłem bliżej okien i zobaczyłem, że Than Kosis, otoczony dworzanami, oficerami i dygnitarzami siedzi pod jedną ze ścian sali, na złotym błyszczącym od diamentów tronie, zaś naprzeciw niego ciągnie się szerokie przejście, oddzielone od tłumu dwoma szeregiem żołnierzy. W momencie, w którym spojrziałem, z przeciwnego końca sali wszedł w to przejście początek orszaku i powoli zaczął zbliżać się ku tronowi. Na jego czele szło czterech oficerów gwardii Jeddaka, niosących ogromną łacę, na której, na poduszce ze szkarłatnego jedwabiu spoczywał wielki, złoty łańcuch, zakończony z obu stron zamykanymi na kłódki kołnierzami. Kolejni czterej oficerowie nieśli na podobnej łacy pięknej roboty insygnia księcia i księżniczki Zodangi. U stop tronu te dwie grupy rozdzieliły się i stanęły po obu stronach przejścia, twarząmi ku sobie.

Następna część orszaku składała się z dygnitarzy rządowych, oficerów armii i służby pałacowej, a po nich ukazały się dwie postacie, szczerze owinięte w szkarłatny jedwab. Zatrzymały się tuż przed tronem, z twarzami zwróconymi ku Than Kosisowi. Pozostała część orszaku weszła do sali i ustawiła się na swoich miejscach, a wtedy Jeddak wstał i zaczął coś mówić. Nie słyszałem słów, ale zauważyłem, że jakiś oficer podeszedł do jednej z postaci i zdjął z niej szkarłatne okrycie. Zrozumiałem, że Kantos Kanowi nie udało się zakończyć sukcesem swojej misji, gdyż przed tronem stał Sab Than, cały i zdrowy.

Than Kosis wziął z jednej z łac insygnia i podał synowi, potem nałożył mu na szyję przymocowany do łańcucha kołnierz i zamknął kłódkę. Powiedział do niego jeszcze kilka słów, a potem odwrócił się ku drugiej postaci. Oficer zdjął z niej jedwabne okrycie i moim oczom ukazała się Dejah Thoris, księżniczka Helium.

Cel tej uroczystości stał się dla mnie zupełnie jasny — za chwilę Dejah Thoris zostanie połączona na zawsze z księciem Zodangi. Zapewne była to bardzo piękna, robiąca duże wrażenie uroczystość, ale mnie wydała się ona najwstrętniejszą ze wszystkich, jakie dotychczas widziałem. W chwili, gdy zobaczyłem, że insygnia zostały przypięte do piersi Dejah Thoris, a Than Kosis trzyma w rękach gotowy do zapiecia kołnierz, uniosłem nad głowę miecz i jego cieżka rekojescią uderzyłem w szyję, rozbijając ją na drobne kawałki. Wpadłem do środka i jednym skokiem znalazłem się obok skamieniałego ze zdumienia Than Kosisa. Podniosłem miecz i poleźnym uderzeniem rozciąłem łańcuch, który miał połączyć Dejah Thoris z innym mężczyzną.

Powstało ogromne zamieszanie, błysnęło tysiąc mieczy, a każdy z nich był dla mnie groźbą. Jednak nie miałem czasu się nimi przejmować, gdyż Sab Than, wyciągnawszy ze stroju weselnego wysadzany drogiemi kamieniami sztylet, rzucił się na mnie, jak rozjuszona pantera. Mogłbym go z łatwością zabić, ale obyczaj, zakorzeniony na Barsoomie od wieków, wstrzymał mą rękę i tylko, chwyciwszy jego dłoń, uzbrojoną w zmierzającą ku memu sercu sztylet i trzymając ją jak w imadle, wskazałem końcem mego miecza przeciwny kraniec sali.

— Zodanga upadła! — krzyknąłem. — Spójrzcie!

Wszystkie oczy skierowały się w stronę, którą wskazywałem, a tam, przez wejściowe portale, wjeżdżał Tars Tarkas na czele swych pięćdziesięciu, dosiadających ogromnych thoatów wojowników.

Z gardel zebranych wyrwały się okrzyki zdziwienia, lecz nie trwogi, i już po chwili żołnierze i szlachta Zodangi wspólnie rzucili się na nadchodzących Tharków.



- John Carter przedstawił propozycję - powiedział Tars Tarkas, zwracając się do rady - która zyskuje moją całkowitą aprobatę. Wytłumaczcie wam krótko, na czym ona polega. Dejah Thoris, która była naszym więźniem, znajduje się teraz w rękach jeddaka Zodangi. Jest zmuszona poślubić jego syna, aby uchronić swój kraj przed zniszczeniem przez siły Zodangi. John Carter proponuje, abysmy ją uwolnili i zwrócili Helium. W Zodandzie oczekują na nas wspaniałe łupy, a ja często myślałem o tym, że gdybyśmy się sprzymierzyli z Helium moglibyśmy otrzymywać wystarczające dostawy żywności, aby nam to pozwoliło na zwiększenie rozmiarów i częstotliwości wypraw. W ten sposób osiągnęlibyśmy niekwestionowany prymat wśród zielonych ludzi na Barsoomie. Co wy na to?

Widząc przed sobą perspektywę walki i bogatych łupów przystali na moją propozycję z niesłychanym, jak na Tharków, entuzjazmem. W ciągu pół godziny dwudziestu posłańców galopowało przez wyschnięte dna morza, zwołując poszczególne plemiona na wyprawę.

Trzy dni później maszerowaliśmy już w stronę Zodangi w sile stu tysięcy wojowników, gdyż obietnicą bogatych łupów udało się Tars Tarkasowi pozyskać również trzy mniejsze plemiona. Jechałem na czele kolumny, tuż za ogromnym Tharkiem, a przy nogach mojego thoata biegł wierny Woola.

Podróżowaliśmy wyłącznie nocą, ułożwszy plan przemarszu w ten sposób, aby dnie spędzać w opuszczonych miastach, kryjąc się wraz ze zwierzętami wewnątrz budynków. Po drodze Tars Tarkas, dzięki swej zrecznosci i talentom dyplomatycznym, potrafił zwerbować jeszcze pięćdziesiąt tysięcy wojowników z rozmaitych plemion i narodów, tak więc o północy dziesiątego dnia po wymarszu zatrzymaliśmy się pod murami Zodangi mając ze sobą stu pięćdziesięciotysięczną armię.

Jej siła bojowa była równa dziesięciokrotnie liczniejszej armii czerwonych ludzi. Tars Tarkas powiedział, że jeszcze nigdy w historii Barsoomu nie maszerowała do boju tak wielka liczba zielonych wojowników. Utrzymanie choćby pozorów spokoju między nimi było prawdziwie nadludzkim zadaniem, a z cudem graniczyło to, że udało się wszystkim doprowadzić pod mury miasta bez żadnych poważniejszych, wzajemnych walk.

W miarę zbliżania się do Zodangi osobiste kłótnie i zatargi były coraz rzadsze, ustępując przed wspólną im wszystkim nienawiścią do czerwonej rasy, a szczególnie do Zodanganczyków, którzy od lat prowadzili kampanie, mając na celu wytrzebieenie zielonych ludzi, zaś szczególną uwagę przywiązywali do niszczenia inkubatorów.

Otwarcie drogi do miasta zostało powierzono mnie. Poradziłem Tars Tarkasowi, aby podzielił siły na dwa oddziały, z których każdy miał się ustawić w bezpiecznej odległości na wprost dwóch głównych bram, prowadzących do miasta. Sam wziąłem dwudziestu pieszych wojowników i podszedłem do jednego z mniejszych wejść, znajdujących się w regularnych odstępach w otaczających Zodangę murach. Nie miały one stałych straży, ale były pilnowane przez wartowników, którzy patrolowali odpowiednie odcinki biegnącej tuż za murami obwodnicy, tak jak nasza policja miejska patroluje swoje rewiry.

Mury Zodangi, zbudowane z ogromnych bloków karborundum, miały siedemdziesiąt pięć stop wysokości i pięćdziesiąt stop grubości. Towarzysząc mi wojownikom wejście do miasta wydawało się zupełnie niemożliwe. Należeli oni do jednego z mniejszych narodów i dotychczas mnie nie znali. Ustawiłem trzech z nich twarzami do muru i kazałem im trzymać się za ramiona, a na nich poleciłem stanąć następnym dwóm, zaś szóstemu na szczycie tej piramidy. Głowa tego ostatniego znajdowała się na wysokości około czterdziestu stop nad ziemią. W ten sposób przy pomocy dziesięciu wojowników zbudowałem trzy stopnie, z których ostatnim były ramiona Marsjanina stojącego najwyżej w pierwszej piramidzie. Potem wziąłem kroki rozbieg i skaczac z jednego szczebla tej ludzkiej drabiny na następny, odbiłem się mocno od jej wierzchołka. Zdolałem dosięgnąć palcami krawędzi muru i po chwili stałem już na szerokiej płaszczyźnie, będącej jego szczytem. Ciągnąłem sześć zwiazanych ze sobą rzemieni, które uprzednio wziąłem od sześciu z towarzyszących mi wojowników. Powstała w ten sposób długa lina i teraz jeden jej koniec podałem stojącemu najwyżej wojownikowi, a drugi opuszcłem ostrożnie na ulicę po drugiej stronie muru. Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, zszedłem na chodnik przylegający do muru od wewnętrznej strony.

Kantos Kan nauczył mnie wcześniej sposobu, którym można otworzyć te bramy i w chwili później dwudziestu wielkich zielonych wojowników znalazło się w obrębie miasta Zodangi.

Z zadowoleniem zauważyłem, że weszliśmy w punkcie przylegającym do granicy ogromnych terenów, otaczających pałac. Zdecydowałem, że pójdę tam z niewielkim oddziałem, a główne siły będą atakować koszary wojskowe.

Wysłałem do Tars Tarkasa posłańca z prośbą o pięćdziesięciu Tharków i rozkazałem dziesięciu z towarzyszących mi ludzi opanować i otworzyć jedną z głównych bram, a dziewczęciu pozostałym - drugą. To zadanie musiało być wykonane w ciszy, bez jednego wystrzału. Otwarty atak miał nastąpić dopiero w chwili, gdy znajdzie się z moim oddziałem w pałacu.

prowadzących na niższe piętra. Nikogo nie spotkałem i niezaawazony dotarłem na parter do głównych drzwi, a potem wsłiznąłem się do środka i skryłem za tą samą kolumną, przy której stał przed chwilą Tars Tarkas. Teraz już wyraźnie słyszałem słowa Tal Hajusa.

Księżniczko Helium - mówił - gdybym cię zwrócił nie robiąc ci krzywdy dostałbym niewątpliwie potężny okup od twego narodu. Jednak tysiąc razy bardziej wolę widzieć twoją piękną twarzyczkę wykryzioną bólem podczas tortur. Obiecuję ci, że będziesz bardzo długo umierać. Dziesięć dni takiej przyjemności nie wystarczy, aby ukazać głębię miłości, jaką żywie do twojej rasy. Czerwoni ludzie będą drżeli na wspomnienie twojej śmierci przez wszystkie nadchodzące wieki, myśli o straszliwej zemście zielonych ludzi będzie im spędzać sen z powiek, będą płakać ze strachu, ilekroć przypomną sobie potęgę, okrucieństwo i siłę nienawisci Tal Hajusa. Ale przed torturami będziesz przez jedną krótką godzinę moja i wiadomość o tym również dotrze do Tardos Morsa, jeddaka Helium, twojego dziadka, a gdy o tym usłyszy, z rozpaczą będzie się tarzał po ziemi. Jutro rozpoczną się tortury, ale tej nocy należysz do Tal Hajusa! Chodź tu!

Zeskoczył z platformy i chwycił ją brutalnie za ramię. Nic więcej nie zdążył zrobić, gdyż wpadłem między nich z krótkim mieczem, pośliskującym w mojej prawej dłoni. Mogłem go wbić w jego serce, zanim by się zorientował co się dzieje, ale pomyślałem o Tars Tarkasie i mimo wypętlającej mnie nienawisci i gniewu, nie mogłem go pozbawić tej słodkiej chwili, dla której żył od tylu długich lat. Zadowolilem się więc rąbnieciem Tal Hajusa z całej siły pięścią w twarz. Osunął się na ziemię jak nieżywy, nie wydając jednego dźwięku.

Wśród grobowej ciszy złapałem Dejah Thoris za rękę, skinąłem na Sole i wyszliśmy z sali. Wspieliśmy się po schodach na wyższe piętro i niezaawazani przez nikogo doszliśmy do wychodzącego na dziedzińiec okna. Zdjąłem z siebie przytrzymujące ozdoby pasa, związałem je w linę i opuszcłem Sole i Dejah Thoris na ziemię. Wyskoczyłem z nimi i kazałem im biec za sobą wokół dziedzińca, trzymając się rzucanych przez budynki cieni. W ten sposób wróciliśmy na skraj miasta, tą samą drogą, którą przeszedłem niedawno samotnie.

Dotarliśmy do thoatów, czekających tam, gdzie je zostawiłem. Zainicjowaliśmy im uprzęż i wyprowadziliśmy przed budynki na ulicę. Sola wsiadła na jednego, ja i Dejah Thoris na drugiego i wyjechaliśmy z miasta Thark, mijając otaczające je od południa wzgórza. Zamiast okrążyć miasto i pojechać na północny zachód w stronę najbliższej drogi wodnej, skierowaliśmy się na północny wschód i wyjechaliśmy na porośnięte mchem pustkowia, z którym w odległości dwustu niebezpiecznych i męczących mil leżała inna prowadząca do Helium droga.

Nie powiedzieliśmy ani słowa aż do chwili, gdy miasto zostało już daleko za nami, przez cały jednak czas słyszałem za sobą oddech Dejah Thoris, opierającej głowę o moje ramię.

- Jeśli nam się uda, mój dowódco - szepnęła - Helium będzie miał wobec ciebie ogromny dług wdzięczności, tak wielki, że nigdy nie zdoła się wypłacić. Jeśli nam się nie powiedzie, ten dług wcale nie będzie mniejszy, gdyż uratowałeś ostatnią z naszego rodu od losu gorszego niż śmierć.

Nie odpowiedziałem, lecz sięgnąłem ku jej dłoni, trzymającej się mego boku i uściśnąłem mocno. Potem jechaliśmy w milczeniu przez zalaną księżycowymi światłami żółtą równinę, pogrążeni we własnych myślach. Ja, gdybym nawet próbował, nie mogłbym czuć niczego innego niż radość i mimo niebezpieczeństw, jakie nas jeszcze czekały, moje serce, czując bliską obecność Dejah Thoris było tak wesołe, jakbyśmy już wjeżdżali w bramy Helium.

Nasze pierwotne plany spaliły na panewce i teraz byliśmy pozbawieni jedzenia i picia, a tylko ja byłem uzbrojony. Zmuszało nas więc nasze thoaty do szybkiego biegu, mimo iż wiedziliśmy, że zanim dotrzemy do jakiegos miariska, które nadawałoby się na zakończenie pierwszego etapu podróży, taki wysiłek może je drogo kosztować.

Jechaliśmy całą noc i cały następny dzień, robiąc tylko kilka krótkich przerw na odpoczynek. Następnej nocy wszyscy, zarówno my, jak i nasze zwierzęta, byliśmy kompletnie wyczerpani. Położyliśmy się więc na mchu i przespaliśmy pięć czy sześć godzin, wyruszając znowu w drogę przed nastaniem nowego dnia. I znowu jechaliśmy cały dzień, a gdy do późnych godzin popołudniowych nie zauważyliśmy w oddali rzędów drzew, które na całym Barsoomie porastają brzozy dróg wodnych, musieliśmy pogodzić się ze straszną prawdą - zbłądziłszy Najwyraźniej zoczyliśmy z właściwego kierunku, ale nie potrafiliśmy określić, w którą stronę. W każdym razie w zasięgu naszego wzroku nie było ani śladu drogi wodnej, a cała nasza grupa niemal padała z głodu, pragnienia i wyczerpania. Daleko przed nami, nieco w prawo zauważyliśmy pasmo niskich gór i postanowiliśmy do nich dotrzeć, mając nadzieję że z jakiegos wznieślenia zdołamy dostrzec znaki, świadczące o bliskości kanału. Zanim do nich dojechaliśmy zapadła noc i ułożyliśmy się do snu, niemal mdlejąc z wyczerpania i osłabienia.

Zostałem obudzony przez jakieś tulące się do mnie olbrzymie cielsko, a gdy otworzyłem oczy zoba-

czyłem mego wiernego Woole, leżącego tuż obok mnie. Biedne zwierze pobiegło za nami przez pustkowia, by dzielić nasz los, jakkolwiek on będzie. Objąłem rekami jego szyję i przytuliłem do pyska policzek. Nie wstydzę się tego, że to zrobiłem, ani też, które popłynęły mi z oczu, gdy pomyślałem o jego przywiązaniu. Wkrótce potem Sola i Dejah Thoris obudziły się również i zdecydowałyśmy wyruszyć natychmiast, aby jak najprędzej dotrzeć do wzgórz.

Przejechaliśmy może milę, gdy zauważyłem, że mój thoat zaczyna się potykać, chwiać i popiskiwać żałośnie, mimo iż od poprzedniego południa nie zmuszaliśmy zwierząt do większego wysiłku niż marsz. Nagle thoat pochylił się gwałtownie na jedną stronę, a potem runął na ziemię. Dejah Thoris i ja zostaliśmy wyrzuceni i upadliśmy na mech, nie robiąc sobie na szczęście nic złego. Jednak zwierzę było w pożałowania godnym stanie i, mimo że uwolnione od naszego ciężaru, nie było nawet zdolne się podnieść. Sola powiedziała, że chłód nocy oraz wypoczynek powinny wrócić mu siły, zdecydowałem więc, że go nie zabije, chociaż w pierwszej chwili miałem taki zamiar, gdyż okrucieństwem wydawało mi się pozostawienie zwierzęcia samego, na straszną śmierć z głodu i pragnienia. Zdjąłem z niego uprząż i zostawiliśmy je własnemu losowi, ruszając dalej z jednym tylko thoatem. Sola i ja szliśmy na piechotę, Dejah Thoris zmusiliśmy natomiast wbrew jej woli, by jechała. Zbliżyliśmy się w ten sposób na odległość około mili do wzgórz, gdy nagle Dejah Thoris, siedząca wysoko na grzbiecie thoata i dzięki temu lepiej widząca okolice, krzyknęła, że kilka mil od nas, z wawozu między wzgórzami wyjeżdża duży oddział. Sola i ja spojrzeliśmy w tym kierunku i zobaczyliśmy kilkuset jadących wierzchem wojowników. Wydawali się zmierzac na południowy zachód, a jeśli tak, to znaczyło, że będą się od nas oddalać.

Byli to bez wątpienia wojownicy tharkijscy, którzy zostali wysłani, aby nas schwytac i wręczyć nam ulgę, gdy się upewniliśmy, że jada w przeciwną stronę. Szybko zdjąłem Dejah Thoris z thoata i kazałem zwierzęciu się położyć. My również ułożyliśmy się obok, tuląc się do ziemi w nadziei, że zaden z wojowników nas nie zauważy.

Widzieliśmy, jak wyjechali z wawozu, a potem skryli się za następnym wzgórzem - dla nas był to bardzo pomyślny przypadek, gdyż musieli by nas zauważyć, gdyby jechali dłużej po otwartej przestrzeni. Jednak ostatni wojownik zatrzymał się i, ku naszemu przerażeniu, wyjął małą, lecz bardzo silną lornetkę, przez którą zaczął przepatrywać okolice we wszystkich kierunkach. Najwyraźniej był dowódcą - w niektórych rodzajach kolumn marszowych zielonych ludzi dowódca jechał na samym koncu, za całym oddziałem. Gdy lornetka zwróciła się w naszą stronę, poczułem zimny pot, występujący mi na całym ciele. Lornetka zneruchomiała. Mielismy nerwy napięte do ostateczności i walczyliśmy, czy którekolwiek z nas odważy się oddychać przez te kilka chwil, w czasie których wojownik patrzył na nas. W końcu opuścił lornetkę i zauważyłem, jak wykrzykiwał rozkazy do oddziału, który już skrył się za wzgórzem. Potem ruszył galopem w naszą stronę, nie czekając na innych. Dzięki temu pojawił się dla nas cien szansy, należało jednak działać błyskawicznie. Podniosłem do ramienia marsjańską strzelbę, wycelowałem i nacisnąłem spust. Nastąpił krótki ostry wybuch, gdy pocisk dosięgnął celu, a dowódca zwałił się w tył z galopującego thoata. Zerwałem się na nogi, podniosłem thoata i rozkazałem Soli i Dejah Thoris wsiadać na niego i gnać w stronę wzgórz tak szybko, jak to możliwe. Wiedziałem, że wśród wawozów i zlebow znajdują jakieś tymczasowe schronienie, a nawet gdyby miały tam umrzeć z głodu i pragnienia, będzie to lepsze niż ponowne wpadnięcie w łapy Tharków. Oddałem im oba rewolwery, które mogły posłużyć przez czas jakiś do obrony lub, w razie potrzeby, jako środek ostatecznej ucieczki, eliminując już na zawsze możliwość powrotnego schwytania. Podniosłem Dejah Thoris i posadziłem za Solą na grzbiecie thoata.

Do widzenia, moja księżniczko - powiedziałem, - Może się spotkamy w Helum. Wydostawałem się już z gorszych opresji. Kłamiąc szliśmy się na śmierć.

Jak to? - krzyknęła - Nie jedziesz z nami?

Nie mogę. Ktoś musi powstrzymać przez chwilę pogon, a ja sam łatwiej się wytnę niż gdybyśmy uciekali we troje.

Zeskoczyła z powrotem na ziemię, zarzuciła mi ramiona na szyję i zwróciła się do Soli, mówiąc z godnością:

- Uciekaj, Solu! Dejah Thoris zostaje, by umrzeć z człowiekiem, którego kocha.

Te słowa są na zawsze wyrzute w moim sercu. Chętnie oddałbym życie za to, by mor je jeszcze raz usłyszeć. Wtedy jednak nie mogłem zostać ani chwili dłużej w jej objęciach, przycisnąłem tylko po raz pierwszy usta do jej ust, potem odepchnąłem ją od siebie i posadziłem w siodło, rozkazując Soli, aby zatrzymała ją tam siłą. Potem popędziłem thoata i patrzyłem, jak się oddalają, a Dejah Thoris szarpie się i wyrwa z uścisku Soli.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że zieloni wojownicy weszli na wzgórze i rozglądają w poszukiwaniu

Nie sprzeciwiał się już, gdy zaproponowałem, abyśmy poszli do Tal Hajusa, powiedział tylko, że musi przedtem porozmawiać z Sarkoją. Poszliśmy razem do jej kwatery, a pełne jadowitej nienawiści spojrzenie, jakie mi posłała, było dla mnie niemal dostateczną rekompensatą za wszystkie przyszłe nieprzyjemności, mogące mnie spotkać w związku z tym przypadkowym powrotem do państwa Tharków.

Sarkojo - powiedział Tars Tarkas - czterdzieści lat temu sprowadziłaś tortury i śmierć na kobietę, imieniem Gozawa. Przed chwilą mi powiedziano, że wojownik, który ją kochał, dowiedział się o roli, jaką w tej sprawie odegrałaś. Nie zabije cie, Sarkojo, gdyż nasze obyczaje na to nie pozwalają, ale nie go nie może powstrzymać przed przeprowadzeniem na tobie naukowego eksperymentu. Przywiąże jeden koniec sznura do twojej szyi, a drugi do nogi dzikiego thoata. Sprawdzi w ten sposób twoją odporność i zdolność do przetrwania, co niewątpliwie przyczyni się do ulepszenia naszej rasy. Usłyszałem, że ma zamiar to zrobić wczesnym rankiem, postanowiłem więc cie ostrzec. Przygotowania do pielgrzymki nad rzekę Iss nie zabiorą ci dużo czasu, Sarkojo. Idziemy, Johnie Carter.

Nazajutrz rano Sarkojo zniknęła i od tej pory nikt już jej nie widział.

W milczeniu poszliśmy do palacu jeddaka i zostaliśmy natychmiast zaprowadzeni do pomieszczenia, w którym Tal Hajus czekał na nas, jak się wydawało z wielką niecierpliwością, gdyż zastaliśmy go stojącego na podwyższeniu i nerwowo spoglądającego w stronę wejścia.

- Przywiązać go do tej kolumny - krzyknął na mój widok. - Ośmielił się uderzyć potężnego Tal Hajusa! Rozgrzać żelazo! Własnoręcznie wypalę mu oczy, aby więcej nie obraził mojej osoby swoim bezczelnym spojrzeniem!

- Wodzowie i dowódcy Tharków! - zwróciłem się do stojącej w pobliżu rady, ignorując Tal Hajusa. - Bylem wśród was dowódcą, a dzisiaj walczyłem z waszymi wrogami, ramie przy ramieniu z największym tharkijskim wojownikiem. Przez wzgląd na to wszystko powinniście mnie chociaż wysłuchać. Uważacie się przecież za sprawiedliwych ludzi...

Milczeć! - wrzasnął Tal Hajus. - Zakneblować mu usta i przywiązać jak rozkazałem!

- Mój wzgląd na sprawiedliwość, Tal Hajusie - powiedział Lorquas Ptomel. - Kim jesteś, że wolno ci lekceważyć odwieczne prawa Tharków?

Tak, sprawiedliwość - zawtorował mu tuzin głosów.

Podczas, gdy Tal Hajus sapiał i parskał ze złości, ja mówiłem dalej:

Jesteście dzielnymi wojownikami i cenicie odwagę. Powiedziecie, gdzie był wasz potężny jeddak podczas dzisiejszej bitwy? Nie zauważyłem go w ogniu walki. Nie było go tam. Znęca się nad bezbronnymi kobietami i dziećmi, ale kiedy ostatni raz widziano go walczącego z mężczyzną? Nawet ja, o tyle od was mniejszy, powaliłem go jednym uderzeniem pięści. Czy takich wojowników Tharkowie mają w zwyczaju obwoływać jeddakami? Obok mnie stoi wielki Thark, potężny wojownik i szlachetny człowiek. Wodzowie, jakby to brzmiało? Tars Tarkas, jeddak Tharku?

Moja propozycja została powitana pełnymi zadowolenia potakującymi okrzykami.

Wystarczy, aby rada wyraziła takie życzenie - a Tal Hajus będzie musiał udowodnić swoje prawo do rządzenia waszym narodem. Gdyby był odważnym mężczyzną, już dawno by wyzwiał Tars Tarkasa na pojedynek, gdyż, jak wam wszystkim wiadomo, bardzo go nie lubi. Nie zrobił tego, gdyż się boi. Wasz jeddak, Tal Hajus, jest tchórzem. Ja sam mogłbym go zabić gołymi rekami i on o tym wie.

Zamilkłem, a sala wypełniła się pełną oczekiwania ciszą. Wszystkie oczy zwróciły się na Tal Hajusa. Nie powiedział ani słowa, ale jego zielona twarz wyraźnie zbladła.

- Tal Hajusie - powiedział Lorquas Ptomel zinnym, wyzywającym głosem - jeszcze nigdy, w ciągu całego swojego życia nie widziałem, aby ktoś tak obraził jeddaka Tharków. Na taką zniewagę jest tylko jedna odpowiedź. Czekamy na nią.

Tal Hajus stał jak skamieniały.

- Wodzowie - ciągnął Lorquas Ptomel - czy żądamy, aby Tal Hajus udowodnił swoją wyższość nad Tars Tarkasem?

Wokół podwyższenia było zgromadzonych około dwudziestu wodzów i dowódców i dwadzieścia mieczy zostało podniesionych w powietrze na znak potwierdzenia.

Teraz już nie było wyboru. Życzenie rady było jasne i ostateczne. Tal Hajus dobył miecza i ruszył w stronę Tars Tarkasa. Walka była bardzo krótka i Tars Tarkas, opierając stopę na gardle pokonanego władcy, został obwołany nowym jeddakiem Tharku. Jego pierwszym zarządzeniem było mianowanie mnie pełnoprawnym dowódcą w randze równej tej, jaką sobie wywalczyłem podczas mego poprzedniego wśród nich pobytu.

Widząc, że wojownicy są przychylnie nastawieni zarówno do Tars Tarkasa, jak i do mnie, postanowiłem wykorzystać okazję i naklonić ich do rozpaczenia wojny z Zodangą. Opowiedziałem Tars Tarkasowi swoje przemyślenia i w kilku słowach wyjaśniłem, co mam na myśli.



## Tars Tarkas zyskuje przyjaciela

Około północy przeleciałem na niewielkiej wysokości ponad wymartym miastem starożytnych Marsjan i, gdy płynąłem ku leżącej poza nim równinie, natknąłem się na kilka tysięcy zielonych wojowników, pograżonych w okrutnej bitwie. Ledwie ich zobaczyłem, a już runęła w moją stronę lawina strzał, których niemal nieomylna celność sprawiła, iż po chwili mój mały statek był tylko pozalowaną godnym wrakiem, dryfującym bezwładnie ku ziemi.

Spadłem niemal dokładnie w centrum zażartej walki, pomiędzy wojowników, którzy byli tak zajęci śmiertelnymi zmaganiem, iż nie zauważyli mojego upadku. Walczyli pieszo przy użyciu długich mieczy i tylko od czasu do czasu strzał snajpera, ukrytego na obrzeżach pola walki, powalał wojownika, który na moment odłączył się od skłębionej masy walczących.

Gdy byłem tuż nad ziemią zorientowałem się, iż będę musiał walczyć lub umrzeć, przy czym szanse na śmierć były wcale niemałe, toteż gruntu dotknąłem z wyciągniętym już mieczem, gotowy bronić się, jak będę umiał.

Znalazłem się tuż za ogromnym potworem, stawiającym czoła trzem przeciwnikom i gdy przez moment ujrzałem jego okrutną, rozjaśnioną ogniem bitwy twarz rozpoznałem w nim Tars Tarkasa. On mnie nie zauważył, gdyż stałem nieco z tyłu. W tym właśnie momencie jego trzech wrogowie, w których rozpoznałem Warhoonczyków, przypuścili jednoczesny, wściekły atak. Olbrzym szybko uporał się z jednym, ale, robiąc krok do tyłu, by zadać następny cios, potknął się o leżące za nim martwe ciało i upadł. Dwaj przeciwnicy błyskawicznie rzucili się ku niemu i jeszcze chwila, a Tars Tarkas byłby również martwy, jak starożytni Marsjanie. Skoczyłem między niego a szarżujących Warhoonczyków i mieczem zmusiłem ich do zatrzymania się. Powaliłem jednego i zobaczyłem, że Thark, który zdążył się już podnieść, kładzie trupem drugiego.

Dopiero teraz mi się przyjrzał. Uśmiechnął się lekko i położył mi dłoń na ramieniu.

Bardzo trudno cie poznać, Johnie Carter – powiedział – ale żaden inny śmiertelnik na Barsoomie nie zrobiłby dla mnie tego, co ty przed chwilą. Chyba jednak istnieje coś takiego, jak przyjaźń, przyjacielu.

Nic więcej nie powiedział, ale warunki nie sprzyjały dłuższej rozmowie, gdyż Warhoonczyki znów zaczęli na nas nacierać. Walczyliśmy razem, ramie przy ramieniu, przez całe długie, gorące popołudnie, aż resztki oddziałów Warhoonu dopadły swoich thoatów i uciekły galopem w napływające ciemności.

W tej wielkiej bitwie uczestniczyło dziesięć tysięcy wojowników, z których trzy tysiące zginęło, a ich ciała gęsto zaścielały całą łąkę. Żadna ze stron nie prosiła, ani nie dawała pardonu, nikt też nie brał jeńców.

Po bitwie poszliśmy bezpośrednio do kwatery Tars Tarkasa. Zostałem tu sam, gdyż wódz musiał udać się na naradę, którą przeprowadzano zawsze po tego typu wydarzeniach.

Gdy siedziałem, oczekując na powrót zielonego wojownika, usłyszałem, że w sąsiednim pomieszczeniu coś się porusza. Za chwilę padłem na jedwabie i futra, przyniesiony cielskim dużego, okropnego stworzenia. To był Woola, wierny, kochający Woola. Odnalazł drogę powrotną do Tharku i, jak mi później powiedział Tars Tarkas, pobiegł natychmiast do pomieszczenia, w których w tym mieście mieszkalem i nie opuszczał ich aż do tej chwili, niezmordowanie oczekując na mój powrót.

Tal Hajus wie, że tu jesteś – powiedział Tars Tarkas po powrocie z narady. – Sarkoja widziała nas, gdy wracaliśmy i rozpoznała cię. Jeddak rozkazał mi, abym cię dostarczył do niego jeszcze tej nocy. Mam dziesięć thoatów, Johnie Carter, możesz wybrać jednego z nich. Odprowadzę cię do najbliższej drogi wodnej, prowadzącej do Helium. Tars Tarkas jest być może okrutnym zielonym wojownikiem, ale również potrafi być przyjacielem. Chodź, musimy się spieszyć.

A co będzie z tobą, gdy wrócisz? – spytałem.

- Prawdopodobnie dzikie kaloty albo nawet coś gorszego – odpowiedział. – Chyba, że nadarzy się sposobność do walki z Tal Hajusem, na którą czekam od dawna.

- Zostaniemy, Tars Tarkasie, i pojdziemy dziś w nocy do jeddaka. Nie mogę pozwolić, abyś się poświęcał. Być może właśnie dzisiaj bedziesz miał szansę na spełnienie marzeń.

Oponował jeszcze przez chwilę przeciwko mojej decyzji, twierdząc, że Tal Hajus na samą myśl o mnie wpada we wściekłość i gdy tylko dostane się w jego ręce będę poddany najwymyślniejszym torturom, ale w końcu zrezygnował, widząc, że mnie nie przekona.

Podczas posiłku opowiadałem Tars Tarkasowi historię, przekazaną mi przez Solę dwie nocy podczas marszu do Tharku. Nie odezwał się ani słowem przez cały czas mojej opowieści, ale napężające się pod skórą muskuły świadczyły jak głęboko przeżywał wspomnienie o jedynej istotce, którą kiedykolwiek kochał.

swego wiodcy. Po chwili go zauważyli, a potem mnie. Natychmiast zaczęłam do nich strzelać. Miałem prawie sto nabojev w magazynku strzelby i drugie sto w pasie na plecach, strzelałem więc raz za razem, aż zauważyłem, że ci wojownicy, którzy wspieli się na wzgórce polegli bądź zdążyli się schować.

Czas, jaki mi dano na wypoczynek był jednak bardzo krótki, gdyż po chwili zobaczyłem oddział, składający się z kilku tysięcy wojowników, wyjeżdżający z za wzgórza i ruszający dzikim galopem w moim kierunku. Strzelałem aż do chwili, gdy skończyły mi się naboje, a oni byli już bardzo blisko. Upewniwszy się, że Dejah Thoris i Sola już zniknęły wśród wzgórz, podniosłem się, odłożyłem nieprzydatną strzelbę i rzuciłem się do ucieczki w kierunku przeciwnym do tego, w którym odjeżdżały kobiety.

Jestli jacyś Marsjanie widzieli kiedykolwiek pokaz prawdziwych skoków, to właśnie ściągający mnie wojownicy. Skakałem, wkładając w to wszystkie siły, a oni gonili mnie zawzięcie. Jednak w pewnym momencie potknąłem się o jakiś kamień i runąłem jak długi na żółty mech. Gdy podniosłem wzrok stali nade mną i mimo że wyciągnąłem miecz, chcąc sprzedać swoje życie jak najdrożej, wkroczyło już po wszystkich. Zaczęłam chwilać się pod naporem ich ciosów, spadających na mnie jak wodosпад, huczało mi w głowie, wszystko wokół zaczęło ciemnieć i w końcu upadłem, straciwszy przytomność.

## W kajdanach

Musiałoby upłynąć kilka godzin zanim przyszedłem do siebie i doskonale pamiętam zdziwienie, jakie mnie opanowało, gdy stwierdziłem, że nie jestem martwy.

Leżałem na stercie jedwabiu i futer w kącie niewielkiego pomieszczenia. Nachylała się nade mną stara, brzydka kobieta, a obok stało kilku zielonych wojowników. Gdy otworzyłem oczy, kobieta powiedziała do jednego z wojowników:

- Będzie żył, jedzie.

- To bardzo dobrze – odpowiedział ten, do którego się zwróciła i podszedł do mojego pościela. - Dostarczę nam wiele atrakcji podczas wielkich igrzysk.

Spojrzałem na niego i stwierdziłem, że nie był to Thark, gdyż jego insygnia i ozdoby wyglądały zupełnie inaczej. Był bardzo wysoki i potężny, twarz i piers miał poraną bliznami, jeden kiel złamany i odcięte ucho. Na piersi wisiał mu naszyjnik z ludzkich czaszek, przeplatanych wyschniętymi ludzkimi rękami.

Wzmianka o wielkich igrzyskach, o których tak wiele słyszałem od Tharków, przekonała mnie, że wpadłem z deszczu pod ryne.

Marsjanin zamienił jeszcze kilka słów z kobietą, a gdy zapewniła go, że mogę podróżować rozkazał, byśmy dosiedli wierzchowców i pojechali za główną kolumną.

Zostałem mocno przywiązany do najbardziej dzikiego i nieposłusznego thoata, jakiego kiedykolwiek widziałem. Po obu jego stronach ustawili się na swoich wierzchowcach dwaj wojownicy, najwyraźniej w celu uniemożliwienia zwierzęciu ucieczki i ruszyliśmy galopem, starając się dogonić kolumnę.

Rany prawie wcale mi nie dokuczały. Był to rezultat wspaniałych właściwości leków i zastrzyków, które zastosowała stara kobieta oraz niezwykle starannego opatrzenia i zabandazowania skałeczeń.

Krotko przed zapadnięciem ciemności dołączyliśmy do głównych sił, które zdążyły już rozbić oboz na noc. Natychmiast zaprowadzono mnie do wodza, którym, jak się okazało, był sam jeddak Warhoonu.

Podobnie jak ja, który mnie przywodził, był on przerażająco poznacony bliznami i również nosił naszyjnik z ludzkich czaszek i suszonych rąk, który zdawał się być ozdobą mającą świadczyć o okrucieństwie wszystkich wielkich wojowników.

Jeddak Bar Comas, stosunkowo młody, był przedmiotem dzikiej nienawiści i zazdrości swego porucznika, Dak Kova – jeda, który mnie schwytał. Nie mogłem nie zauważyć nieustannych wysiłków jeda, starającego się w wymyślny sposób obrazić swego zwierzchnika. Gdy stanęliśmy przed jeddakiem, całkowicie pominał zwykłe, formalne powitanie i, wypchnawszy mnie przed siebie, głośno, wyzywającym tonem powiedział:

Przyprowadziłem dziwne stworzenie, noszące insygnia Tharków. Mam zamiar zmusić go do walki z dzikim thoatem podczas wielkich igrzysk.

- Umrze w taki sposób, jaki uzna za odpowiedni Bar Comas, twój jeddak, jeśli w ogóle umrze – powiedział młody władca z godnością.

- Jeśli w ogóle umrze? - ryknął Dak Kova. - Kłnę się na ręce umarłych zawieszane na mojej piersi, że on umrze, Bar Comasie. Twoja sentymentalna słabość go nie uratuje. O, niechby Warhoon był wreszcie rządzonej przez prawdziwego jeddaka, a nie przez zniechęcenię młodzika z wodą zamiast krwi w żyłach, z którego nawet stary Dak Kova potrafiłby zedrzyć insygnia gołymi rekoma!

Bar Comas patrzył przez chwilę na zuchwałego, nieposłusznego dowódcę, a w jego oczach nie było cienia strachu, tylko pogarda i nienawiść. Potem bez jednego słowa, nie sięgając po bronię rzucił się do gardła dowódcy.

Nigdy przedtem nie widziałem marsjańskich wojowników walczących swą naturalną bronią. Zwierzęca drapieżność, emanująca z ich postaci była tak przeraźliwa, iż trudno ją opisać słowami. Probowali wydrapać sobie oczy, oberwać uszy, bez przerwy cielić się, kasać i pruli ogromnymi kłami, aż obaj sprawiali wrażenie poszarpanych na strzępy od stóp do głów.

Bar Comas brał wyraźnie górę, był silniejszy, szybszy i inteligentniejszy. Wydawało się, że walka dobiega końca i wkrótce zostanie zadane śmiertelne uderzenie, gdy nagle Bar Comas pośliznął się w kałużę krwi, usiłując zrobić unik przed ciosem przeciwnika. Odsłonił się na chwilę i to było wszystko, czego Dak Kova potrzebował. Rzucił się naprzód, zatopił swój jedyny kiel w brzuchu jeddaka i ostatnim, szalonym wysiłkiem rozpruł go całego, aż po szczękę. Zwycięzca i pokonany zwalili się na mech, tworząc ogromną nieruchomą masę poszarpanego, zakrwawionego miesa.

Bar Comas był martwy, a Dak Kova od losu, na jaki w pełni zasługiwał ustrzegły tylko niezwykle wysiłki jego kobiet. Trzy dni później już bez pomocy podszedł do ciała Bar Comasa, które jak nakazywał zwyczaj, ciągle leżało w tym miejscu, w którym upadło i postawiwszy stołę na szyi byłego władcy przybrał tytuł jeddaka Warhoonu.

Głowa i ręce zabitego jeddaka zostały odciele i dołączyły do napiersnika zwycięzcy, zaś pozostałe szczątki zostały spalone przez kobiety wśród dzikich, przeraźliwych śmiechów.

Rany odniesione przez Dak Kove opóźniły marsz tak bardzo, że odłożono, na okres po zakończeniu wielkich igrzysk, wyprawę na małe plemię Tharków w odwet za zniszczenie inkubatora. Cały oddział, liczący prawie dziesięć tysięcy wojowników, ruszył w drogę powrotną do Warhoonu.

Opisana wyżej walka była tylko pierwszą z całego szeregu podobnych, które oglądałem niemal bez przerwy podczas mego pobytu wśród tych okrutnych i żądnych krwi istot. Byli mniej liczni niż Tharkowie, ale znacznie bardziej dzicy i krwiożerczy. Nie było dnia, który by minął bez starcia między należącymi do różnych plemion wojownikami. Raz byłem świadkiem aż osmiu śmiertelnych pojedynków.

Przybyliśmy do Warhoonu po trzydniowym marszu i natychmiast potem zaprowadzono mnie do piwnicy i przykuto łańcuchami do ściany i podłogi. Przynoszono mi co pewien czas pożywienie, ale wskutek tego, że w moim więzieniu panowały kompletne ciemności nie wiedziałem czy siedzę tam dni, tygodnie czy miesiące. Było to najstraszniejsze doświadczenie w całym moim życiu i do dzisiaj się dziwię, że w tej ciemnicy nie zwariowałem. Mieszkały tam jakieś przeraźliwe i wijące się stworzy, gdy leżałem lażyły po mnie zimne, dziwaczne cielska, a od czasu do czasu widziałem utkwione we mnie spojrzenia dzikich, palających oczu. Z leżącego nade mną światła nie docierał żaden dźwięk, a przynoszący mi jedzenie strażnik również nie odzywał się ani słowem, chociaż z początku zasypywałem go pytaniami.

Wkrótce cała nienawiść i maniackalny wstret, jakie czułem do istot, które umieszcili mnie w tego typu miejscu skupiły się na tym strażniku. Stał się on dla mnie symbolem całej hordy Warhoonczyków.

Zauważyłem, że zawsze podchodził ze swą nikłą pochodnią do miejsca znajdującego się w zasięgu moich rąk i gdy stawiał tam jedzenie jego głowa znajdowała się na poziomie mojej piersi. Gdy następnym razem usłyszałem, że się zbliża, wycofałem się z przebiegłością szalenca w rog cel i zobrawszy w dłonie część długiego łańcucha, którym byłem przykuty, czekałem na niego z zaciekawieniem, jakbym po owął na dzikiego zwierza. Pochylił się, by położyć na podłodze moje jedzenie, a ja zakreśliłem łańcuchem nad głową i uderzyłem go w łeb z całą siłą, jaka mi jeszcze pozostała. Padł na podłogę martwy, bez jednego dźwięku. Śmiejąc się i chichocząc jak wariat podszedłem do ciała i sięgnąłem palcami w stronę gardła. Wyczułem mały łańcuszek, na którego końcu wisiał pek kluczy. Dotyk tych kluczy przywrócił mi rozsądek. Już nie byłem podskakującym kretyńcem, ale trzeźwo myślącym więźniem, trzymającym w reku klucze od swego więzienia.

Gdy starałem się zdjąć łańcuszek z szyi mojej ofiary, podniosłem na chwilę wzrok i zobaczyłem szesć par nieruchomych, utkwionych we mnie oczu. Zaczęły się powoli zbliżać, a ja cofałem się, zdjęty panicznym strachem. Wtuliłem się w kąt, z rekami wyciągniętymi przed siebie, a oczy zbliżały się i wreszcie zatrzymały nad martwym ciałem u moich stóp. Potem zaczęły się powoli cofać i tym razem towarzyszył temu dziwny skrzypiący dźwięk. Wreszcie zniknęły w głębi pieczary.

nigdzie nie znaleźć - odpowiedziałem i wskazałem w dół, gdzie dwadzieścia stop niżej, na końcu pasa dyndało moje wyposażenie i broń. Wartownik, kierując się ciekawością podszedł do mnie i pochylił się, by spojrzeć w dół. W tym momencie jedną ręką chwyciłem go za gardło, drugą za przegub trzymającej broń dłoni. Pistolet upadł na dach i natychmiast zatkałem mu usta, by uniemożliwić wzywanie pomocy. Ogłuszyłem go, skrepowałem, a potem zawiesiłem na pasie - tak, jak sam przed chwilą wisiałem. Wiedziałem, że nie zostanie odnaleziony przed nastaniem dnia, a to mogło mi dać trochę czasu, którego tak bardzo potrzebowałem.

Włożyłem na siebie odzyskane wyposażenie i poszedłem do hangarów, w których trzymane były łodzie. Wyciągnąłem zarówno moją, jak i Kantos Kana. Przywiązałem jego maszynę do ogona mojej, włączyłem silnik i przeskoczywszy przez skraj dachu skierowałem się w dół. Poleciałem na dużo mniejszej wysokości, niż ta, na której latały zazwyczaj patroli i po minucie wyładowałem na dachu naszego budynku, obok zdumionego Kantos Kana. Nie traciłem czasu na zbyteczne wyjaśnienia, ale przystąpiłem od razu do omawiania planów na najbliższą przyszłość. Zdecydowaliśmy, że ja polecę bezpośrednio ku Helium, a Kantos Kan będzie się starał dostać do pałacu i zabić Sab Thana. Jeśli mi się powiedzie, uda się później za mną. Kantos Kan ustawił mój kompas, sprytnie małe urządzenie, które zawsze wskazuje wybrany przedtem punkt na powierzchni Barsoomu. Życząc sobie wzajemnie powodzenia unieśliśmy się w powietrze i poleciliśmy razem w kierunku pałacu.

Zbliżyliśmy się właśnie do wysokiej wieży, gdy nagle z góry nadleciał patrol, oświetlił moją łodkę reflektorem i zażądał zatrzymania się. Gdy nie zastosowałem się do wezwania, oddał ostrzegawczy strzał. Kantos Kan skrył się szybko w ciemnościach, a ja pomknąłem naprzód prując z oszalałą prędkością marsjańskie niebo, ściągany już przez tuzin łodzi patrolowych, które dołączyły do pierwszej. Wkrótce zauważyłem, że dogania mnie bardzo szybko krążownik, mający na pokładzie stuosobową załogę i baterie szybkostrzelnych karabinów. Klucząc, rzucając moją maszynę to w górę, to w dół, udało mi się przez cały niemal czas uniknąć ich szperających reflektorów, jednak te wszystkie manewry sprawiły, że krążownik zbliżał się do mnie coraz bardziej. Postanowiłem więc zaryzykować ucieczkę na wprost i zdać się na los i szybkość mojej łodki.

Kantos Kan nauczył mnie zwiększającej znacznie prędkość sztuczki, znanej tylko we flocie Hellum, byłem więc pewien, że zostawie z tyłu moich przesładowców, jeśli tylko uda mi się przez kilka chwil uniknąć trafienia z ich karabinów.

Wyrownalem kurs i nagle ze wszystkich stron usłyszałem swist kul. Pomyślałem, że tylko cud może mnie uratować, ale koci zostały rzucone. Zwiększyłem więc prędkość do maksimum i pomknąłem prosto do Helium. Stopniowo zostawiałem pościg coraz dalej za sobą i zaczynałem już gratulować sobie szczęśliwej ucieczki, gdy dobrze wymierzony strzał uderzył w dziób mej łodki. Wstrząs niemal wywrócił ją dnem do góry. Leciła rozpedem jeszcze kawałek do przodu, ale potem zaczęła coraz szybciej opadać ku pogrążonej w ciemnościach ziemi.

Nie wiem, na jakiej wysokości udało mi się wreszcie zapanować nad maszyną, ale musiałem być bardzo nisko, gdyż wyraźnie słyszałem dobiegające mnie z dołu ryki zwierząt. Przeszukałem wzrokiem niebo nade mną i daleko z tyłu zauważyłem zniżające się ku ziemi światła. Najwyraźniej moi przesładowcy ładowali, by odszukać moje szczątki.

Dopiero, gdy ich światła przestały być widoczne, odważyłem się zapalić małą lampkę i spojrzeć na kompas. Z przerażeniem stwierdziłem, że odłamek pocisku zniszczył zarówno mojego jedynego przewodnika, jak i pozostałe przyrządy - szybkościomierz i wysokościomierz. To prawda, że mogłem ustalić ogólny kierunek ku Helium według gwiazd, ale nie znając dokładnego położenia miasta ani prędkości, z jaką się poruszałem miałem bardzo niewielkie szanse trafienia do celu.

Helium nie było położone tysiąc mil na południowy zachód od Zodangi i ze sprawnym kompasem mogłem pokonać te odległość w cztery do pięciu godzin, zakładając oczywiście, że nie spotkałyby mnie po drodze jakieś przykre przygody. Jednakże gdy nadszedł dzień, a ja miałem za sobą już sześć godzin lotu z dużą prędkością, okazało się, że lece nad rozległym dnem wyschniętego morza. Wkrótce ujrzałem pod sobą wielkie miasto, ale nie było to Helium, gdyż ono, jako jedyne na Barsoomie, składa się z dwóch wielkich, otoczonych murami osrodków, odległych od siebie o siedemdziesiąt pięć mil i z wysokości, na której się znajdowały byłoby one oba łatwo widoczne.

Zawróciłem na południowy zachód, gdyż wydawało mi się, że poleciałem za bardzo na północ i zachód. W ciągu pierwszych godzin nocy natknąłem się na kilka dużych miast, ale żadne z nich nie odpowiadało opisowi Helium, jaki otrzymałem od Kantos Kana. Cechą wyróżniającą to miasto, obok faktu, iż jest ono podwójne, są dwie gigantyczne wieże, pierwsza z nich, o barwie żywego szkarłatu wyrasta niemal na milę z centrum jednego grodu, druga natomiast, jaskrawożółta, ale o równej wysokości, znaczy w podobny sposób grod siostrzany.



Kantos Kan położył mi rękę na ramieniu, wyciągnął miecz i powiedział:

- Gdyby zostawiono mi prawo wyboru nie mogłbym znaleźć bardziej odpowiedniego męża dla pierwszej księżniczki Helium. Położyłem rękę na twoim ramieniu, Johnie Carter, i przyrzekam ci, że Sab Than zginie od ciosu tego miecza, który trzymam w dłoni. Zrobię to z miłości do Helium, do Dejah Thoris i do ciebie. Jeszcze tej nocy spróbuję się przedostać do jego apartamentów w pałacu.

- W jaki sposób? - spytałem. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś bardzo uważnie pilnowany, a patrole powietrzne zostały zwiększone czterokrotnie.

Zamyslił się, a potem powiedział:

- Potrafiłbym tego dokonać, gdyby mi się udało zmylić te straża. Znam sekretne wejście do pałacu, prowadzące przez wierzchołek najwyższej wieży. Natknąłem się na nie przypadkowo pewnego dnia, gdy latałem nad miastem pełniąc służbę patrolową. Wymaga się od nas, byśmy w czasie patroli badali wszystko, co wyda nam się dziwne, a twarz na szczycie najwyższej wieży pałacowej wydała mi się bardzo dziwnym zjawiskiem. Podleciałem bliżej i zobaczyłem, że ta twarz należy do Sab Thana. Był nieco niezadowolony, że go odnalazłem i nakazał mi, abym zachował wszystko w tajemnicy, wyjaśniając przy tym, że przejście prowadzi wprost do jego apartamentu i tylko on o nim wie. Gdybym się mógł dostać na dach i wziąć moją maszynę, byłbym u niego w ciągu pięciu minut. Ale jak mam wydostać się z tego budynku, jeśli jest tak pilnowany?

- Jak są strzeżone stanowiska maszyn w koszarach? - spytałem.

- W nocy zwykle pilnuje ich tylko jeden strażnik.

Nie tracąc czasu na bliższe wyjaśnienia wyszedłem z powrotem na ulicę tą samą drogą i pospieszyłem w stronę koszar. Nie odważyłem się wejść do środka - budynek był wypełniony żołnierzami zwiadu powietrznego, którzy, tak jak wszyscy w Zodandze, mieli polecenie mnie poszukiwać.

Był to ogromny gmach, jego szczyt wznosił się tysiąc stóp nad ziemią. Niewiele było w Zodandze budynków wyższych niż te koszary. Tylko lądowisko wielkich statków bojowych było ustawione na wysokości około półtora tysiąca stóp nad ziemią, na podobnej wysokości znajdowały się również przystanie towarowe i pasażerskie floty handlowej.

Wspinanie się po frontowej ścianie budynku było trudne i niebezpieczne, ale nie miałem innego sposobu dostania się na dach. Na szczęście, dzięki temu, iż architektura barsoomska jest niezwykle ozdobna, okazało się to znacznie prostsze, niż przypuszczałem. Wchodziłem do góry, chwytając się różnych listew i występow niemal tak wygodnie, jak po drabinie. Dopiero na górze, pod samym okapem, pojawił się pierwszy problem. Okap dachu wystawał prawie dwadzieścia stóp od muru i mimo, że obszedłem wokół całego budynku, nie znalazłem w nim żadnej przerwy, przez którą mógłbym się przecisnąć. Nie mogłem też przejść na dach przez najwyższe piętro budynku, gdyż było ono jasno oświetlone i pełne zajętych swoimi sprawami żołnierzy.

Był tylko jeden, bardzo ryzykowny i niebezpieczny sposób, pomyślawszy jednak o Dejah Thoris, zdecydowałem się go wykorzystać, gdyż nie narodził się jeszcze mężczyzna, który by dla takiej jak ona po tysiącrocie życia nie zaryzykował. Czepiając się muru stopami i jedną dłonią, połuzniłem długi, zakończony wielkim hakiem rzemień, wchodzący w skład mego wyposażenia. Rzemieniami takimi powietrznymi żeglarze czepiali się boków i dna swoich statków przy okazji różnych napraw, za ich także pomocą opuszczali się na ziemię grupy desantowe.

Zachowując ostrożność zarzuciłem ten hak na dach. Musiałem tę czynność powtarzać kilkakrotnie zanim znalazł on jakieś zaczepienie. Naciągnąłem rzemień - trzymał mocno, ale nie mogłem wiedzieć czy utrzyma ciężar mego ciała. Hak mógł zaczepić się o sam skraj dachu i zesłuznąć z niego, gdy będę wisiał w powietrzu, rzucając mnie na spotkanie chodnika, leżącego tysiąc stóp niżej.

Wahałem się przez moment, ale potem puszciliem podtrzymujący mnie występ muru i wyleciałem w przestrzeń, uczepiony końca rzemienia. Daleko pod mną leżały jasno oświetlone ulice, twardy trotuar i śmierć. Ponad okapem rozległo się krótkie skrzypnięcie i drapanie - zgrzytliwy dźwięk, który mroził mi krew w żyłach. Potem hak zaczął coś i byłem bezpieczny.

Wspiałem się szybko po rzemieniu i złapawszy za skraj okapu, wydzwignąłem się na dach. Gdy wstałem, stwierdziłem, iż spoglądam prosto w lufy rewolweru, trzymanego przez pełniącego służbę wartownika.

- Kim jesteś i skąd się tu wzięłeś? - zakrzyknął.

- Jestem powietrznym zwiadowcą, przyjacielu - odpowiedziałem - i to bardzo bliskim śmierci, gdyż tylko cudem udało mi się uniknąć spadnięcia na leżącą tam, w dole, aleję.

- Ale skąd się wzięłeś na dachu, człowieku? Przez ostatnią godzinę nikt nie wylądował ani nie przyszedł z wnętrza budynku. Wyłumacz się i albo to szybko wyjaśnisz, albo wezwę straża.

- Spójrz tutaj, wartowniku, a zrozumiesz jak się tu znalazłem i jak blisko byłem tego, aby się już nigdy

## Walka na arenie

Z wolna przychodziłem do siebie i odzyskiwałem zdolność trzeźwego myślenia. Wreszcie postanowiłem podjąć ponowną próbę zdjęcia kluczy z martwego ciała mojego byłego strażnika. Jednak, gdy podszedłem do miejsca, w którym ono powinno leżeć i w ciemnościach zacząłem macać wokół rękami, z przerażeniem zauważyłem, że ciało zniknęło. Zrozumiałem, iż stwory z celi zawlekły je do jakiejś kryjówki w pobliżu, aby je pożreć. Pojąłem również, że czekają one od samego początku, od pierwszej chwili, którą spędziłem w tym lochu, aby z moim trupem zrobić to samo.

Przez dwa dni nie przynoszono mi jedzenia, ale potem zjawił się nowy strażnik i czas niewoli zaczął upływać tak jak przedtem. Teraz jednak już nie pozwalałem, aby mój rozum znowu został zmacony przez grozę sytuacji.

Niedługo potem przyprowadzono i przykuto niedaleko ode mnie nowego więźnia. W świetle pochodni zobaczyłem, że był to czerwony Marsjanin i z niecierpliwością czekałem na odejście strażników, by rozpocząć z nim rozmowę. Gdy oddalające się kroki wreszcie umilkły, powiedziałem łagodnie „kaor” - słowo, oznaczające powitanie.

- Kim jesteś, ty, który mówisz w ciemnościach? - spytał.

- John Carter, przyjaciel czerwonych ludzi z Helium.

- Pochodzę z Helium - powiedział - ale nie przypominam sobie twojego imienia.

Opowiedziałem mu moją historię tak, jak ją tutaj opisałem, pominąłem jednak milczeniem moją miłość do Dejah Thoris. Był bardzo ucieszony wiadomościami o księżniczce Helium. Uważał, że z tego miejsca, w którym je zostawiłem Dejah Thoris i Sola mogły z łatwością dotrzeć w bezpieczne okolice. Powiedział, że doskonale zna tamte strony, gdyż wóz, przez który przeszli Warhoonczycy przed schwytniem mnie był jedyną drogą, wiodącą na południe i korzystali z niego wszyscy.

Dejah Thoris i Sola prawdopodobnie dotarli do wzgórz w odległości nie większej niż pięć mil od drogi wodnej i teraz już są zapewne zupełnie bezpieczne - mówił. Moim towarzyszem niedoli był Kantos Kan, padaw (porucznik) floty Helium. Uczestniczył w tej niefortunnej ekspedycji, która natknęła się na Tharków, w wyniku czego Dejah Thoris dostała się w ich ręce. Opowiedział pokrótce wypadki, jakie miały miejsce po klęsce statków w starciu z Tharkami. Ciężko uszkodzone i tylko pobieżnie ponaprawiane leciały powoli w stronę Helium, jednak gdy mijają miasto Zodanga, stolicę najbardziej zaciekłych wśród czerwonych ludzi wrogów Helium, zostały napadnięte przez dużą grupę statków bojowych i niemal wszystkie uległy zniszczeniu lub dostały się w ręce napastników. Ocalał tylko statek, do którego załogi należał Kantos Kan. Przez trzy dni uciekał przed pogonią, w końcu zdołał się jej wymknąć dzięki ciemnościom bezkieszykowej nocy.

Trzydzieści dni po dostaniu się Dejah Thoris do niewoli, czyli mniej więcej w tym samym czasie, gdy przybyliśmy do Tharku, statek dotarł do Helium, mając na pokładzie tylko dziesięciu ludzi z załogi, która liczyła siedmiuset oficerów, żołnierzy i uczonych. Natychmiast siedem potężnych flotylli, każda licząca po sto statków bojowych, udało się na poszukiwanie Dejah Thoris.

Mszczące się oddziały starty z powierzchni ziemi dwa plemiona zielonych Marsjan, ale na ślad księżniczki nie natrafiono. Poszukiwania były prowadzone wśród plemion zamieszkujących północne regiony i dopiero kilka dni temu objęto nimi również południe.

Kantos Kan został wyznaczony na pilota małej, jednoosobowej łodzi rozpoznawczej i na skutek nieśczęśliwego zbiegu okoliczności został złapany przez Warhoonczyków w trakcie przeszukiwania ich miasta. Odwaga tego człowieka wzbudziła we mnie głęboki szacunek. W pojedynkę wylądował na granicy miasta, przeszedł aż do placu, a potem starannie i metodycznie przeszukał stojące wokół niego budynki. W ręce zielonych wojowników wpadł po dwóch dniach poszukiwań, gdy ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że księżniczki tam nie było i właśnie zamierzał uderzyć się w drogę powrotną. W czasie naszego wspólnego uwięzienia poznaliśmy się wzajemnie bardzo dobrze i poczuliliśmy do siebie szczerą sympatię. Jednak nie było nam dane przebywać długo razem, gdyż kilka dni po jego przybyciu wyprowadzono nas z lochów. Nadszedł czas wielkich igrzysk. Pewnego poranka zaprowadzono nas do ogromnego amfiteatru. Był on dla mnie nowością architektoniczną, gdyż nie został wybudowany na powierzchni, ale mieścił się w wielkiej, wykopanej w ziemi jamie. Trudno było ocenić jego pierwotne rozmiary, gdyż teraz był już częściowo zrujnowany i wypełniony obsuniętą ziemią. Jednak nawet w tym stanie mógł pomieścić wszystkie plemiona Warhoonczyków - dwadzieścia tysięcy ludzi. Arena była bardzo duża, ale chropowata i nierówna. Otoczono ją murem, ułożonym z kamieni pochodzących ze zrujnowanych budynków, by uniemożliwić zwierzętom i więźniom ucieczkę na widownię. W każdym jej końcu ustawiono klatki, w których zawodnicy oczekiwali na chwilę, gdy przyjdzie ich kolej, by wyszli na arenę i umarli. Kantos Kan i ja znaleźliśmy się razem w jednej z takich klatek. W innych były

dzikie kaloty, thoaty, wściekle zitidary, zieloni wojownicy, kobiety z innych społeczności i wiele innych dziwnych bestii, których nigdy przedtem nie widziałem. Ryki, piski, pomruki zlewały się w jeden ogłuszający hałas, a widok każdego z tych monstrów z osobna mogłby wypełnić najmężniejsze serce przeczuciem śmierci.

Kantos Kan wyjaśnił mi, że pod koniec dnia jeden z więźniów odzyska wolność, a pozostali zginą. Zwycięzcy różnych walk będą się potykać ze sobą, aż tylko dwóch pozostanie przy życiu. Ten, który zwycięży w ostatniej walce zostanie wypuszczony na wolność, bez względu na to, czy będzie to zwierzę czy człowiek. Następnego ranka w klatce znajdą się nowe ofiary, turniej zostanie powtórzony i tak będzie się dziać przez dziesięć dni igrzysk.

Wkrótce po umieszczeniu nas w klatkach amfiteatr zaczął się zapętniać i po godzinie wszystkie miejsca były zajęte przez tłoczących się widzów. Dak Kova usiadł w otoczeniu jedów i dowodów w centrum amfiteatru na ustawionym dla niego dużym podwyższeniu.

Na sygnał jeddaka otworzono drzwi dwóch klatek i dwanaście zielonych kobiet wybiegło na środek areny. Każdej z nich wręczono sztylet, a potem z przeciwnego końca areny wypuszczono kaloty, dzikie psy. Zwierzęta, warcząc i parskając, rzuciły się na niemal bezbronne kobiety, a ja odwróciłem głowę, by nie patrzeć na tę okropną scenę. Wrzaski i śmiech widzów świadczyły, że widowisko było wspaniałe, a gdy Kantos Kan powiedział, że się już skończyło i z powrotem spojrział na arenę zobaczyłem, że nad martwymi ciałami powarkiwały tylko trzy zwycięskie kaloty. Kobiety drogo sprzedawały swoje życie. Potem na trzy ocalałe psy wpuszczono wściekłego zitidara i w ten sposób zaczął się długi, upalny, straszliwy dzień. Mnie wystawiono najpierw przeciwko lu: ziom, a potem przeciw zwierzętom, ale dzięki temu, że byłem uzbrojony w miecz i przewyższałem każdego z moich przeciwników zwinnością, a część z nich także siłą, ze wszystkimi uporałem się stosunkowo łatwo. Wielokrotnie żądną krwi tłum nagradzał mnie gorącymi oklaskami, a pod koniec dnia rozległy się nawet okrzyki, aby mnie zabrać z areny i zrobić członkiem ich społeczności. W końcu zostało nas tylko trzech - ogromny zielony wojownik któregoś z północnych plemion, Kantos Kan i ja. Najpierw mieli walczyć Kantos Kan i zielony wojownik, a ostateczna walka, ta, w której nagrodą była wolność, miała się odbyć między mną a zwycięzcą ich pojedynku. Kantos Kan stoczył tego dnia kilka pojedynków, z wszystkich, podobnie jak ja, wychodząc zwycięsko. Jednak często, szczególnie w starciach z zielonymi wojownikami, jego przewaga była bardzo niewielka. Nie miałem dużej nadziei na to, że uda mi się pokonać ogromnego zielonego Marsjanina, który przedtem dosłownie miażdżył swoich przeciwników. Miał blisko szesnaście stop wzrostu, podczas gdy Kantos Kanowi brakowało kilka cali do szesna.

Zaczeli iść ku sobie i po raz pierwszy dane mi było zobaczyć, by ktoś zastosował tego typu sztuczkę, na jakiej Kantos Kan oparł swoją nadzieję na zwycięstwo. Dedydując się na nią postawił życie na jedną kartę. Zbliżył się na odległość około dwudziestu stop do swego ogromnego przeciwnika i nagle wyrzucił w górę i do tyłu te reke, w której trzymał miecz, wziął połyżny zamach i cisnął bronią w szeroką pierś przed sobą. Ostrze poleciało jak strzała i wbiło się w serce zielonego wojownika, kładąc go trupem na miejscu.

Teraz Kantos Kan i ja musieliśmy stanąć naprzeciw siebie. Zdołałem mu szepnąć, aby przeciągnął walkę aż do zmroku, gdyż miałem nadzieję, że uda nam się wtedy znaleźć jakiś sposób ucieczki. Tłum jakby się domyślił, że niechętnie ze sobą walczymy i w tych chwilach, w których wyraźnie unikalismy zadawania groźnych, decydujących ciosów wył z wściekłości. Gdy zauważyłem, że wkrótce zapadną ciemności, szepnąłem Kantos Kanowi, by wetknął swój miecz między moje lewe ramię, a ciało. Zrobił to, a ja się zatoczyłem do tyłu i upadłem na ziemię. Z dalszej odległości i w niepewnym już świetle mogło to wyglądać jakby miecz rzeczywiście sterczał z mojej piersi. Kantos Kan szybko podszedł do mnie, postawił mi stopę na szyi i wyciągnął ostrze z mego ciała, zadał mi ostatni, śmiertelny cios, który wydawał się przecinać aortę szyjną, lecz w rzeczywistości ugrzązł tuż obok. Ciemności, które już spowiły arenę ukryły prawdę przed wzrokiem widzów i wszyscy uważali, że zostałem właśnie dobit. Szepnąłem Kantos Kanowi, aby wykorzystał zdobytą wolność i czekał na mnie na wzgórzach na wschod od miasta. Skinął lekko głową i odszedł.

Poczekaliśmy aż amfiteatr opustoszał i wyczołgałem się z niego ostrożnie, a ponieważ był położony w odległej od centralnego placu, nie zamieszkanego i rzadko w normalne dni odwiedzanej części miasta, nie miałem większych kłopotów w dotarciu do okolicznych wzgórz.

## W fabryce powietrza

Czekałem na Kantos Kana przez dwa dni. Nie pojawił się jednak. Potem poszedłem na północny zachód, gdzie, jak mi mówił, znajdowała się najbliższa droga wodna. Moim jedynym pożywieniem było

wyrazniej kuzyn jeddaka, którego wyrwałem z rąk zielonych wojowników. - Opis pasuje do niego, zwłaszcza zaś te nadzwyczajne umiejętności walki.

- Gdzie jest ten człowiek? - krzyknął Than Kosis. - Przyprowadźcie mi go natychmiast. Co o nim wiesz, kuzynie? Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby w Zodandzie mieszkał tak wspaniały żołnierz, a nikt z nas wcześniej o nim nie słyszał. Także jego nazwisko jest dziwne - John Carter. Czy ktoś słyszał kiedykolwiek takie nazwisko na Barsoomie? Wkrótce przyniesiono wiadomość, że nigdzie mnie nie można znaleźć, ani w pałacu, ani w mojej poprzedniej kwatery w koszarach powietrznych zwiadowców. Odnaleziono i przesłuchano Kantos Kana, ale on przecież nie wiedział, gdzie ja się w tej chwili znajduję, a gdy pytano go o moją przeszłość, powiedział, że wie o niej bardzo niewiele, gdyż spotkał mnie niedawno, podczas wspólnego uwięzienia w Warhoonie.

- Obserwujcie tego Kantos Kana - powiedział Than Kosis. - On również jest obcy i istnieje prawdopodobieństwo, że obaj przyszli z Helium. Tam, gdzie jest jeden, prędzej czy później pojawi się również drugi. Powiekszyć czterokrotnie patrole powietrzne, a każdy, kto opuszcza miasto ziemią lub powietrzem ma być poddawany starannej kontroli.

Wszedł następny posłaniec z wiadomością, że ciągle przebywam na terenie pałacu.

- Sprawdzono starannie tożsamość każdej osoby, która dzisiaj przybyła do pałacu lub opuszczała go - mówił posłaniec. - i żadna z nich nie odpowiada opisowi tego nowego padwara gwardii. Zanotowano tylko jego wejście.

- A więc niedługo wpadnie nam w ręce - powiedział jeddak z zadowoleniem - a tymczasem chodźmy do apartamentów księżniczki i spytajmy ją jeszcze raz o całą tę sprawę. Może wiedzieć znacznie więcej, niż chciała ci powiedzieć, Nolanie. Chodźmy!

Wyszli z sali. Czekałem aż nadejdzie ciemność, a potem zeskoczyłem z mojej kryjówki i wyszedłem na balkon. Zauważyłem kilku kręcących się ludzi, ale wkrótce odeszli i gdy wydawało mi się, że już nikogo nie ma w pobliżu, przeskoczyłem na szczyt szklanego muru, a stamtąd na leżącą poza terenami pałacowymi ulicę.

## Zabłąkany na niebie

Nie starając się specjalnie ukrywać, pospieszyłem w pobliże mojej poprzedniej kwatery, gdzie, jak się spodziewałem, znajdzie Kantos Kana. Stałem się bardziej ostrożny w pobliżu budynku, który, jak słusznie przypuszczałem, był strzeżony. Kilku mężczyzn noszących cywilne ozdoby kreciło się w pobliżu frontowego wejścia, a inni stali przy wejściu od tyłu. Jedynym sposobem na dostanie się niepostrzeżenie na jedno z wyższych pięter, na którym znajdowała się nasza kwatery było przejście po dachu sąsiedniego budynku. Po pewnych wysiłkach udało mi się wejść na dach sklepu, oddzielnego od koszar kilkoma domami. Skacząc z dachu na dach dotarłem do otwartego okna budynku, w którym miałem nadzieję znaleźć Heliumite, a w chwili później stałem już przed nim. Był sam i nie okazał zdziwienia na mój widok, powiedział jedynie, że spodziewał się mnie znacznie wcześniej, jako że musiałem skończyć służbę już kilka godzin temu.

Zrozumiałem, że nic nie wie o wypadkach, jakie zaszły dziś w pałacu, a gdy mu je opowiedziałem, wpadł w wielkie podniecenie. Wiadomość, że Dejah Thoris przyrzeka reke Sab Thanowi napętniła go przerażeniem.

Nie może być! To niemożliwe! Nie ma człowieka w Helium, który by nie przedkładał śmierci nad sprzedaż ukochanej księżniczki panującemu domowi Zodangi. Musiała chyba postradać zmysły, aby zgodzić się na taki okropny handel. Ty nie wiesz, jak bardzo mieszkańcy Helium kochają członków rodziny królewskiej i nie możesz sobie wyobrazić przerażenia, jakie odczuwam na myśl o tak odrażającym związku. Co mamy robić? Jesteś pomyslowym człowiekiem, Johnie Carter - kontynuował - przysze, wymyśl coś, by uratować Helium od tego nieszczęścia.

Gdybym mógł zbliżyć się do Sab Thana na odległość równą długości miecza - powiedziałem - dla Helium ten problem przestałby istnieć, jednak z przyczyn osobistych wolałbym, aby to kto inny zadał cios, który uwolni Dejah Thoris.

Kantos Kan przyglądał mi się uważnie przez chwilę, a potem powiedział:

Kochasz ją. Czy ona o tym wie?

- Wie i odrzuca mnie tylko dlatego, że dała słowo Sab Thanowi.



- To nic nie pomoże - powiedziała. - Nie wolno mi posłubić człowieka, który zabił mego męża, nawet w obronie własnej. Taki jest zwyczaj. Tutaj, na Barsoomie, jesteśmy niewolnikami zwyczajów. To bezcelowe, mój przyjacielu. Musisz się z tym pogodzić i cierpieć wraz ze mną. Tylko tyle wolno nam wspólnie posiadać - cierpienie i wspomnienia dni, które spędzaliśmy razem u Tharków. Żegnaj!

Wyszedłem, odrzucony, z krwawiącym sercem. Jednak nie wyrzekłem się jeszcze nadziei i nie pogodziłem się z myślą, że Dejah Thoris jest dla mnie stracona, gdyż, mimo tego co mówiła, formalny ślub jeszcze się nie odbył.

Włóczyłem się wśród korytarzy, znów straciwszy orientację. Wiedziałem, że muszę uciekać z miasta, gdyż w sprawie czterech martwych strażników na pewno zostanie podjęte śledztwo, a gdy moja nieobecność na posterunku zostanie odkryta, podejrzenie z pewnością padnie na mnie. Wszedłem na prowadzącą w dół spiralne schody i zszedłem kulka pieler w dół. Znalazłem się przed wejściem do obszernego pokoju, w którym siedziało kilku gwardzistów. Ściany były zawieszane przezroczystymi gobelinami i wśliznąłem się za nie niezauważony.

Rozmowa gwardzistów dotyczyła jakichś białych spraw i nie wzbudziła we mnie zainteresowania, aż do chwili, gdy wszedł jeden z oficerów i rozkazał czterem z nich zmienić strażników księżniczki Helium. Wiedziałem, że teraz się zaczęły moje kłopoty. I rzeczywiście - czterech gwardzistów wyszło z pomieszczenia, a za chwilę jeden z nich wpadł z powrotem, krzycząc, że strażnicy leżą martwi w przedpokoju, prowadzącym do apartamentów księżniczki.

W chwili później cały pałac wypełnił się ludźmi. Gwardziści, oficerowie, dworzanie, służba i niewolnicy biegali tam i z powrotem po korytarzach i apartamentach, roznosząc polecenia i rozkazy oraz poszukując sprawcy zbrodni.

W tym rozgardiaszu dostrzegłem szansę ucieczki: i jakkolwiek była ona niewielka, zdecydowałem się. Dołączyłem do przebiegającego obok mej kryjówki większego oddziału żołnierzy i biegłem za nimi poprzez labirynt pałacowych korytarzy, aż zobaczyłem światło dzienne wpadające przez duże okna jakiegś mijanej sali.

Opuściłem moich przewodników i podszedłem do jednego z okien. Prowadziło na duży balkon, wiszący na wysokości około trzydziestu stop nad ziemią i wychodzący na jedną z miejskich ulic. W pewnej odległości od budynku stał mur o wysokości około dwudziestu stop, zbudowany z grubego na stopę, gładkiego szkła. Czerwonemu Marsjaninowi ucieczka tą drogą wydawałaby się niemożliwa, ale dla mnie dysponującego ziemską siłą i zrezygnacją, była ona bagatelką. Moje jedyne zmartwienie wiązało się z tym, że może zostać odnaleziony przed zapadnięciem ciemności. Nie mogłem wykonać skoku teraz, w pełnym świetle dnia, gdyż podwórce i ulica były zaloczone Żodanganczykami.

Rozejrzałem się za jakąś kryjówką. Spojrzawszy w górę zobaczyłem dużą ozdobe, mającą kształt wazy, która wisiała pod sufitem, około dziesięć stop nad podłogą. Wskoczyłem do niej z łatwością i niemal natychmiast potem usłyszałem, że do pokoju wchodzi jakiś ludzkie. Zatrzymali się wprost pod moją kryjówką, toteż wyraźnie słyszałem każde wypowiedziane przez nich słowo.

- To jest robota ludzi z Helium - powiedział jeden z nich.  
- Masz rację, jeddaku, ale w jaki sposób przedostali się do pałacu? Moglibyśmy uwierzyć, że do wnętrza przeszliżnął się mimo czujnych straży jakiś jeden, samotny człowiek, ale nie mogę sobie wyobrazić, jak mogła tego dokonać grupa, składająca się z szesciu czy ośmiu mężczyzn. Jednakże wkrótce się czegoś dowiemy, gdyż oto nadchodzi królewski psycholog.

Do grupy dołączył jeszcze jeden mężczyzna i po zwyczajowym przywitaniu jeddaka, powiedział:  
- Potężny jeddaku, dziwną opowieść wyczytałem w martwych umysłach twoich wiernych gwardzistów. Zostali zabici nie przez kilku napastników, lecz przez jednego.

Zamilkł, aby waga jego wypowiedzi w pełni dotarła do słuchaczy. Nie uwierzono mu jednak, gdyż za chwilę usłyszałem zniecierpliwiony głos Than Kosisa:

- Cóż to za bzdury mi tu opowiadasz, Notanie?  
- To jest prawda, jeddaku - odpowiedział psycholog. - W mózgach wszystkich czterech gwardzistów jest wyraźnie wyryty taki sam obraz. Ich przeciwnikiem był bardzo wysoki mężczyzna, noszący odznaki twojej własnej gwardii, posiadający nadludzką siłę, zrezygnację i opanowaną po mistrzowsku sztukę walki mieczem. Mimo że nosił insygnia Żodangi, jeddaku, człowieka odpowiadającego temu opisowi nie widziano ani w tym, ani w żadnym innym kraju na Barsoomie. Niestety, umysł księżniczki Helium, którą również przesłuchiwałem, jest dla mnie zamknięty - posiada nad nim znakomitą kontrolę i nie mogę nic z niego odczytać. Powiedziała, że widziała część walki, że z gwardzistami walczył tylko jeden człowiek, którego nie zna i którego nigdy przedtem nie spotkała.

- A gdzie jest ten mężczyzna, który mnie niedawno uratował - powiedział ktoś inny z grupy, naj-

mleko, uzyskiwane z rośliny, którą na szczęście w tych okolicach dosyć łatwo było odnaleźć. Błąkałem się przez dwa długie tygodnie. Szedłem tylko nocą, kierując się światłem gwiazd. W dzień chowałem się za jakieś przygodne skały lub wśród mijających od czasu do czasu wzgórz. Kilka razy zostałem zaatakowany przez dzikie zwierzęta - jakieś dziwne bestie, które skakały na mnie w ciemności, zmuszając do ciągłego niesienia miecza w dłoni. Zwyczaj moje nowo nabyte zdolności telepatyczne ostrzegają mnie na czas, ale któreś nocy zanim się zorientowałem, że coś mi zagraża zważyło się na mnie jakieś cielsko, poczułem zęby na szyi i zobaczyłem tuż przed moją twarzą owłosiony pysk. Nie wiem, co to było za stworzenie, ale czułem, że było ciężkie, duże i miało wiele kończyn. Zanim zdołało zatopić zęby w moim gardle schwyciłem je za gardło i powoli odpychałem od siebie wlochały pysk, zaciskając palce na tchawicy.

Bestia starała się dosięgnąć klamą mego gardła, a ja próbowałem utrzymać chwyty i wreszcie ją zadsuścić. Stopniowo jednak ramiona mi słabły i błyszczące kły cał za całem zaczęły się ku mnie zbliżać. Gdy poczułem na twarzy dotyk wlochałego pyska, zdałem sobie sprawę, że to już koniec. Nagle z ciemności wyprysnęło jakieś drugie zwierzę i rzuciło się na przygniatającą mnie do ziemi bestię. Oba stworzy położyły się po mchu, gryząc i szarpiąc się wzajemnie. Wkrótce jednak było już po wszystkim. Mój wybawca stał ze spuszczonego łbem nad gardłem mego niedoszłego zabójcy. Wszedłi właśnie bliższy księżyc i w jego świetle zobaczyłem, że stworzeniem, które mnie uratowało był Woola, ale w żaden sposób nie mogłem odgadnąć ani skąd przybył, ani jak mnie odnalazł. Nie muszę chyba wspominać, że byłem bardzo zadowolony z jego obecności, jednak moja radość była znana nippokojem o Dejah Thoris. Wiedziałem, że Woola bardzo wiernie wykonywał moje rozkazy i tylko śmierć księżniczki mogła być powodem, dla którego ją opuścił.

Biedne zwierzę było zaledwie cieniem siebie samego z tego okresu, w którym widziałem je po raz ostatni, a gdy uwolniło się z moich pieczęci i zaczęło żarłocznie pożerać martwe ciało swego przeciwnika zrozumiałem, że było straszliwie wygłodniałe. Ja również byłem w niewiele lepszym stanie, ale nie zdecydowałem się na zjedzenie surowego mięsa, a nie miałem żadnego sposobu, by rozpalic ogień. Gdy Woola skończył posiłek znów ruszyłem na cieknię i jak się wydawało nie mające końca poszukiwania drogi wodnej. Rankiem piętnastego dnia mojej wędrowki z ogromną radością zauważyłem wysokie drzewa, świadczące, że wreszcie natknąłem się na obiekt moich poszukiwań. Około południa dowiedziałem się do ogromnego budynku o powierzchni prawdopodobnie nie mniejszej niż cztery mile kwadratowe, wysokiego na około dwieście stop. W zupełnie gładkich ścianach znalazłem tylko jedne małe drzwi. Były zamknięte. Wokół nie zauważyłem żywej duszy. Usiadłem wyczerpany przez drzwiami i zacząłem wzrokiem szukać dzwonka lub jakiegos innego przyrządu, za pomocą którego moglibyśmy oznajmić mieszkańcom tego gmachu o mojej obecności. Dostrzegłem mały, okrągły otwór umieszczony obok drzwi i pomyślałem, że może to być jakiś rodzaj tuby. Podniosłem się i zbliżyłem do niego usta. Nie zdążyłem jednak nic powiedzieć, gdyż z otworu dobiegł mój głos, pytający kim jestem, skąd pochodzę i po co tu przyszedłem. Odpowiedziałem, że uciekłem z Warhoonu i umieram z głodu i wyczerpania.

- Npśisz insygnia zielonego wojownika, idźcie za tobą kalot, a masz postać taką, jak czerwoni ludzie. Kolor twojej skóry nie jest jednak ani zielony, ani czerwony. W imię dnia dziełatego, kim jesteś?

- Jestem przyjacielem czerwonych ludzi i umieram z głodu. W imię ludzkich uczuć, otwórzcie mi - odpowiedziałem.

Drzwi drgnęły i zaczęły się cofać w tył, aż zagłębiły się w ścianę na około pięćdziesiąt stop. Potem się zatrzymały i odsunęły gładko w lewo. Za nimi ukazał się krotki, wąski korytarz, zakończony następnymi drzwiami, identycznymi jak te, przez które przed chwilą przeszedłem. Nie zauważyłem nikogo, ale natychmiast, gdy Woola i ja mineliśmy pierwsze drzwi zamknęły się one za nami łagodnie i wycofały na swoją pierwotną pozycję we fałdowej ścianie budynku. Zauważyłem, że były niezwykle masywne, miały około dwudziestu stop grubości, a gdy dotarli na swoje miejsce z sufitu korytarza wysunęły się duże stalowe cylindry i ich końce zanurzyły się w otworach, które pojawiły się w podłodze. Drugie, a potem trzecie drzwi cofały się przede mną i tak jak pierwsze odsuwały w bok. Gdy je minąłem, wszedłem do dużego wewnętrznego pomieszczenia, w którym na wielkim kamiennym stole znalazłem jedzenie i napoje. Ten sam głos powiedział, abym zaspokoilił głód i nakarmił swego kalota, a potem, gdy z niemalą przyjemnością zająłem się jedzeniem, zarzucił mnie pytaniami.

- To wszystko jest bardzo dziwne - powiedział po zakończeniu wypytywania - ale najwyraźniej mówisz prawdę. Na pewno nie pochodzisz z Barsoomu. Stwierdziłem to, przyjrawszy się twemu mózgowi, dziwnemu umiejscowieniu wewnętrznych organów oraz wielkości i kształtowi serca.

- Możesz zajrzeć w moje ciało?! - krzyknąłem.

- Tak, mogę zajrzeć we wszystko, poza twoimi myślami, a gdybyś był z Barsoomu również w nich moglibyśmy czytać, jak w otwartej księdze.

W ścianie naprzeciw mnie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł dziwny, mały, zasuszony człowieczek. Jedynym jego ubraniem, czy ozdoba był niewielki złoty kołnier, przy którym wisiał duży napierśnik, gesto wysadzany diamentami. W jego centrum widniał dziwny kamień o średnicy około jednego cala, rozszczepiający światło na dziewięć promieni, przy czym siedem z nich było takich, jak w naszym ziemskim widmie, natomiast kolory dwóch pozostałych były dla mnie zupełnie nowe. Nie potrafię ich opisać, tak jak nikt z was nie potrafi opisać koloru, na przykład czerwieni, człowiekowi ślepemu. Wiem jedynie, że były bardzo piękne.

Stary człowiek usiadł koło mnie i rozmawialiśmy przez wiele godzin. Najdziwniejsze było w naszej wymianie zdań to, że ja potrafiłem odczytać każdą jego myśl, podczas gdy on na temat moich nic nie wiedział, póki pozostawały nie wypowiedziane.

Nie zdradziłem mu, że czytam w jego myślach i dzięki temu dowiedziałem się wielu rzeczy, które w przyszłości okazały się mi niezwykle przydatne, a których nigdy bym nie poznał, gdyby on o tym wiedział, gdyż Marsjanie tak doskonale panują nad swoim mózgiem, iż potrafią kontrolować myśli z absolutną precyzją.

W gmachu, w którym siedzieliśmy znajdowała się maszyna produkująca sztuczne powietrze, wypuszczane w atmosferę w celu podtrzymania życia na Marsie. Sekret procesu produkcyjnego polega na użyciu dziewiętego promienia z tych, które rzucił kamień, umieszczony w centrum napierśnika mego gospodarza.

Ten promień był wydzielany z innych promieni słonecznych przez skomplikowane instrumenty, umieszczone na dachu budynku. Trzy czwarte jego powierzchni zajmują zbiorniki, w których owym promieniem jest magazynowany. Następnie ten produkt jest poddawany działaniu elektryczności, a raczej łączony w pewnej proporcji z wysublimowanymi wibracjami elektrycznymi, a potem przepompowywany do pięciu wielkich zbiorników, rozrzuconych po całej planecie i wypuszczany, by połączył się z atmosferą.

W gmachu zawsze jest zmagazynowany wystarczający zapas dziewiętego promienia, aby przez tysiące lat utrzymać atmosferę Marsa w takim stanie, jak jest obecnie, a jedyne zagrożenie stanowi możliwość zajścia jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, w wyniku którego uszkodzeniu ulegną urządzenia pompujące.

Starzec zaprowadził mnie do pomieszczenia, w którym znajdowało się dwadzieścia pomp, każda zdolna zapewnić dostawę powietrza dla całego Marsa i powiedział mi, iż od osmiu lat opiekuje się tymi pompami, pracującymi kolejno, każda jedną marsjańską dobę, czyli nieco ponad dwadzieścia cztery i pół ziemskich godzin. Ma jednego asystenta, z którym na zmianę dogląda tych urządzeń. Każdy z nich spędza samotnie połowę marsjańskiego roku, czyli około trzystu czterdziestu czterech naszych dni w tej wielkiej, stojącej na odludziu fabryce.

Każdy czerwony Marsjanin od wczesnego dzieciństwa uczy się zasad funkcjonowania fabryki i przebiegu zachodzącego w niej procesu produkcji powietrza, jednak tylko dwóch jednocześnie zna sposób na przedostanie się do wnętrza tego budynku, który mając mury pięćdziesięciostopowej grubości, jest całkowicie niedostępny. Nawet dach jest zabezpieczony przed statkiem floty powietrznej warstwą szkła o grubości pięciu stop.

Mimo tych środków ostrożności wtajemniczeni obawiają się w głębi duszy ataku zielonych wojowników lub jakichś niespełna roztępi czerwonych ludzi, gdyż wszyscy inni Marsjanie rozumieją, że życie na ich planecie zależy od niezakończonej pracy fabryki.

Śluchając jego myśli odkryłem ciekawy fakt - zewnętrzne drzwi są otwierane środkami telepatycznymi. Mechanizm zamków pobudzany jest przez pewną kombinację fal mózgowych. Postanowiłem wypróbować moją nowo zdobytą umiejętność, a przy okazji dowiedzieć się, jak wygląda ta kombinacja. Niby przypadkowo podczas rozmowy spytałem go, w jaki sposób zdołał mi otworzyć masywne drzwi nie zbliżając się do nich z wewnętrznego pokoju. W jego mózgu zabrzmiało przez moment dziewięć dźwięków, ale natychmiast zniknęły, a on powiedział, że jest to tajemnica, której nie może mi wyjawić. Od tej chwili jego stosunek do mnie uległ zmianie, jakby się bał, że przez zaskoczenie wydam mu jego wielki sekret. W spacerowaniach, jakimi mnie obrzucał i w myślach czytałem podejrzliwość i strach, jakkolwiek w dalszym ciągu rozmawiał ze mną bardzo uprzejmie.

Zanim udałem się na spoczynek obiecał mi dać list polecający do przebywającego w pobliżu oficera rolnego, który mogłby mi dopomóc w dotarciu do Zodangi, najbliższego miasta czerwonych Marsjan.

Nie mów im jednak, że twoim ostatecznym celem jest Helium, gdyż między tymi dwoma krajami toczy się wojna. Mój asystent i ja nie mamy ojczyzny, należymy do całego Barsoomu. Znak, który nosi, my chroni nas wszędzie, nawet wśród zielonych ludzi, mimo iż zwykle unikamy spotkania z nimi, jeśli nie jest ono konieczne.

W końcu udało mi się powalić drugiego strażnika. Mając już tylko dwóch przeciwników zmieniłem taktykę i z kolei ja stałem się stroną nacierającą. Trzeci padł w dziesięć sekund po drugim, a wkrótce również ostatni leżał na podłodze w kałuży krwi. Byli dzielnymi ludźmi i wspaniałymi żołnierzami i byłem zmartwiony tym, iż zostałem zmuszony do odebrania im życia, jednak chętnie bym ogolił z mieszkańców cały Barsoom, gdyby nie było innego sposobu na dotarcie do Dejah Thoris.

Schowalem do pochwy zakrwawioną miecz i podszedłem do księżniczki, która stała bez słowa, najwyraźniej mnie nie poznając.

- Kim jesteś Zodangańczyku? - spytała w końcu. - Następnym wrogiem, który pragnie naigrywać się z mojej niedoli?

- Jestem przyjacielem - odpowiedziałem. - Kiedyś bardzo cenionym.

- Żaden przyjaciel księżniczki Helium nie nosi takich odznak - powiedziała. - Ale twój głos? Już go przedtem słyszałam. Ale przecież... nie, to niemożliwe, ten człowiek nie żyje.

- A jednak, księżniczko, to jestem właśnie ja, John Carter. Czy nie poznajesz, nawet pod farbą i obcymi ozdobami, serca swego dowódcy?

Zrobiłem ku niej krok, a ona podbiegała ku mnie z wyciągniętymi rękami, lecz gdy objąłem ramiona, by ją przytulić zatrzymała się i cofnęła ze smutkiem na twarzy.

- Za późno, za późno - powiedziała rozpaczliwie. - Gdybyś przyszedł godzinę wcześniej! Sądziłam, że nie żyjesz i teraz jest już za późno.

- A więc nie przyrzekałabyś poślubić księcia Zodangi, gdybyś wiedziała, że żyje? - spytałem.

- Czy sądzisz, Johnie Carter, że ofiarując ci wczoraj moje serce, dzisiaj dałabym je następnemu? Sądziłam, że leży ono pogrzebane wraz z twoimi popiołami w podziemiach Warhoonu. To, co ze mnie zostało - moje ciało - przyrzekałam innemu, aby uchronić mój naród przed nieszczęściami, jakie spowodowałaby nanowoczeska armia Zodangi.

- Ale ja nie umarłem, moja księżniczko. Przyszedłem cię stąd zabrać i cała armia Zodangi nie może mi w tym przeszkodzić.

- Za późno, Johnie Carter. Już dałam przyrzeczenie, a na Barsoomie nigdy nie łamiemy danych obietnic. Sama ceremonia zaślubin nastąpi później, ale to tylko mało ważna formalność. Potwierdza tylko fakt małżeństwa, tak jak pogrzeb joddaka stanowi tylko potwierdzenie jego śmierci. Jestem już niemal żoną, Johnie Carter. Już nie mogę, mnie nazywać swoją księżniczką, ani ja ciebie moim dowódcą.

- Niewiele wiem na temat waszych zwyczajów, ale wiem, że ciebie Kocham, a jeśli twoje ostatnie słowa wiedz, gdy szarżował na nas oddział Warhoonczyków, były wypowiedziane poważnie, żaden inny mężczyzna nie będzie cię mógł nigdy nazwać swoją żoną. Mówiłaś wtedy poważnie i teraz również myślisz tak samo. Powiedz, że to prawda, że się nie mylę.

- Tak, Johnie Carter, mówiłam wtedy prawdę - szepnęła - ale teraz już nie mogę powtórzyć tych słów, gdyż ofiarowałam siebie innemu. Gdybyś znał nasze zwyczaje - ciągnęła na wpol do siebie - obietnica byłaby dana tobie już długie miesiące temu i teraz mogłabyś się o mnie upomnieć. To mogłoby oznaczać upadek Helium, ale zrezygnowałabym z należnego mi dzieciństwa dla mego tharkijskiego dowódcy.

Potem powiedziała głośno:

- Pamiętasz tę noc, gdy mnie obraziłeś? Nazwałes mnie swoją księżniczką, nie prosząc o reke, a potem chętnieś się, że o mnie walczyłeś. Teraz widzę, że nie powinienam się była obrazić, po prostu nie zdawałaś sobie sprawy z tego, jakie znaczenie mają u nas słowa, które wypowiadasz. Nie było nikogo, kto by ci wytłumaczył, że na Barsoomie w miastach czerwonych ludzi są dwa rodzaje kobiet - jeden z nich to te kobiety, o które mężczyźni walczą, by móc prosić je o reke, o drugi rodzaj kobiet również walczą, ale nigdy nie proponują im małżeństwa. Jeśli mężczyzna zwycięży w walce o kobietę może ją nazywać swoją księżniczką lub używać jednego z kilku pozostałych zwrotów, a to oznacza, że ją posiada, że należy ona do niego. Walczyłeś o mnie, ale nigdy nie poprosiłeś mnie, abym została twoją żoną, więc gdy nazwałes mnie swoją księżniczką... zawałała się - byłam urazona. Jednak nawet wówczas nie obraziłam się na ciebie, jak powinienam była zrobić. Czara się jednak przelala, gdy ubliżyłeś mi, wypominając, że zdobyłeś mnie w walce.

Nie będę cię teraz prosić o przebaczenie, Dejah Thoris - powiedziałem - gdyż, jak wiesz, moja wina wynikała z nieznajomości waszych zwyczajów. To, czego nie zrobiłem wówczas, gdyż wydawało mi się, że moja prośba będzie przedwczesna i źle widziana, robię teraz - proszę cię, abys została moją żoną.

- Nie, Johnie Carter, nie mogę być twoją, póki Sab Than żyje.

- Podpisałas na niego wyrok śmierci, moja księżniczko, Sab Than umrze.





A więc dobrej nocy, przyjacielu – dodał. – Śpij długo i spokojnie. Tak, śpij długo... Uśmiechnął się przyjaźnie, ale w jego myślach odczytałem postanowienie, a potem zobaczyłem go niewyraźnie stojącego nade mną w nocy ze sztyletem w dłoni i usłyszałem na wpół sformułowane słowa: „Bardzo mi przykro, ale to dla dobra Barsoomu”.

Zamknął za sobą drzwi mojego pokoju i jego myśli urwały się nagle.

Co powinienem zrobić? Jak miałem uciec, jak pokonać te potężne ściany? Teraz, gdy zostałem ostrzeżony, mógłbym go z łatwością zabić, ale to by nie rozwiązało problemu wydostania się stąd, a gdyby fabryka przestała funkcjonować umarłbym zarówno ja, jak i wszyscy pozostali mieszkańcy planety, nawet Dejah Thoris, o ile jeszcze była żywa. Myśl o Dejah skłoniła mnie do całkowitej rezygnacji z planu uśmiercenia niegościnnego starca.

Ostrożnie wyszedłem z pokoju i udałem się na poszukiwanie pierwszych wielkich, prowadzących na zewnątrz drzwi. Przyszła mi do głowy szaleńcza myśl – spróbuję otworzyć potężne zamki za pomocą tych dziewięciu dźwięków, które usłyszałem w umyśle mego gospodarza.

W towarzystwie stającego za mną bezgłośnie Wooli skradałem się przez kilka korytarzy, potem w dół krętymi schodami, aż wreszcie dotarłem do sali, w której dziś rano zaspokajałem głód. Nigdzie nie zauważyłem mego gospodarza, ani też nie domyśliłem się, gdzie spędza tę noc.

Miałem właśnie wejść do tej sali, gdy lekki szelest gdzieś z tyłu zmusił mnie do cofnięcia się w ciemność korytarza. Pociągnąłem za sobą Woola i przykucnąłem pod ścianą, otulony mrokiem.

Starzec przeszedł tuż obok mnie i wszedł do sali. Była oświetlona i zauważyłem, że trzyma w reku długi, wąski sztylet. Po chwili zaczął go ostrzyć o kamienny stół, a w jego myślach wyczytałem, iż ma zamiar najpierw sprawdzić pompy, co zajmie około trzydziestu minut, a potem pójść do mojej sypialni i zabić mnie.

Gdy w końcu przeszedł przez salę i zniknął na schodach prowadzących do pomp, wyszedłem z cienia i przeciąwszy na ukos salę zbliżyłem się do pierwszych z trojga stojących między mną a wolnością drzwi.

Skoncentrowałem się na masywnym zamku i wysłałem ku niemu dziewięć fal mózgowych. Czekalem z zapartym tchem na rezultat i wreszcie drzwi ruszyły powoli w moim kierunku, a potem odsunęły w bok. Moją rozkaz otworzył również pozostałe drzwi i Woola i ja wyszliśmy w ciemność nocy – wolni, ale jedyna różnica z naszym stanem sprzed doby polegała na tym, że teraz mieliśmy pełne żołądki.

Oddaliśmy się pośpiesznie od potężnej budowli i poszliśmy na przelaj z zamiarem dotarcia do obszarów zamieszkałych najszybciej, jak to będzie możliwe. Nad ranem doszliśmy do terenów uprawnych i postanowiłem poszukać mieszkańców pierwszej farmy, na jaką się natknąłem.

Składała się ona z niskich, betonowych budynków, opatrzonych masywnymi, zamkniętymi drzwiami. Dobijałem się i nawoływałem, ale bez odpowiedzi. Zmęczony i wyczerpany bezsensownością rzuciłem się na ziemię, polecając Wooli, aby został na straży.

Niedługo potem zbudziło mnie wściekłe warczenie Woola i gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem trzech czerwonych Marsjan, stojących niedaleko od nas i mierzących do mnie ze strzelb.

– Nie mam broni i nie jestem waszym wrogiem – zacząłem tłumaczyć. Byłem wieźniem zielonych ludzi i staram się dotrzeć do Zodangi. Proszę was tylko o pozywienie i możliwość wypoczynku dla mnie i mego kalota oraz o wskazanie kierunku, w jakim powinienem iść dalej.

Opuścili strzelby i podeszli do nas, uśmiechając się przyjaźnie. Położyli mi prawe ręce na lewym ramieniu w przyjetym na Marsie geście pozdrowienia i zaczęli wypytywać o mnie i dzieje mojej wędrówki. Potem zabrali nas do domu, mieszczącego się niedaleko stamtąd.

Okazało się, że budynków, do których rano się dobijałem używano wyłącznie jako magazynów. Domy mieszkalne stały wśród olbrzymich drzew i były, podobnie jak wszystkie siedziby czerwonych Marsjan, unoszone na noc na wysokość czterdziestu do pięćdziesięciu stóp nad ziemią przez ogromne, ukryte w ziemi podnośniki, napędzane małymi radowymi silnikami, których pulpity sterownicze znajdowały się wewnątrz budynków. Zamiast kłopotać się instalowaniem zapór i zamków i martwić się, że zostaną one wyłamane podczas napadu, czerwoni Marsjanie unosili po prostu w nocy swoje domostwa w górę, poza niebezpieczną strefę. Dysponując również specjalnymi, działającymi tylko w rękach właściciela urządzeniami, które pozwalają podnosić i opuszczać domy z zewnątrz, mogli także wyjeżdżać, gdy zaistniała taka konieczność, nie kłopotząc się o dobytek.

Ci trzej bracia, wraz z zonami i dziećmi, zajmowali trzy podobne do siebie budynki na terenie farmy. Nie pracowali osobiście, gdyż byli rządowymi oficerami nadzorującymi. Praca była wykonywana przez wieźniów, jeńców wojennych, niewypłacalnych dłużników i starych kawalerów, zbyt biednych, by stać ich było na płacenie wysokiego, obowiązującego wszystkich czerwonych Marsjan podatku od celibatu.

Bracia byli uosobieniem serdeczności i gościnności. Spędziłem u nich kilka dni, odpoczywając i odzyskując siły po długiej i wyczerpującej wędrówce.

Gdy usłyszeli moją historię - nie wspominałem w niej ani o Dejah Thoris, ani o starym człowieku w fabryce powietrza - poradzili mi, abym pomalował ciało na kolor bardziej zbliżony do koloru skóry ich rasy i próbował znaleźć zatrudnienie w Zodandze w armii albo we flocie powietrznej.

- Małe są szanse na to, aby od razu uwierzono w twoją historię - powiedział jeden z braci. - Może później, gdy dowiedziesz szczerości intencji i zdobędziesz wysoko postawionych przyjaciół, będziesz mógł ją opowiedzieć bez narażania się na ryzyko okrzyknięcia cię łgarzem. O zasługi i przyjaciół najłatwiej jest w wojsku, gdyż, jak wiesz, jesteśmy walecznymi ludźmi i żołnierzy obdarzamy specjalnymi względami.

Gdy byłem już gotowy do drogi, podarowano mi małego thoała, z gatunku specjalnie hodowanego przez czerwonych Marsjan pod siodło i do innych domowych celów. Zwierzę to, prócz tego, że było mniejsze - wielkości konia - oraz bardzo łagodne, było dokładną kopią swoich dzikich krewniaków.

Bracia wyposażyli mnie w czerwony olej, którym wysmarowałem całe ciało, a jeden z nich podciął moje włosy, w tym czasie już dość długie, według obowiązującej ostatnio mody. Tak przygotowany mogłem wszedzie na Barsoomie uchodzić za rdzawego Marsjanina. Podarowano mi również ozdoby i insygnia noszone przez rodzinę Ptor, do której należeli moi gospodarze. Małą torbę, którą miałem nosić przy boku, wypełniono zolanganskimi pieniędzmi. Środki płatnicze na Marsie nie różnią się wiele od tych, których my używamy, jedynie monety są owalne. Papierowe pieniądze są emitowane przez poszczególne osoby w zależności od potrzeb i dwa razy do roku sprawdza się ich pokrycie w majątku trwałym i zgromadzonych dobrach. Jeśli ktoś wypuści więcej pieniędzy, niż jest w stanie wykupić, rząd zwraca jego wierzycielom różnice, a dłużnik odpracowuje ją w kopalniach lub na farmach, które w całości należą do rządu. Taki system zadowala wszystkich, z wyjątkiem zadłużonych.

Gdy wspominałem, że być może nie będę mógł odwzajemnić się im za okazaną mi dobroć i pomoc, powiedzieli, że jeżeli zostanie dostatecznie długo na Marsie będę miał po temu nie tylko niejedną sposobność, ale i możliwość. Potem pożegnaliśmy się, a oni patrzyli za mną jeszcze długo, aż zniknąłem im z oczu w oddali.

## Zwiadowca powietrzny w armii Zodangi

Jechałem w kierunku Zodangi, przyglądając się wciąż nowym i interesującym widokom, a w kilku farmach, w których się zatrzymałem po drodze dowiedziałem się wielu pożytecznych rzeczy, dotyczących panujących na Barsoomie obyczajów i metod gospodarowania.

Używana na farmach woda pochodzi z topniejących lodowców na bieżących. Gromadzona jest tam w ogromnych podziemnych zbiornikach, a następnie pompowana wodociągami do miejsc zamieszkałych przez ludzi. Na całej długości tych wodociągów, po każdej ich stronie, leżą pola uprawne, podzielone na mniej więcej równej wielkości obszary, z których każdy jest zarządzany przez jednego lub kilku rządowych nadzorców.

Zamiast nawadniania pól przez wylewanie drogiego płynu na ich powierzchnie, co prowadziłoby do ogromnych strat na skutek parowania, stosuje się system cienkich rurek, ukrytych w ziemi i doprowadzających wodę bezpośrednio do korzeni roślin. Płony na Marsie są każdego roku jednakowe, gdyż nie ma tam ani deszczów, wichrów czy innych klęsk żywiołowych, ani też owadów i małych płazów niszczących zasiewy.

Podczas tej podróży miałem okazję po raz pierwszy od opuszczenia Ziemi spróbować dania mięsnego - dużych, czystych steków i zrazów, zrobionych z mięsa jakichś dobrze wypasionych zwierząt hodowlanych. Często słyszałem o takich owocach i jarzynach - bardzo smacznych, ale w niczym nie przypominających ziemskich. Każdy kwiat, jarzyna, krzew owocowy czy zwierzę zostały za pomocą starannej opieki prowadzonej naukowymi metodami przez całe stulecia tak udoskonalone, że ich smak i wygląd odpowiadał tym, jakimi wydają się być tylko bladymi, pozbawionymi wyrazu odbiciami.

Podczas drugiego postoju spoikałem bardzo kulturalnych, szlachetnie urodzonych ludzi i po pewnym czasie nasza rozmowa zeszła na temat Helium. Jeden ze starszych mężczyzn był tam z misją dyplomatyczną kilka lat wcześniej i z pewnym żalem mówił o okolicznościach, które od dłuższego czasu zmuszają te dwa kraje do prowadzenia wojny.

pewna jego miłości do mnie, ale teraz już jestem i przyszedł tutaj prosić cie, byś zapomniał o moich pochopnych słowach i przyjął zapewnienie, że gdy przyjdzie czas, księżniczka Helium poślubi Sab Thana, księcia Zodangi.

- Ciesze się z twojej decyzji - odpowiedział Than Kosis. - Nie chce już dłużej prowadzić wojny z narodem Helium. Twoje przyrzeczenie zostanie zaprotokołowane, a natychmiast potem ogłoszone moim poddanym.

- Lepiej będzie, Than Kosisie - powiedziała Dejah Thoris - jeśli zostanie to ogłoszone dopiero po zakończeniu wojny. Zarówno twój, jak i mój naród może uważać za dziwne, że księżniczka Helium oddaje rękę nieprzyjacielowi w trakcie działań wojennych.

- Czy wojny nie można zakończyć natychmiast? - spytał Sab Than. - Wystarczy jedno słowo Than Kosisa, by nastał pokój. Wypowiedz je ojcie, wypowiedz słowo, które da mi szczęście i zakończy ten niepopularny konflikt.

- Zobaczymy, jak Helium zareaguje na propozycję zakończenia wojny. Ja w każdym razie taką propozycję im złożę.

Zamieniłi jeszcze kilka słów i Dejah Thoris, wciąż w towarzystwie strażników, wyszła z pokoju. W ten oto sposób rzeczywistość obróciła w gruzy gmach moich marzeń. Kobieta, w której ręce złożyłem swoje życie i z której ust jeszcze tak niedawno słyszałem zapewnienia o miłości, zdażyła już zapomnieć o moim istnieniu i z uśmiechem ofiarowała się synowi najbardziej zacieklego wroga swego narodu. Nie mogłem w to uwierzyć, mimo że słyszałem przecież jej słowa na własne uszy. Musiałem ją odszukać i zmusić, aby w oczy mi powtórzyła tę okrutną prawdę, dopiero wtedy zostanę przekonany. Opuszczałem mój posterunek i korytarzem za gobelinami pobiegłem w stronę drzwi, przez które wyszedłem z pokoju. Otworzyłem je ostrożnie i po ich drugiej stronie zobaczyłem istny labirynt korytarzy i przejść. Pobiegłem pierwszym z nich, potem skręciłem w jakiś inny i stwierdziłem, że zupełnie nie wiem, gdzie się znajduje. Stałem przez chwilę z rozpaczą w sercu, oparty o ścianę, gdy nagle usłyszałem głosy, rozlegające się w pobliżu, najwyraźniej po drugiej stronie ściany, o którą się opierałem. Jeden z nich należał do Dejah Thoris. Nie mogłem rozróżnić słów, ale nie ulegało wątpliwości, że to była ona.

Przeszedłem kilka kroków do przodu i natknąłem się na następny korytarz, na końcu którego zobaczyłem drzwi. Śmiało w nie wszedłem i znalazłem się w małym przedpokoju, w którym siedzieli ci czterej strażnicy, których przedtem widziałem. Jeden z nich natychmiast wstał i zapytał mnie, w jakim celu tu przyszedłem.

- Zostałem wysłany przez Than Kosisa - odpowiedziałem - i chcę rozmawiać w cztery oczy z Dejah Thoris, księżniczką Helium.

- Pokaż rozkaz - powiedział strażnik.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, ale odpowiedziałem, że jestem członkiem gwardii jeddaka, a potem, nie czekając na jego reakcję, poszedłem ku drzwiom w przeciwległej ścianie przedpokoju, za którymi słyszałem głos Dejah Thoris. Jednak nie udało mi się przez nie przejść tak łatwo, gdyż strażnik zastąpił mi drogę i powiedział:

- Każdy, kto przychodzi od Than Kosisa posiada pisemny rozkaz albo przepustkę. Musisz mi pokazać jedno lub drugie i dopiero wtedy będziesz mógł wejść.

Jedyną przepustką, przyjacielu - powiedziałem - jakiej potrzebuje, aby wejść gdzie mi się podoba, wisi u mego boku.

- Wyciągnąłem miecz i spytałem:

- Przepuścisz mnie dobrowolnie, czy mam cie do tego zmusić?

W odpowiedzi strażnik wyciągnął swoją broń i przywołał kolegów. Staneli naprzeciw mnie, zagrażając mi drogę.

- Nie przyszedłeś tu z rozkazu Than Kosisa - powiedział podniesionym głosem pierwszy ze strażników - i nie tylko nie wpuszczę cie do apartamentów księżniczki Helium, ale odesłę pod strażą do jeddaka, abyś wytłumaczył się ze swego postępowania. Odrzuc miecz, nie możesz liczyć na to, że uda ci się pokonać nas wszystkich jednocześnie.

Moja odpowiedź była szybki cios, po którym zostało mi już tylko trzech przeciwników i zapewniam was, że byli to znakomici szermierze. Przyparty przez nich do ściany wkładałem w walkę wszystkie moje siły i umiejętności. Powoli udało mi się przesunąć w róg pokoju, w którym mogli mnie atakować tylko pojedynczo. Walczyliśmy w ten sposób blisko dwadzieścia minut, a ścierając się ze sobą stal naszych mieczy wypełniała małe pomieszczenie prawdziwie piekielnym hałasem.

Ten harmider wywabiał z pokoju Dejah Thoris. Otworzyła drzwi i stała w nich, przyglądając się walce. Z tytu, za nią, zauważyłem Solę, patrzącą z równą ciekawością. Ich twarze były zupełnie obojętne i wynioskowałem z tego, że żadna z nich mnie nie rozpoznała.



rozkazując mu wystąpić z szeregu. Następnie głośno scharakteryzował czyn, którym zdobył sobie uznanie jeddaka, a monarcha podszedł do szlachetnego bohatera i przypiął mu na lewym ramieniu metalowe odznaczenie.

I dekorowano w ten sposób dziesięciu ludzi, a potem mistrz ceremonii krzyknął:

John Carter, powietrzny wiadomec!

Nigdy w życiu nie byłem tak zdziwiony, ale wojskowa dyscyplina jest we mnie głęboko zakorzeniona, więc natychmiast wyładowałem i poszedłem naprzód, tak jak to robili inni. Zatrzymałem się przed oficerem, a on powiedział głosem tak donosnym, że musiał być słyszany przez wszystkie zgromadzone tu oddziały i widzów:

Johnie Carter, w uznaniu twojej niezwykłej odwagi i umiejętności, wykazanych w obronie osoby kuzyna jeddaka Than Kosisa, podczas której w pojedynkę pokonałeś trzech zielonych wojowników nasz jeddak z przyjemnością obdarowuje cię dowodem swego szacunku.

Podszedł do mnie Than Kosis i przypinając mi na ramieniu odznaczenie powiedział:

Moja kuzynka opowiadała mi szczegóły twego niezwykłego czynu, który wydaje się graniczyć z cudem. Jeśli tak dobrze potrafisz bronić kuzyna jeddaka, o ile lepiej będziesz ochraniać osobę samego jeddaka. Od tej chwili jesteś padwarem mojej gwardii i miejscem twego zamieszkania będzie mój pałac.

Podziękowałem władcy i stosując się do jego rozkazu dołączyłem do członków świty. Po zakończeniu uroczystości odprowadziłem łódkę na jej miejsce na dachu koszar dywizjonu zwiadu powietrznego i w otoczeniu przysłanego z pałacu przewodnika zameldowałem się u oficera dyżurnego w moim nowym miejscu zamieszkania.

## Odnajduje Dejah

Oficerowi, u którego się zameldowałem polecono, aby zakwaterował mnie w pobliżu jeddaka, którego życie podczas wojny było stale zagrożone, gdyż Marsjanie uważali, iż podczas działań wojennych wszystko, łącznie z morderstwem, jest dozwolone.

Odprowadzono mnie natychmiast do pomieszczenia, w którym przebywał Than Kosis. Władca zajęty był rozmową z synem, Sab Thanem i kilkoma dworzanami i nie zauważył mego wejścia.

Szany tego pomieszczenia były całkowicie zasłonięte wspaniałymi gobelinami, zakrywającymi okna i drzwi, jeśli one w ogóle tam były. Światła dostarczały uwiecznione promienie słoneczne, trzymane między właściwym stropem a szklaną taflą, znajdującą się kilka cali niżej.

Moim przewodnikiem podniósł jeden z gobelinów, odsłaniając rodzaj korytarza otaczającego pokój, utworzonego dzięki powieszeniu tych ogromnych dywanów ściennych w pewnej odległości do właściwych ścian pomieszczenia. Powiedział, że właśnie w tym korytarzu powinienem przebywać, dopóki Than Kosis pozostaje w apartamencie za gobelinami. Gdy wyjdzie, mam iść za nim. Moim jedynym obowiązkiem było pilnowanie władcy w sposób maksymalnie dyskretny. Po czterech godzinach zostane zmieniony. Po udzieleniu mi tych wyjaśnień oficer odszedł.

Gobeliny były utkane z dziwnego przedziwa, które nadawało im wygląd bardzo ciężki i solidny, gdy się na nie patrzyło od strony pokoju, z miejsca, w którym miałem pełnić służbę, mogłem obserwować wszystko, co się działo w pomieszczeniu tak wyraźnie, jakby były one zrobione z cienkiego, bardzo przezroczystego szkła.

Jakis czas po objęciu przeze mnie posterunku zasłona po przeciwnej stronie odsunęła się i do pomieszczenia weszło czterech gwardzistów, prowadząc drobną kobietę. Cała grupa zbliżyła się do Than Kosisa, strażnicy odsunęli się na bok i nie dalej niż dziesięć kroków ode mnie zobaczyłem Dejah Thoris. Jej twarz promieniała uśmiechem.

Sab Than podszedł do niej i oboje, trzymając się za ręce, stanęli tuż przed jeddakiem. Than Kosis spojrzął na nich ze zdziwieniem, wstał i uklonił się księżniczce.

- Jakiemu dziwnemu kaprysowi zawdzięczam wizytę księżniczki Helium, która zaledwie dwa dni temu, nie zważając na to, iż obraża moją dumę, zapewniała mnie, że wołałaby Tal Hajusa, zielonego Tharka, od mego syna?

Dejah Thoris uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a w jej oczach pojawiły się filuterne błyski.

- Od zarania dziejów kobieta ma prawo kaprysić, zmieniać zdanie i być obłudną w sprawach, które dotyczą jej serca. Przebac mi, Than Kosisie, tak jak przebaczył mi twój syn. Dwa dni temu nie byłem

- Helium słusznie szczeni się najpiękniejszymi kobietami na Barsoomie - mówił - a prawdziwą perłą wśród nich jest Dejah Thoris, córka Mors Kajaka. Ludzie ją wprost uwielbiają, a od czasu, gdy zaginęła podczas tej nieszczęsnej ekspedycji, całe Helium pogrążyło się w żałobie. To, że nasz władca rozkazał zaatakować osłabione i zniszczone statki, powracające z tej wyprawy do domu - ciągnął - było następstwem z jego niewybaczalnych błędów, które przedtem czy później doprowadzą do tego, iż naród Zodangi postawi kogoś mądrzejszego na jego miejscu. Nawet teraz, chociaż nasze zwycięskie armie otaczają Helium, ludzie w Zodandzie głośno wyrażają swoje niezadowolenie. Ta wojna nie cieszy się popularnością, gdyż nie jest walką o prawdę i sprawiedliwość. Nasze siły wykorzystają nieobecność głównej floty Helium, która udała się na poszukiwanie księżniczki i z łatwością radzą sobie z osłabioną obroną. Mówi się, że miasto podda się w ciągu najbliższych dni.

- A co się dzieje z księżniczką Dejah Thoris? - spytałem z pozorną obojętnością.

- Zginęła - odpowiedział. - Dowiedziano się tego od zielonego wojownika, schwytanego ostatnio przez nasz oddział na południu. Uciekła Tharkom z jakąś dziwną istotą z innego świata i 'ko po to, by wpaść w łapy Warhoonczyków. Ich thoaty błakały się po dnie wyschniętego morza, a w pobliżu znaleziono ślady krwawej walki.

Ponieważ te wiadomości nie były wcale pewne i nie stanowiły ostatecznego dowodu na to, że Dejah Thoris rzeczywiście zginęła, postanowiłem starać się w każdy możliwy sposób dotrzeć jak najprędzej do Helium i przekazać Tardos Morsowi posiadane przeze mnie wiadomości o jego wnuczce.

Dziesięć dni po opuszczeniu farmy braci Ptor dotarłem do Zodangi. Już podczas mego pierwszego kontaktu z czerwonymi mieszkańcami Marsa zauważyłem, że obecność Woola budzi niezbyt przychylną, a za to duże zainteresowanie moją osobą, gdyż nalczał on do gatunku zwierząt, które nigdy nie były udomowione przez czerwonych ludzi. Gdybym wszedł do Zodangi z Woolem u nogi, wrażenie byłoby podobne do tego, jakie zrobiłby człowiek przechadzający się po Broadwayu z lwem.

Mysł o rozstaniu z moim wiernym przyjacielem zasmuciła mnie szczerze i odłożyłem decyzję do czasu, aż staniami przed bramami miasta. Jednak później stało się jasne, że musimy się rozdzielić. Gdyby w grę wchodziło tylko moje bezpieczeństwo, nie nie mogłoby mnie zmusić do oddalenia od siebie jedynej istoty na Barsoomie, która od chwili spotkania odbażyła mi szczerą i gorącą przywiązaniem. Ponieważ jednak chciałem odnaleźć kobietę, w której służbie obiecałem oddać życie i musiałem rzucić wyzwanie nieznanym niebezpieczeństwom tego tajemniczego dla mnie miasta, nie mogłem pozwolić, by troska o bezpieczeństwo Woola rozpraszała moją uwagę i w ten sposób być może przyczyniła się do niepowodzenia mego przedsięwzięcia. Pożegnałem się więc z nim, czule obiecując sobie, że jeśli wyjde cało z czekających mnie przygod, znajdę sposób, aby go potem odnaleźć.

Woola zdawał się rozumieć wszystko, co mu tłumaczyłem i gdy wskazałem w stronę Tharku odwrócił się ode mnie ze smutkiem w ślepiach. Nie mogłem się zmusić by patrzeć na to, jak odchodzi. Pojechałem natychmiast ku murom Zodangi.

Dzięki listowi polecającemu, który otrzymałem od braci, zostałem wpuszczony bez żadnych przeszkód do miasta, ogromnego i otoczonego wysokimi murami. Był bardzo wczesny ranek i ulice świeciły jeszcze pustkami. Rezydencje, uniesione wysoko na metalowych kolumnach, przypominały wielkie płasie gniazda, zaś same kolumny zdawały się być pniami metalowych drzew. Sklepy nie były uniesione w górę, nie miały też szczególnie masywnych zamków czy zapor na drzwiach, gdyż pojęcie kradzieży było właściwie na Barsoomie zupełnie nieznane. Obawiano się tylko morderstw i to właśnie ochrona przed nimi zmusza Marsjan do unoszenia domów w górę na noc lub w razie niebezpieczeństwa.

Bracia Ptor dali mi dokładne wskazówki, gdzie mam się w mieście udać, by znaleźć jakieś mieszkanie, i być w pobliżu urzędów agentów rządowych, do których napisali listy polecające. Moja droga wiodła w stronę centralnego placu. Place takie znajdują się w każdym marsjańskim mieście. Ten w Zodandzie ma około mili kwadratowej powierzchni i jest otoczony pałacami rodziny królewskiej i wyższej szlachty, gmachami użyteczności publicznej, kawiarniami i sklepami. Gdy szedłem przez plac, podziwiając wspaniałą architekturę i piękno, szkarłatną roślinność, porastającą szerokie kwietniki, zauważyłem czerwonego Marsjanina idącego szybko w moim kierunku od wylotu jednej z ulic. Nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, ale gdy podszedł bliżej rozpoznałem go i, położywszy dłoń na jego ramieniu, powiedział:

- Kaor, Kantos Kan!

Odwrócił się błyskawicznie i zanim zdążyłem opuścić rękę ostrze długiego miecza znalazło się przy mojej pierś.

- Kim jesteś? - warknął, a gdy jednym skokiem oddaliłem się od niego o pięćdziesiąt stóp opuścił miecz i ze śmiechem powiedział:

- Nie potrzebuje innej odpowiedzi. Tylko jeden człowiek na całym Barsoomie potrafi skakać jak gumowa piłka. Na oba księżyce, Johnie Carter, skąd się tu wziąłeś? Czy stałeś się Darseenem, że potrafisz dowolnie zmieniać kolor skóry?

- Zawdzięczam ci kilka przykrych sekund, przyjacielu - powiedział, gdy w skrócie opowiedziałem mu swoje przygody od chwili, gdyśmy się rozstali na arenie w Warhoonie. Gdyby mieszkańcy Zodangi dowiedzieli się, jak się nazywam i skąd pochodzę, siedziałbym wkrótce nad brzegiem zaginionego morza Korus wraz z innymi dawnymi umarłymi i zapomnianymi przodkami. Zostałem tutaj wysłany przez Tardosa Morsa, jeddaka Helium, aby dowiedzieć się, gdzie przebywa Dejah Thoris, nasza księżniczka. Sab Than, książę Zodangi, smiertelnie się w niej zakochał i ukrył ją gdzieś w tym mieście. Jego ojciec, jeddak Zodangi Than Kosis, ceną za zawarcie pokoju między naszymi miastami uczynił dobrowolną zgodę księżniczki na posłubienie jego syna. Jednak Tardos Mors nie chce przyjąć takiego warunku i kazał przekazać jeddakowi Zodangi, że on i wszyscy ludzie z Helium wolą oglądać swoją księżniczkę martwą niż posłubioną człowiekowi, którego nie wybrała sama oraz że on osobiście woli zostać pogrzebany pod popiołami naszego miasta niż połączyć gołda swego rodu z gołdą Than Kosisa. Ta odpowiedź była straszliwą obelgą dla Than Kosisa i ludzi z Zodangi, ale Tardos Mors jest dzięki niej otaczany w Helium jeszcze większą miłością poddanych i ma w tej chwili nad nimi większą władzę niż kiedykolwiek.

- Jestem tu już od trzech dni - ciągnął dalej - ale jeszcze nie udało mi się odkryć, gdzie Dejah Thoris jest więziona. Dzisiaj wstąpiłem na służbę do armii Zodangi jako zwiadowca powietrzny. Mam nadzieję zdobyć zaufanie króla Sab Thana, który dowodzi tą formacją i w ten sposób dowiedzieć się czegoś o Dejah Thoris. Chcesz się, ze mną tu spotkać, gdyż znam twoją życzliwość dla księżniczki, a gdybyśmy połączyli nasze siły, moglibyśmy naprawdę wiele dokonać.

Plac zaczął się wypełniać ludźmi, spieszącymi wypełnić swoje codzienne obowiązki. Zaczęło otwierać sklepy, a w kawiarniach zasiadali poranni goście. Kantos Kan zaprowadził mnie do jednej z nich. Obsługa w kawiarni była całkowicie zmechanizowana, jedzenia nie dotykała ludzka ręka od momentu, w którym zostało przywiezione w stanie surowym aż do chwili, gdy gorące i gotowe do spożycia ukazywało się na stoliku przed gościem, który uprzednio nacisnął tylko odpowiednie guziki, wyrażające jego życzenia.

Po posiłku poszliśmy do kwatery głównej dywizjonu zwiadu powietrznego i Kantos Kan przedstawił mnie swojemu dowódcy, prosząc o przyjęcie do służby. Zgodnie z obowiązującą procedurą musiałem przedtem poddać się badaniom, ale Kantos Kan powiedział, abym się nie obawiał, gdyż tę sprawę bierze na siebie. Zalał mi to sam stając przed komisją i przedstawiając się jako John Carter.

- Oczywiście, ta mistyfikacja przydzie później na jaw - powiedział śmiejąc się wtedy, gdy porównałą wagę, wzrost i inne cechy charakterystyczne na papierze i w rzeczywistości, ale do tej chwili może upłynąć kilka miesięcy, a w tym czasie powinniśmy już dawno zakończyć naszą misję, bez względu na to, czy nam się powiedzie, czy nie.

Kilka następnych dni Kantos Kan spędził ucząc mnie sztuki latania i reperowania maszyn. Kadłub jednoosobowej łódki rozpoznawczej ma około szesnastu stop długości, dwie stopy szerokości i zważa się przy obu końcach. Pilot zajmuje siedzenie umieszczone nad małym, bezdźwięcznym silnikiem, napędzającym łódkę. Środek napędowy jest zgromadzony wewnątrz cienkich, metalowych ścian kadłuba i składa się z ósmego promienia, zwanego ze względu na swe właściwości promieniem napędowym.

Ten promień, podobnie jak dziewiąty, jest niezgany na Ziemi, jednakże Marsjanie odkryli, że znajduje się w każdym rodzaju światła, niezależnie od jego źródła. Pozwala on na tak doskonałą nawigację powietrzną, że ich statki bojowe znacznie przewyższają wszystko, co zostało osiągnięte w tej materii na Ziemi. Żeglują lekko i z gracją przez rozrzedzone powietrze Marsa, jak dziecięce baloniki w atmosferze Ziemi.

Podczas pierwszych lat po odkryciu tego promienia, zanim Marsjanie nauczyli się go kontrolować i precyzyjnie się nim posługiwać, zdarzyło się wiele dziwnych wypadków. Na przykład około dziewięćset lat temu wybudowano pierwszy statek bojowy, napędzany tym sposobem. Niestety, zbiorniki ósmego promienia wypełniono zbyt wielką jego ilością i statek po wyruszeniu z Helium nigdy tam nie wrócił. Siła napędowa była tak duża, iż wyniosła go daleko w przestrzeń kosmiczną, gdzie do dziś może być obserwowany za pomocą teleskopów - mały statek, który będzie po wieczne czasy okrążał Barsoom na wysokości dziesięciu tysięcy mil.

Czwartego dnia po przybyciu do Zodangi wykonałem mój pierwszy lot. W jego rezultacie zostałem awansowany oraz otrzymałem kwatery w pałacu Than Kosisa.

Wzleciałem w powietrze i zatoczyłem kilka koł nad miastem, tak jak to robił Kantos Kan, a następnie

ustawiwszy maszynę na maksymalne obroty poleciałem z przerażającą szybkością na południe, wzdłuż jednej z wielkich dróg wodnych, dochodzących do Zodangi z tej strony.

Przebyłem prawie dwieście mil w czasie krótszym niż godzina. Nagle daleko w dole zauważyłem trzech zielonych wojowników, ścigających galopem małą, pleszącą figurkę, która najwyraźniej starała się dobiec do otaczającego pola uprawne muru. Zmniejszyłem gwałtownie wysokość lotu i krążyć z tyłu, za zielonymi wojownikami, zauważyłem, że obiektem ich pościgu jest czerwony Marsjanin, noszący od znaki dywizjonu zwiadu powietrznego, do którego byłem przydzielony. W pobliżu zobaczyłem łódkę porzuczoną wokół narzędzia. Widocznie w momencie, w którym zaskoczyli go zieloni wojownicy, pilot zajęty był naprawą jakiegoś uszkodzenia.

Już prawie go doganiałem, wierzchowce gnały z zatrważającą predkością na małą, w porównaniu z nimi, figurkę, a wojownicy nachyliłi się w prawo i wystawili przed siebie długie dzidy. Każdy z nich starał się przebić biednego Zodanganczyka jako pierwszy i niewątpliwie jego los już za chwilę byłby przesadzony, lecz na szczęście ja się zjawiłem.

Skierowałem statek z pełną predkością dokładnie na wojowników i wkrótce ich dopędziłem. Bez zmniejszania predkości wycelowałem przed łódką w piecy najbliższego z nich. Uderzenie wystąpiło silne, by przebić kilkucalowej grubości stal, wyrzuciło ponad łbem theata pozabawione głowy całego wojownika daleko w przód, gdzie spadło i potoczyło się po mchu. Spłoszone wierzchowce dwóch pozostałych zielonych ludzi pisać ze strachu rozbiegły się w przeciwnych kierunkach. Zmniejszyłem predkość zakreśliłem koło i wylądowałem przed zdumionym zwiadowcą. Gorąco podziękował mi za pomoc, udzieloną na dodatek w najbardziej odpowiednim momencie i przyrzekł, że zostanie odprawiony nagrodzony, okazało się bowiem, że uratowałem życie jednemu z kuzynów jeddaka Zodangi.

Nie traciłmiś czasu, wiedząc, że wojownicy wrócą natychmiast po odyskaniu kontroli nad swymi wierzchowcami. Zabrałmiś się do naprawy uszkodzonej maszyny i wyteżaliśmiś wszystkie siły, by w krótkim czasie ją zakończyć. Pozostało nam tylko kilka końcowych operacji, gdy zauważyłmiś, że wojownicy wracają ku nam pełnym galopem z dwóch przeciwnych stron. Gdy zbliżyli się na odległość około stu jardów, ich theaty znow odmówiły posłuszeństwa, nie chcąc zbliżyć się do statku powietrznego, który przed chwilą tak przstraszył.

W końcu wojownicy zsiędlili z wierzchowców i zaczęli iść ku nam z wyciągniętymi mieczami. Wyszłam przeciw im, zycząc przedtem Zodanganczykowi powodzenia w starciu z trzema z zielonych Marsjan. Dzięki coraz większej praktyce uporałem się z przeciwnikiem szybko i nieprzykrym wysiłkiem i natychmiast pospieszyłem do mego nowego znajomego. Zastałem go w bardzo przykrym położeniu - leżał na ziemi, ratny, a zielony wojownik, postawiwszy mu nogę na szyi unosił miecz do destrukcyjnego ciosu. Pokonałem jednym skokiem dzielące nas pięćdziesiąt stop i wyciągniętym przed siebie mieczem przebiłem zielonego Marsjanina na wylot. Wypuścił swój oręż i upadł na ziemię tuż obok swojej ofiary.

Zbadalem Zodanganczyka i na szczęście okazało się, że jego rany nie były poważne. Po krótkim odpoczynku stwierdził, że czuje się dobrze i jest gotów wyruszyć w drogę powrotną. Musiał jednak pilotować swą własną łódkę, gdyż były one zbyt małe, by zmieściły się w nich dwie osoby.

Szybko dokonaliśmy naprawy - wynieśliśmy się razem w zawsze bezchmurne marsjańskie niebo z dużą predkością, bez dalszych przygód powróciliśmy do Zodangi.

Gdy zbliżaliśmy się do miasta, zauważyłmiś na pobliskiej równinie tłum cywilów i żołnierzy. Nie było to czarne orł statków bojowych, prywatnych i publicznych łodzi wycieczkowych, długich pasm unięszaczo się harwnego jedwabiu i różnego rodzaju proporcow i flag.

Mój towarzysz dał mi sygnał, abym zwoinił i zbliżywszy się do mnie na niewielką odległość, zapomniał, byśmy wylądowali i przywrócić się ceremonii, podczas której, jak powiedział, odbędzie się nagradzanie oficerów i osób cywilnych za odwagę i zasługi wobec państwa. Potem rozwinął mały porzeczek, który świadczył, że w łódce leci członek rodziny królewskiej i wspólnie przebiliśmy się przez ciżbę różnego rodzaju aparatów latających i zawisłmiś dokładnie nad jeddakiem Zodangi i jego swiat. Wszyscy oni dosiadali małych, domowych theatów, a w ich paradnych strojach i ozdobach była taka ilość różnokolorowych piór, że nie mogłem nie zauważyć ich ogromnego podobieństwa do czerwonych Indian z mojej ojczyzny.

Jeden z członków swity zwrócił uwagę Than Kosisa na wiszącą mu nad głową krewniaka i jeddak gestem nakazał memu nowemu znajomemu lądowanie. Oczekując na ustawienie się oddziałów w szyku, jeddak toczył ożywioną rozmowę ze swym kuzynem i zauważyłem, że zarówno oni, jak i bliżej stojący członkowie swity spoglądają do czasu do czasu w górę, na mnie. Nie słyszałem czegoś dotyczącego rozmowy, ale urwała się ona nagle i wszyscy zsiędlili z theatów, gdyż ostatni oddział zajął już swoje pozycje w szyku. Jeden z członków swity poszedł w stronę oddziałów i wywołał imię jakiegoś żołnierza,



# Zabójca czarownic

Krzysztof  
Kochański

Noc jest porą, w której większość żywych istot pogrąża się w stan zwany snem. Tak bywa na wszystkich planetach, do których człowiek dotarł i które skolonizował. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie szanują ten stan rzeczy i przestrzegają go, a gdy sytuacja nie pozwala na dostosowanie się do ogólnego prawa, łamią je niechętnie. Bo nie tylko zmęczenie, lecz również ciemność i cisza wywołują potrzebę snu. Chyba, że ktoś jest czarownicą.

Nik Anders doskonale o tym wiedział i przed snem nigdy nie zapominał zostawić w drzwiach, oknach i otworach wentylacyjnych magicznych znaków zabraniających wstępu sługom Szatana. Dla niego była to sprawa życia lub śmierci. Miał podstawy, by obawiać się zemsty czarownic – był ich zabójcą. Jedynym zabójcą, który zabijał i żył nadal.

Tego wieczoru zabezpieczył swój apartament hotelowy bardzo wcześniej. Zapowiadała się mglista i bezgwiezdna noc. Księżyc, choć był w pełni, nie przebił wilgotnej zasłony chmur, czasami tylko rozbijanej podmuchami wiatru.

Nagle Andersa ogarnęła fala niepokoju i zaraz potem usłyszał pukanie do drzwi. Wyteżył swój zmysł telepatyczny i już wiedział, że na korytarzu stoi kobieta. Nie zdołał odczytać jej uczuć ani stanu emocjonalnego, ale mogło to być spowodowane istnieniem przegrody, jaką stanowiły drzwi. Drewno jest doskonałym izolatorem utrudniającym telepatyczne rozpoznanie. Ze względu na odebraną wcześniej falę niepokoju należało zachować szczególną ostrożność. Anders upewnił się co do prawidłowego położenia magicznych znaków i otworzył drzwi. Meżczyzna, którego ujrzał, uśmiechał się niepewnie.

– Dobry wieczór – powiedział. – Czy mam przyjemność z panem Nikiem Andersem?

Anders skinął głową. Nie podobało mu się to – wyczuwał kobietę, a widział mężczyznę. Stan emocjonalny gościa był bardzo trudny do odczytania, dominował strach, który można było tłumaczyć tym, że przybysz wiedział do kogo przyszedł – zabójcy czarownic. Boi się każdy. Jednak inne uczucia były zadziwiająco przytłumione, brakowało przede wszystkim zwykłej ciekawości człowieka uczciwego.

W tym momencie Anders odebrał uczucie ciekawości.

Żaden fachowiec nie da się nabrać na takie rzeczy. Spożniona fala ciekawości stawia pod znakiem zapytania jej autentyczność. Anders zrozumiał, że to błąd.

„Brakuje uczucia zadowolenia” – pomyślał. Była to z jego strony prowokacja.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, gdy odebrał uczucie zadowolenia. Prawie natychmiast zniknęło ono, ale było też za późno – Anders nabrał pewności, że ma przed sobą czarownicę. Czarownicę bardzo utalentowaną, ze zmysłem telepatycznym, ale... głupią. Dała się podejść w bardzo prosty sposób.

Wyciągnął rękę, ale działał zbyt wolno. Meżczyzna zdażył się odwrócić i zaczął uciekać w kierunku schodów. W momencie, gdy dotknął poręczy zamienił się w zgrabną blondynkę, która z dzwicznym śmiechem zbiegła na dół. Anders nie gonił jej. To mogła być pułapka. W nocy wolno nie oddalać się od pomieszczenia obwarowanego magicznymi znakami.

Podszedł do telefonu i wywołał recepcję.

– Mówi Nik Anders z pokoju 411 – powiedział. – Czy pytał ktoś o mnie?

– Teraz nikt, ale...

– Wcześniej?

– Tak, po południu. Jakis meżczyzna.

– Jak wyglądał?

– Ja... nie wiem. Rozmawiałam z nim przez telefon.

– O co pytał?

– Właściwie to o nic. – Recepcjonistka umilkła na moment. – Chciał tylko wiedzieć czy pan tu mieszka.

– I powiedziała mu pani – skwitował Anders.

– Oczywiście – w głosie recepcjonistki zabrzmiało zdumienie. – Przepraszam, ale nie widziałam powodu...

– Jasne – przerwał Anders. – Dziękuję pani – odłożył słuchawkę.

„Chyba jutro się wyprowadzę” – pomyślał. Nie bał się. Zbyt dużo czarownic widział już w swoim życiu i umiał sobie z nimi radzić, ale równocześnie wiedział o nich wystarczająco wiele, aby docenić niebezpieczeństwo. Jeżeli tylko jest to możliwe, należy uniknąć spotkania z czarownicą.

Zaczął przygotowywać się do snu, gdy ponownie ktoś zastukał do drzwi. Nie zapominając o ostrożności otworzył je. W progu stał mężczyzna. Ten sam co wcześniej. Tym razem jego sygnał telepatyczny był normalny – mieszanina leku, zaskoplenia i ciekawości.

– Dobry wieczór – powiedział przybysz skłaniając głowę. – Pan nazywa się Nik Anders?

– Proszę wejść – Anders otworzył szerzej drzwi. Uważnie obserwując nieznajomego zrobił krok do tyłu. Nagle dotarł do niego sygnał wyrażający niepewność. Spojrzał na podłogę, na której widniał wyrysowany kredą magiczny znak. Czyżby czarownica powróciła?

– Mam bardzo ważną i pilną sprawę – rzekł mężczyzna. – Może pan wyjść? W drodze wszystko wyjaśnię.

– Teraz? – zdziwił się Anders. W zasadzie nie miał zastrzeżeń do telepatycznego odczytu, ale dlaczego mężczyzna nie chciał wejść do pokoju? Bał się magicznego znaku?

Poczekam na pana w holu – powiedział nieznajomy. – Bardzo się spieszę.

Chwileczkę! – Anders nastąpił na magiczny znak i gwałtownym ruchem chwycił mężczyznę za szyję. Ten krzyknął, a odczyt jego uczuć był jednoznaczny – tylko strach. Nie wyjaśniało to jeszcze sytuacji, więc Anders zaczął wciągać go do pokoju. Stało się:

– Nieee! – rozległ się okrzyk rozpacz i nagle Anders spostrzegł, że szamocę się z kobietą. Jej paniczny lek przed przekroczeniem magicznego znaku wynikał z faktu, że była czarownica.

Wtedy popełnił błąd, którego nie mógł przewidzieć: spojrzał dziewczynie prosto w oczy. I nagle opuściły go siły. Przekonał się, że jeszcze nigdy nie spotkał tak pięknej istoty, przez całe jego ciało przebiegły dreszcze, wzmagając uczucie oszołomienia. Wspaniałe oczy zdawały się zaglądać w głąb duszy, biorąc ją w swoje posiadanie. I choć nie zdołały zawładnąć umysłem, tajemniczą siłą zatrzymały wszelkie myśli zła. Anders opuścił ręce. Kobieta odwróciła się na pięcie i wybiegła na korytarz. Naraz zatrzymała się i spoglądając przez ramię na oniemiałego Andersa powiedziała:

– Nigdy nie staraj się mnie spotkać. Zapamiętaj to! W przeciwnym wypadku zabije cie! – napotkała oczy Andersa i uśmiech, który zjawiał się na jej wargach – zgasł. Otworzyła usta i nagle jej twarz przybrała zaskakujący wyraz odzwierciedlający wewnętrzną walkę. I z nią działo się coś dziwnego. Szarpnęła gwałtownie głową, jakby zrywając niewidzialną nici łączącą ją z Andersem.

Gdy zbiegała po schodach, słyszał jej przeciągły krzyk:

Neeee!

Anders stał nieruchomo przed rozwartymi na oścież drzwiami i wpatrywał się w pusty korytarz. Wciąż był pod wrażeniem niezwykłej urody kobiety, której czar wlażnął do jego wnętrza; widział jej twarz i słyszał jej głos.

– Ecco.

Głos, którego nie było.

Niemoc powoli ustępowała. Anders spostrzegł, że wciąż stoi na magicznym znaku. Ten symbol zawsze skutecznie chronił go przed wpływem zaklęć czarownic. I nie tylko jego. Każdego człowieka. Kto stał na magicznym znaku, tego nie miały się tajemne siły.

Ale tym razem stało się coś dziwnego. Na szczęście było już po wszystkim, lecz Anders doskonale pamiętał swoje wrażenia sprzed paru chwil. Wyraznie znajdował się pod wpływem czarownicy.

A przecież stał na magicznym znaku.

Jak to możliwe?

Był pod wpływem jakiegos zaklęcia!

A przecież stał na magicznym znaku.

Było wykluczone, by istniała moc mogąca pokonać prawidłowo wykreślony znak.

Wszystkie znaki w pokoju Andersa były wykresione prawidłowo.

Nagle przeraziła go szalona myśl: nie działały na niego żadne czary, nie znajdował się pod wpływem żadnej siły. To mogło być zjawisko naturalne.

Absurd?

Jedynym zjawiskiem naturalnym, które pasowało do sytuacji i które Anders mógł sobie wyobrazić, była miłość.

Oszolomiony odkryciem, podszedł chwiejnym krokiem do tapczanu. Zebrał myśli. Było prawdopodobne, że czarownica potrafiła rzucić na mężczyznę urok, wzbudzając w nim miłość do siebie. Pod warunkiem jednak, że mężczyzna ten nie będzie stał na magicznym znaku. Jedno wyklucza drugie, jak woda wyklucza ogień. Czy zatem możliwe jest naturalne pokochanie czarownicy? Anders odrzucał od siebie to pytanie, bo gdy słowo „czarownica” potraktuje się jak „kobieta”...

Nagle zadzwonił telefon. Anders podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Tu recepcja - usłyszał żeński głos. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest tu ktoś do pana. Mężczyzna. Tłumaczyłam mu, że jest późno, ale on nie chce odejść. Mówi, że ma pilną sprawę i musi się z panem widzieć. Zaraz.

- Jak się nazywa?

- Chwileczkę... - recepcjonistka zawahała się. Anders usłyszał przydumiony odgłos rozmowy. - Blend. Nazywa się Blend. Specjalnie przyleciał z układu Atora. Bardzo prosi o rozmowę. Zejdzie pan na dół?

- To jego pomysł?

- Nie rozumiem... z czym?

- Z tym zejściem na dół.

- Tak. Tak zaproponował. Nie chce panu przeszkadzać.

- W nocy nigdy nie opuszczam pokoju.

- W takim razie - zaczęła.

- Dobrze - przerwał Anders. - Porozmawiam z nim. Proszę skierować go do mojego apartamentu.

Odłożył słuchawkę. „Blend” - po raz pierwszy słyszał to nazwisko. Czyżby czarownica była aż tak uparta?

Spostrzegł, że drzwi są wciąż otwarte, z tego wszystkiego zapomniał je zamknąć. Ale rozmowa z recepcjonistką pozwoliła mu ochłonąć. Znowu był sobą. Twardym, trzeźwo myślącym zabójcą czarownic.

Ledwie zatrzasnął drzwi, telefon zadzwonił powtórnie.

- Słucham - rzucił w słuchawkę.

- To jeszcze raz ja, z recepcji. Ten gość już idzie do pana. Dzwonił, bo przypomniał sobie, że przed godziną pytał pan, czy ktoś może dowiadywał się o pana. To był chyba ten człowiek, poznałam go po głosie.

- Dziękuję bardzo.

- I jeszcze jedno. Nie chciałam tego przy nim mówić, ale wygląda jakoś dziwnie.

- Dziwnie? - Anders roześmiał się.

- No... podejrzenie.

- Proszę się nie obawiać - odparł Anders. - Mam przy sobie dwa granaty i karabin maszynowy.

Recepcjonistka zachichotała.

- To już nie będę przeszkadzała. Dobranoc.

- Dobranoc.

Anders wyjął z szuflady krede i poprawił zamazany nieco magiczny znak przy drzwiach. Potem stanął przy wejściu i czekał. Za chwilę usłyszał pukanie.

- Otwarte! - krzyknął i w skupieniu rozszedł telepatycznie sytuację.

Odczyt był pozytywny, ale w progu stał mężczyzna, którego twarz oglądał tej nocy już dwukrotnie.

- Dobry wieczór - powiedział nieśmiało przybysz. - Czy to pokój pana Nika Andersa?

Anders przyjrzał się nieznajomemu. Oto już trzeci raz w ciągu ostatniej godziny słyszał z tych samych ust prawie identyczne pytanie. Z tych samych, albo z takich samych.

- Zgadza się - odrzekł i powiedział najprostsze zdanie, które mogło mu wszystko wyjaśnić: - Proszę wejść.

Mężczyzna bez wahania przeszedł po magicznym znaku, a Anders nie odebrał nawet małej zmiany jego stanu emocjonalnego. Wszystko było w porządku. Wreszcie pojawił się człowiek, którego przybycie poprzedziła wizyta czarownicy. Dwukrotna wizyta. Musiało jej bardzo zależeć. Na czym?

- Nazywam się Abejder Blend - przedstawił się przybysz. - Przybyłem z planety Chiropter w układzie gwiazdy Atora. Jestem przedstawicielem osady kolonistów i zostałem delegowany, aby prosić pana o pomoc.

- Czarownica? - wtrącił Anders.

Abejder Blend przytaknął z błyskiem w oczach.

- Dlaczego akurat ja? - zapytał Anders.

- Prawde mówiąc, to przypadek. Szukałem kogoś, kto podjąłby się zabić... to znaczy...

- Zabicia czarownicy - odpowiedź była bezlitosna.

- Właśnie. Pewni ludzie... przyjaciele... polecieli mi pana. Podobno cieszy się pan dużą sławą.

- To prawda - przytaknął nonszalancko Anders - Jako zabójca - owszem

- Jako zabójca czarownic - zaznaczył niepewnie Blend

- Tak.

Anders uśmiechając się ironicznie celowo prowokował swojego rozmówcę. Mimo wszystko, w odczycie telepatycznym jego uczucie była pewna drobna niejasność - jakaś zagadkowa obawa. Ale chyba nic poważnego z tego nie wynikało.

Usiedli na kanapie.

- Zanim w ogóle zaczniemy rozmowę o szczegółach - podjął Anders - muszę zapytać o pewien drobiazg. Jak wygląda wypłacalność pana i panskich przyjaciół?

W tym momencie odebrał gwałtowne zachwianie stanu emocjonalnego Blendy. To było to - zabójca czarownic uśmiechnął się z niesmakiem - to była ta obawa. Trywialna sprawa, nie są bogaci. Anders wołał pracować dla ludzi bogatych.

Blend zwlekał z udzieleniem odpowiedzi.

- Konkretnie - ponaglił Anders. - Ile możecie zaoferować?

- Gdy opuszczałem Chiroptera - rzekł Blend - dostałem do dyspozycji kwotę czterystu pięćdziesięciu tysięcy lentów. Z tego sto trzydzieści pochłonięła podróż. Drugie tyle trzeba przewidzieć na powrót. Po odjeździe zostaje sto dziewięćdziesiąt tysięcy lentów. Jestem upoważniony do przelania tej sumy na pańskie konto - uniósł dumnie głowę.

Anders roześmiał się.

- Za ostatnią robotę dostałem półtora miliona - powiedział.

Zapadła cisza. Blend poruszył się niespokojnie. Przymknął powieki i zamyslił się. Widać było, że jest bardzo zmęczony.

- To prawie wszystko co posiadamy - powiedział wreszcie. - Osadnicy na mnie czekają. Wierzą, że przyprowadzę kogoś, kto potrafi pomóc. Pan musi ze mną iść.

- Ja nie muszę robić niczego... prawie niczego.

Pomarszczona twarz Blendy upodobniła się kolorem do czystej kartki papieru. Zaciśnięte wargi odznaczały się czerwienią niczym pomalowane szminką. Powstał bez słowa i skierował się ku drzwiom.

- Chwileczkę - powstrzymał go Anders. - Nie powiedziałem: nie!

Blend powrócił na swoje miejsce.

- Wiedziałem, że nie jest pan bez serca - powiedział szeptem.

- Nic pan nie rozumie - rzekł Anders. - Nawet nie wie pan, że ta czarownica uprzedza panskie posunięcia.

Na twarzy Blendy pojawiło się zdumienie. Dziwne, ale Anders nie zauważył uczucia strachu. Blend nie bał się czarownicy.

- Pojawiła się przed panem. I to dwukrotnie. Zagroziła nawet, że mnie zabije. Nie rozumiem jak to się stało, że pana zostawiła w spokoju.

Ostatnie zdanie było trafieniem w dziesiątkę. Blend przygryził wargę i zwieszając głowę powiedział:

- Nie lubię o tym mówić. Nie znałem swojej matki, ale wiem, że była złą kobietą. Jestem synem czarownicy i to zapewnia mi nietykalskość.

- Wydawało mi się, że wiem o czarownicach wszystko - oświadczył Anders. - Ale przyznaję, że nigdy nawet nie słyszałem o czymś takim.

- Przypuszczam - dodał Blend - że nikt inny nie dotarłby do pana. Czarownica z Chiroptera jest przerażająco inteligentna i sprytna. Mimo młodego wieku posiada zadziwiające umiejętności.

- Zauważyłem to. O ile podczas pierwszej wizyty popełniła mnóstwo gaf i pomyślałem nawet, że jest głupia, to za drugim razem nieomal dałbym się nabrać. Błyskawicznie się uczy. Czy wie pan, w jaki sposób usiłowała mnie podejść? Pojawiła się w paskiej postaci.

Blend zamarł na chwilę w bezruchu. Westchnął głośno; jego oddech drżał.

- Można się było tego spodziewać. Wiedziałem już kiedyś, jak zmieniała się w starą kobietę.

- To niezupełnie tak wygląda. Nawet czarownice nie potrafią czynić transformacji - wyjaśnił Anders. - Zjawisko polega na pewnego rodzaju hipnozie: czarownica sugeruje swój wygląd wybranemu człowiekowi. Ja widziałem ją jako pana, lecz w rzeczywistości wciąż była sobą, młodą kobietą. Zresztą, sztuczkę tę łatwo zdemaskować, gdyż hipnoza polega na koncentracji. Udało



mi się rozproszyła czarownica, stąd znam jej prawdziwy wygląd. Ostatnie zdanie Anders wypowiedział powoli, można było odnieść wrażenie, że zapominał o obecności Blendy i przekazuje je samemu sobie. Przed oczami stanęły mu delikatne rysy twarzy czarownicy. Widział jej postać, rozwiane włosy, gdy mówiła mu: "Nigdy nie staraj się mnie spotkać". I jak zbiegała po schodach - spłoszona, lecz nie pokonana.

Panie Anders! Panie Anders... dotarł do niego głos Blendy. - Zle się pan czuje?

Otrząsnął się. Co się z nim dzieje? To ona. Musi ją pokonać! - Nic mi nie jest - powiedział przytomnie. - Zamysliłem się.

Dlaczego czarownica pojawiła się właśnie w mojej postaci? - zapytał Blend.

- Teraz dopiero rozumiem, jakie to było mądre posunięcie - odrzekł Anders. - Przede wszystkim chciała mnie zniechęcić do pana, może trochę przestraszyć. Można było oczekiwać, że po tych jej wizytach w ogóle nie będę chciał z panem rozmawiać. Choćby dlatego, że uznaję pana za kolejne jej wcielenie. Stało się inaczej. Nie doceniła mnie, tak zresztą, jak ja nie doceniłem jej. Anejder Blend spoznał na zegarek. - Jest już późno, mam zamówiony start swojego statku na jutro, na godzinę jedenastą. Wolalbym, żebyśmy byli punktualni. Opłaty za parkowanie są bardzo duże. Oczywiście, o ile pan decyduje się lecieć ze mną?

- Tak - odparł Anders. - Zainteresowała mnie ta historia. I ta kobieta. - Naraz zorientował się, że po raz pierwszy w życiu przyjął zlecenie, nie znając właściwie szczegółów. A w dodatku na tak niską cenę zgłosił się ostatnio przed wielu laty, gdy był jeszcze młody i niedoświadczony.

Wciąż zastanawiał się, czy to możliwe, by czarownica rzuciła urok na człowieka stojącego na magicznym znaku. Wolał nie wspominać Blendowi o tym incydencie, nie chciał wspominać o nim nawet samemu sobie.

- Skoro doszliśmy do porozumienia - podjął Anders rozpierając się na kanapie - proponuję, żeby opowiedział pan o waszych kłopotach. Zaraz, zanim się rozstaniemy. Trzeba dążyć do jasnych sytuacji.

Oczywiście - przytaknął Blend. - Planeta Chiropter nie jest rajem, ale cokolwiek by mówić, jest dobrym miejscem na rozpoczęcie nowego życia dla takich ludzi jak ja i moi towarzysze - nie mających nic prócz bezzwrotnego dofinansowania od rządu popierającego akcje kolonizacyjne. Jest nas dwustu trzydziestu czterech. Na Chiropterze osiedliliśmy się jakieś dwa lata temu. Znajdowała się tam stacja naukowo-badawcza, ale była nią tylko z nazwy, gdyż nie posiadała obsługi. Jednym z warunków rządu udzielającego nam Chiroptera było prowadzenie w niej badań zgoonych z jej przeznaczeniem. Nic specjalnie trudnego - zwyczajne statystyczne sprostowania dotyczące klimatu, flory, fauny itp. Przypomnę, że bardzo nas dziwiła ta pusta baza, wybudowana z rozmachem i mająca wszelkie wygody, lecz nie użytkowana. Nie wnikaliśmy jednak w szczegóły, ponieważ warunki i tak były bardzo dogodne.

Wokół bazy zbudowaliśmy osiedle. Urządziliśmy się całkiem niezle, podniecała nas przygoda i świadomość, że jesteśmy pionierami, a przyszłe pokolenia potraktują nas może jak bohaterów. To jest naprawdę wspaniałe uczucie, gdy robi się coś, co tworzy podwaliny przyszłości i przetrwać może przez tysiąclecia.

Czekaliśmy jednak wielką niespodzianką. Okazało się, że na Chiropterze żyła samotnie kobieta. To było niesamowite - sama jedna na ołbrzymiej planecie. Nic o niej nie wiedzieliśmy i niczego nie mogliśmy się dowiedzieć, gdyż unikała kontaktu z kimkolwiek z nas. Brzmiało to jak baśń.

Pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie coś zaczęło się psuć w naszej wspaniałej zapowiadającej się przygodzie. Najpierw masowo zaczęły wymierać nam zwierzęta domowe. Był to straszny cios, szybkie odnowienie inwentarza okazało się praktycznie niemożliwe wobec oddalenia od planet cywilizowanych. Miejscowa fauna nie dawała się oswoić. Nie dopracowaliśmy się jeszcze mutacji roślinnych, gwarantujących obfite plony, zresztą wkrótce nawet nasze nędzne poletka nawiedziła jakaś nieznana zaraza. Wszystko to bez żadnej logicznej przyczyny. Obawialiśmy się głodu. Gdy zaczęły chorować dzieci, niektórzy spośród nas zaczęli myśleć o powrocie. Straszne było to, że nie wiedzieliśmy dlaczego tak nagle odmienił się nasz los.

Alarmowaliśmy o pomoc, rząd jednak jak gdyby o nas zapomniał. Wreszcie przyjechał pewien człowiek, jak się okazało wysłano go tylko dlatego, że zaniedbalismy badania. Od niego dowiedzieliśmy się prawdy: kobieta, która żyła tu samotnie była czarownicą i właśnie jej zaklęcia okazały się przyczyną klęski. Na Chiropterze pojawiła się jeszcze przed naszym przybyciem, gdy baza naukowo-badawczą obsługiwała kilkudziesięcioosobowa specjalistyczna ekipa. Ludzie ci szybko ugięli się przed mocą czarownicy i wkrótce nikt już nie chciał pracować na Chiropterze, szcze-

gólnie po tym, gdy zdarzyły się dwa śmiertelne wypadki. Trudno powiedzieć, czy zawińła tu czarownica, w każdym razie zapisano te wypadki na jej konto. Paradoksalnie, iż czarownicy właśnie zawdzięczamy, że rząd zrezygnował z tej planety i przekazał ją w nasze ręce.

Coż dalej? Nie chcemy opuszczać Chiroptera, tu jest nasze życie, nasza nadzieja. Wszystko, co posiadamy i co cenimy, znajduje się na tej planecie. Nie możemy teraz poddać się i po prostu odejść, jak zrobili to naukowcy, ale walka z czarownicą wydaje się ponad nasze siły. Ta kobieta udowodniła nam swoją przewagę w dniu, gdy zawiadnęła umysłem i duszą dziesięcioletniej dziewczynki. Straszne... nie rozumiem, jak coś takiego w ogóle jest możliwe... to dziecko wyrzekło się swoich rodziców i całej naszej społeczności. Mieszkała razem z czarownicą i nie ma sposobu, by sprowadzić je z powrotem. Matka dziewczynki popełniła samobójstwo. Był to pierwszy śmiertelny wypadek w naszym osiedlu, na razie jedyny.

To potworne wydarzenie bardzo nami wstrząsnęło i przyspieszyło podjęcie decyzji; tylko śmierć czarownicy może nas uwolnić. Ale sami nie jesteśmy w stanie z nią walczyć, do tego potrzebny jest ktoś o wyjątkowych zdolnościach, zawodowiec potrafiący dokonać rzeczy niemożliwej. Nie mówię tego, aby panu schlebiać. Taka jest prawda. Jeżeli pan przegra, przegramy wszyscy koloniści.

Anders słuchał opowieści Blendy schowawszy twarz za podpierającą czoło dłoń. Oczywiście miał zamknięte. Równocześnie słuchał i analizował fakty. Walki z czarownicami nigdy nie rozgrywały się w myśli szablonów, ale ten przypadek zdawał się wypadać z jakichkolwiek ram. Każda czarownica szkodziła ludziom, lecz nigdy nie do tego stopnia, aby groziła jej samotność. Działanie przeciw człowiekowi jest podstawą jej egzystencji, jakżeż zatem sens miałoby dążenie do wypędzenia wszystkich ludzi? Czy nie byłby to swoisty rodzaj masochizmu? A w przypadku czarownicy z Chiroptera wydarzenia zdawały się zmierzać właśnie ku takiej absurdalnej sytuacji. Mieszkała samotnie przed przybyciem kolonistów i chce być sama nadal. Dlaczego? Czyżby nie była czarownicą? Bzdura! Widział ją, bała się magicznego znaku. Więc co? Coż znaczy czarownica bez ludzi?

- Fascynująca historia - powiedział i naraz zrobiło mu się przykro, że określił takim banalnym słowem tragedię Blendy i jego towarzyszy. - Czy próbowaliście sami zabić czarownicę?

- Tak - odrzekł Blend. - Zaraz po tym, gdy zabrała nam tę dziewczynkę. Ktoś z nas przypomniał sobie o legendzie palenia czarownic żywcem na stosie. Byliśmy tak wzburzeni, że nie wahaliśmy się ani chwili.

- To bardzo dobry sposób - myślę o paleniu na stosie - zauważył Anders. - Ale niestety praktycznie niewykonalny dla kogoś, kto nie wie, jak się do tego zabrać. Czarownica potrafi wymknąć się nawet dużej gromadzie ludzi.

- Tak też się stało. Nie zdołaliśmy nawet odzyskać dziewczynki.

Anders wstał z kanapy. - Na razie wystarczą mi te informacje - powiedział. - Muszę wszystko dokładnie przemyśleć. Na jakim kosmodromie znajduje się pańska rakietka?

- W Toczon.

- A więc spotkamy się jutro o ósmej.

- Bardzo panu dziękuję - Blend uścił rekę Andersa. Jego zmęczona twarz wypogodziła się.

- Taki jest mój zawód - odparł sztywno Anders. Nie lubił żenujących sytuacji.

- Panie Blend! - krzyknął za wychodzącym.

- Tak? - Blend odwrócił się.

- Wcześniej wspominał pan coś o moim sercu. Wyjaśnijmy to do końca. Ja jestem bez serca. Inaczej nie byłbym zaboja.

W Toczon znajdowało się lotnisko samolotowe, natomiast sam kosmodrom mieścił się czterdzieści kilometrów od miejscowości. Ten odcinek drogi musieli przebyć wynajętym samochodem. Była piękna pogoda, a wysokie ciśnienie atmosferyczne powodowało dobre samopoczucie. Napawające optymizmem. Za kierownicą siedział Anejder Blend. Rozparty na drugim siedzeniu Anders beztrosko przyglądał się okolicy. Nie jechali szybko, mieli prawie dwie godziny.

- Wczoraj powiedział pan, że jest synem czarownicy - zagadnął Anders. - Bardzo mnie to zaintrygowało.

- Przyniosło mi to więcej kłopotów niż korzyści - odparł Blend obserwując uważnie szosę. - Szczególnie gdy byłem chłopcem.

- Ale żadna czarownica nie uczyni panu nic złego. Tak, zdaje się, pan to określił.

Blend westchnął i uśmiechnął się smutno.

- To pomyłka - powiedział. - Złe mnie pan rozumiał. Nie chroni mnie żadna nadprzyrodzona siła, prawda nie jest aż tak tajemni-

cza. Po prostu jako potomek czarownicy nosze w genach określony kod informacyjny. Moja córka może go odziedziczyć, ale ja nigdy nie dopuszczę do tego. Dlatego nie mam i nie będę miał dzieci. Czarownice jakimś niepojętym sposobem rozszyfrowują moje pochodzenie i pozostawiają w spokoju, bez względu na to, co robie. Zresztą, w swoim życiu spotkałem się z nimi tylko trzy czy cztery razy.

Anders słuchał bardzo uważnie. Każda nowa informacja o wydarzeniach czarownic mogła się przydać w jego zawodzie.

Jak to się stało, że mimo wszystko jest pan wrogiem czarownic? zapytał.

Blend zerknął przez ramie, po czym wyjął ściereczkę i przetarł przednią szybę, chociaż wydawała się czysta.

Wychowywał mnie ojciec – odparł – Bardzo kochał matkę. Dopiero, gdy była w ciąży dowiedział się kim jest naprawdę. Nigdy za wiele o tym nie mówił, ale wiem, że dla niego było to ciężkie chwile. Należał do ludzi prosloliniowych, a pokochał kobietę stworzoną do czynienia zła. Matka zmarła przy porodzie. Przykro tak mówić, ale było to dla mnie szczęśliwe...

Anders nie przerywał chaotycznej opowieści Blendy. Najbardziej uderzył go jeden szczegół. Zdarzyło się już, że zwykły śmiertelnik pokochał czarownicę i zdobył jej wzajemność. W tym świetle wcześniejsze wydarzenia nabrały odmiennego znaczenia. Znowu ożyła w jego wyobraźni kobieca postać. I chyba to powoduje, że jedzie teraz z Blendem. Nie pieniądze, nie serce.

Ojciec nigdy już nie był szczęśliwy – kontynuował Blend. – Nie mógł zapomnieć o matce. Nie wierzył, że jego miłość mogła być wymuszona czarem, że wszystko można zniszczyć innym zaklęciem. Był przekonany, że darzył ją prawdziwym uczuciem i to jeszcze bardziej go przygnębiało.

Słowa Blendy docierały do Andersa jak odpowiedzi na pytania, które pojawiały się w jego mózgu. Odpowiedzi niejasne, budzące nowe wątpliwości, ale jednak odpowiedzi. Był jak dziecko, dla którego każda odpowiedź rodzi nowe pytanie.

Gdy miałem dwanaście lat ojciec umarł – mówił Blend. – Od tej pory żyję na własny rachunek. Różnie mi się układało, na ogół niezbyt szczęśliwie, dopiero na Chiropterze odnalazłem samego siebie. W sumie krótko przebywałem na tej planecie, ale łączy mnie z nią trudna do określenia więź... tam jest moja ojczyzna, moi przyjaciele... Trzeba to ratować bez względu na cenę.

Nagle Anders wyczuł w powietrzu jakieś groźne fluidy. Jego zmysł telepatyczny ledwo zdążył zarejestrować niebezpieczeństwo – a już było za późno. Samochód pedzący z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę błyskawicznie zbliżał się do centrum sygnałów agresji.

Z pobliskich zarośli wyprysnęły widoczne nawet przy dziennym świetle ogniste smugi. Huk wystrzałów połączył się z piskiem opon i trzaskiem łamanej karoserii. Samochód przekształcił się w wrak i zatrzymał na ścianie krzaków. Brzdęknięte jeszcze opadające kawałki blachy, po czym zapadła cisza; tak zupełna, jakby umarł cały świat.

Anders otworzył oczy. Nad nim wisiał kawałek błękitu – to niebo zaglądało przez rozbitą szybę.

Stwierdził, że leży na tylnym siedzeniu, przysypany trudnymi do zidentyfikowania odłamkami. Poruszył się i wtedy całe jego ciało przeszył potworny ból. Przetłamał go. Z wysiłkiem podgiął nogi; unosił ręce. Był cały, potłuczony, ale cały. Ponownie zamknął oczy i skupił się na odczycie sygnałów zewnętrznych. Docierało do niego wiele przemieszanych stanów emocjonalnych, wskazujących, iż w pobliżu znajduje się kilku ludzi, ale spośród nich wybijał się jeden. Krzyczał bólem i męką. Beznadziejnością.

Pomocy!

To musiał być Abejder Blend.

Anders podniósł się, pokonując niemoc własnego ciała. Spostrzegł, że przednie siedzenie zmieniło swoją pozycję – oparcie leżało niemal poziomo, a nad nim wisiał wepchnięty do środka przód samochodu. W utworzonej w ten sposób szczelinie tkwiło ciało mężczyzny, chociaż wydawało się niemożliwe, by mogło zmieścić się tam choćby dziecko. Odbierany przez Andersa sygnał wskazywał, że Blend żyje.

Nagle przy samochodzie pojawiło się kilku mężczyzn. Jeden z nich po krótkiej szarpaninie zdołał otworzyć pogiecie samochodowe drzwi. Zajrzał do środka, trzymając w wyciągniętej ręce rewolwer. Jego oczy spotkały się z oczami Andersa; zmarszczył brwi i naraz twarz wykrzywił mu wyraz przestachu i niedowierzania. Gwałtownie cofnął się.

– Czy pan... nazywa się... Anders? – zapytał wykrzykując niemal nazwisko.

Opierając się na odczycie telepatycznym, Anders zdecydował nie ukrywać swojej tożsamości. Przytaknął.

Nieznajomy wyskoczył z rozbitego samochodu.

– Chłopaki! – krzyknął rozpaczliwym głosem do towarzyszy. – Co myślimy narobić?! To Anders!

Upłynęła dłuższa chwila, nim któryś z mężczyzn zapytał:

– Zabójca czarownic?

– Widziałem go kiedyś na wiecu w Bonon. To z pewnością on! O rany! Co myślimy najlepszego zrobili?!

– Dość! – krzyknął Anders. – Lepiej wyciągnijcie mnie z tego wraka.

Mężczyźni pomogli Andersowi wydostać się z samochodu.

– Nie chcieliśmy tego – powiedział ten, który go rozpoznał. – Nie mieliśmy pojęcia, że to pan.

– Jak się nazywałeś?

Ramos.

Porozmawiali o tym później, Ramos – rzekł Anders. Dzięki swemu telepatycznemu darowi wiedział, że usłyszał prawdę; kłamstwo wywołuje zaburzenia odczytu, które tu nie wystąpiły. Najpierw pomógł mojemu towarzyszowi. Żył z nim, ale żyje. Położyli Blendę na murawie. Bardzo krwawił. Anders rozpiął mu podartą koszulę i stwierdził złamanie kilku żeber. Wyglądało to paskudnie.

Naraz Blend otworzył oczy. Jego spojrzenie było zupełnie przytomne. Wpatrywał się w pochylonego nad nim Andersa z taką natężonością, jakby chciał przekazać mu coś niezwykle ważnego. Poruszył wargami, lecz nie zdołał wykrzusić słowa. Anders nie umiał rozszyfrować tego sygnału. Odbierał wielką pustkę z jednym tylko zaburzeniem, niezłomną wolą czegoś, prośbą i rozkazem równocześnie. Błaganie połączone z nienawiścią.

„Czego chcesz?”

Nagle w powietrzu zawisł przeciągły grzmot; odległy i przytłumiony, lecz zdający się nie mieć końca. To z kosmodromu startowała rakietą. Z kosmodromu, do którego zdążyli, ale który nagle stał się nieosiągalny.

Usłyszał go również Abejder Blend. I wtedy jakaś niewytłumaczalna siła wargnęła w jego ciało; graniczący z cudem zastrzyk energii. Usta przestały mu drgać, a oczy rozwarły się szeroko.

– Nie zapominać – powiedział chrapliwym głosem. – Tylko ty... Musisz im pomóc!

Jego wola była tak potężna, że napięty do granic wytrzymałości zmysł telepatyczny Andersa nie wytrzymał naporu. Człowiek, który swoimi czynami zasłużył na miano zabójcy czarownic upadł zemdłony. Pokonał go cios odwagi i – tak jest! – miłości! Gdy Anders ocknął się, po Abejderze Blendzie zostało już tylko ciało. Jego dusza zdążyła do krainy śmierci. Anders zrozumiał, jaki bliski stał się mu ten nieznany prawie człowiek. Łączył ich wspólny los; obaj przez całe swoje życie związani byli z czarownicami – każdy w inny sposób, ale obaj dla tego samego celu. Walka z nienawiścią i złem.

„Musisz im pomóc!”

Musisz pomóc samemu sobie.

– Proszę nam wybaczyć – odezwał się Ramos. Jego trzech towarzyszy przez cały czas milczeli. – Skąd mogliśmy wiedzieć, że to pan jedzie tym samochodem? Całe szczęście, że wyszedł pan z tego ciała.

– Ten człowiek był ważniejszy niż ja – odparł Anders. – A wy kim właściwie jesteście?

– Wynajął nas pewien mężczyzna. Dobrze zapłacił i poleciał ostrzelać pański samochód.

– To jest wóz z wypożyczalni.

– Czekaliśmy na wiadomość w budce telefonicznej na rogatkach Toczon. Ten mężczyzna zadzwonił i podał numer rejestracyjny samochodu, powiedział, że w środku będzie siedziało dwóch ludzi, którzy muszą umrzeć... – Ramos dopiero teraz spostrzegł, że wciąż trzyma w ręku rewolwer. – Welknął go za pasek spodni.

– Jak nazywa się ten mężczyzna?

– Ja... nie wiem. To Bystry z nim rozmawiał. Bystry! Kto to był ten facet?

Mężczyzna nazwany Byстрыm wzruszył ramionami.

– Widziałem go po raz pierwszy w życiu, nawet nie wiem, kto go do mnie skierował... Miał dużo forsy i jeździł kapitalnym samochodem z szoferem. Takim gogusiem w czapce i z czerwonymi lampasami na spodniach. Ale ten wóz nie należał chyba do niego, bo do szofera mówił „pan”.

– Marka tego samochodu, numer rejestracyjny – rzucił Anders.

– Nie wiem. – Bystry pokręcił głową. Numeru nie pamiętam, nie przyglądałem się. A co do marki... nigdy nie widziałem takiego wozu, może robiony na zamówienie?

– Dobra – Anders niewiele się dowiedział, ale i te wiadomości mogły mu się przydać. – Która jest godzina? – zapytał.

– Dwadzieścia po dziesiątej.

– Pomóżcie mi? Najpóźniej za piętnaście minut muszę być na kosmodromie.

– Jasne! – wyrzucił gotowość Ramos. Jego towarzysze przytaknęli.

– Za tymi krzakami stoi nasz samochód.

– A co z nim? – Anders wskazał na ciało Blendy.



M. Kozłowski „Laleczka” – olej – fragmenty



Ramos zawahał się. Potrząsnął głową. – Nie zmieści się, musi tu zostać. Zaraz powinien przejeżdżać jakiś samochód. Zresztą, możemy zadzwonić po pogotowie z kosmodromu.

– To nie wchodzi w rachubę – zdecydował Anders. – On musi jechać ze mną. Mam zamiar zabrać go do jego ojczyzny.

I ani przez chwilę nawet przez myśl mu nie przeszło, że nie musi robić niczego.

**C**hiropter to dzika planeta.

Obszary, na których cywilizacja nie odcisnęła jeszcze swojego piętna, człowiek zwykły nazywać dzikimi, obojętnie czy są one piękne czy smutne i nieprzyjemne. Jedna baza naukowa i skupiona wokół niej mała kolonia nie uczyniły jeszcze Chiroptera prowincją Ziemi, ale stały się zaczątkiem nowego. Przygody, która warto przeżyć, władzy, o którą warto walczyć. Wszystko po to, aby móc powiedzieć: „To moje, tu żyję i tu umrę”.

Trzeba ogromnego hartu ducha i zapału, aby budować nowy świat. Ludzie, którzy nie znaleźli szczęścia w swoich rodzinnych stronach, szukają go na obcej ziemi. I często nieważne jest nawet czy je znajdują; poszukiwanie też bywa szczęściem.

Chiropterski kosmodrom mieścił się zaledwie o kilkanaście kilometrów od stacji naukowo-badawczej. Był zaniedbany i chociaż sama płyta startowa pozostawała w dobrym stanie, to baraki na obrzeżach wymagały gruntownego remontu. Tym bardziej że okoliczny las zaczął odzyskiwać siracony teren.

Nik Anders wylądował bez kłopotów. Odczekał, aż spadnie temperatura osłon ablacyjnych statku i zmaleje promieniowanie płyty kosmodromu, po czym zebrał się do wyjścia. W lukę wyjazdowym znajdował się terenowy samochód, z którego zamierzał skorzystać. Wyniósł z chłodni foliowy worek z ciałem Abejdera Blenda i umieścił go na tylnym siedzeniu. Mimo rękawic, ręce skostniały mu z zimna – temperatura w chłodni wynosiła minus trzydzieści stopni Celsjusza.

Otworzył luk i uruchomił mechanizm trapu; gdy opadł, zjechał po nim na płytę lądowiska. Na kosmodromie nie było nikogo, mimo że przed lądowaniem Anders rozmawiał z kolonistami przez radio.

Podjechał do skraju kosmodromu, przystanął i rozejrzał się. Nie miał mapy, a trzeba było odnaleźć drogę. Kierunek znał, bo zanim wylądował, obserwował okolice przez ekran iluminatora. Ściana lasu wydawała się nie do przebycia, nie zauważył żadnej wycinki. Ruszył. Posuwając się wolno wzdłuż prowizorycznego ogrodzenia wciąż obserwował teren. Wreszcie dotarł do niskiej bramy; od niej prowadziła droga, która kilkadziesiąt metrów dalej skręcała w las. Zdecydował, że pojedzie w tym kierunku. Gdy minął zakręt, jego oczom ukazał się zaskakujący widok: na drodze stało kilkunastu ludzi. Znajdowali się zbyt daleko, aby mógł odczytać ich uczucia, ale gotów był założyć się, że przeważa w nich agresja. Byli uzbrojeni. Za nimi stała wielka, nakryta plandeką ciężarówka, której światła – mimo dnia – pozostawały włączone.

Anders zatrzymał samochód i wyskoczył na drogę. Uniósł w górę obie ręce. Po chwili namysłu odpął pasek spodni i wymownym gestem odrzucił go daleko od siebie. Nie miał broni, ale uznał, że taka demonstracja wzbudzi zaufanie. Jeszcze raz podniósł ręce, po czym bez pośpiechu wsiadł do samochodu. Rozparł się na tylnym siedzeniu, wyjął ze skrytki paczkę papierosów. Zapalił. Przymknął oczy i czekał. Minęła może minuta, gdy jego zmysł telepatyczny odebrał pierwszy odczyt; nie był zbyt przyjazny, ale nie nosił już w sobie morderczych zamiarów. Raczej obawę i podniecenie ciekawością.

Anders otworzył oczy dopiero, gdy odczyty zaczęły mieszać się ze sobą, co wskazywało na bliskość wielu ludzi. Obok samochodu zobaczył silnie zbudowanego mężczyznę w brązowej, skórzanej kurtce, który widząc, że został zauważony trochę się przestraszył. Ale nie zrobił ani kroku w tył. W prawej dłoni mężczyzny tkwił rewolwer.

– Witam – rzekł do niego Anders. – Przybyłem w przyjaznych zamiarach. – Zaciągnął się, otworzył drzwiczki i po raz drugi wysiadł z samochodu. Wyciągnął rękę na przywitanie.

Mężczyzna w skorze po chwili wahania przełożył rewolwer i uściśnął podaną dłoń, lecz jego twarz nie zmieniła wyrazu.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Nazywam się Nik Anders. Zabójca czarownicy.

Mężczyzna spojrzał znacząco na tłumok zajmujący tylne siedzenie samochodu. Tający szron na plastikowym worku nie był w stanie ukryć jego zawartości.

– Przywiozłem ciało Abejdera Blenda – powiedział Anders.

Nieznajomy wzdrygnął się, a kilku stojących za nim towarzyszy uniosło w górę automatyczne karabinki. Przez chwilę stali tak wszyscy w bezruchu. Nagle jeden z mężczyzn przyskoczył do Andersa, odepchnął go brutalnie i pochylił się nad ciałem Blenda. Wyciągnął z kieszeni nóż i rozciął worek. Rozdarta folia odsłoniła zmarzniętą, martwą twarz.

– To Abejder! – mężczyzna krzyknął przeraźliwie. – Abejdeer! Gdzieś w lesie echo powtórzyło imię, które, odbijając się między pniami drzew, w końcu wróciło na drogę. Tylko imię; nic nie wróci życia człowiekowi, który je nosił.

**A**nders do późnej nocy wertował książki zapisów badań naukowych, prowadzonych na Chiropterze. Szczególnie interesował go okres poprzedzający pojawienie się czarownicy. Jeszcze nie był pewien, ale wydawało mu się, że wpadł na trop, który pozwoli mu rozpocząć równorzędną walkę z kobietą działającą na szkodę kolonistów. Na razie – osiągnął niewiele, chociaż na Chiropterze przebywał już ponad tydzień. Sprawa zaczynała się przeciągać, a on wciąż tkwił w zerowym punkcie. Wszystkie sztuczki i pułapki, jakie znał, a które prowokowały czarownice do konfrontacji, nie odnosiły tutaj skutku. Kilkakrotnie robił wypad, nawet w nocy, instruował osadników i szli wszyscy razem, obwarowani magicznymi znakami, próbował w pojedynkę – i nic. Zawsze przybywał za późno. Czarownica była w miejscach, które typował, lecz za każdym razem zdolała w porę wymknąć się. I to na tyle wcześniej, że nawet zmysł telepatyczny Andersa nie zdołał podać kierunku jej ucieczki. Rozumiała, że spotkanie z zabójcą może być dla niej kresem życia.

Ale powinna również zrozumieć, że w końcu musi dojść do spotkania. I do walki. Dlaczego zwlekała tak długo? Ma przecież przewagę Mocy. Mocy Zła. Tymczasem on atakował, a ona stosowała uniki. Wciąż uniki. Jak długo jeszcze? Anders czuł, że powodem takiego zachowania jest ta sama przyczyna, dla której chciała opanować planetę. Ale była to przyczyna nieznaną.

– Cholerny świat! – zaklął. „Nieznana przyczyna”.

Jak to możliwe, aby czarownica postępowała wbrew własnym zwyczajom? Przecież musi mieć w tym jakiś cel. Anders wielokrotnie analizował jej postępowanie, ale wciąż układał te same pytania. Dlaczego osiedliła się na Chiropterze? Planeta jest praktycznie bezludna – nawet teraz, gdy przebywają na niej koloniści. A wcześniej było tu zaledwie kilkudziesięciu naukowców. Czarownice zawsze trzymają się ludzkich skupisk, gdzie mogą działać zgodnie ze swym charakterem i przeznaczeniem. Chiropter wydawał się ostatnim miejscem, jakie można wybrać, gdy jest się czarownicą.

**A** najważniejsze: Dlaczego tak brutalnie dąży do zupełnego wyniszczenia kolonistów? Anders przekonał się, że jest rzeczywiście tak, jak mówił Abejder Blend. Koloniści żyli w skrajnej nędzy. Czarownica wyraźnie chciała, aby opuścili tę planetę. Dlaczego? Przecież bez nich jest niczym – jak światło w próżni. Istnieje, lecz nic z tego nie wynika. Tylko człowiek może o drugim powiedzieć: jesteś złem. Samotnie nie jest się ani złym, ani dobrym.

Gdy jesteś sam, to jakby ciebie nie było.

Nagle Anders wzdrygnął się. Wcześniej określił przybliżony termin pojawienia się czarownicy na Chiropterze – było to na rok przed przybyciem kolonistów – i oto teraz stwierdził, iż niecały miesiąc przed tym dokonano dość ważnego odkrycia geologicznego, o którym nikt z kolonistów dziwnie nie wspominał. Czyżby nie wiedzieli? Na to wyglądało, zresztą zapis był lakoniczny, świadczący, że jego twórca nie przywiązywał do niego większej uwagi.

Ale było napisane – czarno na białym – „URAN”.

Mógł istnieć ktoś, dla kogo miało to olbrzymią wagę.

Nazajutrz Anders wstał wcześniej. Spał krótko, lecz nowo dostrzeżone fakty popychały go do działania. Najpierw zawiadomił



- Ilu ich jest? - zapytał.

- Dwudziestu trzech. Dziewięć rodzin. Gdyby nie czarownica, zostaliby.

Anders zacisnął pięści. Był bezradny. Działał zbyt wolno.

- Zatrzymaj ich. Daj mi jeszcze kilka dni.

- To na nic - odparł Claud. - Nie mogę dopuścić do konfliktów. To by nas dobiło.

W milczeniu podeszli do śmigłowca. Anders ułożył na bocznym siedzeniu walizkę z licznikiem Geigera i sprawdził zawartość pojemnika z prowiantem. Byli gotowi do drogi.

Claud siadł za sterami. Włączył silniki.

- Nie pożegnasz się z nimi? - zapytał Anders spoglądając na ludzi pracujących przy ciężarówce.

- Wczoraj powiedzieliśmy sobie wszystko. Nawet słowa pożegnania - głos Clauda brzmiał ochryple. Usiłował zamaskować wzruszenie. Nie wiedział, że dzięki swemu telepatycznemu darowi, Anders czytał w jego uczuciach, jak w otwartej książce. Uczucia to nie myśli, ale ich znajomość wystarcza, aby poznać człowieka. A przy osiągnięciu wprawy - nawet przewidzieć jego zamiary. Tylko dlatego Anders mógł być zabójcą czarownic. Swoją dar przeciwstawiał Mocy Zła i jak dotąd - wygrywał. Ale za każdym razem stawiał na szale swoje życie, bo dla czarownic „miłość” to słowo abstrakcyjne.

Nikt na świecie nie wiedział o telepatycznym zmyśle Andersa, nikt... A teraz istnieje ktoś, kto prawdopodobnie orientuje się w jego możliwościach - czarownica z Chiroptera! Pamiętał pierwszą z nią rozmowę. Uczyla się szybko, bo sama również posiadała podobny dar. Skoro on ją rozszyfrował, to logika wskazywała, że ona jego również.

„A może jest lepsza?” - Andersa przeszły dreszcze. Nie wiedział czy jest to strach, czy podniecenie. - „Może czyta nie tylko uczucia, ale i... myśli?”

Obawiał się, że niewiele jest na świecie rzeczy, które byłyby do końca niemożliwe.

Lecieli na południe. Anders co pewien czas sprawdzał z mapą kierunek. Czerwonym flamastrem zaznaczył punkt, do którego zdążali - miejsce dawnych badań geologicznych.

Clauda, aby przygotował do lotu śmigłowiec. Claud był tym mężczyzną w brązowej skórze, z którym rozmawiał zaraz po wylądowaniu. Wiele mu zawdzięczał, bo kolonisci, wzburzeni śmiercią Abejdera Blenda, nie dowierzali słowom Andersa i wtedy, przy lądowisku, gotowi byli go zabić. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie rozsądek Clauda, który rozkazał przeszukać rakietę i gdy nie znaleziono niczego podejrzanego, przywołał swoich towarzyszy do porządku. Na szczęście znalazł posłuch. Ale Anders nie zdołał jeszcze zdobyć pełnego zaufania osadników. Wiele szkody przyniosło mu ponowne pojawienie się czarownicy tuż przed jego przylotem. Bo - jak należało się spodziewać - nikt nie widział jej od czasu odlotu Blenda; kolonistom zaczęło się po jej zniknięciu lepiej powodzić, aż tu nagle znowu! Trudno było wyjaśnić im, że przez cały czas nieobecności kontrolowała poczynania Blenda i z pewnością powróciłaby, niezależnie od postępowania Andersa.

- Możemy jechać - do pokoju wszedł Claud. Miał zatroskaną minę i Anders odczuł, że troska dominuje również w jego stanie uczuć.

- Co się stało?

- Nic. Możemy jechać - powtórzył Claud.

Wyszli z budynku. Na dziedzińcu stała ciężarówka, do której kilku ludzi ładowało bagaże. Pracowali mężczyźni, kobiety i dzieci. Anders zrozumiał, że jest to przeprowadzka. A mówiąc konkretniej: ucieczka z Chiroptera. Pierwsi, którzy nie wytrzymali...

Z zainteresowaniem obserwował okolice i musiał przyznać, że Chiropter jest piękną planetą. Zupełnie odmienną od Ziemi, lecz równie wspaniałą. Zastępującą na to, by ją kochać.

- Ilana! - krzyknął nagle Claud.

Anders spojrzał na niego ze zdumieniem. Nie rozumiał tego słowa. Claud wpatrywał się z napięciem w punkt na powierzchni ziemi. Dając za jego wzrokiem, Anders spostrzegł ludzką sylwetkę. Gdy przyjrzał się dokładniej, rozpoznał, że jest to dziewczynka.

- Ilana! - powtórzył Claud. - Kilka miesięcy temu porwała ją czarownica. To straszne!

- Wiem - przerwał Anders. - Mówił mi Blend.

Dziewczynka biegła. Machała ręką w ich kierunku, ale zbliżała się do lasu.

Helikopter zakotłosał się.

- Co robisz?! - krzyknął Anders.

- Trzeba lądować. Ona nas woła!

- Stój! Nie wierzę temu. Nie znasz terenu.

- Łąduje.

- Claud! Opamiętaj się! Dobrze znam czarownice, to pułapka. - Anders chwycił pilota za ramię. Ten odrzucił jego rękę.

- Przecież nie mogę jej tam zostawić - powiedział.

- Poczekaj! Sprowadź śmigłowiec nad powierzchnię ziemi i wyrzuć drabinę. Zejdę i wyszukam miejsce dogodne do lądowania.

Ilana zatrzymała się kilkanaście metrów przed ścianą lasu. Znowu pomachała ręką. Wyraźnie ich przywoływała.

Anders schodził po drabinie. Wiatr wytwarzany przez śmigło młotał nim na wszystkie strony. Zeskoczył na grunt, który ugiął się pod jego ciężarem. Wpadł po kostki w mech. Zrobił dwa kroki do przodu i obejrzał się: w głębokich zagłębieniach, które pozostawiły jego stopy, zbierała się woda. Miał rację! Teren był grząski i z pewnością ustąpiłby pod ciężarem śmigłowca.

W ostatniej chwili, przeczącymi wymachami skrzyżowanych rąk, powstrzymał ładującego już Clauda. Puscil się biegiem w kierunku lasu, na skraju którego stała jeszcze Ilana. Niebezpiecznie było biec po tak grząskim gruncie, ale na szczęście skończył się on kilkadziesiąt metrów dalej. Anders wskazał Claudowi miejsce, gdzie bezpiecznie może osiąść, i nie czekając pobiegł dalej za dziewczynką niknącą właśnie za pniami drzew. Gdy wszedł do lasu, widział jeszcze przez chwilę czerwoną sukienkę Ilany, ale zaraz zniknęła mu z oczu. Przez moment biegł w zapamiętanym kierunku.

„Bez sensu jest ta pogon” - pomyślał.

Nagle usłyszał okrzyk i przed nim zamajaczyła czerwień. Ilana! Skoczył za nią.

Jeszcze kilkakrotnie, na przemian, to gubił ją, to odnajdywał, nigdy jednak nie mógł zbliżyć się na tyle, aby ją pochwycić. Zdawał sobie sprawę, że jest to gra, dziewczynka celowo wciąga go głęboko w las, ale zdecydował się zaryzykować. Może wreszcie nadeszła możliwość konfrontacji z czarownicą. To nic, że ona dyktuje czas i miejsce spotkania. Nie może czekać na lepszą okazję, osadnicy już opuszczają kolonię, dalsze zwlekanie to groźba, że nie będzie dla kogo walczyć.

Wyjął z kieszeni kredę, zdjął kurtkę i wyrysował na plecach i kieszonkach magiczne znaki. Większość z nich sam wymyślił i wypróbował. Lata spędzone na walce z magią zła obfitowały doświadczeniem, które w połączeniu z jego szczególnymi zdolnościami dawały rezultaty niepojęte dla zwykłego człowieka. Sam Anders nie rozumiał czasami wszystkiego, co się z nim dzieje; bywały chwile, gdy tajemnicze siły wprowadzały go w stan powodujący utratę kontaktu z rzeczywistością. Przeżywał wtedy jakby w innym świecie, czuł się poleźny, niezłomny; był we władzy Mocy, która mogła czynić wszystko. Zdarzało się to bardzo rzadko, ale za każdym razem w osobowości Andersa zostawało coś nowego, co czyniło go bogatszym i silniejszym.

Ścisnął jeszcze zawieszony na szyi amulet i ruszył za wabiącą okrzykiem i czerwienią Ilaną. Jak byk za matadorem. Lecz świadomie.

Po blisko godzinie takiej włości, poczuł dym. Niespodziewanie las przerzedził się i Anders wyszedł na niewielką polanę. Na środku płonęło ognisko. Dołożono do niego dopiero przed chwilą, bo ogień buchał wysoko, a gałęzie pekały z trzaskiem. Oddzielona od Nika płomieniami stała kobieta. Rozgrzane powietrze dygotało i przesłaniało obraz, ale rozpoznał ją natychmiast. Czarownicę.

W tym momencie coś uderzyło Andersa pod sercem. Cios pochodził od własnej duszy. Stał oczarowany, choć chronił go pancerz magicznych znaków. Ale każdy pancerz broni tylko przed wtargnięciem sił zewnętrznych; nic nie obroni człowieka przed samym sobą. Nic! Może jedynie własna silna wola.

Trzeba niezwyklej siły woli, by postąpić wbrew sobie.

Tymczasem stali naprzeciwko siebie: czarownica i człowiek będący zabojcą jej rasy. A między nimi żywy ogień – ściana nie do przebycia. Oboje podeszli tak blisko, że żar poczerwieniał ich twarze. Czarownica – ogień – zabójca. Osobno Zło i osobno Moc zwalczająca je. A ogień jest tym, co dzieli. Czyli wszystkim.

Nagle Anders poczuł pożądanie. Tak silne, jak silnie może mężczyzna pożądać kochanej kobiety. KOCHANIE! Nie bał się teraz tego słowa. Patrzył w jej oczy i rosło w nim pożądanie. Zmysł telepatyczny mówił mu, że to samo dzieje się po drugiej stronie ogniowej zastawy. Płonął nie jeden, lecz trzy ognie.

Strzał padł z boku! Wraz z hukiem Anders poczuł plekający ból w prawym przedramieniu. Zachwiał się i przykleknął. Odwrócił twarz od ognia i zobaczył Ilanę. Trzymała w obu dłoniach rewolwer. Mierzyła w Andersa, gotując się do oddania drugiego strzału.

Wtedy Anders pojął perfidie całej sytuacji. On sam, dzięki magicznym znakom był dla czarownicy nietykalny. Choć pragnęła go zniszczyć, nie mogła uczynić nic, dopóki chroni go Moc. Ale ktoś inny, kto nie jest czarownicą, mógł działać jak każdy człowiek – zabijać kiedy zechce, jeśli nie boi się prawa.

Ilana podeszła bliżej. Anders zobaczył otwór lufy wycelowanej w swoją twarz. Odruchowo próbował odczytać uczucia dziewczynki i naraz zrozumiał, dlaczego czarownica ma na nią taki wpływ. Ilana była chora psychicznie. Cały jej umysł był chaosem opanowanym przez zaklęcia. Zamknął oczy, choć nie mógł uwierzyć, że to koniec.

– Stój! – głośny okrzyk pochodził z drugiej strony ogniska.

Ilana spojrzała w stronę czarownicy i widząc jej przyzywający gest – podbiegła. Czarownica wyjęła rewolwer z dłoni dziewczynki i wytuskała z bebenka naboje.

**S**iedzieli we trójkę przy dogasającym ognisku: Anders, czarownica i Ilana. Zapadał zmrok i na niebie pojawiły się gwiazdy.

– W śmigłowcu mam licznik Geigera – mówił Anders. – Ale bez sprawdzania wiem, że złoża uranu są bardzo bogate. Kim jest człowiek, który chce nimi zawładnąć?

– Nie wiem o niczym – odparła czarownica. – Ostrzegam, wycofaj się, bo za drugim razem nie daruję ci życia.

– Zapominasz, że czytam twoje uczucia. Kim jest człowiek, który cie wynajął? Najpierw kazał ci wypędzić naukowców, potem, gdy kolonści ubiegli go w prawach do Chiroptera, przysłał kolej na nich. Wszystko dla zysku, dla uranu. Pieniądze! Nieważne szczęście, nieważny pokój. Kim on jest?

Czarownica milczała. Ilana bełkotała coś niezrozumiałe i patykiem wygarniała popiół z ogniska. Nie obchodziło jej, co mówił Anders, nie obchodził jej ten świat. Miała własny.

– Znajdę go! Próbował mnie zabić. Wynajął ludzi z mafii i tylko przypadek sprawił, że wyszedłem z tego cało. Wtedy jeszcze nie domyślałem się niczego, sądziłem, że to zwyczajny napad, potem, że pomyłka. Dopiero twoje przeloty z Chiroptera na Ziemię i z powrotem dały mi do myślenia. Ktoś musiał je finansować. Wiadomość o złożach uranu była trafnym śladem. Zrozumiałem wtedy twoje dziwne zachowanie – nie działałaś dla siebie, lecz dla kogoś innego. Bogatego i gotowego na wszystko. Takie to proste, wynajmając czarownicę i swoje zło zapisać na nią.

Czarownica wciąż milczała. Wpatrywała się w tańczący ogień, który niczym w kryształach odbijał się w jej oczach.

Anders nie potrafił określić formy rządzących nią emocji. Czuł się osłabiony, rana w przedramieniu dawała się we znaki.

Wciąż nie ufał czarownicy i nie zmywał z siebie magicznych znaków. One sprawiały, że był nietykalny. Nikt nie odważył się dotknąć wrzającego metalu.

– Kim jest ten przeklęty bogacz? – wykrzyknął.

– Odejdź – powiedziała kobieta.

– Najważniejsi są dla mnie osadnicy – Anders wstał. Przypadkowo naprężył zraniony mięsień i skrzywił się z bólu. Wyjął kompas i określił kierunek marszu.

– Kocham cię – powiedział wreszcie to słowo.

– Jutro kończymy rozejm.

– Kończymy – Anders chwycił rękę Ilany. Zabierał dziewczynkę ze sobą. Robił to dla Clauda.

– Wynos się! – usłyszał, gdy opuszczał polanę. Potem w lesie długo jeszcze gonił go upiorny śmiech.

A czarownica siedziała w bezruchu. Skaczący płomień ogniska wywoływał wrażenie drgania jej posagowej twarzy. Pochyliła głowę i wtedy coś zasyczało.

To syknął popiół, na który spadła wielka lza.

– Niech mnie piekło pochłonie!

Pochłonięto ją piekło.

### Krzysztof KOCHAŃSKI

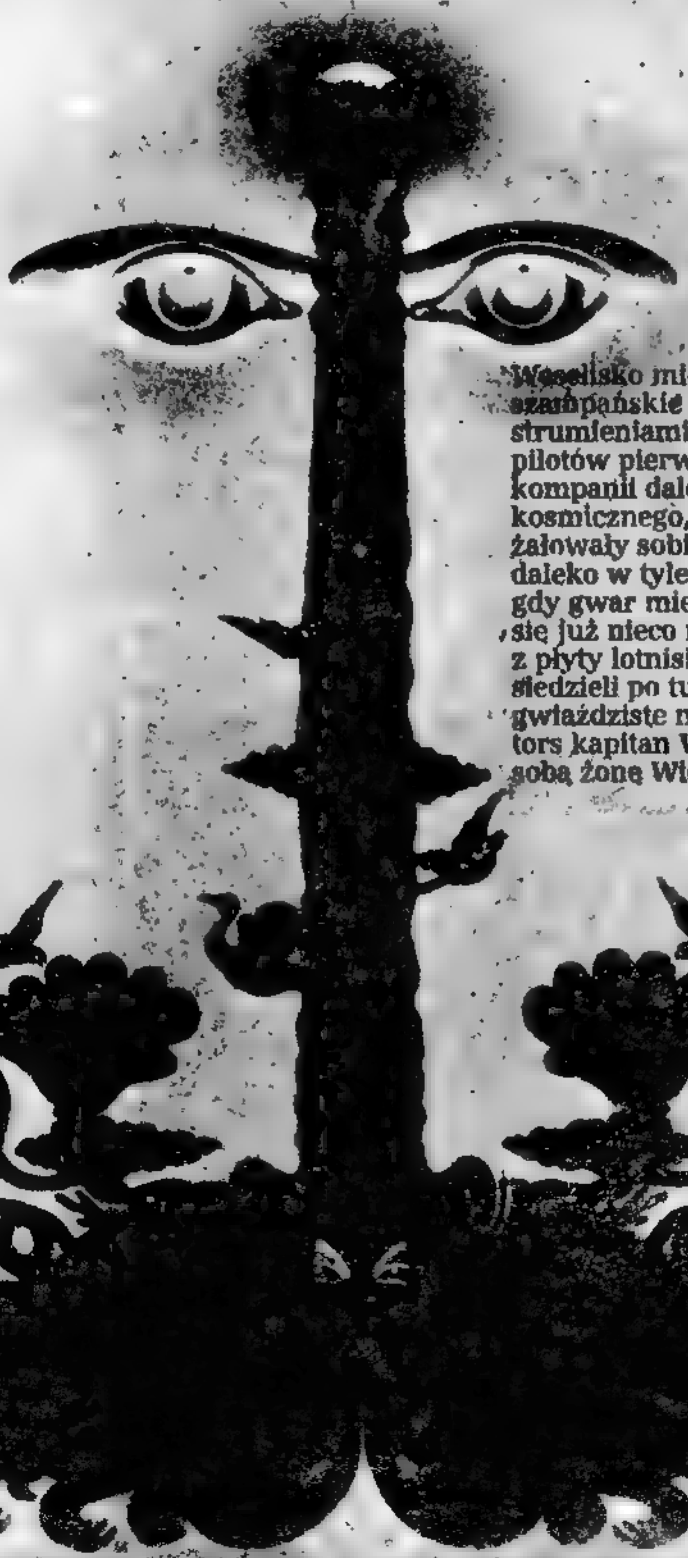
(ur. 18.10.58 r.) ukończył WSI w Koszalinie uzyskując tytuł magistra inżyniera inżynierii środowiska. Fantastykę interesuje się od dawna jako czytelnik i autor. W numerze 7/1979 tygodnika „Na przelot” opublikował swoje pierwsze opowiadanie SF „Nie oszukasz czasu”. Pracuje w WPEC – Słupsk

Krzysztof Kochański



Andrzej  
Zimniak

# Najdłuższa podróż poślubna



Wesołisko mieliśmy dosłownie  
szampańskie – pienisty płyn lał się  
strumieniami wprost do gardzieli  
pilotów pierwszej klasy doborowej  
kompanii dalekiego zwiadu  
kosmicznego, a ich panie też nie  
żałowały sobie i nie zostawały  
daleko w tyle. Gdzieś koło północy,  
gdy gwar mieszanych głosów stał  
się już nieco mniej artykułowany,  
z płyty lotniska, na której wszyscy  
siedzieli po turecku, wydzwignął w  
gwiaździste niebo swój potężny  
tors kapitan Wielema, pociągając za  
sobą żonę Wielede.

**K**apitan wziął zamach i cisnął pełną butelką szampa-  
na o błyszczący kadłub rakiety, a białe strumyki cie-  
czy rozkraczyły się na nim niby nogi plechowatych pa-  
jąków z Aldebarana. Gdy wreszcie zrobiło się cicho,  
Wielema zagrzmiał:

- Pp... pan młody ma głos!!

- Tak, Fallucjusie, powiedz coś na pożegnanie! - zaw-  
torowała piskliwie Wielema.

- Moi mili - zacząłem i odchrząknąłem. - Jesteście  
wszyscy kochani, uświetniając swoją obecnością tak  
piękne dla nas wydarzenie - tu wyciągnąłem dłoń do  
mojej żony Hymelicy, która rażno powstała, śląc wokół  
promienne uśmiechy. Jej oczeta błyszczwały, jak dwie  
supernowe na chwile przed wybuchem.

- Opuścimy was teraz - głos żonki był o tej późnej po-  
rze już lekko zachrypnięty, choć wciąż kokieterystnie  
melodijny. - Chcemy...

He, he, to wiemy - wtrącił się rubasznie Wielema. - I  
wcale was nie zatrzymujemy, dobrze znamy moc la-  
skotliwie kaskiwej chuci, he, he! Ale zanim uleciecie na  
skrzydłach miłości, marie tutaj, na naszych oczach, do-  
pełnie uswieconie prastarym zwyczajem obrzędu...  
Zrobiło się zupełnie cicho, tylko nocne chrząszcze kła-  
skały w ciemności, kopulując na nagrzanym korpusie  
naszego statku. Mesmeryczny dreszcz przebiegł mi  
kręgosłup i ledzwie, gdy poczułem na swoim biodrze  
chwyliwą dłoń Hymelicy.

- ...czyli wypic z nami strzemienne, jak to się kiedyś  
mówiło, he, he! - dokończył kapitan. W wygwieżdzone  
niebo buchnął chorałny śmiech, zaś Wielema wyczaro-  
wał skądś dwa pekate kielichy na wysmukłych nóż-  
kach. Po wychyleniu ich rubinowej zawartości zagrały  
w ducie marsza Mendelssohna.

To było tak, jakby ktoś dołał mi do krwi ukropu. Całe  
towarzystwo zrobiło się raptem czerwone, a Hymelicia  
- nawet łososiowa. Zwiniełam w kosmicznym geście po-  
żegnania pięścią pozdrowilem zebranych, porwałem  
nowiutenką, apetyczną żonkę i jednym susem dopa-  
dłem do łuku. Z grzmołem przebiliśmy atmosferę i pedzi-  
liśmy z rosnącą prędkością międzygwiazdowym szła-  
kiem miłości.

**Z**rozkoszliwego błogostanu wzajemnego oblatpiania  
ocknelismy się dopiero w okolicach Kasjopei - ten  
dran Wielema musiał nam dodać do wina niezłego lub-  
czyku!

Hymelicia przeciągnęła się przymilnie, najwidoczniej  
nie myśląc jeszcze o przyrzeczaniu śniadania. Wtem  
klasnęła w dłonie i wskazała na ślepia monitorów.

- Prażołce na Chutniku! To będzie cudowne!

- Naprawdę tak sądzisz? - spytałem niezdecydowany.  
Kusila mnie wizja przyzwoitego posiłku; na przykład  
jaderka dmuchawnika w migdałkowym sosie stanowi-  
łyby niezłe danie.

- Ależ tak! Zacznijmy od Prażołców i to zaraz!

Nie było rady. Nago wskoczyliśmy do urządzenia tran-  
sformującego, które w ciągu nanosekund optymalnie  
dostosowało nasze ciała do warunków panujących na  
Chutniku, oczywiście uwzględniając także miejscową  
faunoflorofolklorystykę. Następnie kanałem zmodulo-  
wanej przestrzeni opuściliśmy się wprost w magmowe  
oceany jaśniejącej pod nami planety.

Było niezłe, nawet zupełnie dobrze, chociaż czerwone,  
ciężkie fale miały temperaturę sześciu tysięcy stopni.  
Wokół baraszkowały wielkie jak góry Prażołce, rycząc  
wesół i zionąc niebieskim ogniem. Sam ryknąłem i  
zwawo zanurkowałem, szukając swojej samicy, bo już  
przenikały mnie drażniące ukłucia koncentrycznych  
dreszczów przedzapłodnieniowych. Byłem w doskona-  
łej kondycji; lubiłem to dziwne uczucie, kiedy ludzka  
świadomość nakłada się na fizjologię i odruchy innej  
formy życia, udostępniając niezwykłą gamę wrażeń.

Tutaj jestem, Fallucjusie! - Hymelicia dudniła jak  
wulkan. Jej ogromne, baniaste ciało unosiło się swobod-  
nie, otoczone gromadą obłych cielsk przypadkowych  
wielbicieli.

Już płynie! - zahuczałem i rzuciłem się do niej wskroś  
morza ognia i lawy. Igiełkowate dreszcze zogniskowały  
się gdzieś w górnej części worka ciała, a za chwile  
wstrząsnął mną istny spazm rozkoszy, gdy dojrzałem  
cztery niewielkie wgłębienia w głowie mojej wybranki.  
Zespoliliśmy się, aż lawa zagotowała się wokół; otacza-  
jący nas pierścień rodzimych mieszkańców przez cały  
czas wydawał głuche grzmoty na cześć nowożeńców.

Nie zwlekając opuszciliśmy Chutnika, a pokładowe ur-  
ządzenie bezbłędnie przetransformowało nas z po-  
wrotem na ludzi.

- To było piękne, mój kochany Fallucjuszku! - Hymeli-  
cja zarzuciła mi ręce na szyję.

- Owszem, Hymciu złotousta. Ale teraz pora na śniada-  
nie - to mówiąc wsunąłem do stołu tacę jaderka dmu-  
chawnika.

- Niech będzie - przystała nie bez ociągania i włożyła  
przejrzysty jak rozbryzg źródlanej wody peniuar, nie  
sięgający jej nawet do pepka.

Jedliśmy z apetytem, nabierając sił do dalszych ocieka-  
jących słodkim miodem dni i nocy poślubnego miesia-  
ca. Nie mogłem przewidzieć dalszego jego ciągu, a szko-  
da. Gdybym posiadał nie wynaleziony jeszcze w tych  
czasach turystyczny antycypator futurystyczny i gdyby  
jeszcze wszyci mi go w lewą ściankę wewnętrznej  
części żołądka, na pewno odczułbym młodości i skrocił  
podróż. Wtedy wszystko potoczyłoby się normalnie: o-  
siedlibyśmy na jakiejś spokojnej planecie z różowym  
słoneczkiem, spłodzilibyśmy ze dwa albo trzy tuziny  
potomstwa, ja bym oddawał jej pensję, a ona by mi  
gotowała gulasz z członków orankutana, których to  
zwierząt mnóstwo by płało po zielonych skalach na-  
szego seledynowego globu. Ale nie uprzedzajmy wy-  
padków.

Póki co Hymcia poprzez pełne jaderka usta nuciła ulu-  
bioną melodię, wspinając się pod stołem bosymi stopa-  
mi po moich kolanach i udach. Nagle wydała niearty-  
kułowany dźwięk i skoczyła do monitorów.

- Patrz, Falucjusie! - wykrzyknęła wreszcie, przelkną-  
wszy strawę.

- Nic takiego. Gwiazda - żulem nadal spokojnie, choć  
kark musnął mi szpilkowaty dreszcz.

- Przecież to Canopullus Wielki z rojem swoich wspa-  
niałych planet, a w ich liczbie Flik-Fluk-Uchatek i Bajec-  
ja, na której żyją Rozkoszniaki Wielkoustę! Czyżbyś  
już zdążył zapomnieć o naszych przednarzeczonych  
wypadach?

- Nie zapomniałem - powiedziałem zduszonym gło-  
sem, wstając. Czulem wzbierające żądze. - Chodź już!  
- Zaraz, chwileczkę - Hymelicia mocowała się przez  
moment z peniwarem, wreszcie cisnęła go na podłogę i  
wskoczyliśmy oboje do czeluści urządzenia transfor-  
mującego.

Na Flik-Fluk-Uchatku wszystko falowało ruchem posu-  
wisto-zwrotnym i miało długie, spiczaste uszy; niby-  
trawy, niby-grzyby, niby-drzewa, niby-chmury i już  
nie niby, ale prawdziwe Wchładrzaki. Fajne one były:  
takie niby-ludziki, kładły się na ziemi, małe i śliczne,  
wlażyły na siebie i biebrzyły. I ja też biebrzyłem.

Robiłem to tak: wskakiwałem na niby-Hymcię nogami i  
od razu stawałem się lekki, leciutki, bo cały się nadmu-  
chiwałem. Pieściłem jej ciało swoimi delikatnymi stopa-  
mi, przy czym czulem coraz większą przyjemność, a  
uszy moje rosły, poleźniały i stawały sztorcem. Wresz-  
cie z tych wilkołacznych uszu zaczynała lecieć substan-  
cja zapładniająca w granulach. Przy każdym trafieniu  
taką granulą w ciało niby-Hymci dęgała mnie rozkosz,  
a gdy trochę substancji rozplodowej dostawało się do  
samej chłady, nasza wspólna ekstaza osiągała szczyty  
wszelkich możliwości. Tak trwaliśmy bez żadnych  
przerw w stanie siodmoniebińskiej przyjemności wie-  
le godzin, a w tym czasie granule uzupełniane były suk-  
cesywnie od tyłu przez rozświergotane niby-płaszki,  
podobne do amorków. Przerywać musieliśmy tylko z  
głodu, bo spożywanie posiłku w stanie permanentnej  
rozkoszy albo umniejsza przyjemność, albo też utrud-  
nia trawienie.

Kolejną planetą, którą odwiedziliśmy, była Bajecja.  
Tam współżyliśmy jako dorodne egzemplarze Rozkosz-  
niaków Wielkoustych w sposób zgola dla nas nietypo-  
wy, chociaż obserwowany w zbliżonych wariantach  
nawet wśród ziemskiej fauny. Przez miliony lat ewolu-  
cji samirzy narząd rozrodczy wrosł przedstawicielkom  
tego gatunku tak głęboko w ciało, chowając się zapew-  
ne przed niesprzyjającymi warunkami zewnętrznymi,  
że samiec musi dobierać się do niego od środka. W tym  
celu ona polyka jego, otwierając rozkosznie swoje sze-  
rokie usteczka, a on po omacku, pośród miękkiej śli-  
skości trzewi, wykonuje swoją powinność. Dalsze losy  
samca zależą wyłącznie od samicy; jeśli spał się do-

brze, może wyjąć go przez gardziel, sięgając w głąb węzowatym odnożem lub też strawić, gdyby coś nie wyszło lub gdy jest głodna. Osobników męskich, gaba-rytowo oczywiście o wiele mniejszych od żeńskich, jest w tamtejszych stronach pod dostatkiem i o nowego nie-trudno.

Jak można się domyślać, nie bez oporów odwiedziłem rozkoszną Bajecję, ale w końcu zrobiłem to dla mojej pięknej Hymci. Zapewne nikt nigdy nie wnikał w subtelności jej ciała tak głęboko, jak ja wtedy!

Z ulgą opuściłem tę planetę krańcowego matriarchatu, a szczęśliwa Hymelcja, chcąc wynagrodzić mi wszelkie trudy, skierowała statek do siedziby Wspanielic. Spływały one łagodnym lotem z ciepłopomarańczowe- go nieba wprost do ustronnych buduarów, którymi za stawiona była cała planeta. Samo oczekiwanie w takim buduarze było już rozkoszą, nie mówiąc o dalszym cią- gu.

Odwiedziliśmy jeszcze wiele planet i współżyliśmy ze sobą w licznych postaciach ich mieszkańców. Na przy- kład bluzgizdrzyliśmy się z Piżmowielkokonczystymi Nagłotykochejkami (aż wstyd pisać, co one wypra- wiają, a potrzeba do tego aż pięciu sztuk, więc trójke musieliśmy, chcąc nie chcąc, dokooptować), człow- pchedgwigiliłem w postaci tegiego Glajshulusa z Hym- cią-Odwzbytnikiem, kochaliśmy się obrotowo, wcieli- wszy się w śrubowce, a także oblapwydupsciskaliśmy się jako ameboidalne Glutowce-Wjamowchłony. Uff, to był kawał dobrej roboty!

Kiedyś przelatywaliśmy niedaleko nie zamieszkałej planety Mhrrr, a że akurat postanowiłem oddać moc normalnie pod skałką, zamiast jak zwykle spółkować z destylarką, zatrzymałem statek i wskoczyłem do urzą- dzenia transformującego. Za mną – jak zwykle lasa wrażeń – Hymelcja. Nie wiem, co za лихо mnie wtedy podkuśliło – chyba sam Szatan z czarnego Jądra Kosmo- su, zazdrosny o nasz orgiastyczny sposób współżycia. Ale w koncu to był miesiąc posłubny!

Opadliśmy na powierzchnię globu jako dwa wielogło- we, wleogoniaste i pokryte sterczącą łuską smoki. Lecz Hymcia nadal była piękna, przynajmniej w moich stu czterdziestu smoczych oczkach. Pomachałem jej kil- koma ogonami i truchtem pobiegiłem za wiszącą skałę, podniosłem kilkanaście nóg i ulżyłem sobie.

Dopiero po jakichś dziesięciu minutach spostrzegłem przyglądającego się mi z zaciekawieniem innego smo- ka. Nie, nie była to Hymelcja. A więc planeta okazała się jednak zamieszkałą!

– Witaj, bracie – zamruczał jedną z paszcz. – Jestem Ghrmb.

– Fallucjus.

– Poczęstuj się siarką, proszę.

Po wszystkich językach zaczęła mi spływać ślina. Zbli- żyłem się ufnie, a on wtedy przyładował mi w żołądek największą ze swoich nóg. Zobaczyłem miliony figlują- cych ogników i straciłem przytomność. Gdy ocknąłem się wreszcie, nasz statek ulatywał już z głuchym grzmotem poza granice nikłej atmosfery tej cholernej planety.

Wtedy dopiero zrozumiałem. Tam, na pokładzie, ten przeklęty smok w mojej własnej powłoce cielesnej cu- dzołożył z nieświadomą niczego Hymelcją!

W szczerzej rozpaczę waliłem wszystkimi ogonami o skały, rycząc z wściekłości. Wtedy przyszła Ghrmba.

– Wstawaj, stary! Patrzcie go,opił się siarkocieczy i roz- rabia!

Podniosłem głowy. Była wstretna, a na dodatek zacho- wywała się jak udzielna władczyni.

– No, jazda do lasu, zbierać korzenie!

– Wypraszam sobie. Nie jestem tym, za kogo mnie masz.

– A kim miałbyś być?! Nie zaczynaj mi starej pieśni, jak zwykle po nasiarkowaniu, że jesteś właściwie kim in- nym i grasz tutaj tylko jakąś przypadkową rolę!

Rad nierad, zabrałem się do wykopywania korzeni, które znosiłem Ghrmbie i czeredzie rozbrykanych smocząt. Swojej przybranej małżonce nie mogłem przeciwstawić się w niczym, bo była większa i ciezsza, poza tym male zawsze brały jej stronę. Musiałem więc spełniać wszelkie zachcianki smoczycy, a już szczegól- nie sumiennie, gdy lykneła płynnej siarki – wtedy sta- wała się niemożliwa. W efekcie rok w rok ze skórza- stych jaj wykuwały się male smoczeta.

Wyobraźcie sobie, że na tej planecie spędziłem z górą sto pięćdziesiąt lat! Smoczy glob musiał być odpowied- nikiem ziemskiej bezludnej wyspy, bo w tym okresie nie wylądował tu żaden statek.

Lecz kiedyś moje marzenie nareszcie spełniło się. Dale- ko na buriem niebie zawisła rteciowa kropla, a z niej spiralą translacyjną opuścił się na powierzchnię plane- ty dorodny smok. Poweszył głośno i puścił się truchtem wprost pod wiszącą skałę.

– Witaj, bracie – wymruczałem, drżąc ze zniecierpli- wienia. – Napij się siarkopłynu?

– Spokojnie, braciszku, nie denerwuj się, nie na mnie te metody. Jestem Ghrmb, przybyłem cię złuzować.

– Co?! – ryknąłem prac do przodu i zionąc.

– Stój! Jeśli mnie uszkodzisz, będziesz musiał pozostać tu z Ghrmbą. Ona wciąż potrzebuje sprawnego samca, dałbym sobie za to uciąć z pięć ogonów.

Zatrzymałem się, dysząc z wściekłości. Jego słowa wy- warły na mnie wrażenie.

– Ty cholerny gadzie! – ryknąłem.

– Przepraszam cię tylko za cios w żołądek. Nie było po prostu innego sposobu. A reszta, czyli ciąg dalszy, wszędzie jest podobny: u Ludzi, Smoków, Prażołców czy Wchładrzaków. Możesz mi wierzyć, wszak nie próżnowałem przez te sto pięćdziesiąt lat. A teraz by- waj! Wracam do swojej pierwszej, bo mam do niej sen- tyment jeszcze ze szczenięcych lat.

Oddalił się, a ja nie tracąc czasu wskoczyłem w ognisko transformujące i już byłem na pokładzie. Z rozkoszą obmacałem twarz: najprawdziwszy nos, oczy i jedne, jedyne usta! Dałem od razu pełny ciąg i pędziłem wkrótce przestrzeni, jak diabeł, uciekający od święconej wody.

byłbym do dziś spokojnie latał jako pilot pierwszej klasy dalekiego zwiadu kosmicznego, gdyby pokre- ta ludzka myśl nie wydała na świat Eliksiru. Nie mo- głem oprzeć się kusicielskim wizjom i już po paru ty- kach poczułem, jak wszystkie członki teżeją młodzi- ęcą energią, a w głowie robi się psiro. Odszukałem Hy- melcję – jak ona wyglądała! Jednak smoki są bardziej długowieczne niż ludzie. Niepostrzeżenie domieszałem jej Eliksiru do ziółek i z przyjemnością patrzyłem, jak zwiotczała skóra napina się, kształty nabierają jedrnej kragłości, a w oczach pojawia się błysk. Tak, to znowu była moja Hymcia!

Na wszelki wypadek wzięliśmy jeszcze raz ślub. Wese- lisko mieliśmy łącie szampańskie – cała doborowa kom- pania pilotów dalekiego zwiadu kosmicznego wraz z żonami i przyjaciółkami, po opiciu się Eliksirem popra- wiała innymi trunkami, siedząc po turecku na płycie lotniska. Wreszcie kapitan Wielema wydzwignął swój połączony tor w gwiazdziste niebo, wziął zamach i cisnął pełną butelką szampana o błyszczący kadłub rakiety.

– Pp... pan młody ma głos!! – zagrzmiął.

– Moi mili – zacząłem i odetchnąłem głęboko. Z tego miejsca widziałem wyraźnie wielkie chrząszcze, wście- kłe kopulujące na nagrzanym kadłubie rakiety. A dalej była wieczna noc, pośród której w nlepojętym rytmie stale rodziły się i umierały gwiazdy.

## Andrzej ZIMNIAK

(ur. 1946 r.) dr inż. chemik, absolwent Politechniki Warszawskiej – pracuje na uczelni jako specjalista w Instytucie Chemii i Technologii Organicznej. Debiutował w 1960 r. w tygodniku studenckim „Politechnik” opowiada- niem „Pojedynek”. Publikował teksty SF w „Młodym Techniku”, „Proble- mach”, „Odgłosach”, „Kalejdoskopie”. Pisywał także felietony satyryczne. Nie dzieli literatury na piękną i SF, tylko na dobrą i złą. Przygotowuje zbiór swoich opowiadań dla wydawnictwa książkowego

Andrzej Zimniak



# recenzje

## Głos mistrza

Temat „Cesarstwa Galaktycznego” ma w literaturze SF tradycję blisko sześćdziesięcioletnią. Zaczynał go w roku 1929 Edmond Hamilton powieścią *Within the Nebula*. Od tego czasu nieprzerwanie aż do współczesności ów temat przewija się przez science fiction, systematycznie zyskując na znaczeniu. Trudno się temu dziwić – wydaje się wymarzony dla wszystkich odmian tej literatury. Pozwala na zestawianie przeroznych, zwykłe heterogenicznych, elementów: nadprześtrzennych statków kosmicznych, motaczy energii (stynnych „blasterów”, słowo to zna już każde dziecko), zbroi rycerskich (zawsze „siłowych”) i mieczy (koniecznie „laserowych”). Intelakualnie nie bywa zbyt nośny, ale – jak dowodzi przykład „Gwiezdnych wojen” – bawi zawsze. Właśnie „Gwiezdne wojny”, o których sam George Lucas pisał „to film dla dziecka w każdym z nas” najdoskonalej prezentują współczesny stereotyp Cesarstwa z całą jego nonsensowną, ale zabawną i malowniczą rekwizytornią. Są realizacją najgłośniejszą, najbardziej dochodową, ale wątpliwe, czy kłokoiwiek i kiedykolwiek uzna ją za najlepszą. Wątek imperium ma już bowiem swego mistrza, nie całkiem nieznanego czytelnikom „Fantastyki”.

Isaac Asimov – o nim bowiem mowa – zainteresował się tym tematem już dość dawno i zrealizował go z ogromnym rozmachem. Z cyklu opowiadań publikowanych w latach 1942–1949 na łamach słynnego „Astounding Science Fiction” powstała wydana w latach 1951–1953 trylogia, na którą złożyły się tomy „Foundation”, „Foundation and Empire” i „Second Foundation” i która otrzymała w roku 1966 nagrodę Hugo. Wspomniana trylogia ma być wkrótce przetłumaczona na język polski staraniem Wydawnictwa Poznańskiego. Jaka będzie reakcja czytelników i krytyki? Opóźnienie trzydziestoletnie nie jest wprawdzie rekordem, ale wystarczy by książka nieco się spóźnowała. W dodatku tak czy inaczej otrzymamy dzieło niekompletne – bowiem w roku 1982 wydał Asimov czwartą część cyklu, która błyskawicznie weszła na listy bestsellerów usuwając w cień „2010 – Odyseję drugą” Clarke’a i natychmiast otrzymała nagrodę Hugo (1983).

Nawnością byłoby przypuszczać, że „Foundation’s Edge” zostanie przetłumaczona przed upływem kilkunastuletniej karencji. Szkoda – bo jest to w SF wydarzenie szczególne. Ma tetralogia „Foundation” prawdziwie epicki rozmach. Oto trwające od 12 tysięcy lat Cesarstwo Galaktyczne chyli się ku powolnemu upadkowi. Matematyk Han Seldon, najwybitniejszy przedstawiciel nauki zwanej psychologią, oblicza, że do powstania z chaosu galaktycznych wojen Drugiego Cesarstwa upłynie 30 tysięcy lat. Istnieje jednak sposób, by cykl rozkwit-upadek został przetrwany, a ludzkość w galaktyce nie groziła zagładzie. Decydują możliwości psychohistorii – nauki umożliwiającej przewidywanie i sterowanie procesami społecznymi w wielkich masach ludzkich. „Na dwóch przeciwnych końcach Galaktyki” umieszcza Seldon dwie Fundacje, grupy uczonych wprowadzających w życie plan skrócenia interregnum do lat zaledwie tysiąca. Pierwsza Fundacja, skupiająca ludzi, działa jawnie, dokonując podbojów ze swej siedziby na peryferyjnej planecie Terminus i jest przodującą technologicznie siłą Galaktyki. Druga – jest jej lustrzanym odbiciem. Składa się z „mentalistów” – psychologów i psychohistoryków, działa z ukrycia kształcąc kadry dla elity rządzącej Drugim Cesarstwem. W toku jednego z kryzysów, którego Seldon nie przewidział, Pierwsza Fundacja zdaje sobie sprawę z istnienia i roli Drugiej.

Czwarty tom cyklu Asimova rozpoczyna się w roku 498. Wydaje się, że Druga Fundacja, pobita i zniszczona po przebiegłym na tragicznym poziomie z kryzysów, nie istnieje od 120 lat. Wszystko idzie jednak zbyt gładko. Pojawiający się okresowo holograficzny wizerunek Seldona opisuje wydarzenia zbyt dokładne, jak na możliwości psychohistorii – nauki statystycznej. Jeden z członków rady Pierwszej Fundacji – Golan Trevize, który najszybciej zdaje sobie sprawę, że Fundacja jest manipulowana i miał pecha wyrazić to publicznie, szantażowany i oskarżony o zdradę zostaje wynagany. Wraz z historykiem Janovem Peioratem, pod pozorem poszukiwania mitycznej planety Ziemi, kolebki ludzkości, rusza na poszukiwanie Drugiej Fundacji. Nie jest to podróż łatwa.

Trevize w pełni zdaje sobie sprawę z tego, że ktoś czegoś po nim oczekuje. Rozpaczliwie próbuje pokrzyżować plany swego tajemniczego animatora. Krok w krok podążają za nim szpiecy Pierwszej Fundacji, licząc na ujawnienie i zniszczenie – tym razem definitywne – Drugiej. Ta także zdaje sobie sprawę z niezwykłości sytuacji. Jest zaniepokojona podróżą Trevize’a, lecz wie więcej. Istnieje w Galaktyce „Izdeja siła” czuwająca nad Planem. Losy ludzkości rozstrzygną się na tajemniczej planecie Gai, gdzie Trevize, wreszcie wolny, będzie musiał podjąć decyzję o kształcie Drugiego Cesarstwa, a tym samym o losach Galaktyki.

Straszczenie książki jest zajęciem niewdzięcznym. Nie można tym sposobem określić jej zalet i wad. Nie można także zdać sprawy z irytującej doskonałości Asimova, która nie mieści się w granicach fabuły, a w ramach pojedynczej książki bywa nieuchwytna. Jest doskonale widoczna pod warunkiem, że obserwujemy całą tetralogię łącznie.

Pewne zabiegi Asimova są zrozumiałe i oczywiście. Podejmując decyzję kontynuacji swojego cyklu po 30 latach, musiał rozbudować świat Galaktyki. Stąd niezwykła, żyjąca w telepatycznej symbiozie ze swym środowiskiem cywilizacja Gai, wielokrotnie połączona z obu Fundacji, lecz nie agresywna. Stąd mroźna Ziemia – zapomniana kolebka ludzkości – odgrywająca tak ważną, choć niejasną rolę w realizacji Planu. Stąd wreszcie wątek cywilizacji mieszanej, ludzko-cybernetycznej, prowadzący wprost do drugiego fascynującego Asimova tematu – kultury C/Fe. W ten sposób w cykl „Fundacji” włączona zostaje część wcześniejszej twórczości pisarza: „The Stars Like Ours”, „Pebble in the Sky”, czy wreszcie znany doskonale w Polsce „Pozyronowy dektetyw”. Książki te wymienia sam autor w postawie do „Foundation’s Edge”.

Znacznie ciekawszą wydaje się to, czego Asimov nie zrobił. Nie zmienił mianowicie stylu, nie czuł absolutnie konieczności uwolnienia się od rygorów klasycznej science fiction. Zlekceważył wszystkie mody ostatnich lat. Ciągłe brak na planach Galaktyki tajemniczych, obdarzonych nadludzkimi możliwościami obcych, masowo zamieszkujących impena fantazy i space opera. Nie ma smoków, cyklopów, pegazów, aniołków, zaginionych cywilizacji, mitych zielonych ludzików. Innymi słowy nie ma typowego „imperialnego sztafetu”, co zdecydowanie służy książce.

## FANTASTYKA MEDYCZNA

Aleksander Bielajew jest niewątpliwie jednym z klasyków rosyjskiej literatury fantastyczno-naukowej, szeroko znana była u nas jego „Wyspa zaginionych okrętów”, powodzeniem cieszył się film zrealizowany według powieści „Człowiek-amfibia”. Teraz docierają do nas dwa jego utwory, wydane w jednym tomie, ale stanowiące kłębnię zamkniętą całą tę bogatą twórczość pierwszego „Głowa profesora Dowella” z 1928 roku zapoczątkował literacką działalność Bielajewa, drugi „Ariel” z 1941, jest ostatnią książką pisarza, który zmarł po prawie trzydziestu latach walki z nieuleczalną chorobą w styczniu 1942 roku.

Oczywiście, powieści Bielajewa mają w swoim klimacie coś w nieuchwytny sposób staroświeckiego, bliższe są fantastyce Verne’a niż współczesnej science fiction. Opierają się na śmiałości, wizjonerskich pomysłach, ale wyizolowanych z rzeczywistości, której dotyczą. Są to z reguły jakieś cudowne wynalazki i odkrycia dokonane przez samotnych, genialnych uczonych-dziwaków, nie mające jednak uciążliwego związku z resztą świata, który nie zmienia swego wyglądu, jest taki sam, jak w dziełach nastawionych powieściach. Współ-

cześni pisarze starają się tworzyć wizje światów spójne wewnętrznie, w których niezwykle wynalazki nie pojawiają się w próżni technologicznej, jak króliki z kapelusza, ale są wynikiem ogólnego rozwoju, również społecznego. To zasadnicza i najbardziej rzucająca się w oczy różnica pomiędzy fantastyką „staroświecką” i dzisiejszą (choć do rozgraniczenia, na szczęście, jest zakłócanie przez sporo utworów, chociażby przez ostatni tom „księżycowej trylogii” Żuławskiego).

Bielajew jednak wyraźnie nie mógł i pewnie nie chciał rozstać się z modelem powieści „o cudownym wynalazku” i przyznać, że pomysł miał świetny. Tym bardziej są one godne podziwu, jeśli uświadomimy sobie, że w okresie, gdy pisał swoje powieści, nie przeprowadzano jeszcze na szerszą skalę eksperymentów biologicznych, medycznych, transplantacyjnych, nie pisano i nie myślano wiele o takich sprawach, które przecież dzisiaj są tematem wielu lektur i rozmyślań codziennych. „Cudowne wynalazki” z utworów Bielajewa to głównie wynalazki medyczne, poszerzające znakomicie możliwości działania ludzkiego organizmu. Tworzył więc powieści

paradoksalne – w staroświecką formułę, szczytem wytrzymałości której zdawał się być okręt podwodny i armatni pocisk zmierzający w stronę księżyca, wprowadzał pomysły rodem z najbardziej współczesnych nam badań medycznych.

Oto powieść „Głowa profesora Dowella” opisuje transplantację głowy do nowego, zdrowego ciała. Bielajew nie bierze przy tej okazji pod uwagę wielu czynników oczywistych dla dzisiejszego czytelnika, ale też wiarogodnie opisuje komplikacje i ewentualne zagrożenia, jakie mogą zaistnieć w trakcie i po operacji. Z kolei „Ariel” opowiada o człowieku, który nabył możliwości latania i stał się człowiekiem-plakiem. W obu przypadkach same pomysły z dziedziny – nazwijmy to tak – fantastyki medycznej są jakby pretekstem do snucia sensacyjnej fabuły, pełnej pościgów, dramatycznych zwrotów akcji i przewrotnych intryg, jakie wypracowała literatura rozrywkowa, żadna z postaci nie zaskakuje nas swym zachowaniem, żadna nie zakłóca harmonijnego przebiegu fabuły. Wszystko jest znane i sprawdzone już gdzie indziej, ale też w wykonaniu Bielajewa brzmi nadal świeżo i po prostu nie nuży w trakcie lektury.

Zyskuje Asimov na ekonomii środków, stawiając przed lustrem ludzkość bez figowego listka. Obraz tanich politycznych rozgrywek doprowadzających do tego, że Fundację dążącą do wzajemnego podporządkowania przypominają psa beznadziejnie próbującego złapać własny ogon, obraz głupoty ożenionej z ambicją jest dzięki temu znacznie dobitniejszy i czystszy. Zyskuje na klarowności, ukazując bohatera rozpaczliwie poszukującego najmniejszego choćby marginesu dla ludzkiej wolnej woli i w zamian za to obciążonego koniecznością podjęcia przerażającej go decyzji.

Zyskuje na dobitności, gdy decyzja zostaje podjęta i okazuje się, że nie przesądza ona niczego.

Nie ukrywam – lubię Asimova. Więcej jeszcze – uważam go za mistrza. Oczywiście, błędem byłoby poszukiwać w jego książkach – jak zresztą w całej literaturze SF – niesmiertelnej prozy i wielkiej filozofii. Jest Asimov mistrzem paperbacku i nie udaje nikogo innego. Lubie go za to, że stoi obydwiema nogami na ziemi, a nie buja w obłokach, najczęściej niebieskich, myślących i zbawiających ludzkość. SF pozostanie zawsze literaturą rozrywkową, narodzoną z cywilizacyjnego boomu, a lepsza wydaje mi się rozrywka zawierająca odrobinę prawdy o świecie, niż odraęgująca ten świat wśród gwałtownych młodości. Być może bohaterowie Asimova za dużo mówią, ale to i tak lepiej niż gdyby mieli walczyć grawitacyjnym dz. d.ami. Istnieją znakomite fantasy, ale na ogół wyobrażenia pisarzy jest płaska, a pod pokrywką cudów łatwo ukryć zwykłą niekompetencję. Space opera to guma do żucia, tyle że często pachnąca i balonowa. Dydaktyzm, będący największą wadą SF, błyszczy na tym tle, jak brylant czystej wody. Przyszły polski czytelnik „Fundacji”, niezależnie od tego, że otrzyma książkę starą i niekompletną, z pewnością będzie umiał docenić to, co w każdej rozprawce najważniejsze – literacką zreczność Asimova.

Krzysztof Sokołowski

Isaac Asimov *Foundation's Edge* Granada Publishing 1984

Wybaczymy mu z ochotą demonicznego uczoności i niewinnej cud-dziwicy w roli przelegniarki, jak również bezwzględnych amerykańskich gangsterów i gardzących wszystkim angielskich arystokratów, bo autor „Anela” jednocześnie przekonuje nas, że traktuje swoich czytelników serio, że na miarę wiedzy, jaką dysponuje współczesna mu medycyna stara się umiarkować swe pomysły. Szczególnie jest to widoczne w powieści „Głowa profesora Dowella” przytaczającej – dla nas już nawne – opisy zasad podtrzymywania przy życiu głowy oddzielonej od reszty organizmu „Anel” zresztą też „wyjaśnia” teoretycznie, dlaczego bohater powieści może trwać. Staroświeckość prozy Bielajewa przejawia się również tym, że powieści kończy szczególnie wydarzenie, w które już coraz trudniej dzisiaj wierzyć, że sprawiedliwość zwycięża, konieczne ofiary nie idą na marne, zdrowa jednostka ludzka opuszcza zle otoczenie i wraca tam, gdzie ludzie proszą i dobru. Brzmi to może nazbyt złośliwie i sarkastycznie, ale taka jest prawda, co nie przeszkadza jednak bawić się w trakcie lektury Bielajew był bowiem pisarzem utalentowanym.

Leszek Bugajski

Aleksander Bielajew *Głowa profesora Dowella. Anel* Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1984. Cena 190 zł.

Bardzo się zrobiliśmy po „Seksmissji” wymagający. Wiemy teraz, że fantastyczny film polski może być biedny i goły, lecz mimo to wesół i Wiemy, że technologicznego kształtu przyszłości nie pokaże nasze kino zbyt olśniewająco, ale może powiedzieć na jej temat parę rzeczy mądrych lub przynajmniej ciekawych. Wiemy, że nie skorzysta raczej kino na Lemie (pisarzu wybitnym, lecz filmowi niechętnym i z natury rzeczy mało wizyjnym), ale za to wizje kłębiące się w młodszych głowach dadzą się przełożyć na obraz z tempem i rytmem. Niby wszystkie te nadzieje zawierają się potencjalnie w „Syntezie” Macieja Wojtyłki, a jednak jest to rzecz znacznie mniej

nizać na nitkę filmu, synteza części nie dokonuje się bodaj tak jak autor zamierzył. Śmiejemy się oczywiście z nieznośnej ciotki, z nieporadnych robotów, ze scen w klinice, z paradoksów czasowych, ale wartki, klarowny film z początku rozpada się na barwne epizody z bajki dla dzieci. I od tego momentu chyba tylko najmłodsi są w kinie naprawdę usatysfakcjonowani. Machulski zrobił dynamiczne, świadomie ograniczające się kino podporządkowane jednej sprawie. Wojtyłko wędruje po tematach – od prawa do posiadania dzieci, przydzielanego w przyszłości również opornie jak dziś mieszkania, przez wizerunek skłóconego rodzeństwa, po problem poci-

## POŻYCZONA PODŁOGA

od „Seksmissji” satysfakcjonująca. Raczej nie tylko dlatego, że powstała za o połowę mniejsze pieniądze.

Wojtyłko, paradoksalnie, mierzy wyżej niż Machulski, a trafia niżej. Zatrudnia więcej gwiazd. Opowiada o problemie szerszym i rozleglejszym; zło, przemoc, ubezwłasnowolnienie w historii to temat bardziej na czasie niż zgrywy z feminizmem. W dodatku Wojtyłko zrobił film dla wszystkich, a na „Seksmissję” młodocianych nie wpuszczają (nawiasem mówiąc niesłusznie). Mimo to Machulski bierze zdecydowanie pierwszą wygraną.

Spytajmy skąd tak zdecydowany werdykt publiczności: skoro przecież i Wojtyłko ma rękę do kina, a „Syntezę” zrobiono w sumie z dużą, dość nawet rozrzućnię demonstrowaną kulturą. Może zresztą w tym problem. Machulski ogranicza i kondensuje tam, gdzie Wojtyłko rozrzedza. Punkt wyjścia obu filmów jest podobny. Machulski zamraża bohaterów, budzą się po latach w tym samym miejscu, akcja mimo komplikacji toczy się automatycznie, bez wątpliwości. Wojtyłko natomiast spiata losy chorego na serce pokłóconego z ojcem chłopaka, z południowoamerykańskim straszonym dziadkiem, dyktatorem Muan-tą. Skąd później dyktator w tej samej co chłopiec zamrażarce, skąd w przyszłej Polsce Muan-towe pociski paraliżujące wolę? Czyżby w czasie hibernacji nie tylko płynął czas, ale i wędrowały lodówki? Patrzymy dalej. Wojtyłko opowiada rozwlekle o sztucznie hodowanych ludziach-ideałach; Machulski o damskich dysydentach. Wojtyłko pokazuje (wywód jest długi, miejscami malowniczy, ale teza od początku wydaje się oczywista), że ludzie ubezwłasnowolnieni nie są szczęśliwi, a potem jeszcze mało czytelnie dla masowego widza kpi z dyalektyki: „leza + antyleza = synteza”. Machulski zaś zwyczajnie opowiada o tym, jak to chłop przebrał się za babę i stanął, też niezbyt zadowolony, na czele matnarchatu Machulski, jak widać, jest za każdym razem prostszy, dosadniejszy, w małym widzi duże i dlatego wygrywa.

W „Syntezie” jest materiał na parę rzeczy, realizatorzy nie potrafili się do końca zdecydować na żadną z nich. Dobrze, najlepsze jest pierwszy kilkanaście minut: bunt uliczny, sceny w gabinecie dyktatora, wyjazd Muan-ty z pałacu, strzelanina, wyprawa na wyspę, wyrzutnia. Potem zaczynają się perlektorskie, skoczne, które coraz trudniej



sków obezwładniających ludzkość. W tym nadmiarze każda sprawa osłabia nieco drugą – zamiast ją wzmacniać.

Rzecz, żeby już skończyć, chyba w tym, że Wojtyłko zaufał nadmiernie sukcesowi swej książki, także międzynarodowemu, i spróbował wszystkie jej literackie mądrości i piękności przenieść na ekran. A „Syntezę” literacką, rzecz bardzo intelektualną i refleksyjną, (w stylu nieco Lemowska) poddała się temu zabiegowi opornie i nie w całości. Wojtyłko-reżyser związał sobie ręce wiernością wobec książki Wojtyłki-pisarza. Machulski miał ręce swobodne i m.in. dlatego robi lepszy użytek z podświetlanej podłogi, która, co państwo może zauważyli, jest w obu filmach ta sama.

Joanna Salamonczyk

„SYNTEZA” Scenariusz na podstawie własnej powieści i reżysena Maciej Wojtyłko. Zdjęcia: Włodzisław Głódz. Wykonawcy: Wiktor Grołowski, Piotr Fronczewski, Władysław Kowalski, Marta Lipińska, Beata Tyszkiewicz i in. Zespół Filmowy „X” 1983

W okno moje wpadał widok wieży. Ilekroć byłem głębiej wzruszony na niej spoczywał wzrok mój i to mnie uspokajało. Ta wieża i wydzwanianie na jej szczycie przez strażnika godziny tak zrosły się z moim życiem iż - zda się - zakończyłbym je, gdyby runęła.

Pamięta ona czasy przedwieczne. Była tak wysoka, iż chmury plynące głębina nieba o jej szczyt wzniosły rozpruwały swe czarne podbrzusza. Umieszczony na wieży zegar był błogosławieństwem dla niedzarzy pozbawionych możności mierzenia czasu. Niejedną samotnik, mieszkający gdzieś na zaśnieżonym przedmiesiu, odludek, co nawet w czasomierzu nie miał przyjaciela, gdy usłyszał bicie olbrzymiego zegara, otwierał brudne okienko na swym niedanym poddaszu, aby choć przez chwilę pożyć z poważnym dźwiękiem machiny tak beztępotnie i równie rozdzielonym pomiędzy wszystkich.

Pewnego wieczoru do późna siedziałem bez ruchu przy oknie, nie odrywając oczu od smukłego kształtu mojej wieży. Widziałem, jak blizszczała triumfalnie łeczami barw, pośpiewała razem z ciemniejącym tłem nieba, aż czarna, grubą linią przecięła jasniejszy od siebie widnokrąg, zakrzepła w niewyraźny cien brylowaty.

I kiedy z jej wierzchołka, pogrążonego zupełnie w ciemności, spływał monotoniczny jak godziny dziesiątej, położyłem się do snu.

Zachował, żywno w pamięci obraz wlezy.  
Jak czajnik, astunka, do snu mnie kotyłał.  
Nu w wymowny spokój i słodycz coraz sil-  
nej mną owładaty. Leżałem pogrążony w  
przejrzyszej rozkoszy własnego istnienia.  
Niezmącona cisza późnego wieczoru up-

lastyczniała mi do zbytku poczucie własnego stanu. Zauważyłem, iż cały mój organizm drżał śpiewnym rytmem głębokiej tklivosti (...). Wyobrażenie więzy przeżyło się w mózgu, wzrastało, wsiąkało w krew, aż słodka miękkość bezwładu sennego poczęła na wskroś mnie przenikać.

Ocknąłem się nagle z półsnu czymś zaniepokojony. Nawinęło mi się niejasne przeczucie, że stanie się lub stało się coś ważnego. Na próżno szukałem wyjaśnienia. Czulem tylko, że poza mną, w otaczającej mnie rzeczywistości zaszło coś niewłaściwego, coś co miejsca mieć nie powinno. Błyskawica nagłego zrozumienia sytuacji przywiodła mnie do uświadomienia sobie stanu rzeczy.

Na wieczy powinna była wybić już godzina jedenasta. Ale bez dźwięku i echa minęła jej pora. Ze snu mnie wyrwała moc zachwianych niespodzianie przyzwyczajen do równomiernych, niezawodnych uderzeń zegara.

Począłem się zastanawiać, czy nie było w tym mojej pomyłki. Zliczyłem czas, ubiegły od chwili położenia się do łóżka i skonstatowałem, że już stanowiąco po jednąstę, że w momencie ocknięcia się z mego pośnu powinien ją być wybić zegar na wiesz. Tymczasem dzwon milczał, moge przysiąc, że milczał. W dziejach starego zegara był to niezwykły wypadek.

Cisza. Otchłań mroku. Słyszysz niemal bulgotanie krwi w żyłach. Głębokie wzruszenie ani na chwilę mnie nie opuszcza. Mózg łączy pytania i dziwaczne przypuszczenia.

Co też zaszło na mrocznym szczycie wieży? Dlaczego zegar nie wybił należnej go-

dziny? Może w mrokach nocy rozegrała się na wieży jakaś wstrząsająca tragedia? Może strażnikowi, w chwili, kiedy miał szarpnąć za linkę, by wydzwonić godzinę, przywarła do ust w palącym pocałunku lubieżna mara nocy i, poczuwszy nagłą niemoc, stoczył się na dno jakiejs piekielnej rozkoszy? A może ugodził go w serce sztylet dłoni skrytobójcy?

A może to tylko wróżba, że niebawem spotka mnie śmierć wczesna i nagła?

Przerażająca cisza nocna chłonie mnie w swój lejek i w obłędny wir porywa. Serce bije niespokojne, puls letni młotem, żar, gorączka! Czas leci jak błyskawica, a zegar milczy!

Skoczyłem ku oknu: zionęła na mnie otchłań mroku...

Żeby choć jedno małe światełko...

Całe miasto niechybnie zapadło się pod moimi stopami w głąb ziemi, a ja o tym nie wiem! Ono wraz z wieżą było li tylko snem mej wyobraźni? Może nawet nigdy nie istniało? A ja żyję, czy śnię?

nie iszkalo! A ja żyję, czy śnię?  
Szalałono wykrywiona twarz zagadki  
topi we mnie swe wieczne spojrzenie, w  
którym stoi wygięty łukowało czarny  
znak zapytania. Oto nocy tej dopełniła się  
straszna tajemnica: olbrzymie miasto w  
zmowie z siłami nieznannej potęgi czczyło  
z powłóczni ziemi, aby mnie przera-  
zić.

Wydalo mi się nagle, iż pokój mój pod dymnikiem oderwał się z ogromnym kos-  
kolem od organizmu domu i runął w  
przestrzeń, jak kula armatnia. Czułem, jak  
ściany mej izby przewalały się z maszy-  
nowym rozpadem pode mną i drżały w  
gwałtownej rytmice szybkości. Zawieszony  
w powietrznej przestrzeni leżącego

(1883-19..?)


## Poeta, prozaik, dramatopisarz

Urodził się 23 kwietnia 1883 r. w Piskach Wielkich w województwie lubelskim. O jego życiu prawie nic nie wiadomo, kim byli jego rodzice, jakie otrzymał wykształcenie, dlaczego wyjechał do Włoch mieszkając tam przez lat kilkanaście? Można tylko przeczuwać, że było to życie obciążające i bolesne, a gwałtowne zwroty nieczeki, które zdarzyły się zimą 1914 roku, doprowadziły go do tragicznego końca. Jedyną znaną biograficzną o Husko pochodzi z Archiwum Towarzystwa „Leteratów i Literatki” w Krakowie. Notatka zamieszczona w „Świecie” (nr 25 z roku 1919) podaje iż „młody literat we Lwowie, w przystępie manii przesła- dowej strzelił na ulicy do jednego ze znajomych raniąc go ciężko.

Autorem (innej, nieco dłuższej notatki („Świat” 1912/43) jest znany krytyk publicysta, prozaik – Karol Irzykowski, który stwierdza z wyraźną zło-

... i przytępił ich wzrok na to, że  
... i nie mógł na nich patrzeć. Wzrostł  
... i przytępił ich wzrok na to, że  
... i nie mógł na nich patrzeć. Wzrostł  
... i przytępił ich wzrok na to, że  
... i nie mógł na nich patrzeć. Wzrostł

literacki, spragniony subtelnych związków przy-  
jajni i miłości, odczuwał mezożność koniast między  
mamiem a rzeczywistością w sposób jasz-  
czy nawnie zymowoli, z przestarzałą dżi nermal  
intensywnością. i – jest wolno slany patologicz-  
nie tłumaczyć psychologicznie – w tym własni  
tkwila u niego przyczyna manii przesiadowczej.  
Czuł się tak, jak się czuje człowiek noszący z  
sobą drogocenny skarb, a osaczony przez zło-  
dzien. Uspokobienie podejrzliwe, ponure i towar-  
zystwne cążył nad wszystkimi wreczymi swoim  
milczeniem. On już nie gromadził, on kuł w sobie  
woli, która się cążyła w jego przymrużności, na  
pożór spokojnych, siwych oczach ocenianych  
tłumami krzaczastych brwi blond. Był to typ woli  
obronnej, zajądłej i tak rozpaczliwie bezzadnej,  
tak płomieli w mokrym gruncie. W jego nowie-  
leż uparcie, maniacko powraca ideał osiągnię-  
leż, panujący nad sobą woli, siły, inteligencji, du-  
szy Najulubieńszym jego słowem jest przymoi-  
nik „staloły” Oto jego „Zwycięstwo” (zbiorce  
„W płomienisku”). Wściekają się zymoli, tworzy  
się wulkan, ziemia pęka, upada poleżny zamek –  
leż władka ziemi, stojąc na szczyście baszty  
zdołał się jaszczce podobić do góry padł, zginął,  
ale z mocy własnego ciężaru, nie zabity przez  
obce przedmioty Tu mamy kuł woli dla woli odia-  
czony od zadani, ślepiej. A ponieważ wola musi  
przeć się mieć wyraźny znak samej siebie, szuka  
mordu: człowiek opętany nią dłał siebie kuł dru-  
gich. Huskowski zamachem morderczym zako-  
ńczył okres bolesnych napięć woli i przeszedł w  
świat posepnych spełnień”

Niestety, nie mogłem ustalić dalszych losów twórczego fantasty, ale należy sądzić, iż zakończył życie w zakładzie dla obłąkanych jego nazwisko nie figuruje w bibliografiach i słownikach, kulka zdawkowych uwag poświęca mu Czachowski w podręczniku historii literatury. Twórczość Huskowskiego urywa się gwałtownie w roku 1913, choć data śmierci sięga zapewne poza rok 1922 (w każdym razie S. Staw Lam o niej nie wspomina). Autor „Tragedii na wieży” nie nadstąpił od-  


wiedzi na ankietę A. Pereltakowicza i M. Sobieskiego, którzy przygotowali biogramy „Współczesnej kultury polskiej” (Poznań, 1936), niemniej sam fakt, iż taką ankietę do niego wysłano jest już więcej znaczący.

Jan Huskowski debiutował tomem poezji „Po drodze” (Księgarnia H. Altenberga, Lwów 1907). Na jednym z egzemplarzy książki zachowała się dedykacja: „Wielmożnemu Panu Kornelowi Makuszyńskiemu w dowód wielkiej życzliwości i pozawania – autor 8 V 1907”. Później Huskowski wydał kolejno kilka zbiorów nowel „Spojzenie” (Nakład Księgarni W. Potonieckiego, Lwów 1909) zawartość: Wiersz, Wojsła wyzwolony, Przed bałem, Dzień Ewy, Skrzydła stalowe, Bez pieniędzy, Dziwny autor, Przed bitwą, Miłość, Oszust, Z momentów jednej doby, Hek i Agon uparci, Tragedia na wieży, Próba miłości, Bajka, Przypadek miasta, Dwie polegi, Kruk, Głos na puszczy, Puchar whisky, Głowa spiskująca, Zemsta, Narodziny, Wezwanie, Przypowieść o twórcy zaprzędanym, O kanarze wyjątkowej, Ludzie, o których marzyć się nie powinno, Pod tapą łwa, Pretensja pajaków, Pieśń o zyciu, Rzuty dyskiem, Pęd zachwamy, Sen), „W płońtelniku” (Nakładem Księgarni W. Potonieckiego, Lwów 1912, zawartość: Wspomnienie, Wiezień, Zwycięstwo, Śmiało, Potykacz szpad, Wywiad u literata, Biela dzwuczyna, W słońcu, Cień, Dialog, List, Żart, Historia załosa, Wiatr, Na pochwałę miasta, W dobę zmierzchu, Przestroga najednemu, Koń, Ku pamięci słowo zapisane, Towarzyszywni na brzeg przeciwny wędrującemu, Tęsknota podróży, Ja, Wezwanie, Przeciw śmierci, O trawieniu, Ludzie interesu, O konsekwencji, Gdzie nasz przyjaciel? Odsienie, Omen), „Cienie” (szkic powieściowy, Wydawnictwo Kultura i Sztuka, Lwów 1913). W roku 1913 ukazała się jeszcze powieść „Gesły” (Wydawnictwo Kultura i Sztuka, Lwów) – „histona o młodszej zamazującej kółko samokształceniu (...), przekonaney iż wszelka ograniczająca krepująca członków przeszkadza swobodnemu rozwojowi indywidualności” (Izob. Świat” 1914/13). Drama



sześciocianu zapadałem zwolna w znieczulający stan oszołomienia. Wtem, jakby pod powiewem wiatru, pokój mój wykonywać począł kołyszące się ruchy łódki, rzuconej na fale. Ogarnął mnie chłód przyjemny. Początkowo ruchy te były nierówne, gwałtowne, podobne do szarpnięć, stopniowo miękkie, sławały się piśszczotliwymi w miarę zmniejszającego się kołysania. Ocułilo mnie nagle wstrząśnięcie. Spojrzałem szeroko rozwartymi oczyma uderzyła mnie niespodziana martwość wszystkiego. Tępy bezruch rzeczy przejął mnie lekkiem śmiertelnym. Przycisnąłem się w sobie i czekałem. Dookoła słała się złowrogim szelestem dżaz. Każdy mój nerw był naprężony i lechtany przez nią drażniaco. Czarno było wokół, czarno było we mnie. Sam dla siebie stałem się paszczą bezdennej otchłani, w którą spadałem głową w dół, coraz niżej i niżej... Czulem się rozprzestrzeniony na krańce otaczające mnie pomroki, tkwiło w tym coś groźniejszego niż w sekundzie zgonu. Nie masz straszliwszego upióra nad tego, jakim się sam stajesz. Czekałem dalej, ale już nie wybicia następnej godziny i nie świtu, jeno ciosu śmiertelnego z przestrzeni tej wszechobejmującej ciszy. Nagle! Rozległa się pierwsze, niepewne, zająknięte jakby uderzenie z wieży... pierwsze, drugie, trzecie, czwarte... W niemej ekstazie słucham. Uderzenia w noc idą, trwożne wielce, chwilowe, zrazu słabe, potem głośnie, huczące burzliwie, brzemienne straszny jakimś niepokojem. Uczucie lęku wzmaga

się, w końcu jak wąż owija szyję i żądłem dopada.

A zegar bije nierówno, gorączkowo.. Woła bez ratunku, gnie się w błaganiu, niby przed groźącymi nieszczęść wichurą, jęczy żałośnie, huczy złowieszczo, grozi buntowniczo.

Wybił dwanaście

Ostatnie uderzenie padło tepo, krótsze od innych, przedwcześnie urwane, jakby zdławione paraksyzmem strachu, nagłego przerażenia.

Echa nie było.

Ze spazmacyjnym uporem umysł mój, nie mając oparcia, począł otwarzać zapamiętane dźwięki, pieścić się z nimi, lubować. Była to jedyna dlan teraz ostoja, jedyna nieślącząca go z wyrażnym poczuciem rzeczywistości.

Wiedziałem teraz dobrze, że nie spotkało mnie nic tragicznego. I powoli z grozy, jaką byłem owiany, rodziła się silna i świadoma pewność siebie, jak u żeglarza, który po burzy dotknął wreszcie stopą lądu stałego.

Wtuliłem się wygodnie w poduszki i w ciemności uśmiechnąłem się do siebie na myśl o rozkoszy dalszego spokojnego istnienia. Z ust mi się chciało wyrwać konieczne jakieś dobre słowo.

Zasypiając, daremnie łamałem sobie głowę nad pytaniem, czy zaszło co na ciemnym szczycie wieży, czy też wszystko było moim przywidzeniem...

Tragedia na wieży (w:) „Spojrzenia”, Lwów 1909. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, wybór ze stron 121-128.

Huskowskiego „Dzieło” grano w warszawskim teatrze Niezależnym w roku 1911.

Twórczość polskiego modernisty, niezłana dla starszego czytelnika imponuje umiejętności operowania nastrojem, zaskoczeniem, wzmaganie napięcia aż do ostatecznego rozwiązania. Tego rodzaju historią jest właśnie „Tragedia na wieży”, którą Irzykowski porównywał z nowelą Edgara Allana Poe’a. I rzeczywiście – opowieść Huskowskiego trzyma w napięciu, budzi tęsknotę przed Nieznanym, czymś co ingeruje zdradziecko w losy naszego świata i co ważniejsze – nie rozszyfrowuje zagadki działając przemyczeniem i niedopowiedzeniem. „Tragedia...” może być również traktowana jako rodzaj wizji sennej: marzenia na jawie – dzięki temu uzyskuje wykładnię psychologiczną opisując ucieczkę w podświadomość: wewnętrzne przeżycia jednostki. Geneza tego utworu jest, w pewnym sensie, wiersz Huskowskiego pochodzący z tomu „Po drodze”:

„Gdy północ wydzwonił czas swój na zegarze,  
Porywam się często bezsenne z posłania  
I, tłumiąc rozpaczliwie paroksyzmy łkania,  
Błądzą oszalały po myśli obszarze...

I nowe odkrywam niepoznane światy.  
Pustynie i lądy, wyspy i oazy  
W ów kraj wyobraźni ileż, ileż razy

Zływa się myśl na zawięzanej kraty

Lecz zawsze daremne były jej polity.  
Dzisiaj to szczerliwie wszystko przewyższa  
Mocą niergaszonej, płomiennej tęsknoty...

Przeklinam wiek dziecka, wielbię  
dzielną meza  
Który struny ducha, jak cieciw naprężył  
I w dal nieprzejrzaną ciska tęsknoty groty!...

(„Na szlakach Ikara”)

Gdy Jan Huskowski był naprawdę „wybitnym talentem nie wzorującym się na nikim, nie poddającym się niczym wpływom” – jak sugerował przed laty recenzent jego „Ciem” (1913)? Z pewnością nie. Znać w jego niezrównoważonej, nerwowej, nieco chaotycznej prozie typowe doświadczenia modernizmu: fascynację Schopenhauerem i wolą przeobrażającą świat; uległość wpływom Nietzschego i francuskiego symbolizmu, a w planie formalnym – zindywidualizowanie narracji, otwarcie, wyłewnosc, bezpośredniość uczuć, ale zara-

żenie, pogątwienie, „szaleństwo”, czystość, precyzję, „słowa, które doń budzi szacunek i uznanie”. W tym sensie wokół twórczości Huskowskiego budziła się parastia, jeszcze za jego życia, o czym zdołała się świadczyć dwie, akcje różne recenzje zbiorów opowiadań

„Z aloryzmów pisarza połowę można by bez najmniejszej szkody usunąć. Chociaż autor „Głębokości” ma szczególny pociąg do groteski i satyry jednak w tym kierunku uzdolnienia nie ma żadnego, ani niezbędnego humoru i dowcipu. To, co nazwał „groteską” jest nudne i choć pozuje na głębokie, głębokiego nie wywiera wrażenia” (1910).

„Huskowski przebił się ku wyżynom o własnej i potężnej sile twórczej i dał społeczeństwu kilka prac wartościowych, cieszących się uznaniem najwybitniejszych odbiorców” (1913)

#### Bibliografia wybrana

##### Ogólna:

- S. Lam: Współczesni pisarze polscy (Literatura piękna – krytyka literacka), Warszawa 1922
- K. Czachowski: Obraz współczesnej literatury polskiej 1884 – 1933, Lwów 1934-1936
- Obłąkany literat (w:) „Świat” 1919/25

##### Recenzje:

- (...) „Świat” 1903/24
- K. Irzykowski (w:) „Świat” 1912/43
- (...) „Świat” 1914/3

Przygotował  
Andrzej Niewiadowski

**Tadeusz Gosk (ur. 1936) – autor tekstów krytycznych, popularyzatorskich, a co ważniejsze tłumacz literatury SF debiutował w roku 1965 na łamach „Horyzontów Techniki”. Od tego czasu na łamach „Problemów”, „Literatury na Świecie”, „Perspektyw”, „Fantastyki” zamieścił ponad sto przekładów powieści, nowel i tekstów publicystycznych. Autor doskonałych tłumaczeń A. i B. Strugackich, S. Sniegowa, P. Bagriaka, J. Gulakowskiego i K. Bułyczowa zwierza się swoim czytelnikom z tajemnic warsztatu twórczego.**

A.N.

## Zwierzenia tłumacza

Tadeusz Gosk

Gdy redakcja zaproponowała mi napisanie niewielkiego szkicu poświęconego radzieckiej SF znałem się w doprawdy trudnej sytuacji. Fantastyka radziecka jest zjawiskiem literackim i kulturowym o tak niezwykle szerokim zasięgu, długiej historii i ogromnej różnorodności, że nawet pobieżny jego opis jest po prostu niemożliwy. Musiałem zatem z morza tematów wybrać taki, który nie wymagałby napisania całej książki, co zresztą już przede mną zrobił Z. Dworak, którego szkice z historii radzieckiej SF winny niebawem ukazać się – o ile już się nie ukazały – w wydawnictwie KAW. Na szczęście przypomniałem sobie w porę, że nie jestem zawodowym krytykiem literackim, co od razu zawężło pole moich poszukiwań. Przez moment miałem zamiar skoncentrować się na recepcji radzieckiej literatury fantastyczno-naukowej w Polsce, ale po przemyśleniach, gdy zorientowałem się w liczbie tytułów, które musiałbym omówić, z zalem od tego pomysłu odstąpiłem. Aby tę moją referatową usprawiedliwić, powiem tylko, iż czytelnikowska „Bibliografia utworów tłumaczonych na język polski” wymienia kilkadziesiąt powieści i zbiorów opowiadań SF radzieckich, a wydawnictwo to, doprowadzone do roku 1980, nie uwzględniła niezliczonych wręcz publikacji prasowych z tego zakresu. W tej sytuacji nie miałem innego wyjścia, jak tylko odwołać się do moich już bez mała dwudziestoletnich doświadczeń i podzielić się z czytelnikami wpływającymi z nich refleksjami natury osobistej.

Sięgnąłem do własnej bibliografii i stwierdziłem z przykrością, że systematyczna analiza figurujących w niej dzieł i autorów też nie zmieści się w narzuconej mi objętości.

O czym więc będę pisał?

Uważni czytelnicy „Fantastyki” pamiętają zapewne, że jakiś czas temu obceale publiczne (co zostało utrwalone w relacji z zeszłorocznego pobytu w Polsce grupy fantastów radzieckich) tłumaczył nie tylko Kira Bułyczowa. Przyszło mi to tym łatwiej, iż – jak niektórzy z miłośników gatunku zapewne się orientują – przekładałem radziecką fantastykę naukową zanim prof. Igor Wsiewłodowicz Możejko zaczął ją pisywać. Lecz gdy już zaczął, został jednym z najwybitniejszych jej twórców, moim ulubionym autorem i przyjacielem.

Chcę zatem ten szkic poświęcić głównie jemu i to nie tylko ze względu na moje prywatne sympatie, lecz przede wszystkim dlatego, że w jego twórczości, choć niezaprzeczonej oryginalnej, odnajdujemy nie wpływ (to słowo narzuca myśl o naśladownictwie czy wręcz wtórności), ale z pewnością klimat i ładunek myślowy dzieł jego wybitnych poprzedników.

Było ich bardzo wielu. Mówiłem już, że fantastyka radziecka ma długą historię i odznaczała się od jej przedstawiania, ale nie sięgając nawet do

wcześniejszych jeszcze tradycji rosyjskiej literatury baśniowej i utopijnej czy literatury rosyjskiej w ogóle – muszę wymienić tu przynajmniej parę nazwisk. Przytoczę je w porządku chronologicznym, unikając jakiegokolwiek wartościowania. Zatem przed Bułyczowem byli w fantastyce radzieckiej Aleksy Tołstoj i Aleksander Gryn, Aleksander Bielajew oraz Iwan Jeleńmow, był niepowtarzalny Michaił Bułhakow, no i naturalnie postać numer jeden radzieckiej fantastyki – bracia Strugaccy. Nie, wcale się nie przejęczyłem! Istotnie uważam Arkadego i Borysa Strugackich za jedną postać. Dziennikarze i krytycy wielokrotnie usiłowali wydusić z nich informacje, w jaki sposób piszą swe znakomite utwory, jak dzielą między siebie pisarskie zadania. Bez rezultatu. Wcale się temu nie dziwię. Podejrzewam, że sami nie wiedzą, jak to się dzieje, iż powstaje kolejne wybitne dzieło opatrzone ich nazwiskiem. Bracia Strugaccy są bowiem – takie jest przynajmniej moje najgłębsze przekonanie – bardzo często spotykanym w fantastyce, lecz niezmiennie rzadkim w życiu fenomenem określanym nazwą intelektu zbiorowego. Nazwa może w tym wypadku nie jest najszczęśliwsza, ale fakt pozostaje faktem, że gdy tworzący ten tandem astrofizyk i japońska postać nowi się usamodzielnili i każdy z nich napisał pod pseudonimem własny tekst – zakończyło się to zupełnym fiaskiem. Miałem w ręku przypisywane im książki. Są poprawne, lecz z ledwością przekraczają granice publikowalności. Smutne to, ale nade wszystko zdumiewające.

Wróćmy jednak do Kira Bułyczowa. Zadebiutował w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Był wówczas dziennikarzem, autorem publikowanych pod własnym nazwiskiem książek popularyzatorskich i przymierzał się do kariery historyka-orientalisty. Swoje pierwsze opowiadanie SF (nie licząc przygodówki z elementami SF, którą opublikował jako rzekome tłumaczenie z języka bodajże birmańskiego) zatytułowane „Kiedy wymarły dinozaury” napisał do gotowej okładki czasopisma. Po prostu ktoś miał to opowiadanie dostarczyć, grafik sporządził projekt, okładkę wydrukowano, ale autor nie złożył na czas tekstu. No i w tej sytuacji narodził się Kirił Bułyczow. Opowiadanie było takie sobie, minęło bez większego echa i wszyscy zapomnieliby o jego twórcy, gdyby niebawem nie ukazały się „Opowieści o dzweczynce”, której nic złego nie może się przydarzyć”. Te utwory bajecku pisane dla młotkiej Alcy Możejkowej znakomicie narodziły pisarza, ale we mnie osobście (nie przekazyłem ani jednego utworu z obszernego już dziś cyklu o przygodach Alcy) nie wzbudziły szczególnego entuzjazmu, podobnie jak zgrabne i zajmujące dzieła należące do nurtu fantastyki standardowej, których zresztą wiele przetłumaczyłem.

Kirił (ostatnio Kir) Bułyczow stał się dla mnie sprawą osobistą w chwili, gdy przeczytałem jego pierwsze opowiadanie, którego akcja toczyła się w Wielkim Guslarze. Nie pamiętam już jego tytułu, ale na ile dobrych lub wręcz znakomych utworów wymienionych już tu braci Strugackich, Sewera Gansowskiego (nb. potomka polskiego zesłańca), Ilii Warszawskiego, Dymitra Bilenkina czy Wadima Szełnera – uderzał oryginalnością i świeżością kreowanego świata. Chyba się trochę zagalopowałem, gdyż świat Wielkiego Guslaru jest w gruncie rzeczy światem potocznym i zwyczajnym, tym tylko różniącym się od realnej codzienności współczesnego prowincjonalnego miasteczka radzieckiego, że ten leżący wśród pól i lasów gród upodobał sobie dla odwiedzin rozliczni przybysze z kosmosu. Skąd więc ta moja (i chyba nie tylko moja) fascynacja?

Wynika ona z tego, że Kir Bułyczow lubi swoich bohaterów, ma dla nich wiele ciepła, wiele im wybacza i potrafi patrzeć na ich niewątpliwie wady z dobronadą pobłażliwością. Potrafi ocenić ich zalety i przymykać oczy na przyrwy – po prostu kocha ludzi. Ale jeszcze innym powodem mojego zauroczenia jest zjawisko przeciwnie temu, które obserwujemy w wypadku Strugackich. Igor Wsiewłodowicz Możejko nawet pod postacią Kira Bułyczowa sprawia na mnie czasem wrażenie człowieka o wielorakiej jaźni, bo przecież poza fantastyką dziecięcą, standardową „guslarską” uprawia jeszcze jeden rodzaj pisarstwa SF, w którym dla swoich bohaterów jest o wiele surowszy. Mam tu na myśli opowiadania w gruncie rzeczy realistyczne, które z fantastyką wiąże potraktowany pretekstowo jakiś jeden rekwizyt SF (na przykład „Inna polana”). Jak on potrafi to w sobie łączyć...? Poza tym istnieje jeszcze coś takiego, jak podobny rodzaj wrażliwości językowej autora i tłumacza, która sprawia, że tłumacz traktuje przekład jako tekst własny. Tak właśnie jest w wypadku pary Bułyczow-Gosk.

Skoro już o tym mowa, to tłumaczenie literatury pięknej, a zwłaszcza literatury fantastyczno-naukowej wymaga pewnych szczególnych predyspozycji oraz dość rozległej wiedzy z najzupełniej czasem nieoczekiwanych dziedzin, a przynajmniej umiejętności uczenia się rzeczy nowych (że nie wspomnę już o doskonałej znajomości języka, na który się przekłada, co jest *conditio sine qua non*). Co do dyspozycji ogólnych, to potrzebne są one do jak najlepszego zrozumienia tekstu oryginalnego, wczucia się w myśl autora, jasnego wyobrażenia sobie opisywanych sytuacji. W tym ostatnim pomocna jest właśnie wiedza uprzednio już posiadana lub nabyta umyslnie z okazji konkretnego tłumaczenia. Dlatego w pracach młodych wielkich tłumaczy bywa tak wiele potknięć natury nie tylko językowej. Po prostu nie mieli oni czasu lub nie czuli potrzeby, żeby nauczyć się „wszystkiego”.

Dwa przykłady z mojej praktyki.

Opowiadanie „Metro” A. Pieczenińskiego toczy się w tunelach kolei podziemnej, zaś „Synteza PSA” M. Krwacza ma intrygę opartą między innymi na poszukiwaniu dróg syntezy pewnego preparatu. Przy tłumaczeniu pierwszego z nich poza pokonaniem trudności natury stylistycznej (tekst składa się z jednego, ciągnącego się na dziewięć stron zdania) musiałem przebrnąć przez moją względną niewiedzę na temat budownictwa podziemnego, kolejnictwa itp., drugie zaś poszło mi zupełnie łatwo, bo i język miało zwyczajny, i nie musiałem się doń niczego uczyć, jako że studiowałem kiedyś chemię na politechnice.

Te dwa utwory wymieniam po pierwsze dlatego, że ich autorzy – zwłaszcza Pieczeniński – roszą dobre nadzieje na przyszłość, a po wtóre na dowód, że tłumacz nie tylko mojego ulubionego Kira Bułyczowa.

## o fantastyce

Będąc pełne trzy lata recenzentem literackim zagrzebskiego miesięcznika poświęconego fantastyce naukowej „Sirius”, przeczytałem prawie wszystko, co w tym gatunku literackim napisano w Jugosławii. Według moich wykazów jest to około tysiąca opowiadań pod różnymi pseudonimami dziesięciu autorów, co niewątpliwie wskazuje na rozmiary zainteresowania fantastyką naukową w naszym kraju (...)

Potrzeba uprawiania fantastyki naukowej wywodzi się z immanentnych cech samego gatunku. Listy, które jako recenzent dostawałem w wielkiej obfitości, zaczynały się najczęściej tak: „Jestem wielkim miłośnikiem fantastyki naukowej. Lubię prawie wszystko, co mi wpadnie do ręki. Jestem studentem... i mam pewne pomysły, które przelałem na papier...”. Albo: „Postanowiłem do Pana napisać. Zakładam kilka swoich opowiadań SF, o których przyjaciele mówili mi, że są dobre...”. Albo: „Mam... lat i okropnie lubię fantastykę naukową. Czytając „Sirius” pomyślałem sobie, że mógłbym sprawdzić się w pisaniu SF. Porozmyślałem, wpadło mi do głowy kilka pomysłów i oto wynik leży przed Panem...” (...)

Wyjście ze stanu anonimowości, krok od pierwszej próby nadania kształtu pomysłowi do drugiego jest długi i wymaga niezwykłego uporu. Nie ulega wątpliwości, że wielu autorów boryka się z problemem samego pisania. Tu recenzent postępuje bez skrępowań. Do kosza. Ani ja, ani redakcja nie oceniamy półpismiennych wypracowań. Jest to sprawa szkoły. Tragedia zaczyna się jednak, gdy nadarzy się autor z dobrym pomysłem, którego nie umie przyoblec w dającą się zaakceptować formę narracyjną. Takie opowiadania stanowią swego rodzaju twórczość amatorską, rzekłbym nawet literaturę naiwną, która na pewno mieści swój urok, ale z trudem poddaje się ocenie według kryteriów estetycznych, obowiązujących w sferze twórczości „profesjonalnej”. Teksty te można zresztą rozpoznać po ich specyficznej tematyce: a) ikonografii. Pod względem tematycznym są to najczęściej opowieści o zagadkach Trójkąta Bermudzkiego, o meteorycie tunguskim albo o Pierwszym Społkaniu. Źródłem takiej tematyki przy typowo amatorskim charakterze całej jugosłowiańskiej fantastyki naukowej jest bez wątpienia ten rodzaj literatury ludowej, która swoją sensacyjność buduje na duchowym dziedzictwie E. von Däniken i jego podobnych. Takich sensacyjnych artykułów i felietonów mamy, dzięki Bogu, mnóstwo i one to stanowią glebę, z której kiełkuje później „intelektualny” wariant amatorskiej fantastyki naukowej. Rzecz ciekawa – ikonografia w takich opowiadaniach ma charakter paleotechniczny. Jako motywy ikonograficzne służą tu „różnokolorowe przyciski”, „spirale”, „polysktywne stroje”, „jarzące się korytarki wyłożone jakąś świetlistą materią”, „promienie śmierci” itd. Charakterystyczna jest również mała objętość tych opowiadań. Są to tak zwane mikroopowiadania. O czym owe mikroopowiadania mówią? O tym, że ich autorom najwzajemniej brakuje doświadczenia, odpowiedniego zasobu słów oraz spójności logicznej, by pomysł – jak powiadam często całkiem niezły – przyoblec w formę klarownej opowieści (...)

Pod względem ilościowym taku „opowiadania” zdecydowanie biją wszystkie recenzowane utwory. Stanowi to tylko potwierdzenie znanej prawdy, że 90 procent produkcji z zakresu fantastyki naukowej łąduje w koszu na śmieci. Tak duży odsetek braków dobitnie ukazuje stan kultury piśmienniczej i na to nic już nie można poradzić. Gdyby jednak spojrzeć na to samo zjawisko pod innym kątem, odpady te mogłyby być niepodważalnym świadectwem inspiratorskiej roli fantastyki naukowej w upowszechnianiu jakiejś takiej kultury piśmienniczej i kształtowaniu klimatu, w którym człowiek jest już nie tylko biernym przeżywa-

**Zelimir Košćević – wieloletni recenzent miesięcznika „Sirius” pisze o fantastyce jugosłowiańskiej. Jego spostrzeżenia – nie pozbawione ironii – mogą stanowić przestrożę dla wielu czytelników SF, którzy z bezkrytycznym optymizmem chwytają za pióro, aby spróbować swych sił w tym, jakże trudnym, gatunku prozatorskim.**

A.N.

**Želimir Košćević**

## Zwierzenia recenzenta

czem, ale i aktywnym uczestnikiem kultury w najszerszym rozumieniu tego pojęcia.

Ogólna przewaga anglo-amerykańskiej fantastyki naukowej wywarł swoje piętno i na owych dziesięćdziesięciu procentach prób literackich. Jeff, Mary, Billy, Jane – to często imiona bohaterów i bohaterów jugosłowiańskiej fantastyki. Umieszczenie akcji bywa określone toponimami anglo-amerykańskimi. Scenografia kosmiczna pełna jest maszyn US Air Force. Środki płatnicze to albo dolary, albo też kredyty (...). Mamy więc tu do czynienia z syndromem anglo-amerykańskiej fantastyki naukowej, a na ten syndrom cierpi SF prawie we wszystkich krajach o stosunkowo wąskim obszarze językowym.

Podsumowując: olbrzymia większość podejmowanych u nas prób pisarskich z dziedziny fantastyki naukowej kończy się niepowodzeniem. Powody są następujące: a) nieumiejętność pisania, b) banalność tematu i wątków, c) stereotypowość ikonograficzna i scenograficzna d) niewykorzystanie pomysłu. W ujęciu bezwzględnym obrazów nie jest jednak tak tragicznie ponury. Jeśli wziąć pod uwagę, że przez omawiane trzy lata na adres „Siriusa” przysłało swe prace około dwustu pięćdziesięciu autorów, z czego opublikowano opowiadania siedemdziesięciu trzech, to okazało się, iż ponad 30 procent autorów przebiło się na tamy pisma. Jest to znacznie ponad średnią wyliczoną przez Lema. Ale też „Sirius” plasuje się powyżej średniego europejskiego nakładu dla podobnych miesięczników (...)

Zanim przyjrzymy się opowiadaniom, które uzyskały pomyślną ocenę recenzenta, zatrzymajmy się przez chwilę nad znaczną liczebną grupą opowiadań, o których powiada się, że „niewiele im brakuje”. Te opowiadania mają doskonały pomysł, ale zostały naporadnie napisane, albo mają oryginalny ikonograficzny, pełen wyobraźni scenariusz bez specjalnego pomysłu, albo też są zwięźle napisane, ale temat i wątki banalne. Ich autorzy powinni jeszcze popracować i powiązać wszystkie elementy opowiadania w jednolitą pod względem wartości całość (...). W takich przypadkach dzięki interwencji redakcji można doprowadzić opowiadanie do poziomu, który umożliwia publikację. Interwencje te oczywiście nie mogą być zbyt duże, chodzi przede wszystkim o wyprostowanie logicznego biegu narracji i ustanowienie ciągłości tam, gdzie się autor pogubił. Najczęściej zabieg taki pozostawia się pisarzowi, ale możliwe są również poprawki na miejscu. Są one z zasady minimalne.

Rzuca się w oczy, że pośród opowiadań, którym „niewiele brakuje” do tego, by zostały opublikowane, a więc, by otrzymały pozytywną recenzję, sporo jest takich, które poruszają tematykę kosmogonii i eschatologii. Fantastyka naukowa

przydaje atrakcyjnych ram dywagacjom na temat uniwersalnych dylematów związanych z nastaniem i pochodzeniem człowieka, Ziemi, wszechświata, a także z ich końcem. Są to zazwyczaj bardzo pretensjonalne opowiadania, najczęściej zupełnie poprawne, formalnie pisane wprawnym piórem i z niezłą formą narracyjną. Aż do dążenia do tego, by w ramach dziesięcio-piętnastostroniowego opowiadania zawrzeć całą kosmogonię niemal zawsze przynosi rezultat w postaci wyswiechtanych komunałów o życiu i śmierci. Takie opowiadania w swojej ogólnikowości rezygnują z detalu jako tworzywa konstrukcyjnego. Każde takie opowiadanie rozpoczyna opis Prapoczątku na przykład: „W mrokach Wszechświata, w ostatnim i najdalszym jego zakątku, w wirze burz elektromagnetycznych na planecie oświetlonej podwójnym słońcem rodziło się życie...” albo „Masa poczuła, że jej świadomość się budzi. Poczuła ciepło otaczającej ją zewsząd cieczy. Słyszała odgłosy życia, które tak jak ona przechodziło ze stanu spoczynku w stan ruchu...” i tak dalej. Ziemijski wariant kosmogonii, filogeneza, rozpoczyna się zazwyczaj od praołowieka. Nie trzeba być szczególnie przenikliwym ani mądrym, by dostrzec uderzające podobieństwo takich początków z generalnym początkiem „Odysei kosmicznej”. Ten rodzaj naszej fantastyki naukowej jest zwykle blisko związany z eschatologią. I za, w myśl stereotypowego modelu, łączy się z katastrofą nuklearną. Charakterystyczny wariant wygładałby tu tak: „Człowiek żył w jaskini. Bez świadomości. Zdobywał pożywienie, wydawał potomstwo i znikł ze świata. Miał siekiere i ogień. Był sam... I wtedy, jeden po drugim, zaczęły wyrastać atomowe grzyby...”. Na drodze od prapoczątku do atomowego końca świata, bliżej czasowo niesprecyzowanego, w kontekście opowiadania pojawia się nieraz motyw „obserwatora”, zazwyczaj istoty kosmicznej na wyższym szczeblu rozwoju, bądź „uniwersalnego rozumu”. Jest on bezstronnym świadkiem procesów zachodzących na Ziemi od początku do końca. (...) Do bardziej frywalnych odmian kosmogonii i eschatologii bywa też wbudowywana standardowa „dänikenowszczyzna” albo banalne instrumentarium oparte o ikonografię niezidentyfikowanych obiektów latających (UFO).

Ramy tematyczne jugosłowiańskiej SF pokrywają się zasadniczo z rejestrem tematów zadowalających w światowej fantastyce naukowej. Pewną specyfikę stanowią tak zwane „tematy naiwne”, a więc na przykład Trójkąt Bermudzki albo Atlantyda. Dla łatwiejszego zorientowania przygotowa-

Dokończenie na stronie 9



tem następujący wykaz tematów charakterystycznych dla jugosłowiańskiej fantastyki naukowej:

## 1 KONTAKT

- 1.1 Człowieka z Obcym
- 1.2 Obcego z człowiekiem
- 1.3 Pierwszy Kontakt

## 2 ROBOTYKA

- 2.1 Komputer panuje
  - 2.1.1. Komputer waruje
  - 2.1.3. Komputer pomaga
  - 2.1.4. Warianty humorystyczne
- 2.2 Androidy

## 3 TEMATY SPOŁECZNE

- 3.1. Utopia
- 3.2. Totalitaryzm
- 3.3. Komunizm
- 3.4. Technokracja

## ■ HORROR

- 4.1. Mutanty
- 4.2. Sztuczny człowiek/transplantacje
- 4.3. Hibernacja

## 5 KATASTROFA

- 5.1 Naturalna
  - 5.1.1. Śroćce gaśnie
  - 5.1.2. Kolidują planety (meteor)
  - 5.1.3. Nowa era lodowcowa
  - 5.1.4. Przyczyny biologiczne i różne
- 5.2 Przyczyny sztuczne
  - 5.2.1. Katastrofa nuklearna
  - 5.2.2. Zagłada wywołana czynnikami zewnętrznymi

## 6 PRZYGODA

- 6.1. Powanie
- 6.2. Badanie Nieznanego
- 6.3. Western
- 6.4. Wojna międzygalaktyczna

## 7 PODRÓŻE W CZASIE

- 7.1. Do przodu
- 7.2. Do tyłu
- 7.3. Tam i z powrotem (w przeszłość i w przyszłość)

## 8. POZOSTAŁE

- 8.1. Tematy biblijne
- 8.2. Wielkie zagadki pop-kultury XX wieku
- 8.3. UFO

Ten sumaryczny przegląd ma oczywiście swoje braki, ale ogólnie biorąc pokrywa wszystkie tematy obecne w naszej fantastyce naukowej. Wzrost ilościowy w obrębie schematu są bardzo poważne. Przyczyn tego należy szukać przede wszystkim w amatorskim poziomie i charakterze jugosłowiańskiej SF. Jak powiedziałem na początku, główny impuls, jakim kierują się piszący science fiction kryje się w samej fantastyce, a nie w motywacjach, które determinują literaturę jako sztukę słowa pisanego. Prowadzi otwarcie naszą fantastykę naukową tworzą amatorzy (z kilkoma chlubnymi wyjątkami, które można porachować na palcach jednej ręki). Ten fakt wcale nie przynosi zaskoczenia profesjonalistom literackim. Wydaje się, że nie są oni po prostu zainteresowani fantastyką naukową albo – rzecz nie tak znowu dziwna – uważają ją za pośledniejszy gatunek literacki, którego im, zawodowcom, uprzedzić nie wypada. Nie ma potrzeby tutaj nikogo przekonywać, jak wielki to błąd. Tak czy owak, cały gatunek tworzony jest w rezerwie amatorszczyzny, poza głównym nurtem naszej literatury współczesnej i poza obrębem profesji literackiej. (...)

Przełożył Jerzy Chmielewski

## Bibliografia prac Iwana Jefremowa wydanych w języku rosyjskim

№	Tytuł	Wydawnictwo	Rok wydania	Nakład
1	Wstępnica nad Tuskaronoj	Wojenmonizdat	1944	nie podany
2	Piat' rumbow	Molodaja Gwardija	1944	25 000
3	Biełyj Rog	Molodaja Gwardija	1945	30 000
4	Tierń minuwszewo	Dietgiz	1945	45 000
5	Rasskazy o neobyknownennom	Stalingrad	1946	10 000
6	Almaznaja truba	B-ka „Ogońka”	1946	100 000
7	Biełyj Rog	OGIZ Kujbyszew	1946	15 000
8	Zwiozdnyje korabli	Dietgiz	1946	30 000
9	Na kraju Ojkumeny	Molodaja Gwardija	1949	15 000
10	Rasskazy	Molodaja Gwardija	1950	75 000
11	Na kraju Ojkumeny	Molodaja Gwardija	1952	75 000
12	Pucznieszestwie Baurdziera	Molodaja Gwardija	1953	90 000
13	Zwiozdnyje korabli	Dietgiz	1953	75 000
14	Almaznaja truba	Dietgiz	1954	75 000
15	Oziero Gornych Duchow	Dietgiz	1954	150 000
16	Na kraju Ojkumeny. Zwiozdnyje korabli	Dietgiz	1956	300 000
17	Wielikaja Duga	Molodaja Gwardija	1956	150 000
18	Doroga wetrow	Trudnezenizdat	1956	15 000
19	Wielikaja Duga	Molodaja Gwardija	1957	150 000
20	Tumannost' Andromedy	Molodaja Gwardija	1958	165 000
21	Tumannost' Andromedy	Roman-Gazeta	1959	500 000
22	Buchta Raduznych Struj	Sowetskij Pisatel'	1959	75 000
23	Na kraju Ojkumeny. Zwiozdnyje korabli	Dietgiz	1959	150 000
24	Na kraju Ojkumeny	Gorkowskoje Kniznoje Izd-wo	1959	75 000
25	Jurta Worona	Molodaja Gwardija	1960	200 000
26	Tumannost' Andromedy	Molodaja Gwardija	1960	75 000
27	Na kraju Ojkumeny. Zwiozdnyje korabli	Kirguzskoje Gusud. Izd-wo Frunze	1961	225 000
28	Tumannost' Andromedy	Gos. Izd-wo Chudożestwennoj Lit.	1961	200 000
29	Tumannost' Andromedy	Molodaja Gwardija	1963	75 000
30	Doroga wetrow	Giegrahzdat	1962	50 000
31	Liezwyje bntwy	Molodaja Gwardija	1964	115 000
32	Sierdce Zmeji	Dietkaja Literatura	1964	100 000
33	Tumannost' Andromedy	Siewero-zap Izd-wo	1964	90 000
34	Liezwyje bntwy	Molodaja Gwardija	1965	100 000
35	Tumannost' Andromedy	Molodaja Gwardija	1965	215 000
36	Sierdce Zmeji	Molodaja Gwardija	1966	100 000
37	Sierdce Zmeji	Dietkaja Literatura	1970	300 000
38	Czas Byka	Molodaja Gwardija	1970	200 000
39	Tais Afinskaja (pow. historyczna. Dzieła w trzech tomach)	Molodaja Gwardija	1973	100 000
40	Tom I – Rasskazy	Molodaja Gwardija	1975	200 000
41	Tom II – Na kraju Ojkumeny, rasskazy		1975	200 000
42	Tom III cz. 1 Liezwyje bntwy cz. 2 Tumannost' Andromedy		1975	200 000
44	Tais Afinskaja (ta sama edycja)	Molodaja Gwardija	1977	100 000
45	Doroga wetrow	Molodaja Gwardija	1980	150 000
46	Tais Afinskaja	Izd. „Prawda”	1980	300 000
47	Tais Afinskaja	Izd. „Prawda”	1980	100 000
48	Tais Afinskaja	Żazurny, Alma-Ata	1980	380 000 (I seria)
	(edycja za makulaturę)			475 000
49	Tais Afinskaja	Dietkaja Literatura	1981	800 000
	(edycja na kuponie)			
		Wotko-Walskoje izd-wo		
50	Tumannost' Andromedy	Gorkij	1982	100 000
51	Na kraju Ojkumeny. Zwiozdnyje korabli (na subskrypcję)	Strojizdat	1982	416 000

Łączny nakład 8 156 000

### Najważniejsze utwory wydane w czasopiśmie w języku rosyjskim

1 Tumannost' Andromedy	w Tiochnika Maladiozy	1957	500 000
2 Liezwyje bntwy	w Niewa	1963	200 000
3 Czas Byka	w Molodaja Gwardija	1969	230 000
4 Tais Afinskaja	w Molodaja Gwardija	1972	367 000

Nakład czasopism. 1 297 000

Nakład ogółem 9 453 000 (tm)

Iwan Jefremow (1907-1973) jeden z czołowych fantastów radzieckich należał bezprzecznie do klasyki światowej science fiction i był autorem popularnym także w naszym kraju. Wielu przyszłych pisarzy SF rozpoczynało swą przygodę z fantastyką od lektur „Białego rogu” i „Mgławicy Andromedy”.

Dzisiaj przypominamy naszym Czytelnikom mało znane fakty z biografii Iwana Jefremowa przedrukowując wywiad, którego pisarz udzielił na trzy lata przed śmiercią (w roku 1970) reporterowi „Gudoka” oraz przedstawiamy bibliograficzny spis jego utworów.

A.N.

## Kraina Fantazji

Z Iwanem Jefremowem rozmawia W. Gitkowicz



**W. Gitkowicz:** – Jak zostai pan fantastą?

**IWAN JEFREMOW** – Jestem raczej marzycielem. Słowo fantasta sugeruje, że ktoś siedzi i fantazjuje na zadany temat. Ja zaś od dziecka wymyślałem najrozmaitsze wynalazki. Podobnie w nauce. Tu również zajmowałem się niezbadanymi tematami i działami nauki – w geologii i paleontologii.

– W opowiadaniu „Lej diamentowy” przewidział pan odkrycie w Jakucji diamentów. Co panu w tym pomogło?

– Pomogło mi, że jestem geologiem, który wiele lat pracował na Syberii i wspólnie z kolegami stał wiele brzołych piam, jakie w owych czasach sinitały na mapach. Nie było to jednak żadne proroctwo. Po prostu, przeniosłem w teraźniejszość wizję przyszłości: to co dopiero powinno zostać odkryte. Uważałem, że struktury geologiczne Syberii i Afryki Południowej są do siebie zbliżone. Nawiasem mówiąc, udało mi się przewidzieć jeszcze parę innych rzeczy. Gdy byłem młodym uczniem, postulowałem konieczność prowadzenia badań rzeźby dna oceanów. Napisałem o tym do „Geologische Rundschau”. Wtedy było to poważne, naukowe czasopismo. Po jakimś czasie otrzymałem odpowiedź podpisaną przez znanego specjalistę w zakresie morskiej geologii Otto Prate. Stwierdził, że „artykuł pana Jefremowa jest całkowitą fantazją. Nie istnieje rzeźba dna oceanicznego. Jest ono całkowicie płaskie i pokryte grubą warstwą osadów”. „Zniszczył” mnie w ten sposób i artykuł nie został opublikowany. Obecnie wiemy, że na dnie są grzbiety górskie, wąwozy i powierzchniowe złoża minerałów.

Podobnie przedstawiała się sprawa z opowiadaniem „Cień przeszłości”. W „Literaturnoj gazecie” J. N. Denisiuk, wynalazca holografii, stwierdził, że zajął się wspomnianymi badaniami pod wpływem mojego opowiadania, opublikowanego roku 1944. Pisałem wtedy, że jedynym problemem jest brak odpowiednio silnego źródła światła. Gdy wynaleziono lasery i maszyny otrzymałyśmy takie źródło.

W opowiadaniu „Jezioro Górkich Duchów” pisałem o rzeźbionych jeziorze na Altaju. Niedawno właśnie na Altaju znaleziono rtec. Oczywiście nie można tego traktować jako jakiegoś „daru proroczego”. Po prostu, gdy jest się uczniem o dość rozległych horyzontach, wyłapuje się wszystko co „wisi w powietrzu”. Potem, jeśli dysponujemy jakąś szczyptą fantazji, możemy bez specjalnych trudności pomysł ten „urealnici”. Dlatego też są-

dę, że fantazja jest rzeczą niesłychanie ważną. Gdyby nie fantazja, wszelkie nauki stałyby w miejscu. Fantazja to fala, ze szczytu której można sięgnąć wzrokiem o wiele dalej, zobaczyć więcej, choć może niezbyt wyraźnie. Pamięta pan wiersze Feta?

„Na grzbiecie fali wzbić się w życie inne i w wnętrzu poczuć nieznanych kwiatów woń”

To właśnie czynią fantasty

– Większość zagranicznych pisarzy przedstawia spotkanie Ziemi z innymi cywilizacjami w nader minorowej tonacji. W utworach naszych autorów panuje optymizm. W czym upatruje pan jego źródło?

– Człowiek z istoty swej nie jest zły, jak zakładają to niektórzy fantasty. W czasie swej historii przezwyciężył wiele niedostatków, nauczył się tłumić egoistyczne instynkty, wykształcił w sobie nawyki dążenia z pomocą wspólnej pracy. No, a poza tym istnieje wspaniałe uczucie miłości. To właśnie pozwala nam wierzyc, że wiele jest w człowieku dobrego i przy odpowiednim wychowaniu społecznym bez trudu osiągnie on tę dyscyplinę oddania wspólnej sprawie, troskę o towarzysza o innego człowieka.

– Jako geolog powinien pan interesować się próbkami gruntu przywiezionymi przez „Lunę-16”. Co można z nich wynioskować? Co mogą powiedzieć nam rdzenie wiertnicze z Marsa i innych planet?

– Gdy trafimy do zupełnie niezbadanych miejsc i widzimy w oddali grzbiety górskie, zawsze przychodzi do głowy myśl, że przy pierwszym uderzeniu młotkiem dokonamy jakiegoś zupełnie nowego odkrycia. W rzeczywistości prawie nigdy tak się nie zdarza. Należy rejestrować szczegóły budowy geologicznej, pobierać z różnych miejsc próbki i dopiero wtedy, stopniowo zaczyna rysować się obraz. Podobnie i w tym przypadku. Trzeba będzie zdobyć próbki z różnych punktów Księżyca, być może setki próbek. Będą one przeczyć sobie nawzajem, dane nie będą się pokrywać, uczeni będą dyskutować. I dopiero po solidnych badaniach wyłoni się klarowny obraz.

– Jak wyobraża pan sobie środki transportu na Ziemi za jakieś 100-200 lat?

– W tym przypadku moje poglądy odbiegają dość daleko od koncepcji kolegów-fantastów. Uważam, że prędkość naziemnych środków transportu nie powinna wzrosnąć zbyt dużo – w komu-

nikacji masowej, wielkie prędkości nie są potrzebne. W wyjątkowych przypadkach, takich jak pomoc medyczna, powinny być dostępne superszybkie środki transportu, choćby rakiety. Poza tym jednak powinny one być ekonomiczne. Wydaje mi się, że prędkość pociągu w granicach 200 km/godz. jest zupełnie wystarczająca, byleby pociąg ten mógł zabierać duże ilości ładunków. Postęp polega nie tyle na zwiększaniu prędkości, ile ładowności, jedźwigi, rozstawu szyn. Myślę o nasypach szerokości sześciu, a nawet dziesięciu metrów. Każdy wagon będzie miał ładowność średniego statku. Poza tym duża część linii komunikacyjnych szczególnie w górach powinna znaleźć się pod ziemią. Przecież w przyszłości technika wyposaży nas w mechanizmy, które będą szybko drążyć tunele.

– Sprecyzujmy. To, o czym pan mówi, dotyczy pociągów towarowych. No, a czy za sto lat będą istnieć pociągi pasażerskie, czy wymyśli się coś zupełnie nowego?

– Oczywiście, że będą istnieć – o prędkości 200-300 km/godz. Kto będzie chciał podróżować szybciej, wybierze raketę albo samolot. Wie pan, przypominam sobie, jak po wyjściu z taigi po kapieli, spakowaniu i nadaniu na bagaż rzeczy wsiałem wreszcie do pociągu, w którym są miękkie siedzenia, jest ciepło i jasno. Była to taka rozkosz, że gotów byłem jechać nawet dziesięć dni. Mówiąc krótko – jestem zwolennikiem „powolnych” środków transportu, które nie tylko umożliwiają przenoszenie się z miejsca na miejsce, ale również pozwalają rozkoszować się pięknem Ziemi.

– A teraz, Iwanie Antonowiczu, ostatnie, tradycyjne pytanie. Czym pasjonuje się pan w wolnych chwilach?

– Rzecz w tym, że nie mam wolnych chwil.

– Tak odpowiadać nie wolno. To nie fair.

– No dobrze, ale to nie pasja, lecz takie sobie małe hobby. Gdy trzeba było sporządzić ilustrację do „Mgławicy Andromedy” okazało się, że artyści-graficy nie potrafili rysować pięknych kobiet. Oduczyli się. Zacząłem wtedy wycinać z różnych czasopism fotografie, aby dostarczyć grafikom materiały. No i teraz mam kilka teczek portretów pięknych kobiet z którymi nie wiem, co robić.

Przełożyła Teresa Marciniszyn  
„Gudok”, 24 listopada 1970 r., nr 375 (13768)

## 1957 (dokończenie)

### Krytyka, biografia, film (R):

235. BEYLIN Stefania *O cudach, czarach i upiorach ekranu* Warszawa: Filmowa Agencja Wydawnicza 8° ss. 102, nrb. 1, tabl. 32 4 000 egz.

### „Zagadki nauki” (MS):

LFM S. *Dialogi* - zob. Utopia

### Futurologia (F):

236. CLARKE Arthur C. [Charles], SMITH R. A. *Zdobywamy Księżycę* Tłum. z ang. Henryka Stępien-Siuckin i Janusza Thor. Przedm. Olgierd Wolczek. Koment. [Janusz] Thor. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Techniczne 8° ss. 118, nrb. 1, tabl. 32 4 000 egz.

LFM S. *Dialogi* - zob. Utopia

## 1958

### SF dla dorosłych (ASF):

237. ARMAND Antoni *Człowiek z lustra* Warszawa: Wyd. MON 16° ss. 219, nrb. 1 20 000 egz. - *Labirynt*

238. DOYLE Ar[h]ur Conan *Świat zaginiony* Tłum. [z ang.] Tadeusz Fvert. Wyd. II Warszawa: Iskry 16° ss. 247, nrb. 4 20 000 egz. - Druk z matrycy w. 1.

LFM MOV I. *Biały* - zob. Utopia

239. HOLLANEK Adam *Katastrofa na „Stoncu Antarktydy”* Powieść fantastyczno-naukowa. Warszawa: Wiedza Powszechna 16° ss. 381, nrb. 1 10 000 egz.

240. LEM Stanisław *Dzienniki gwiazdowe* [Wyd. II.] Warszawa: Iskry 8° ss. 257, nrb. 3 10 000 egz. - Zestaw opow. ten sam, co w wyd. I.

241. OSTOJA Andrzej *Aspazja* Łódź: Wyd. Łódzkie 16° ss. 265, nrb. 1 10 000 egz. - Na białym jędrze podł. *Opowieść fantastyczna*

242. RAKIETOWE szlaki *Opowiadania fantastyczno-naukowe* [Aut.] [Czyt.] M. Karnbluth [in.] Tłum. [z ang.] Julian Stawinski, Jan Zakrzewski i Krzysztof Zarzecki. Red. i koment. Julian Stawinski. Warszawa: Czytelnik 8° ss. 487, nrb. 1 30 000 egz.

243. SCHIFF Tadeusz *Wynalazek profesora Branka* [Tł. okł.] W. *Wynalazek profesora Branka* i inne opowiadania. Katowice: Śląsk 16° ss. 3-40 65 000 egz. - *Złota Podkoba*

244. SKRADZONY głos i inne opowiadania naukowo-fantastyczne [Aut.] [Nikolaj Daškiev i in.] Tłum. [z ang.] Stanisław Rutanski. Katowice: Śląsk 16° ss. 53, nrb. 3 62 000 egz. - *Złota Podkoba*

245. TCHORZEWSKI Tadeusz *Chihuahua i inne opowiadania* Warszawa: Nasza Księgarnia 8° ss. 93, nrb. 2 20 000 egz. - Cztery opowiadania, w tym trzy fantast. - ASF

246. WIKIEWICZ Tadeusz *Skradzione głowy* Warszawa: Iskry 8° ss. 471, nrb. 1 10 000 egz.

247. WELLS H[erbert] G[eorge] *Wojna światów* Tłum. [z ang.] Marian Józefowicz. Warszawa: Iskry 16° ss. 236, nrb. 4 30 000 egz. - Klub Srebrnego Kluczyka

248. *W STRONĘ czwartego wymiaru. Wczoraj, dziś, jutro*. Zbiór opowiadań popularno-artystyczno-naukowych [Aut.] Orville Wright [in.] Red., wstęp i koment. Julian Stawinski. Warszawa: Wiedza Powszechna 16° ss. 384, nrb. 2 10 000 egz. - Siedemnaście opow. w tym pierwszych sześć niefantast.

### SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

249. CZYZOWSKI Kazimierz Andrzej *Maciek, król powietrza* Powieść dla młodzieży. Wyd. I powoj. Warszawa: Lud Spółdz. Wyd. 8° ss. 219, nrb. 4, tabl. 6

250. STEINOWA Bronisława *Kamieniem toporem* Wyd. III, powoj. II. Warszawa: Nasza Księgarnia 8° ss. 239, nrb. 4 10 000 egz.

LFM MOV I. *Chihuahua* - zob. ASF

SWIFT J. *Podróże* - zob. Utopia

251. VERNE Jules *Wokoł Księżyca* Wyd. I powoj. skr. Tłum. z franc. Ludmiła Duninowska. Wstęp Jan Gadomski. Warszawa: Nasza Księgarnia 8° ss. 355, nrb. 5, mapa 50 000 egz.

### Utopia (U):

252. CHESTERTON Gilbert Keith *Człowiek, który był Czwartkiem Koszmar* Tłum. [z ang.] Maria Skibińska. Wyd. I powoj. I i w tym tłum. Warszawa: Inst. Wyd. Pax 16° ss. 208, nrb. 2 20 000 egz.

253. CHESTERTON Gilbert Keith *Latająca gospoda* Tłum. [z ang.] Hanna Olejdzka. Wyd. I powoj. Warszawa: Ins. Wyd. PAX 16° ss. 309, nrb. 3 20 000 egz.

254. [ÉFRMOV Ivan] *Biały róg* Tłum. [z ros.] Maria Kowalewska. [Wyd. VI lub II w tym zest.] Warszawa: Iskry 16° ss. 205, nrb. 3 10 000 egz. - Niektóre opow. fantast. - Na k. tyt. aut. Iwan Jeziernow

255. FRANCE Anatole *Bunt aniołów* Tłum. z franc. Stefan Flukowski [Wyd. IV]. Warszawa: Czytelnik 16° ss. 269, nrb. 3 10 000 egz.

256. HOFFMANN E[rnst] I[heodor] A[lfred] J[s.] *Kota Mruczystawa poglądy na życie oraz fragmenty biografii kapelmistrza Jana Kreislera przypadkiem na szlupkach makulatury rachowane* Tłum. [z niem.] Edyta Sińska. Warszawa: Czytelnik 16° ss. 493, nrb. 2 10 000 egz. - Dzieła Wybrane T. I

257. PLATON *Platon Panstwo*. Z dodaniem siedmiu ksiąg *Praw* Tłum. [z grek.], wstęp, koment., ilustr. Władysław Witwicki. T. I-II. Wyd. II powoj. Warszawa: Państw. Wyd. Nauk. 8° T. I ss. 458, nrb. 4, T. II ss. 586, nrb. 5 5 200 egz.

258. SWIFT Jonathan *Podróże Guliwera* Tłum. [z ang.] i oprac. Cecylia Niewiadomska. Wyd. XI powoj. II w tym oprac. Warszawa: Nasza Księgarnia 8° ss. 184, nrb. 4 30 000 egz. - Utopia/CJSF

259. THEMERSTEFAN *Wykład profesora Mmaa* Przedmowę Bertranda Russella tłum. [z ang.] Barbara Białostocka. Warszawa: Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 414, nrb. 1. - Fragmenty ukazały się po polsku w latach 1945-46. całość w tłum. ang. w r. 1953

260. VERNE Jules *Tajemnicza wyspa* T. I II Tłum. z franc. Janina Karczmarewicz. Wstęp i koment. Zdzisław Rytko. Wyd. III. Warszawa: Nasza Księgarnia 8° T. I ss. 385, nrb. 6, portr. T. II ss. 374, nrb. 1 portr. 30 000 egz. - Na k. tyt. imię aut. Juliusz

261. ZECHENTER Witold *Avaxara* Warszawa: Iskry 16° ss. 174, nrb. 2 20 000 egz. - Klub Srebrnego Kluczyka

Wybitni uczeni i sławni chirurdzy, specjaliści od przeszczepiania narządów, zgromadzeni na międzynarodowym sympozjum w Piuggi we Włoszech, w milczeniu patrzyli na film. Sala była wypełniona po brzegi, widziało się nawet tych, którzy zazwyczaj w czasie co dłuższych referatów i filmów zrecznie przemykali do bufetu. W tylnych rzędach, zwykle pustych, tłoczyli się tłumacze, pracownicy obsługi technicznej, nawet panienki z recepcji hotelowej. Film naukowy nie jest czymś niezwykłym, a na sympozjum pokazywano sporo filmów, bo obrazem najlepiej jest przekazać różne nowe techniki chirurgiczne. Ale ten film był niezwykły, chociaż na pozór nie pokazywał nic nadzwyczajnego.

Widać było po prostu siedzące w jakimś pomieszczeniu dwa pawiany. Były osowiałe, nieruchome i zarazem pełne niepokoju. Wobec wrodzonej ruchliwości, impulsywności i towarzyskości pawianów, ich dziwaczna nieruchomość, widoczny niepokój i zarazem obojętność wobec świata zewnętrznego - wszystko to stwarzało nastrój dość niesamowity. Nastrój udzielił się także patrzącym, dlatego milczeli: zwykle wiercący się i gadaliwi siedzieli spokojnie i cicho, nawet jeszcze przez parę sekund po skończeniu tego krótkiego filmu, na którym nic się nie działo. Widzowie wiedzieli o co chodzi, przed filmem wysłuchali bowiem referatu jego twórcy, profesora Roberta J. White'a, sławnego neurochirurga z Metropolitan General Hospital w Cleveland, USA. Wiedzieli, ale chociaż jako lekarza widywali już niejedno, tym razem niełatwo im było przejść do porządku dziennego nad zobaczonym doświadczeniem.

Otóż szlimowane pawiany prof. White'a miały z amputowane głowy. Amerykański neurochirurg dokonał przeszczepu całych głów - „i było to technicznie łatwiejsze, niż np. przeszczep serca” - powiedział, choć zdaje się nie wszyscy mu uwierzyli.

Pawiany z filmu siedziały wprawdzie nieruchomo, ale patrzyły, ich oczy poruszały się nieustannie, omiatając przestrzeń wokół i być może to właśnie owa nieruchomość w połączeniu z nerwowymi ruchami gałek ocznych wytwarzała nastrój niesamowitości. Słychać też było ciężki, chrapiący oddech zwierząt. Pomagał im niewiele, nowoczesny aparat do sztucznego oddychania. Było to zresztą jedyne urządzenie wspomagające nawet nie płuco-serce, bo krew tłoczyło już serce naturalne. Właśnie krew zasilająca mózg zwierzęcia była kwią obcą, pompowaną przez serce nowego łutówia. Małpie głowy niejasno musiały odczuwać, iż coś się stało, że ich ciała są jakos zmienione, inaczej pachną i inaczej wyglądają. Gdyby małpy mogły myśleć, sytuacja ta wydawałaby im się koszmarem nie do zniesienia. Na szczęście jednak nie myślały - w każdym razie MY dziś są dzimny, iż nie myślały i nie są świadome swego istnienia (choć sąd ten w świetle nowszych doświadczeń z sympankami jest chyba nieco przedwczesny).

Film o pawianach z amputowanymi głowami był pokazywany naukowcom kilka lat temu, ale przeszczepianie głów zwierzętom w laboratoriach w Cleveland zaczęło się jeszcze w latach sześćdziesiątych. Nowe głowy nie są w stanie kontrolować ruchów ciała, bo uczeni nie potrafili jeszcze połączyć około 200 milionów zakończeń nerwowych głowy i łutówia (jest to zresztą tylko kwestia techniki chirurgicznej). Niemniej sam mózg i wszystkie organy ciała (poza płucami) działają zupełnie niezależnie. Na tyle niezależnie, iż owe „podwójne” pawiany prof. White'a doskonale widziały i słyszały.

cdn.

Przygotował Jacek Izvorski



szafy, co się wokół nich dzieje, zachowały też węch i smak, reagowały na bliskość opiekunów. Głowy z cudzymi ciałami (czy też ciała z cudzymi głowami...) przeżyły wprawdzie tylko tydzień – ale uznano to i tak za jedno z najbardziej niezwykłych doświadczeń XX wieku.

Jest jednak rzeczą znamioną, iż tzw. środki masowego przekazu nie zajęły się wówczas owym doświadczeniem tak, jak zwykły to czynić przy znacznie mniej sensacyjnych wynikach naukowych. Świat nauki i medycyny także zareagował bardzo spokojnie, spokojniej niż na przykład w sprawie inżynierii genetycznej. Niektórzy zresztą neurochirurdzy i badacze mózgu sceptycznie ocenili wyniki White'a, wręcz wietrzyli w tym jakieś oszustwo.

Z tamtej strony lustra

# ZAMIENIONE GŁOWY

No tak... Żyjące i reagujące na bodźce małpy, którym zamieniono głowy! Wydaje się to nieprawdopodobne, a przecież jednak cała sprawa nie była zupełną nowością. Już od lat trwały (i trwają do dziś, również w Polsce, w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego w Warszawie) doświadczenia z długotrwale utrzymywaniem przy życiu mózgów ssaków (kotów, psów i małp), oddzielonych od reszty organizmów i reagujących na różne bodźce. Jest to jedna z najbardziej płodnych metod badania mózgu, właśnie dzięki niej uzyskano ogromny postęp w rozwikłaniu tajemnic centralnego systemu nerwowego. Mózg, jak wiadomo, nie ma receptorów bólu, więc w czasie tak okrutnych doświadczeń nie cierpi. To znaczy fizycznie nie cierpi, coż bowiem możemy wiedzieć o odczuciach izolowanego mózgu kota? Zostawmy jednak na boku sprawę granicy doświadczeń na zwierzętach, jest to kwestia odrębna, niesłychanie ważna i niesłychanie – niestety – lekko traktowana przez naukę. W każdym razie jedno przynajmniej jest pewne: bez tego typu doświadczeń nie udałoby się poznać różnych mechanizmów działania mózgu, dzięki takim doświadczeniom możliwy jest postęp w neurochirurgii, leczenie wielu chorób dręczących ludzi. Nie po raz pierwszy zwierzęta padają ofiarą po to, by można było ratować ludzi i zapewne nie ma na to rady.

Wróćmy jednak do wątku głównego: przeszczepiania głów. Zatem oddzielenie żywe głowy od tułowia jest już niemal codziennością w tych ośrodkach, które zajmują się fizjologią wyższych czynności nerwowych. Przed White'm też dokonywano przeszczepów głów, choć w zupełnie inny sposób. Na przykład słynny był eksperyment prof. Władimira Demichowa w Moskwie: wszczepił on zdrowemu psu głowę innego psa, stwarzając w ten sposób psa dwugłowego. I oto „właściwa” psia głowa przyniła się do opiekuna, zaś ta druga, wszczepiona, złości się na niego, warczy i chce ugryźć. Oto jedna głowa śpi, druga usiłuje w tym czasie pić mleko z miseczki... Zwykle po krótkim czasie druga, wszczepiona głowa jednak umierała, na szczęście pies-biorca pozostawał żywy i zdrowy.

Doświadczenia White'a były kolejnym krokiem naprzód. Mamy tu bowiem do czynienia nie z „doczepieniem” głowy dodatkowej, ale z zespoleniem obcego tułowia z obcą głową. Do dziś White przeprowadził już kilkadziesiąt tego rodzaju operacji i wciąż udoskonala ich technikę. Ostatnio wszakże nie słyszałem o nowych jego pracach – być może uczonemu przeraziły perspektywy jego własnych dokonań? Być może uświadomił sobie realną możliwość przeszczepienia mózgu człowieka?

W 1978 r. w RFN dokonano udanej transplantacji pewnej istotnej części mózgu pszczoły. „Wymieniono” po prostu część mózgu między dwoma różnymi owadami i okazało się, że obie pszczoły wymieniły się zarazem pamięcią! To znaczy owad z wszczepioną częścią obcego mózgu potrafił

natychmiast odnaleźć drogę do miejsca z pokarmem, którego nie znał, a które przedtem odszukała pszczoła-dawczyni mózgu (naturalnie obie pszczoły przedtem się nie znały, więc przekaz informacji w jakikolwiek sposób był niemożliwy). Był to pierwszy, ostatecznie udowodniony transfer pamięci z mózgu do mózgu, drogą nie przekazu informacji sygnałem, a przez przeniesienie tkanki przechowującej tę informację.

Wiosną 1981 r. Richard J. Wyatt i William J. Freed z Krajowego Instytutu Zdrowia Psychicznego w USA (National Institute of Mental Health) ogłosili nową metodę leczenia pewnych nieuleczalnych dotąd chorób mózgu (i jego uszkodzeń) drogą przeszczepów. Leczenie polegało na przeszczepianiu chorym szczurom tkanki mózgowej zdrowych, młodych szczurów. Po raz pierwszy udowodniono bez wątpliwości, iż tkanka mózgowa

jest przełomem w neurochirurgii i otwiera nową drogę w leczeniu chorób centralnego systemu nerwowego.

Nie należy chować głowy w piasek i udawać, iż na końcu tej drogi nie znajduje się również i taka możliwość: pełny przeszczep mózgu ludzkiego, wymiana głowy u człowieka. Sam Prof. White uważa, że jest to tylko kwestia ulepszenia techniki operacyjnej. „Przy obecnym stanie wiedzy – powiedział niedawno – potrzeba nie więcej niż rok, aby opracować technikę takiego przeszczepu. (...) Taka operacja jest możliwa. Co do mnie, nie należę do jej zwolenników. Jest to bowiem problem związany bardziej z etyką niż medycyną”.

Powiedzmy, że mamy do czynienia z takim przypadkiem: oto jeden człowiek umiera, mając całkowicie zniszczone przez chorobę wieńcową serce, przeszczep serca nie wchodzi w grę; drugi człowiek, całkowicie zdrowy, padł właśnie ofiarą nieszczęśliwego wypadku, w którym doznał śmiertelnych uszkodzeń mózgu. Z tych dwóch można uratować tego pierwszego, przeszczepiając jego zdrową głowę na zdrowe ciało drugiego. Ratuje się w ten sposób jeden mózg, jedną ludzką świadomość. Czy jednak można dokonać takiej operacji? Czy można skazać czyjąś świadomość, by żyła z cudzym ciałem? Czy tak „spręparowany” człowiek nie żyłby w nieustannym koszmarze, nie stałby się szaleńcem? Jak przyjąłby go rodzina, żona i dzieci? Oczywiście, żona i dzieci tego, którego mózg został przeszczepiony, bo mózg ów byłby świadomą kontynuacją owego człowieka, choć jego ciało byłoby nim i kimś innym zarazem... Oto dylematy medycyny przyszłości.

Według prof. White'a, jak już wspomniałem, przeszczep głowy ludzkiej jest właściwie technicznie możliwy. Wszakże jeszcze dziś rezultatem byłaby „myśląca głowa na słupie” – bo zoperowany tak człowiek nie mógłby się poruszać ani mówić, ale zapewne mógłby czuć, myśleć, zachowywać inteligencję i pamięć. Takie są możliwości neurochirurgii na dzisiaj.

Kiedy słynnemu Barnardowi, pierwszemu lekarzowi, który przeprowadził udany przeszczep serca, zaproponowano podjęcie się przeszczepu ludzkiej głowy, odmówił z oburzeniem. „Uważam – powiedział – że sama idea tego eksperymentu jest anormalna, niepraktyczna i wątpliwa z punktu widzenia prawnego”. Przypomniano mu, że takie same zarzuty padały wobec pierwszych prób przeszczepiania serca. Odpowiedział: „Jaki rodzaj egzystencji moglibyśmy ofiarować tym ludziom, nawet gdyby te paradoksalne operacje miały szansę powodzenia?”

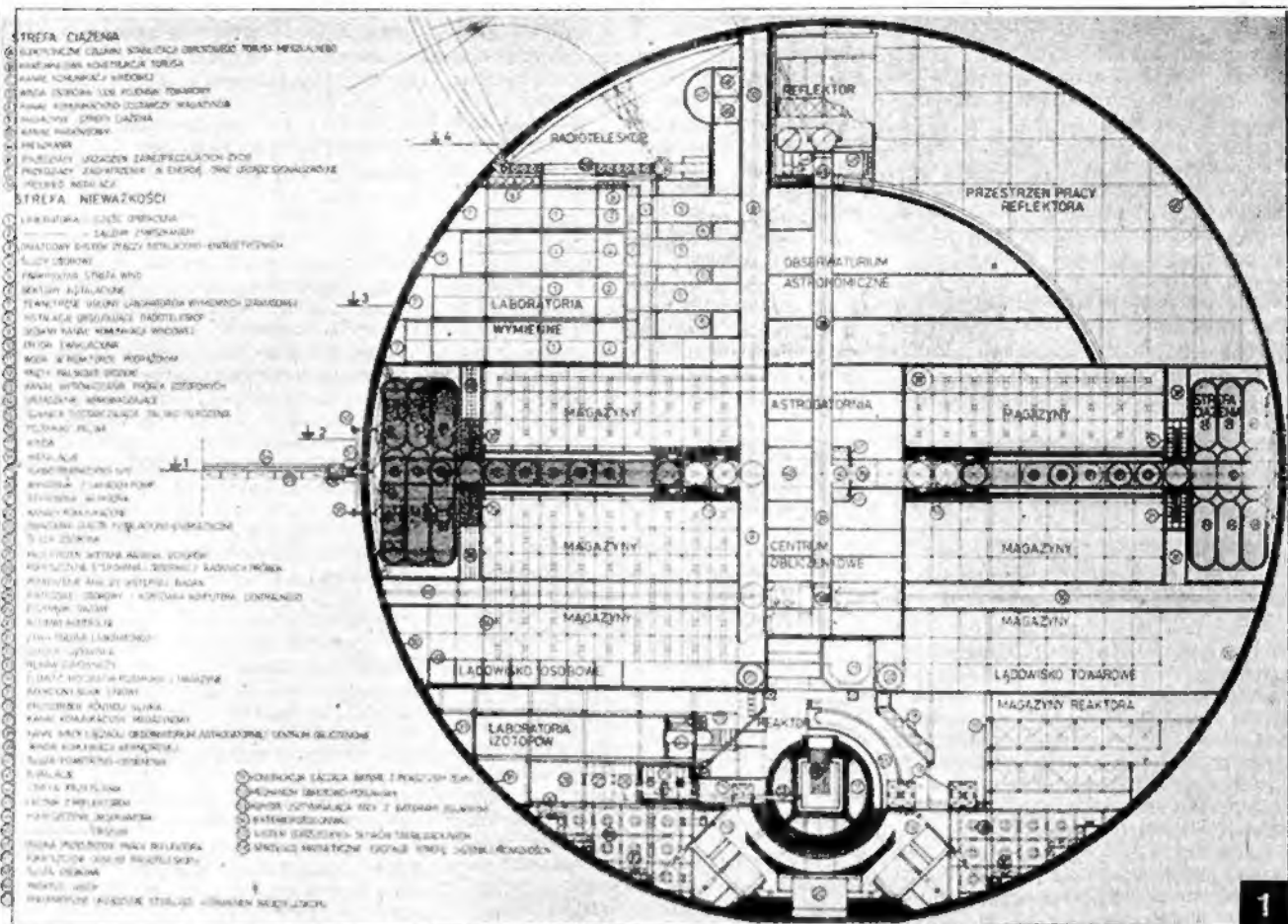
W tej sprawie można tylko stawiać kolejne pytania. Przywołując raz jeszcze White'a, pioniera transplantacji głów, przypomnę jego słowa: „W ciągu tylu lat studiów doszedłem do wniosku, że badanie mózgu i jego funkcji jest równie niebezpieczne, jak rozbijanie bomby”. Myślę, że jest to nawet jeszcze bardziej niebezpieczne, wszakże wiemy dobrze, iż niebezpieczeństwo nie jest akurat tym czynnikiem, który mógłby przed czymkolwiek powstrzymać uczonych.

Maciej  
Iłowiecki

młodych ssaków wszczepiona do mózgu osobników dojrzalszych ma zdolność „naprawiania” uszkodzeń mózgu tych ostatnich. Chodziło wprawdzie o zwierzęta, ale już wtedy wiadano, że możliwe są podobne zabiegi u ludzi. Zdaniem prekursorów tej metody, pozwoli ona kiedyś leczyć najstraszliwsze schorzenia centralnego systemu nerwowego: m.in. paraliż po udarze mózgu, pewien typ zmian starczych, chorobę Parkinsona, chorobę Alzheimera, tzw. pląsawicę Huntingtona (wada genetyczna), a także pewne uszkodzenia mózgu spowodowane nowotworami lub wypadkami. Będzie to prawdziwa rewolucja w leczeniu mózgu, a nie da się ukryć, iż leczenie właśnie wymienionych schorzeń pozostawia dziś wiele do życzenia, jest – bez niedomówień – po prostu bardzo mało skuteczne albo w ogóle nieskuteczne.

Jesienią 1981 r. zespół chirurgów szwedzkich w Karolinska Institute w Sztokholmie dokonał kolejnego kroku naprzód – pierwszej na świecie operacji wszczepienia do mózgu człowieka komórek z innego ludzkiego organu, z nadnercza, co pozwoliło mieć nadzieję na wyliczenie pewnej śmiertelnej formy choroby Parkinsona. Był to pierwszy udany przeszczep innej tkanki do mózgu ludzkiego i zdaniem ekspertów wydarzenie to





# Polski projekt stacji orbitalnej

(konsultowany przez Stanisława Lema)

Na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej powstała niezwykła praca dyplomowa. Jej tytuł: *Stacja Orbitalna „Ewa” - środowisko życia i pracy człowieka*. Praca została wykonana w Zakładzie Architektury Przemysłowej pod kierunkiem prof. dr.hab. inż. arch. Bohdana Lisowskiego. Autorem jest Zbigniew Domański. Przy realizacji projektu Stacji zostały uwzględnione informacje dostarczone przez fizykę, chemię, medycynę i psychologię. Swoją koncepcję autor konsultował także ze Stanisławem Lemem. Zresztą Zbigniew Domański sam jest wielkim miłośnikiem literatury SF. Komentarz chyba nie potrzebuje.

Stacja Orbitalna „Ewa” została tak zaprojektowana, aby znajdujący się w niej ludzie zapewnić warunki najbardziej zbliżone do warunków ziemskich oraz aby ustrzec ich przed wszystkimi szkodliwymi czynnikami występującymi w przestrzeni międzyplanetarnej.

Przed promieniowaniem jonizującym typu pierwotnego promieniowania kosmicznego zabezpiecza zlokalizowanie orbity Stacji w płaszczyźnie równoległej do płaszczyzny równika, bo tam promieniowanie jest około pięciu razy mniejsze niż w płaszczyźnie południka. Jest to najprostszy sposób uniknięcia dużego natężenia promieniowania w pasie radiacji van Allena. Projektowana orbita Stacji „Ewa” ma parametry: 400/400 km, 53° (dla porównania: Skylab 416/km, 55°; Salut: 200/222 km, 51,6°). Przed promieniowaniem wtórnym zależnym od liczby zderzeń cząstek promieniowania kosmicznego z powierzchnią statku zabezpiecza odpowiednia konstrukcja powłoki zewnętrznej,

która spełnia też oczywiście wymogi pełnej hermetyczności.

Szczegółnej troski wymaga kompensacja braku siły grawitacji powodującej tzw. stan nieważkości, narazający przede wszystkim układ krążenia i układ mięśniowo-kostny kosmonautów. Projekt przewiduje, że Stacja będzie składać się z dwóch stref: strefy ciężenia i strefy nieważkości. W strefie ciężenia występuje sztuczna grawitacja powstająca wskutek wykorzystania siły reakcji odśrodkowej w poruszającym się ruchem jednostajnym pierścieniu. Tam oczywiście są zlokalizowane wszystkie pomieszczenia mieszkalne.

Krańcami ruchem jednostajnym pierścieni o trzech poziomach mieszkalnych jest połączony z pozostałymi sektorami systemem wind i kanałów transportowych. Wszystkie urządzenia stymulujące życie w tej części Stacji zostały wbudowane w sieć mieszkań. We wnętrzach mieszkalnych wydzielono pomieszczenie higieny osobistej wyposażone w urządzenia sanitarne.

Istnieje dowolność w kształtowaniu wnętrza poprzez różne przedzielanie go ściankami i ekranami. W każdym pomieszczeniu można dowolnie zmieniać kolorystykę i natężenie światła. Zastosowanie ekranów zbudowanych z diod ledów-przewodnikowych daje możliwość uzyskania efektu powiększenia przestrzeni we wnętrzu. Umożliwiają one wyświetlanie (holograficzne) nierzeczywistego okna, co ma duże znaczenie psychologiczne. Przez odpowiednie zaprogramowanie komputera „widok za oknem” może być dowolnie zmieniany.

W strefie nieważkości zostały zlokalizowane laboratoria wykorzystujące nieważkość do badań, obserwatorium astronomiczne, które z racji swych funkcji nie może wykonywać ruchu obrotowego, oraz pomieszczenia magazynowe, ładownia osobowe i towarowe. W centrum bazy w jej rdzeniu, tuż pod obserwatorium, znajduje się zespół urządzeń do kierowania całym obiektem i główny blok obliczeniowy wraz z centrum łączności z Ziemią.

Laboratoria są wyposażane jeszcze na Ziemi. Wymiana kontenerów odbywa się na zewnątrz Stacji, tzn. statek transportowy dostarcza do ładowni „nowy kontener” a odbiera „stary”. Podłączenie kontenera do instalacji energetycznych, klimatyzacyjnych i innych odbywa się automatycznie.

Miejsca robocze strefy nieważkości zostały zaprojektowane na podstawie analizy aktywności ruchowej człowieka oraz analizy mechanizmów działania zmysłów w środowisku odmiennym niż to, w którym kształtowały się ich funkcje. Jak wykazują dotychczasowe doświadczenia kosmonautów, w stanie nieważkości zmysły (poza wzrokiem) przestają prawidłowo funkcjonować, co nie może pozostać bez wpływu na zdolność do pracy.

Cały obiekt ma formę kuli o średnicy 100 metrów. Kulę otaczają bierne słoneczne, mogące zmieniać kąt swojego nachylenia do osi pionowej w dwóch płaszczyznach.

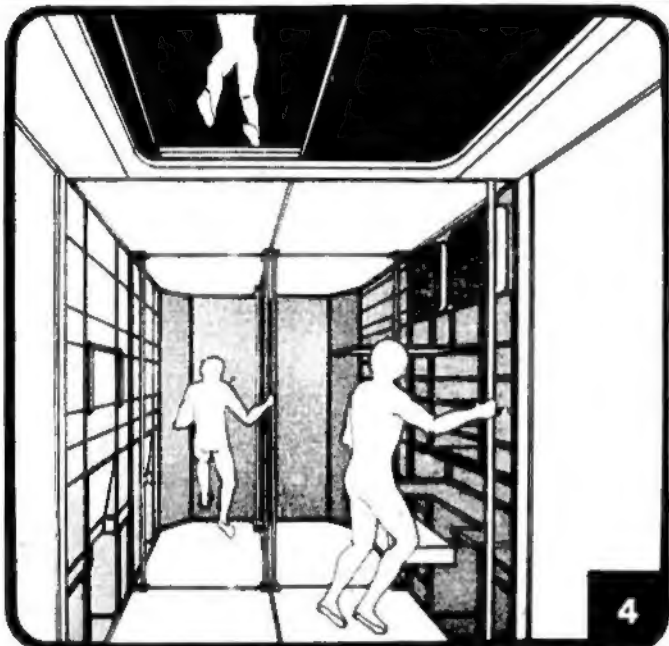
Ewa Latała



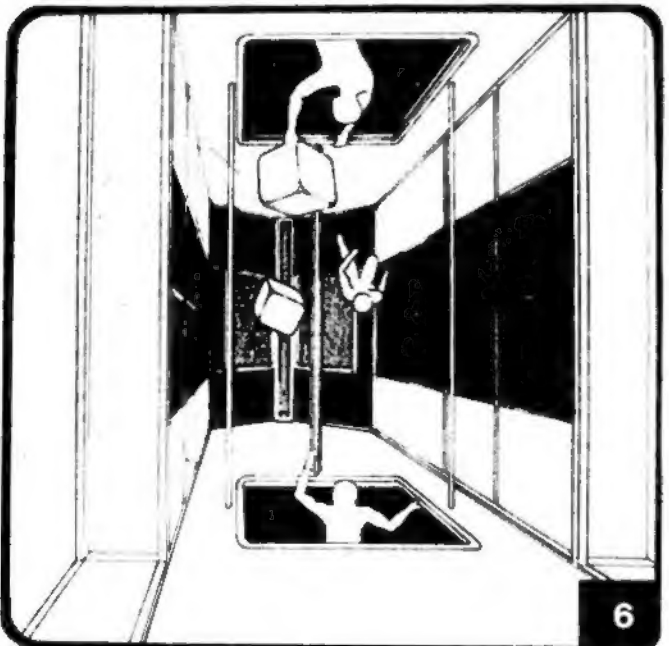
2



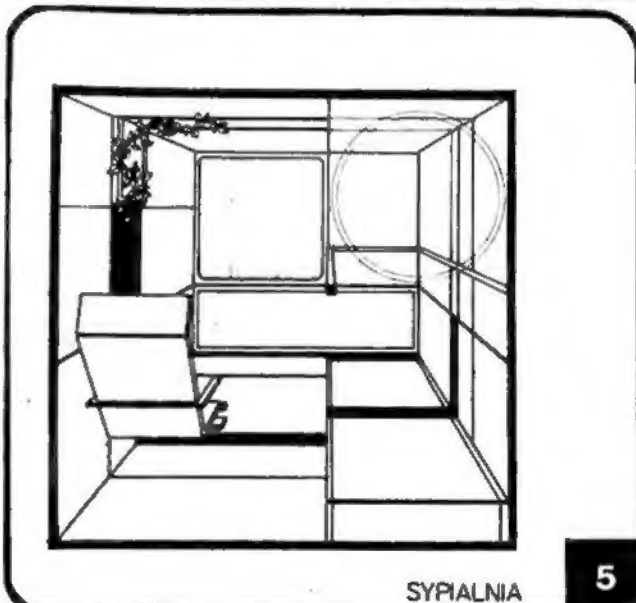
3



4



6



SYPIALNIA

5



7

1. Stacja orbitalna „Ewa” – przekrój
2. Stacja orbitalna „Ewa” – widok ogólny
3. Na zewnątrz stacji
4. Pomieszczenia magazynowe
5. Sypialnia
6. Korytarz transportowy
7. Łazienka



